

Milan Kundera

Nieśmiertelność

(przełożył: Marek Bińczyk)

Część pierwsza

Twarz

1.

Kobieta mogła mieć sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat. Patrzyłem na nią z leżaka, zwróconego ku basenowi, w klubie gimnastycznym na ostatnim piętrze nowoczesnego wieżowca, skąd przez ogromne oszklone szyby widać cały Paryż. Czekałem na profesora Avenarius, z którym czasem spotykam się tutaj, by pogawędzić o tym i owym. Ale profesora Avenarius wciąż nie było i patrzyłem na kobietę; sama w basenie, zanurzona do pasa, śledziła wzrokiem ubranego w dres instruktora, który, stojąc nad nią, udzielał jej lekcji pływania. Posłusznie oparła się o brzeg basenu, nabrała powietrza i wypuściła je w wodzie. Polecenie wykonała z powagą i gorliwie, i zabrzmiało to tak, jakby z głębi wydobył się odgłos starego parowozu (idylliczny, dzisiaj zapomniany odgłos, który przybliżyć mogę tym, co go nie poznali, jedynie poprzez porównanie do oddechu starszej pani, wciągającej i wypuszczającej powietrze przy brzegu basenu). Patrzyłem na nią urzeczony. Jej przejmujący komizm zniewalał mnie (instruktor również spostrzegł ten komizm, gdyż kąciki jego ust na moment, jak mi się wydało, zadrżały), ale ktoś mnie zagadnął i odwrócił moją uwagę. Kiedy w chwilę później chciałem powrócić do obserwacji, lekcja dobiegła końca. Kobieta w kostiumie kąpielowym szła wzdłuż basenu ku wyjściu i gdy znalazła się cztery czy pięć metrów za instruktorem, zwróciła ku niemu głowę, posłała mu uśmiech i skinęła dłonią. Ścisnęło mi się serce. Ten uśmiech i gest należały do dwudziestoletniej dziewczyny! Jej ręka wzniosła się z zachwycającą lekkością. Tak jakby w trakcie zabawy rzuciła do kochanka kolorową piłkę. Uśmiech i gest były pełne wdzięku, choć nie miały go już w sobie ani twarz, ani ciało. Był to wdzięk gestu zatopionego w ciele bez wdzięku. Lecz kobieta, nawet jeśli dobrze wiedziała, że nie jest już piękna, na chwilę o tym zapomniała. Pewną częścią siebie wszyscy żyjemy poza czasem. Być może uświadamiamy sobie własny wiek jedynie w kilku wyjątkowych chwilach, a przez większość czasu żyjemy bez wieku. W każdym razie w chwili gdy odwróciła się, uśmiechnęła i skinęła dłonią do instruktora (który nie mógł się powstrzymać i głośno parsknął), kobieta nie znała swych lat. W tym geście istota jej wdzięku, którym czas nie władał, odsłoniła się w okamgnieniu i olśniła mnie. Byłem dziwnie wzruszony. I w moich myślach wypłynęło słowo Agnes. Agnes. Nigdy nie znałem kobiety o tym imieniu.

2.

Leżę w łóżku, zanurzony w słodczy pólśnu. O szóstej, w chwili pierwszego, lekkiego przebudzenia wyciągam rękę w stronę małego radia, stojącego przy poduszce, i wciskam guzik. Słyszę poranne wiadomości, ledwo odróżniając słowa, i na nowo zasypiam, toteż zdania, których słucham, przechodzą w senne majaki. To najpiękniejsza faza snu, najśłodsza chwila dnia: dzięki radiu rozkoszuję się moimi ciągłymi przebudzeniami i zaśnięciami, cudownym rozkołysaniem między jawą a snem, tym drżeniem, które wystarcza, by zniknął żal, że przyszło się na świat. Czy śnię, czy naprawdę jestem w operze, przed dwoma przebranymi za rycerzy aktorami, wyśpiewującymi prognozę pogody? Jak to się stało, że nie śpiewają o miłości? Wreszcie pojmuję, że to spikerzy; przestali już śpiewać i teraz dla żartu wpadają sobie nawzajem w słowo. “Dzień będzie gorący, upalny, ale spodziewane są burze”, mówi pierwszy, któremu drugi przerywa przymilnym tonem: “Niemożliwe!” Pierwszy odpowiada tym samym tonem: “Ależ tak, Bernardzie. Przykro mi, nie mamy wyboru. Odwagi!” Bernard parska śmiechem i oznajmia: “Oto kara za nasze grzechy.” Na co pierwszy: “Dlaczego ja miałbym cierpieć za twoje grzechy, Bernardzie?” Wówczas Bernard śmieje się na całe gardło, aby dać słuchaczom do zrozumienia, o jaki grzech chodzi, i dobrze go pojmuję: jest tylko jedna rzecz, której pożądamy wszyscy, głęboko: żeby cały świat uznał nas za wielkich grzeszników! Żeby nasze występki porównywano z ulewami, z burzami, z huraganami! Niech więc każdy Francuz, otwierając dzisiaj parasol nad swoją głową, pomyśli o dwuznacznym śmiechu Bernarda i mu pozazdrości. Przekręcam gałkę z nadzieją, że usnę na nowo w towarzystwie bardziej niezwykłych obrazów. Na sąsiedniej stacji kobiecy głos oznajmia, że dzień będzie gorący, upalny, z możliwością burz, i cieszę się, że mamy we Francji tyle stacji radiowych i że wszystkie w tej jednej chwili opowiadają o tym samym. Szczęśliwy mariaż jednostajności i wolności; cóż lepszego ludzkość mogłaby sobie wymarzyć? Wracam zatem do programu, w którym Bernard przechwalał się swymi grzechami, lecz tam męski głos intonuje hymn do ostatniego modelu renault, znowu kręcę gałką, kobiecy chór sławi futra, które staniały, wracam do Bernarda, wpadam na ostatnie takty hymnu do renault, po czym głos zabiera sam Bernard. Zawodząc ucichłą przed chwilą melodię, powiadamia nas, że ukazała się właśnie biografia Hemingwaya, sto dwudziesta siódma, lecz tym razem naprawdę ważna, gdyż udowadnia, że Hemingway przez całe życie nie powiedział ani słowa prawdy. Wyolbrzymił liczbę ran odniesionych na wojnie, udawał, że jest wielkim uwodzicielem, a tymczasem stwierdzono, że w sierpniu 1944 roku, a następnie od lipca 1959 był zupełnym impotentem. “Niemożliwe”, mówi kpiący głos drugiego spikera i Bernard odpowiada przymilnym tonem: “Ależ tak...”, i znowu jesteśmy na operowej scenie, nawet ten impotent Hemingway jest z nami, a potem bardzo poważny

głos wspomina o procesie, który w ostatnich tygodniach poruszył całą Francję: podczas prostej operacji źle przeprowadzone znieczulenie spowodowało śmierć pacjentki. Wskutek czego stowarzyszenie zajmujące się obroną “konsumentów”, bo tak nas wszystkich nazywa, proponuje, aby w przyszłości filmowano wszystkie operacje, a filmy przechowywano w archiwach. Miałby to być, według stowarzyszenia “obrony konsumentów”, jedyny sposób gwarantujący Francuzowi zmarłemu pod skalpelem, że jego śmierć zostanie należycie przez sprawiedliwość pomszczona. Później zasypiam ponownie.

Kiedy się obudziłem, było już wpół do dziewiątej; pomyślałem o Agnes. Podobnie jak ja leży w dużym łóżku. Prawa strona łóżka jest pusta. Kim jest mąż? Zdaje się, że kimś, kto w sobotę wcześniej wychodzi z domu. Dlatego jest sama i kołysze się rozkosznie między jawą a snem.

Potem wstaje. Naprzeciw, na długiej nóżce, wyrasta telewizor. Agnes rzuca koszulę, która na biało drapuje ekran. Po raz pierwszy widzę ją nago. Agnes, bohaterka mojej powieści. Stoi przy łóżku, jest ładna i nie mogę oderwać od niej wzroku. Wreszcie ucieka do sąsiedniego pokoju, jak gdyby poczuła moje spojrzenie, i ubiera się.

Kim jest Agnes?

Ewa zrodziła się z żebra Adama, Wenus powstała z piany, natomiast Agnes wynurzyła się z gestu sześćdziesięcioletniej kobiety, którą spostrzegłem na brzegu basenu, gdy żegnała się z instruktorem pływania, i której rysy już się w mojej pamięci zacierają. Jej gest wywołał wówczas we mnie niepojętą tęsknotę, i tęsknota ta wydała na świat postać, której dałem imię Agnes.

Czy jednak człowieka, a bohatera powieściowego tym bardziej, nie określa niepowtarzalność i jedyność jego bytu? Jak zatem jest możliwe, by gest postrzeżony u osoby A, gest, który był z nią spojony, cechował ją, tworzył jej osobliwy wdzięk, był zarazem istotą osoby B i mojego o niej marzenia? Nasuwa się taka oto refleksja:

Skoro po naszej planecie stąpało osiemdziesiąt miliardów ludzi, niepodobna, by każdy z nich miał własny repertuar gestów. Arytmetycznie jest to nie do pomyślenia. Bez najmniejszej wątpliwości w świecie jest mniej gestów niż osób. Co prowadzi nas do szokującego wniosku: gest jest bardziej pojedynczy niż jednostka. Ujmijmy to w formę porzekadła: “wielu ludzi, mało gestów”.

Mówiąc o kobiecie w kostiumie kąpielowym, stwierdziłem w rozdziale pierwszym, że “istota jej wdzięku, którym czas nie władał, odsłoniła się w okamgnieniu i olśniła mnie”. Tak, tak wówczas myślałem, lecz byłem w błędzie. Gest bynajmniej nie odsłonił istoty kobiety, należałoby raczej powiedzieć, że to kobieta ujawniła mi wdzięk gestu. Albowiem nie można uważać gestu ani za własność jednej osoby, ani za jej dzieło (nikt przecież nie jest zdolny do stworzenia własnego, całkowicie oryginalnego, należącego tylko do niego gestu), ani nawet za jej narzędzie; w

rzeczywistości jest odwrotnie: to gesty posługują się nami; jesteśmy ich narzędziami, ich marionetkami, ich wcieleniami.

Agnes ubrała się i przygotowała do wyjścia. W przedpokoju przystanęła na chwilę i nadstawiła uszu. Dochodzący z sąsiedniego pokoju szmer oznaczał, że córka zdążyła wstać. Przyspieszyła kroku, jakby chciała uniknąć spotkania, i szybko wyszła. W windzie wcisnęła guzik "parter". Winda, miast ruszyć, konwulsyjnie podskoczyła, niczym człowiek owładnięty tańcem świętego Wita. Kaprysy windy nie po raz pierwszy sprawiały jej niespodziankę. Jechała w górę, gdy Agnes chciała zjechać, to znowu odmawiała otwarcia drzwi i więziła ją przez pół godziny. Tak jakby chciała nawiązać rozmowę, tak jakby chciała przekazać jej coś ważnego na swój, niemego zwierzęcia, nieokrzesany sposób. Agnes już parokrotnie uskarżała się na nią dozorczyńni, ale ta, widząc, że wobec innych pasażerów winda zachowuje się poprawnie, spór między nią a Agnes uznała za ich prywatną sprawę i nie zwracała na niego żadnej uwagi. Agnes musiała opuścić windę i zejść pieszo. Gdy tylko wyszła, winda uspokoiła się i sama również podążyła na dół.

Sobota była najbardziej męczącym dniem. Paul, mąż Agnes, wychodził przed siódmą, a obiad jadł z przyjacielem, podczas gdy Agnes korzystała z wolnego dnia, by załatwić wszystkie sprawy, gorsze niż praca w biurze: pójść na pocztę, wytrzymać pół godziny w kolejce, zrobić zakupy w supermarkecie, posprzeczać się ze sprzedawczynią, stracić czas w kolejce do kasy, zadzwonić do hydraulika, błagać go, żeby przyszedł o umówionej godzinie i żeby nie trzeba było czekać na niego przez cały dzień. Między jedną sprawą a drugą usiłowała znaleźć chwilę, by pójść do sauny, na którą w tygodniu nie miała czasu, a resztę popołudnia spędzała przy odkurzaczu i ze ścierką w rękę, ponieważ sprzątaczką, przychodzącą w piątki, coraz bardziej zaniedbywała swoją pracę.

Ta sobota różniła się jednak od innych: nadeszła piąta rocznica śmierci ojca. W jej myślach pojawiła się pewna scena: ojciec siedzi pochylony nad stosem podartych zdjęć, a siostra Agnes krzyczy: "Dlaczego drzesz zdjęcia mamy?" Agnes broni ojca i dwie siostry kłócą się w nagłym przypływie nienawiści.

Wsiadła do zaparkowanego przed domem samochodu.

3.

Winda zawiozła ją na ostatnie piętro nowoczesnego wieżowca, gdzie gnieździł się klub z salą gimnastyczną, basenem, wodnymi biczami, sauną i widokiem na Paryż. W szatni z głośników płynęła muzyka rockowa. Dziesięć lat temu, gdy Agnes się zapisywała, klub liczył niewielu członków i panował w nim spokojny nastrój. Później, z roku na rok, wprowadzano ulepszenia: było coraz więcej szkła, światła, sztucznych roślin, głośników, muzyki, również coraz więcej bywalców, a ich liczba podwoiła się jeszcze w dniu, w którym ogromne lustro, z polecenia dyrekcji zawieszono na wszystkich ścianach sali gimnastycznej, odbiły ich sylwetki.

Agnes otworzyła szafkę i zaczęła się rozbierać. W pobliżu rozmawiały dwie kobiety. Pierwsza powolnym, łagodnym kontraltem utyskiwała na męża, który wszystko rozrzuca po podłodze: książki, skarpetki, a nawet fajkę i zapalki. Druga, sopran, mówiła dwa razy szybciej; francuska maniera podnoszenia o oktawę końcówki zdania przywodziła na myśl gdakanie oburzonej kury: “No nie, to przesada! Że też taka jesteś! Tak nie może być! On nie może tak postępować! Tak nie może być! Jesteś u siebie w domu! Masz swoje prawa!” Pierwsza, wyraźnie rozdarta między przyjaciółką, którą poważała, a mężem, którego kochała, wyjaśniała melancholijnie: “Co można poradzić. To cały on. Zawsze taki był. Zawsze wszystko rzucał na podłogę.” - “To niech przestanie! Jesteś u siebie w domu! Masz swoje prawa! Ja bym nie mogła tego znieść!”

Agnes nie uczestniczyła w podobnych rozmowach; nigdy nie obmawiała Paula, dobrze wiedząc, że w ten sposób odstręcza nieco od siebie inne kobiety. Odwróciła głowę w stronę wysokiego głosu: dziewczyna była ładna i miała twarz anioła.

“O nie, nie ma mowy! To twoje prawo! Nie daj sobą rządzić!” - ciągnął anioł i Agnes spostrzegła, że słowom towarzyszą krótkie i szybkie ruchy głowy, z prawa na lewo, od lewa na prawo, podczas gdy ramiona i brwi unoszą się jakby w oburzonej zdziwieniu, że ktoś mógł zapomnieć o prawach człowieka przysługujących jej przyjaciółce. Agnes знаła ten gest: jej córka Brigitte potrząsała głową dokładnie w ten sam sposób.

Rozebrawszy się, zamknęła szafkę na klucz i przez wahadłowe drzwi weszła do wyłożonej kafelkami sali. Po jednej stronie znajdowały się prysznice, po drugiej oszklone drzwi sauny. Za nimi na drewnianych ławkach cieśniły się kobiety. Niektóre miały na sobie osłony ze specjalnego plastyku, tworzące wokół ciała (lub jednej jego części, zwłaszcza brzucha i pośladków) rodzaj hermetycznego opakowania, wyzwalającego silne pocenie oraz nadzieję na schudnięcie.

Agnes weszła na najwyższą z wolnych jeszcze ławek. Oparła się o ścianę i przymknęła oczy. Hałas muzyki tutaj nie docierał, lecz przemieszane głosy mówiących jednocześnie kobiet

rozbrzmiewały z równą natarczywością. Do sauny wkroczyła młoda nieznajoma i od progu zaczęła się rządzić: kazała się im jeszcze bardziej ścieśnić i zrobić jej miejsce blisko pieca, następnie schyliła się po wiadro i wylała je na kamienie. Wśród nagłego syku gorąca para uniosła się pod sufit i kobieta siedząca obok Agnes zasłoniła twarz obiema rękami, krzywiąc się z bólu. Nieznajoma dostrzegła to, oznajmiła: “Lubię, gdy parzy! Człowiek czuje, że jest w saunie!”, zasiadła między dwoma nagimi ciałami i zaczęła opowiadać o wczorajszym programie telewizyjnym; występował w nim słynny biolog, który wydał właśnie swoje pamiętniki. “Był cudowny”, powiedziała.

Inna kobieta potwierdziła: - To prawda! I taki skromny!

Nieznajoma wpadła jej w słowo: - Skromny? To pani nie spostrzegła, że ten człowiek jest niesamowicie pyszny? Ale jego pycha podoba mi się! Uwielbiam ludzi pysznych! - po czym odwróciła się w stronę Agnes: - Pani może również wydał się skromny?

Agnes powiedziała, że nie widziała programu; nieznajoma, tak jakby w tej odpowiedzi kryła się dezaprobata, powtórzyła stanowczo, patrząc Agnes w oczy: - Nie znoszę skromności! Ludzie skromni są hipokrytami!

Agnes wzruszyła ramionami, a młoda nieznajoma ciągnęła: - W saunie musi być parno. Chcę, żeby lał się ze mnie pot. Ale potem zaraz zimny prysznic! Uwielbiam zimny prysznic! U siebie biorę tylko zimne prysznice! Brzydzę się gorących pryszniców!

Wkrótce zrobiło się jej zbyt duszno, toteż powtórzywszy, jakim wstrętem napawa ją skromność, wstała i wyszła.

W dzieciństwie, podczas jednego ze spacerów z ojcem, Agnes spytała go, czy wierzy w Boga. Odpowiedział: “Wierzę w komputer Stwórcy.” Odpowiedź była tak dziwna, że dziecko zachowało ją w pamięci. Dziwnym słowem był nie tylko komputer, był nim również Stwórca. Bo też ojciec nigdy nie mówił o Bogu, lecz zawsze o Stwórcy, jak gdyby rolę Boga ograniczyć chciał do wykonanej pracy inżyniera. Komputer Stwórcy: ale w jaki sposób człowiek może porozumieć się z maszyną? Zapytała więc ojca, czy zdarzyło mu się modlić. Powiedział: “To tak, jakbyś modliła się do Edisona, kiedy przepali się żarówka.”

I Agnes pomyślała: Stwórca włożył do komputera dyskietkę ze szczegółowym programem, a potem odszedł. To, że po stworzeniu świata Bóg pozostawił go na łasce opuszczonych ludzi, którzy zwracając się do niego natrafiają na pustkę bez echa, nie jest ideą nową. Ale co innego być opuszczonym przez Boga naszych przodków, a co innego być opuszczonym przez boskiego odkrywcę kosmicznego komputera. Na jego miejscu pozostaje program, który pod jego nieobecność bezbłędnie siebie wypełnia, i nie ma żadnej możliwości, by cokolwiek w nim zmieniać. Zaprogramować komputer: nie oznacza to, że przyszłość została szczegółowo

zaplanowana ani że “tam” wszystko jest zapisane. Program nie zakładał na przykład, że w 1815 roku rozegra się bitwa pod Waterloo ani że Francuzi poniosą w niej klęskę, lecz to tylko, że człowiek jest ze swej natury agresywny, że wojnę ma we krwi i że postęp techniczny będzie ją czynił coraz potworniejszą. Z punktu widzenia Stwórcy cała reszta jest bez znaczenia, jest zwykłą grą wariantów i odmian w ogólnym programie, który nie ma nic wspólnego z proroczym widzeniem przyszłości i określa jedynie granice możliwości, a między tymi granicami wszystko pozostawia przypadkowi.

Człowiek jest projektem, o którym można powiedzieć to samo. W komputerze nie zaplanowano żadnej Agnes, żadnego Paula, lecz tylko prototyp: “istotę ludzką”, produkowaną w długiej serii egzemplarzy, będących zwykłymi pochodnymi pierwotnego modelu i nie mających żadnej indywidualnej istoty. Nie więcej niż ma jej samochód wytworzony w fabryce Renault. Ontologicznej istoty samochodu należy poszukiwać poza tym samochodem, w archiwach konstruktora. Jeden samochód od drugiego odróżnia jedynie numer serii. Numerem na egzemplarzu ludzkim jest twarz, przypadkowy i niepowtarzalny zbiór rysów. W zbiorze tym ani dusza, ani to, co nazywamy “ja”, wcale się nie ujawniają. Twarz jedynie nadaje egzemplarzowi numer.

Agnes przypomniała sobie nieznajomą, która głosiła nienawiść do ciepłych pryszniców. Przyszła powiadomić wszystkie obecne kobiety że: 1) lubi się pocić, 2) uwielbia pyszałków, 3) gardzi ludźmi skromnymi, 4) przepada za zimnym prysznicem, 5) nie znosi pryszniców gorących. Pięcioma kreskami narysowała autoportret, określiła w pięciu punktach swoje “ja” i podarowała je wszystkim. I nie podarowała go skromnie (ujawniła przecież swą pogardę dla skromności), lecz niczym bojownik. Używała namiętnych słów: uwielbiam, gardzę, nienawidzę, chcąc jak gdyby utwierdzić siebie w gotowości do zażartej obrony pięciu rysów własnego portretu, pięciu punktów definicji samej siebie.

Skąd ta pasja, zastanawiała się Agnes, i pomyślała: skoro zostaliśmy już zesłani w świat tacy, jacy jesteśmy, najpierw musieliśmy utożsamić się z owym rzutem kością, z owym przypadkiem urządzonym przez boski komputer: przestać się dziwić, że naszym ja jest właśnie “to” (ta rzecz, która staje przed nami w lustrze). Bez przekonania, że nasza twarz wyraża nasze ja, bez tego pierwszego i podstawowego złudzenia, nie moglibyśmy dalej żyć, a przynajmniej brać życia poważnie. I nie wystarczyło utożsamić się z sobą samym, trzeba było utożsamienia “namiętnego”, na śmierć i życie. Albowiem w takim wypadku nie wyglądamy we własnych oczach na zwykłą odmianę ludzkiego prototypu, lecz na istnienie wyposażone we własną i niewymienialną na inne istotę. Oto dlaczego młoda nieznajoma odczuła nie tylko potrzebę narysowania swego portretu, lecz także pokazania wszystkim, że portret ten kryje coś całkowicie niepowtarzalnego i niczym nie dającego się zastąpić, coś, o co warto walczyć i nawet oddać życie.

Po kwadransie spędzonym w skwarze łaźni Agnes wstała i poszła się zanurzyć w basenie z lodowatą wodą. Następnie pośpieszyła do sali rekreacyjnej i legła wśród innych kobiet, które i tutaj nie zaniechały rozmowy.

Jedno pytanie zaprzętało jej myśli: a jaki sposób istnienia po śmierci zaprogramował komputer?

Możliwe są dwa przypadki. Jeśli jedynym polem działań komputera Stwórcy jest nasza planeta i jeśli to od niego, wyłącznie od niego zależymy, po śmierci możemy spodziewać się tylko wariacji tego, co zaznaliśmy za życia; spotkamy tylko podobne pejzaże, podobne stworzenia. Będziemy sami czy w tłumie? Ach, samotność jest tak mało prawdopodobna, już w życiu była czymś rzadkim, więc co dopiero po śmierci! O ilu więcej jest zmarłych niż żywych! W najlepszym razie istnienie po śmierci podobne będzie do tego, co Agnes przeżywa teraz w sali rekreacyjnej: zewsząd słyseć będzie nieustanną paplaninę kobiet. Wieczność jako nieskończona paplanina: szczerze mówiąc, można by sobie wyobrazić coś gorszego, ale sama myśl, że musiałyby zawsze, bez wytchnienia, zawsze, zawsze słuchać kobiecych głosów, jest dla Agnes wystarczającym powodem, by zaciekle ucześć się życia i możliwie długo odwlekać śmierć.

Ale rozważyć należy i tę możliwość: ponad komputerem ziemskim są inne, w hierarchii od niego wyższe. W tym przypadku istnienie po śmierci nie musiałoby koniecznie przypominać tego, co już przeżyliśmy, i człowiek mógłby umierać z mglistą, lecz uzasadnioną nadzieją. I Agnes widzi scenę, która ostatnimi czasy zaprzęta jej wyobraźnię: jakiś nieznajomy składa wizytę Paulowi i jej, Agnes. Jest miły, życzliwy, zasiada w fotelu naprzeciw nich i rozpoczyna rozmowę. Oczarowany tak dziwnie miłym gościem, Paul ożywia się, robi wylewny, przyjazny i idzie po album, w którym zgromadzono zdjęcia rodzinne. Gość przegląda go, lecz niektóre zdjęcia wprawiają go w zakłopotanie. Na przykład przy zdjęciu przedstawiającym Agnes i Brigitte u stóp wieży Eiffla pyta:

- Co to jest?

- Nie poznaje pan? To Agnes! - odpowiada Paul. - A tutaj to nasza córka Brigitte!

- To ja wiem - mówi gość - pytałem o tę budowlę.

Paul patrzy ze zdziwieniem: - Przecież to wieża Eiffla!

- Ach tak - mówi gość - więc to jest ta słynna wieża! - A mówi tonem człowieka, który na pokazane mu zdjęcie waszego dziadka powiedziałby: "Więc to on, to jest dziadek, o którym tyle słyszałem! Jakże mi miło, że nareszcie mogę go zobaczyć!"

Paul jest zmieszany, Agnes o wiele mniej. Wie, kim jest ten człowiek. Wie, dlaczego przyszedł i jakie postawi pytania. Właśnie dlatego czuje lekkie zdenerwowanie, chciałaby coś zrobić, żeby zostać z nim sama, lecz nie wie co.

4.

Mija pięć lat od śmierci jej ojca, sześć lat, odkąd utraciła matkę. Ojciec był już wówczas chory i wszyscy spodziewali się jego rychłej śmierci. Natomiast matka była zdrowa i pełna zapału; zdawało się, że pisane jest jej długie życie szczęśliwej wdowy, toteż gdy nieoczekiwanie zmarła zamiast niego, ojciec uczuł niejaki zakłopotanie. Tak jakby obawiał się potępienia ze strony ludzi. Ludźmi była rodzina matki. Rodzina ojca rozpięchła się po całym świecie i poza daleką kuzynką mieszkającą w Niemczech Agnes nie знаła nikogo. Za to wszyscy krewni ze strony matki mieszkali w tym samym mieście: siostry, bracia, kuzyni, kuzynki oraz rzesze siostrzeńców i siostrzenic. Dziadek ze strony matki, skromny góral, zdobył się na wiele poświęceń dla swoich dzieci, które wszystkie ukończyły studia i zawarły udane małżeństwa.

Nie ma wątpliwości, że początkowo matka była w ojcu zakochana: nic w tym dziwnego, skoro był przystojnym mężczyzną i w wieku lat trzydziestu wykonywał szanowany jeszcze wówczas zawód wykładowcy akademickiego. Cieszył ją nie tylko mąż godny pozazdroszczenia; jeszcze bardziej cieszyło ją to, że dała go w prezencie swojej rodzinie, z którą była związana odwieczną tradycją wiejskiej solidarności. Ponieważ jednak ojciec był mało towarzyski i na ogół małomówny (przy czym nikt nie wiedział, czy jest nieśmiały, czy to własne myśli odciągają go gdzie indziej; innymi słowy, czy jego milczenie jest oznaką skromności czy obojętności), matczyzny dar przyniósł rodzinie więcej kłopotu niż szczęścia.

W miarę jak życie upływało i małżonkowie się starzeli, matka czuła coraz większą więź z własną rodziną: jednym z wielu powodów było to, że ojciec wiecznie zamykał się w swoim gabinecie, podczas gdy ona odczuwała ogromną potrzebę rozmowy i spędzała całe godziny przy telefonie, wydzwanając do swojej siostry, do braci, kuzynek czy siostrzenic, których zmartwienia dzieliła w coraz większym stopniu. Teraz, po śmierci matki, Agnes widzi jej życie jako koło: opuściwszy swe środowisko, dzielnie rzuciła się w zupełnie inny świat, a później zawróciła do punktu wyjścia: mieszkała z ojcem i dwiema córkami w willi z ogrodem, do której na uroczyste święta (Boże Narodzenie, urodziny) kilka razy w roku zapraszała rodzinę; miała zamiar pozostać w willi z siostrą i siostrzenicą, gdy śmierć zabierze ojca (śmierć od dawna zapowiadana, czemu zainteresowany zawdzięczał troskliwą opiekuńczość, jaką otacza się skazanych, którym odroczone egzekucję).

Jednak matka umarła, a ojciec przeżył. Dwa tygodnie po pogrzebie, gdy Agnes i jej siostra Laura pojechały go odwiedzić, zastały ojca przy stole w salonie nad stosem podartych zdjęć. Laura chwyciła je, krzycząc: “Dlaczego drzesz zdjęcia mamy?”

Po chwili Agnes pochyliła się nad strzępami: nie, nie były to wyłącznie zdjęcia mamy, przede wszystkim były tam zdjęcia ojca, lecz na niektórych matka pojawiała się przy jego boku, a na jeszcze innych była sama. Zaskoczony przez córki, ojciec milczał bez słowa wyjaśnienia. "Przestań krzyczeć", syknęła Agnes przez zęby, jednak Laura krzyczała nadal. Ojciec wstał, przeszedł do sąsiedniego pokoju i obie siostry pokłóciły się jak nigdy dotąd. Nazajutrz Laura wyjechała do Paryża, a Agnes została w domu. Ojciec wyznał jej wtedy, że znalazł małe mieszkanie w centrum i postanowił sprzedać dom. Była to kolejna niespodzianka: bo przecież ojciec uchodził w oczach wszystkich za niedorajdę, który całkowicie powierzył matce kierowanie codziennymi sprawami. Sądzone, że nie jest w stanie bez niej żyć, nie tylko z braku jakiegokolwiek zmysłu praktycznego, lecz także dlatego że nie wie, czego chce; od dawna zdawało się bowiem, że odstąpił matce nawet własną wolę. Gdy jednak postanowił się przeprowadzić, nagle, bez wahania, po kilku dniach od owdowienia, Agnes pojęła, że urzeczywistnia on to, o czym myślał od dawna, i że zatem świetnie wie, czego chce. Było to tym bardziej intrygujące, że i on nie mógł przewidzieć, iż matka umrze pierwsza; jeśli wcześniej myślał o kupieniu mieszkania na starym mieście, było to raczej marzeniem niż projektem. Mieszkał z matką w willi, spacerował z nią po ogrodzie, podejmował jej siostry i siostrzenice, udawał, że ich słucha, ale przez cały ten czas, w wyobraźni, zamieszkiwał samotnie w swoim małym kawalerskim mieszkaniu; po śmierci matki przeprowadził się jedynie tam, gdzie od dawna mieszkał w myślach.

Po raz pierwszy ojciec objawił się Agnes jako tajemnica. Dlaczego podarł zdjęcia? Dlaczego tak długo marzył o swoim małym mieszkaniu? Dlaczego nie pozostał wierny życzeniu matki, która pragnęła, by jej siostra i siostrzenica zamieszkały w willi? Byłoby to o wiele praktyczniejsze: zajęłyby się nim z pewnością lepiej niż pielęgniarka, którą będzie musiał pewnego dnia zatrudnić. Kiedy zapytała go, dlaczego chce się przeprowadzić, odpowiedź ojca była bardzo prosta: "Co ma począć samotny człowiek w tak wielkim domu?" Nic mu nie wspomniała o zaproszeniu siostry i siostrzenicy, tak oczywiste było, że tego sobie nie życzy. I wówczas Agnes pomyślała, że ojciec także zatoczył koło. Matka: przez małżeństwo, od rodziny do rodziny. On: przez małżeństwo, od samotności do samotności.

Pierwsze ataki ciężkiej choroby dotknęły go kilka lat przed śmiercią matki. Agnes wzięła wtedy dwa tygodnie urlopu, chcąc spędzić je z nim sama. Ale jej nadzieja się nie spełniła, gdyż matka nigdy nie zostawiała ich sam na sam. Pewnego dnia odwiedzili ojca koledzy z uniwersytetu. Zadawali mu mnóstwo różnych pytań, lecz odpowiadała matka. Agnes w końcu nie wytrzymała: "Proszę cię! Pozwól ojcu mówić!" Matka wpadła w złość: "Nie widzisz, że jest chory?" Kiedy pod koniec tamtych dwóch tygodni ojciec poczuł się nieco lepiej, Agnes odbyła z nim dwa spaceru. Jednak podczas trzeciego matka znów im towarzyszyła.

W rok po śmierci matki stan zdrowia ojca nagle się pogorszył. Agnes pojechała go odwiedzić, spędziła z nim trzy dni, czwartego umarł. Te trzy dni były jedynymi, które udało jej się spędzić przy ojcu w warunkach, o jakich zawsze marzyła. Mówiła sobie, że się nawzajem kochali, choć zabrakło im okazji, by spotkać się sam na sam, więc i czasu, by siebie poznać. Jedynie między jej ósmym a dwunastym rokiem życia mogła dosyć często przebywać z nim na osobności, gdyż matka musiała zajmować się małą Laurą; chodzili wówczas na długie spacery po okolicy i odpowiadał na jej niezliczone pytania. Wtedy właśnie opowiedział jej o boskim komputerze i o mnóstwie innych rzeczy. Z tamtych rozmów pozostały jej tylko okruchy, podobne do kawałków stłuczonych talerzy, które, dorosła już, usiłowała skleić na nowo.

Śmierć położyła kres ich czulej samotności we dwoje. Na pogrzeb zjechała się cała rodzina matki. Ale że matki już nie było, nikt nie próbował zamienić żałoby w stypę i orszak szybko się rozszedł. Zresztą krewni odczytali sprzedaż willi i przeprowadzkę ojca do mieszkania jako ostateczne odtrącenie. Znając cenę willi, myśleli już tylko o spadku, jaki otrzymały obie córki. Jednak notariusz powiadomił ich, że wszystkie złożone w banku pieniądze przypadły towarzystwu matematycznemu, którego ojciec był członkiem-założycielem. Stał się więc dla nich kimś jeszcze bardziej obcym niż za życia. Tak jakby swoim testamentem prosił, by zechcieli o nim zapomnieć.

W jakiś czas później Agnes stwierdziła, że jej konto w banku szwajcarskim powiększyło się o znaczną sumę. Pojęła wszystko. Ten człowiek, pozornie pozbawiony zmysłu praktycznego, postępował całkiem sprytnie. Dziesięć lat wcześniej, gdy po pierwszym ataku jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie i Agnes przyjechała spędzić z nim dwa tygodnie, zmusił ją do otwarcia konta w Szwajcarii. Na krótko przed śmiercią przelał na nie prawie wszystkie swoje wkłady, resztę zachowując dla uczonych. Gdyby otwarcie wskazał na Agnes jako spadkobierczynię, niepotrzebnie zraniłby drugą córkę; gdyby przeniósł w tajemnicy całe swoje pieniądze na konto Agnes, nie przeznaczając przy tym symbolicznej sumy matematykom, wzbudziłby niedyskretną ciekawość wszystkich.

Najpierw powiedziała sobie, że trzeba się podzielić z Laurą. O osiem lat starsza od siostry, ciągle nie mogła się wyzbyć uczuć opiekuńczych. Ale ostatecznie niczego jej nie powiedziała. Nie ze skąpstwa, lecz z obawy, że zdradzi ojca. Swoim prezentem na pewno chciał jej coś powiedzieć, przekazać jakiś znak, dać radę, której nie miał czasu dać za życia i której powinna odtąd strzec jako tajemnicy należącej tylko do nich dwojga.

5.

Zaparkowała samochód, wysiadła i poszła w stronę bulwaru. Czuła zmęczenie, umierała z głodu, a ponieważ samotny obiad w restauracji jest rzeczą smutną, miała zamiar zjeść coś na chybcika w pierwszym lepszym bistro. Niegdyś dzielnica pełna była gościnnych bretońskich gospód, w których z przyjemnością i za małe pieniądze jadało się naleśniki i placki zakrapiając cydrem. Pewnego dnia gospody zniknęły, ustępując miejsca nowoczesnym garkuchniom, które określa się smutnym mianem "fast food". Próbując choć raz przełamać swą niechęć, Agnes podeszła do jednej z owych kantyn. Przez szybę widziała klientów pochylonych nad papierowym zatłuszczonym obrusem. Spojrzenie jej utknęło na dziewczynie o bardzo bladej cerze i jaskrawoczerwonych wargach. Skończywszy właśnie obiad, dziewczyna odsunęła pusty kubek po coca-coli i włożyła do ust wskazujący palec; długo grzebała nim w środku, przewracając białkami oczu. Przy sąsiednim stoliku rozwalony na krześle mężczyzna wpatrywał się nieruchomo w ulicę, szeroko rozdziawiając usta. Jego ziewnięcie nie miało ani początku, ani końca, było bezkresnym ziewnięciem wagnerowskiej melodii: usta zamykały się, lecz nie do końca, znowu i znowu się otwierały, podczas gdy oczy otwierały się i zamykały w odwrotnej kolejności. Ziewali i inni klienci, ukazując zęby i plomby, koronki i protezy, i nikt, nigdy, nie zasłaniał ust ręką. Między stolikami przechadzało się dziecko w różowej sukience, ciągnące za jedną nogę misia; i ono miało otwarte usta, lecz widać było wyraźnie, że zamiast ziewania wydaje okrzyki, od czasu do czasu bijąc ludzi misiem. Stoliki stały jeden przy drugim, lecz nawet przyglądając się zza szyby łatwo było zgadnąć, że każdy klient wraz z porcją mięsa pochłaniał wyziewy wydzielane w czerwcowy dzień przez spoconych sąsiadów. Fala brzydoty uderzyła Agnes w twarz, fala brzydoty naocznej, zapachowej, smakowej (Agnes wyobraziła sobie smak hamburgera zanurzonego w słodkawej coli), toteż odwróciła oczy i postanowiła zaspokoić głód gdzie indziej.

Na chodnikach tłoczyło się mrowie ludzi i trudno było posuwać się naprzód. Przed Agnes dwie długie nordyckie postacie o białych policzkach i żółtych włosach torowały sobie drogę w tłumie: mężczyzna i kobieta przerastający o dobre dwie głowy ruchomą masę Francuzów i Arabów. I on, i ona mieli różowe plecaki, a na brzuchu każde z nich dźwigało w nosilkach niemowlę. Wkrótce zniknęli, ustępując miejsca kobiecie ubranej w szerokie spodnie, zgodnie z tegoroczną modą sięgające kolan. W tym stroju jej pośladki zdawały się jeszcze większe i bliższe ziemi; nagie białe łydki przypominały wiejski dzban ozdobiony płaskorzeźbą żyłaków w kolorze bławatkowym, splecionych jak węzowisko. Agnes zamyśliła się: kobieta mogła dobrać dwadzieścia innych stylów ubrania, które uczyniłyby jej pośladki mniej monstrualnymi i ukryłyby żyłaki. Dlaczego tego nie

robi? Ludzie nie tylko nie dbają już o wygląd, przebywając wśród innych, lecz nawet nie starają się ukryć własnej brzydoty!

Powiedziała sobie: pewnego dnia, gdy napór brzydoty będzie już nie do wytrzymania, kupi w kwiaciarni łądyżkę niezapominajki, jedną łądyżkę niezapominajki, smukłą łądyżkę zwieńczoną miniaturowym kwiatem, wyjdzie z nią na ulicę, trzymając ją przed twarzą i wbijając w nią wzrok po to, by widzieć tylko ten piękny niebieski punkcik, ostatni obraz, jaki chce zachować po świecie, który przestała kochać. Będzie tak chodziła ulicami Paryża, ludzie nauczą się wkrótce ją rozpoznawać, będą za nią biegały dzieci, będą się z niej śmiały, będą ciskały w nią różnymi rzeczami, i cały Paryż nazwie ją: “wariatka z niezapominajką”.

Szła dalej: jej prawe ucho rejestrowało trzask muzyki, rytmiczne uderzenia perkusji dobiegające ze sklepów, z salonów fryzjerskich, restauracji, podczas gdy lewe wylapywało odgłosy z jezdni: jednostajny pomruk samochodów, warkot ruszającego autobusu. Potem przeszył ją ostry ryk motocykla. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie poszukać wzrokiem sprawcy tego nagłego cielesnego bólu: młoda dziewczyna w dżinsach, z długimi czarnymi włosami rozwianymi na wietrze, siedziała wyprostowana na siedzeniu, niczym przy maszynie do pisania; pozbawiony tłumika silnik czynił przerażający hałas.

Agnes przypomniała sobie nieznajomą, która trzy godziny wcześniej weszła do sauny i, chcąc przedstawić swoje ja, chcąc narzucić je innym, już na progu oznajmiła hałaśliwie, że nie cierpi gorących pryszniców oraz skromności. Agnes pomyślała: dziewczyna o czarnych włosach, usuwając z motocykla tłumik, usłuchała całkiem podobnego impulsu. To nie silnik hałasował, hałasowało ja dziewczyny o czarnych włosach; dziewczyna, chcąc być dosłyszana, chcąc zająć czyjeś myśli, dorzuciła do swej duszy hałaśliwą rurę wydechową. Widząc fruujące długie włosy tej zgielkliwej duszy, Agnes pojęła, że mocno pragnie śmierci motocyklistki. Gdyby przewrócił ją autobus, gdyby legła na asfalcie we krwi, Agnes nie odczułaby przerażenia ani smutku, lecz tylko zadowolenie.

Zatrwożona tą nagłą nienawiścią, pomyślała: świat sięgnął granicy; kiedy ją przekroczy, wszystko wpaść może w obłąd: ludzie będą chodzili po ulicach z niezapominajkami w ręku albo będą strzelali do siebie jak do kaczek. I wystarczy byle co, aby kropla przepęłniła czarę: na przykład jeden samochód, jeden człowiek albo o jeden decybel za dużo na ulicy. Istnieje ilościowa granica, której przekroczyć nie wolno; ale tej granicy nikt nie strzeże, być może nikt nawet nie wie o jej istnieniu.

Na chodniku przybywało ludzi i nikt nie ustępował jej z drogi, toteż zeszła na jezdnię i szła dalej między krawężnikiem a falą samochodów. Przekonała się już dawno temu, że ludzie nigdy nie ustępują jej z drogi. Odczuwała to jako rodzaj przekleństwa, które nieraz usiłowała przełamać:

zbierając się na odwagę, robiła wszystko, żeby nie zejść z prostej drogi i zmusić tym samym swoje vis-à-vis do ustąpienia, ale jej starania zawsze spełzały na niczym. W tej codziennej, banalnej próbie sił to ona zawsze ponosiła porażkę. Pewnego dnia na jej drodze stanęło siedmioletnie dziecko; usiłowała mu nie ustąpić, lecz ostatecznie ustąpiła, aby się z nim nie zderzyć.

Przypomniała sobie pewne zdarzenie: kiedy miała dziesięć lat, poszła z rodzicami na spacer w góry. Na szerokiej leśnej drodze wyrosli przed nimi dwaj wiejscy chłopcy: jeden trzymał w dłoni kij, którym zagradzał im przejście: “To jest droga prywatna! Ta droga jest płatna!”, wykrzykiwał, lekko szturchając ojca w żołądek.

Był to z pewnością dziecięcy figiel i wystarczyło chłopca odepchnąć. Albo była to żebranina i wystarczyło wyjąć z kieszeni jednego franka. Ojciec jednak zawrócił i wołał pójść inną drogą. Prawdę mówiąc nie miało to znaczenia, szli przecież przed siebie; jednak matka źle to przyjęła i nie powstrzymała się od stwierdzenia: “Cofa się nawet przed dwunastoletnimi dziećmi!” W tamtej chwili Agnes także poczuła się nieco rozczarowana zachowaniem ojca.

Kolejne natarcie zgiełku przerwało jej wspomnienia: nad asfaltem pochylali się mężczyźni w kaskach, uzbrojeni w młoty pneumatyczne. Nagle, z nieokreślonej wysokości, jakby spadając z firmamentu, z całą siłą rozbrzmiała pośród jazgotu fuga Bacha grana na fortepianie. Zapewne jakiś lokator otworzył okno na ostatnim piętrze i nastawił radio na cały regulator, aby surowe piękno Bacha rozległo się jako groźne ostrzeżenie dla zagubionego świata. Ale fuga Bacha nie zdołała zwalczyć samochodów i młotów pneumatycznych; przeciwnie, to samochody i młoty pneumatyczne zawładnęły fugą Bacha wciągając ją we własną fugę. Agnes przycisnęła dłonie do uszu i nie odrywając ich szła dalej.

Idący z przeciwnej strony przechodzień rzucił jej nienawistne spojrzenie i popukał się w czoło, co w mimicznym języku wszystkich krajów daje drugiej osobie do zrozumienia, że jest nienormalna, pomyłona albo niespełna rozumu. Agnes przechwyciła to spojrzenie, tę nienawiść, i poczuła, jak narasta w niej dziki gniew. Przystanąła. Chciała się rzucić na mężczyznę. Chciała go pobić. Ale nie mogła: tłum porwał mężczyznę, a Agnes wymierzono kuksańca, gdyż na chodniku nie można było stać dłużej niż trzy sekundy.

Szła swoją drogą, nie mogąc wyrzucić mężczyzny z myśli: choć osaczał ich ten sam hałas, uznał za konieczne pokazanie jej, że nie ma ona żadnego powodu, by zatykać sobie uszy, a może nawet żadnego do tego prawa. Mężczyzna przywołał ją do porządku naruszonego przez jej gest. W jego osobie nagany udzieliła jej równość, która nie uznaje, by ktoś nie godził się znosić tego, co muszą znosić wszyscy. To równość w jego osobie zakazała Agnes niezgody ze światem, w którym wszyscy żyjemy.

Jej pragnienie, by zabić mężczyznę, nie było przelotnym odruchem. Nawet gdy minęła pierwsza wściekłość, pragnienie to nie opuściło jej; dołączyło do niego tylko zdziwienie, iż zdolna jest do takiej nienawiści. Obraz mężczyzny pukającego się w czoło pływał w jej wnętrzu, jak rozkładająca się powoli ryba, której nie mogła zwrócić.

Na myśl przyszedł jej ojciec. Odkąd cofnął się przed dwójką dwunastoletnich szczeniaków, wyobrażała go sobie często w następującej sytuacji: jest na pokładzie tonącego statku; wyraźnie widać, że łódzie ratunkowe nie będą mogły zabrać wszystkich, toteż na pokładzie panuje gorączkowy popłoch. Ojciec zaczyna biegać ze wszystkimi, lecz widząc przepychanki pasażerów gotowych zadeptać się na śmierć i otrzymawszy od jakiejś kobiety wściekły cios pięścią za to, że stanął na jej drodze, nagle przystaje, po czym odchodzi na bok; pod koniec już tylko obserwuje przeładowane łódzie, które powoli, wśród wrzasków i przekleństw, zostają spuszczone na rozszalałe fale.

Jak nazwać taką postawę? Tchórzostwem? Nie. Tchórze boją się śmierci i potrafią zawzięcie walczyć o przeżycie. Szlachetnością? Zapewne, o ile zachowałby się tak ze względu na bliźnich. Ale Agnes nie wierzy w takie pobudki. O co zatem chodziło? Nie wiedziała. Jedno zdawało jej się pewne: na tonącym statku, gdzie trzeba walczyć, by się dostać do łodzi ratunkowej, ojciec z góry byłby przegrany.

Tak, to było pewne. Pytanie, jakie sobie zadaje, jest następujące: czy ojciec nienawidził ludzi na statku, tak jak ona znienawidziła motocyklistkę i mężczyznę, który z niej kpił, ponieważ zasłoniła sobie uszy? Nie, Agnes nie potrafi sobie wyobrazić, by ojciec mógł nienawidzić. Pułapką nienawiści jest to, że zbyt ściśle wiąże nas z przeciwnikiem. Na przykład obsceniczność wojny: intymność wzajemnie przelanej krwi, lubieżna bliskość, oko w oko, dwóch żołnierzy zarzynających się nawzajem. Agnes jest pewna: to właśnie taka intymność odstręczała ojca; zamęt na statku napępiał go takim wstrętem, że wolał się utopić. Fizyczny kontakt z ludźmi, którzy się biją, tratuja i wzajemnie wysyłają na śmierć, zdawał mu się o wiele gorszy niż samotna śmierć w przejrzystej toni.

Wspomnienie o ojcu zaczęło ją uwalniać od nienawiści, której się poddała przed chwilą. Zatruty obraz mężczyzny pukającego się w czoło powoli znikał z jej myśli i nagle wyłoniło się w nich zdanie: nie mogę ich nienawidzić, ponieważ nic mnie z nimi nie łączy; nie mamy ze sobą nic wspólnego.

6.

Jeśli Agnes nie jest Niemką, to dlatego że Hitler przegrał wojnę. Po raz pierwszy w historii zwyciężonego nie okryto żadną, żadną chwałą: nawet bolesną chwałą klęski. Zwycięzca nie zadowolił się zwycięstwem, postanowił osądzić zwyciężonego, i osądził cały naród; dlatego mówienie po niemiecku i bycie Niemcem w tamtych czasach nie było łatwe.

Dziadkowie ze strony matki mieli gospodarstwo w Szwajcarii na granicy stref francusko- i niemieckojęzycznej, mówili więc biegle oboma językami, choć administracyjnie należeli do Szwajcarii romańskiej. Dziadkowie ze strony ojca byli Niemcami osiadłymi na Węgrzech. Ojciec, który studiował w Paryżu, dobrze znał francuski; jednak po ślubie wspólnym językiem małżonków stał się naturalnie niemiecki. Ale gdy wojna się skończyła, matka przypomniała sobie o oficjalnym języku swoich rodziców: Agnes posłano do francuskiego gimnazjum. Ojciec mógł wówczas pozwolić sobie, jako Niemiec, na jedną tylko przyjemność: deklamowania starszej córce wierszy Goethego w oryginale.

Oto najsłynniejszy wiersz niemiecki wszechczasów, wiersz, którego każdy mały Niemiec musi nauczyć się na pamięć:

“Na wszystkich szczytach
Spokój
Z wierzchołków drzew
Dochodzi cię
Ledwie powiew
Ptaszęta milkną w lesie
Poczekaj jeszcze, wkrótce
Spoczniesz i ty.”

Idea wiersza jest bardzo prosta: las zasypia, ty także zaśniesz. Powołaniem poezji nie jest olśniewanie zaskakującą ideą, lecz sprawienie, że chwila bytu staje się niezapomniana i godna nieukozonej tęsknoty.

W przekładzie filologicznym wszystko ginie, piękno wiersza będzie uchwytnie tylko wtedy, gdy przeczytacie go po niemiecku:

“Über allen Gipfeln
Ist Ruh,
In allen Wipfeln
Spürest du
Kaum einen Hauch;

Die Vögelein schweigen im Walde.

Warte nur, balde

Ruhest du auch.”

Wersy mają różną liczbę sylab, trocheje, jamby i daktyle występują przemiennie, szósty wers jest dziwnie dłuższy od pozostałych; i chociaż utwór składa się z dwóch czterowierszy, pierwsze zdanie gramatyczne kończy się asymetrycznie w piątym wersie, tworząc melodię, która nie istnieje nigdzie indziej poza tym jednym jedynym wierszem, równie wspaniałym, co cudownie zwykłym.

Ojciec nauczył się go w dzieciństwie spędzonym na Węgrzech, chodząc do niemieckiej szkoły podstawowej, i Agnes miała tyle samo lat, kiedy przeczytał go jej po raz pierwszy. Recytowali go podczas długich spacerów, przeciągając ponad miarę wszystkie sylaby akcentowane i maszerując w rytm wiersza. Złożone metrum nie ułatwiało im zadania, toteż pełny sukces osiąkali jedynie przy dwóch ostatnich wersach. War - te nur - bal - de - ru - hest du - auch. Ostatnie słowo wykrzykiwali tak głośno, że słyhać je było w promieniu kilometra.

Kiedy ojciec wyrecytował jej wiersz po raz ostatni, od śmierci dzieliły go dwa czy trzy dni. Agnes sądziła początkowo, że powracał w ten sposób do dzieciństwa, do ojczyznojęzyka; później, gdy patrzył jej prosto w oczy, intymnie, wymownie, pomyślała, że chce jej przypomnieć szczęście ich dawnych spacerów; wreszcie pojęła, że wiersz mówi o śmierci; ojciec chciał jej powiedzieć, że umiera i o tym wie. Nigdy wcześniej nie przeszło jej przez myśl, że te niewinne wiersze, w sam raz dla uczniów, mogły mieć taki sens. Ojciec leżał i czoło pokrywał mu pot; ujęła jego rękę i, powstrzymując łzy, powtórzyła powoli wraz z nim: “warte nur, balde ruhest du auch”. Ty także wkrótce odpoczniesz. I zdała sobie sprawę, że poznaje głos śmierci ojca: było to milczenie ptaków śpiących na wierzchołkach drzew.

Po jego śmierci milczenie istotnie rozrosło się, wypełniło duszę Agnes, i było to piękne; powiem raz jeszcze: było to milczenie ptaków śpiących na wierzchołkach drzew. I wewnątrz tego milczenia, niczym myśliwski róg w głębi lasu, rozbrzmiewało ostatnie przesłanie ojca, z upływem czasu coraz wyraźniejsze. Co chciał jej powiedzieć swoim darem? Żeby była wolna. Żeby żyła, jak chce żyć, szła tam, dokąd chce iść. On nigdy się nie ośmielił. I dlatego córce dał wszystkie środki na to, by ona się ośmieliła.

Po ślubie Agnes musiała porzucić uroki samotności: dzień w dzień spędzała osiem godzin w pracy z dwoma biurowymi kolegami; później wracała do siebie, do swoich czterech pokoi. Ale żaden z pokoiów do niej nie należał: był tam duży salon, sypialnia, pokój Brigitte i mały gabinet Paula. Gdy się skarżyła, Paul proponował, by uznała salon za swój pokój, i przyrzekał jej (z nieoczekiwaną powagą), że ani on, ani Brigitte nie będą jej przeszkadzali. Jak jednak mogła

swobodnie się czuć w pomieszczeniu z wielkim stołem i ośmioma krzesłami przyzwyczajonymi jedynie do wieczornych gości?

Być może teraz lepiej rozumiemy, dlaczego Agnes czuła się tego ranka tak szczęśliwa w łóżku, w którym nie było Paula, oraz dlaczego bezszelestnie, tak by nie przyciągnąć uwagi Brigitte, przeszła później przez przedpokój. Odczuła nawet tkliwość dla kapryśnej windy, ponieważ dostarczyła jej kilku chwil samotności. Również samochód dał jej nieco szczęścia, ponieważ w środku nikt do niej nie mówił, nikt na nią nie patrzył. Tak, to było najważniejsze, nikt na nią nie patrzył. Samotność: słodki brak spojrzeń. Któregoś dnia jej dwaj biurowi koledzy zachorowali i przez dwa tygodnie pracowała w biurze sama. Wieczorem spostrzegła zdumiona, że prawie nie czuje zmęczenia. Pozwoliło jej to zrozumieć, że spojrzenia są miazdzącym ciężarem, wampirzymi pocałunkami; że to sztylet obcych spojrzeń wyłobił zmarszczki na jej twarzy.

Budząc się tego ranka usłyszała w radiu, że podczas niewinnego zabiegu zaniedbanie ze strony anestezjologów spowodowało śmierć młodej pacjentki. Wskutek tego trzech lekarzy objęto postępowaniem sądowym, a stowarzyszenie konsumentów zaproponowało, by w przyszłości wszystkie operacje były filmowane, a wszystkie filmy przechowywane w archiwach. Wszyscy podobno przyklasnęli temu pomysłowi. Każdego dnia przeszywa nas tysiąc spojrzeń, lecz to nie wystarczy: potrzebne jest jeszcze spojrzenie instytucjonalne, które nie opuści nas ani na chwilę, które będzie obserwowało nas u lekarza, na ulicy, na stole operacyjnym, w lesie, w łóżku; obraz naszego życia w całości zachowają archiwa, by w przypadku sporu lub na żądanie opinii publicznej można go było wykorzystać.

Znowu poczuła żywą tęsknotę za Szwajcarią. Od śmierci ojca jeździła tam dwa lub trzy razy w roku. Paul i Brigitte, uśmiechając się wyrozumiale, mówili wówczas o potrzebie higieniczno-sentymentalnej: pozbiera sobie martwe liście z grobu ojca, pooddycha czystym powietrzem przez szeroko otwarte okno alpejskiego hotelu. Mylili się: Szwajcaria, w której nie oczekiwał jej bynajmniej żaden kochanek, była jedyną poważną i systematyczną niewiernością, jaką popełniała. Szwajcaria: śpiew ptaków na wierzchołkach drzew. Agnes marzyła, by pewnego dnia tam zostać i już nie wracać. Doszło do tego, że oglądała mieszkania wystawione na sprzedaż lub do wynajęcia; naszkicowała nawet list, oznajmiający córce i mężowi, że zamierza od tej pory żyć sama, choć przecież nie przestała ich kochać. Prosiła ich tylko o przesyłanie od czasu do czasu wieści o sobie, by mogła być pewna, że nie przytrafiło im się nic złego. Tego właśnie nie bardzo umiała wyrazić i wyjaśnić: że potrzebna jest jej wiedza o tym, jak się czują, a przy tym nie pragnie ani ich spotykać, ani żyć w ich otoczeniu.

Były to, rzecz jasna, tylko marzenia. Jak kobieta przy zdrowych zmysłach może porzucić szczęśliwe małżeństwo? A jednak bardzo odległy i uwodzicielski głos zakłócał jej małżeński

spokój: był to głos samotności. Zamykała oczy i słyszała w oddali, w leśnych ostępach, dźwięk myśliwskiego rogu. W lasach były ścieżki i na jednej z nich stał ojciec; uśmiechał się do niej; wzywał ją.

Siedząc w fotelu w salonie, Agnes czekała na Paula. Mieli przed sobą perspektywę męczącej "proszonej kolacji". Ponieważ niczego od rana nie jadła, czuła lekkie osłabienie i pozwoliła sobie na chwilę odprężenia przy grubym tygodniku. Zbyt zmęczona, by czytać artykuły, ograniczyła się do obejrzenia zdjęć, bardzo licznych i kolorowych. Na środkowych stronach znajdował się duży reportaż poświęcony katastrofie, do jakiej doszło podczas pokazów lotniczych. Płonący samolot spadł na tłum widzów. Zdjęcia były ogromne i każde zajmowało dwie strony; widać było przerażonych ludzi biegnących we wszystkich kierunkach w spalonych ubraniach, poparzonych, z płomykami wokół ciał; Agnes nie mogła oderwać wzroku i myślała o dzikiej radości fotografa, który, ziewając z nudy na sennym widowisku, spostrzegł nagle, jak z nieba spada na niego szczęście w postaci płonącego samolotu.

Przerzuciła stronę i zobaczyła nagich ludzi na plaży oraz wielki tytuł: "Zdjęcia z wakacji, jakich nie zobaczymy w albumie pałacu Buckingham", po którym następował krótki tekst zakończony zdaniem: "...lecz fotograf tam był: życie towarzyskie księżniczki powraca na łamy kronik". Był tam fotograf. Wszędzie jest jakiś fotograf. Fotograf ukryty za krzakiem. Fotograf przebrany za kulawego żebraka. Wszędzie jest oko. Wszędzie jest obiektyw.

Agnes przypomniała sobie, że w dzieciństwie fascynowała ją myśl, iż Bóg ją widzi, widzi bez przerwy. Wtedy zapewne doświadczyła pierwszy raz owej rozkoszy, owej dziwnej przyjemności, jaką odczuwają ludzie, gdy są oglądani, oglądani wbrew sobie, oglądani w chwilach intymnych, oglądani i gwałceni patrzaniem. Matka, która była wierząca, mówiła jej: "Bóg cię widzi", mając nadzieję, że odzwyczai ją od kłamstw, od obgryzania paznokci i dłubania w nosie, lecz skutek był zupełnie przeciwny: to właśnie wtedy gdy oddawała się złym nawykom albo w chwilach wstydu, Agnes wyobrażała sobie Boga i pokazywała mu, co robi.

Pomyślała o siostrze królowej angielskiej i o tym, że aparat fotograficzny zastąpił teraz oko Boga. Oczy wszystkich zastąpiły oko pojedyncze. Życie stało się jedną wielką orgią, w której wszyscy uczestniczą. Aparat fotograficzny interesuje się rzekomo wyłącznie słynnymi osobistościami, lecz wystarczy, że obok was rozbije się samolot, z waszej koszuli buchną płomienie, a będziecie równie sławni i włączeni do powszechnej orgii, która nie ma nic wspólnego z rozkoszą, lecz uroczyście głosi, że nikt nigdzie nie może się ukryć i że każdy zdany jest na łaskę wszystkich.

Któregoś dnia miała spotkanie z pewnym mężczyzną i w chwili gdy całowała go na powitanie w hotelowym hallu, jak spod ziemi wyrósł osobnik w dżinsach, skórzanej kurtce, z pięcioma torbami, przewieszonymi przez ramię, i przyłożył oko do aparatu. Gestami usiłowała dać

mu do zrozumienia, że nie chce zdjęć, ale człowiek, bąknąwszy kilka słów po angielsku, wybuchnął śmiechem, zaczął skakać jak pchła na wszystkie strony i naciskać migawkę. Epizod bez znaczenia: ponieważ tamtego dnia w hotelu odbywał się jakiś kongres, wynajęto fotografa, aby przybyli z całego świata uczeni mogli nazajutrz kupić pamiątkowe zdjęcia. Ale Agnes nie umiała znieść myśli, że gdzieś może przetrwać świadectwo jej spotkania z przyjacielem; następnego dnia udała się do hotelu, by wykupić wszystkie zdjęcia (które pokazywały ją przy boku mężczyzny, z ręką uniesioną na wysokość twarzy) i poprosiła także o negatywy, jednak trafiły już one do archiwów zjazdu i nie można ich było wydostać. Choć nic jej nie groziło, Agnes nie mogła się wyzbyć lekkiego niepokoju na myśl, że jedna sekunda jej życia, zamiast, jak wszystkie inne sekundy, trafić w nicość, zostanie wyrwana z biegu czasu i, jeśli któregoś dnia idiotyczny przypadek tego zażąda, zmartwychwstanie niczym niestarannie pochowany zmarły.

Wzięła do ręki inny tygodnik, w którym kulturze i polityce poświęcono o wiele więcej miejsca. Żadnych katastrof, żadnych nagich księżniczek nad morzem, za to twarze, twarze, wszędzie twarze. Nawet w ostatniej części magazynu wypełnionej recenzjami książek wszystkim artykułom towarzyszyły zdjęcia omawianych autorów. Autorzy często byli nieznani i obecność zdjęć można było usprawiedliwić tym, że są pożyteczną informacją, lecz jak usprawiedliwić pięć portretów prezydenta Republiki, którego nos i podbródek wszyscy znają na pamięć? Felietoniści również mieli swoje zdjęcia w rogu i co tydzień powracały one oczywiście w to samo miejsce. W reportażu o astronomii widniał powiększony uśmiech astronomów; i jeszcze twarze we wszystkich wstawkach reklamowych, twarze wychwalające meble, maszyny do pisania albo marchewki. Agnes raz jeszcze przejrzała tygodnik od pierwszej do ostatniej strony i obliczyła: dziewięćdziesiąt dwa zdjęcia przedstawiające samą twarz, czterdzieści jeden z twarzą i ciałem; dziewięćdziesiąt twarzy na dwudziestu trzech zdjęciach grupowych i tylko jedenaście zdjęć, na których ludzie odgrywają rolę nieistotną albo żadną. W sumie w tygodniku były dwieście dwadzieścia trzy twarze.

Potem do domu wrócił Paul i Agnes opowiedziała mu o swoich obliczeniach.

- Tak - zgodził się. - Im obojętniejszy pozostaje człowiek wobec polityki, wobec problemów drugiego człowieka, tym większą obsesją staje się jego twarz. To jest indywidualizm naszych czasów.

- Indywidualizm? Gdzie podziwiasz indywidualizm, kiedy aparat robi ci zdjęcie w chwili agonii? Przeciwnie, oczywiste jest, że jednostka już nie należy do siebie, że w całości jest własnością innych. Przypominam sobie z dzieciństwa, że gdy chciano zrobić komuś zdjęcie, zawsze pytano go o zgodę. Dorośli pytali nawet mnie: powiedz, skarbie, można ci zrobić zdjęcie? A potem, pewnego dnia, nikt już nie zapytał. Prawo kamery wyniesiono ponad wszelkie inne prawa, i od tego dnia wszystko się zmieniło, absolutnie wszystko.

Wzięła do ręki magazyn i powiedziała: - Kiedy zamieszczasz obok siebie zdjęcia dwóch odmiennych twarzy, uderza cię to, co je różni. Ale kiedy masz przed sobą dwieście dwadzieścia trzy twarze, pojmujesz nagle, że widzisz tylko wiele odmian jednej twarzy i że żadna jednostka nigdy nie istniała.

- Agnes - powiedział Paul z nagłą powagą w głosie - twoja twarz nie przypomina żadnej innej.

Agnes nie zwróciła uwagi na jego ton i uśmiechnęła się.

Paul powiedział: - Nie śmieję się. Ja mówię poważnie. Kiedy się kogoś kocha, kocha się jego twarz i w ten sposób wyodrębnia się ją całkowicie spośród innych.

- Wiem. Znasz mnie poprzez moją twarz, znasz mnie jako twarz i nigdy nie znałeś mnie inaczej. Zatem nie mogło ci przyjść do głowy, że moja twarz nie jest mną.

Paul odpowiedział z troskliwą cierpliwością starego lekarza: - Jak możesz sądzić, że nie jesteś własną twarzą? Kto się skrywa za twoją twarzą?

- Wyobraź sobie, że żyłeś w świecie, w którym lustra nie istnieją. Marzyłbyś w nim o swojej twarzy, wyobrażałbyś ją sobie jako rodzaj zewnętrznego odbicia tego, co znajduje się w tobie. I założmy, że gdy dobiłeś czterdziestki, postawiono przed tobą lustro. Wyobraź sobie swoje przerażenie! Zobaczyłbyś zupełnie inną twarz! I dokładnie zrozumiałbyś to, czego nie chcesz uznać: że twoja twarz to nie jesteś ty!

- Agnes - powiedział Paul, podnosząc się z krzesła. Stał tuż przy niej. W oczach Paula widziała miłość, a w rysach Paula swoją teściową. Kiedy Agnes ujrzała tę kobietę pierwszy raz, poczuła się skrepowana jej fizycznym podobieństwem do syna. Później, kiedy kochała się z Paulem, coś złośliwego przypominało jej o tym podobieństwie i chwilami miała wrażenie, iż leży na niej starsza pani z twarzą zniekształconą przez rozkosz. Ale Paul dawno zapomniał, że nosi na twarzy odbitkę twarzy matki, przekonany, że jego twarz jest nim i nikim innym.

- Również nazwisko otrzymujemy przypadkowo - ciągnęła Agnes - i nie wiemy, kiedy pojawiło się na świecie ani w jaki sposób nieznany przodek mógł je przybrać. Zupełnie nie rozumiemy tego nazwiska, niczego nie wiemy o jego historii, a przecież nosimy je z pełną upojenia wiernością, roztapiamy się w nim, lubimy je i jesteśmy z niego śmiesznie dumni, tak jakbyśmy sami je wymyślili pod wpływem genialnego natchnienia. Z twarzą jest podobnie. Coś sobie przypominam, zdarzyło się to chyba pod koniec mojego dzieciństwa: obserwując wciąż siebie w lustrze, uwierzyłam wreszcie, że to, co widzę, jest mną. Moje wspomnienie o tamtych czasach jest bardzo mgliste, wiem jednak, że odkrycie mojego ja musiało być czymś upojnym. Ale później przychodzi chwila, kiedy stajemy przed lustrem i pytamy: czy to naprawdę jestem ja? I dlaczego?

Dlaczego miałabym czuć z “tym” solidarność? Co mnie obchodzi ta twarz? I począwszy od tej chwili wszystko zaczyna się walić. Wszystko zaczyna się walić.

- Co zaczyna się walić? - spytał Paul. - Co ci jest? Agnes! Co się ostatnio z tobą dzieje?

Spojrzała na niego uważnie i znów pochyliła głowę. Był nieodwołalnie podobny do matki. Wręcz coraz bardziej do niej podobny. Coraz bardziej podobny do starszej pani, która była jego matką.

Paul wziął Agnes w ramiona, zmuszając, by stanęła prosto. Dopiero gdy zwróciła nań oczy, spostrzegł, że są mokre od łez. Przytulił ją do siebie. Zrozumiała, że Paul kocha ją głęboko, i napełniło ją to uczuciem żalu. Kochał ją, a ona odczuwała smutek, kochał ją, a jej chciało się płakać.

- Musimy już iść, trzeba się przebrać - powiedziała, wymykając się z uścisku. I pobiegła do łazienki.

8.

Piszę właśnie o Agnes, wyobrażam ją sobie, pozwalam jej na odpoczynek na ławce w saunie, na wędrowkę po Paryżu, na przeglądanie tygodników, na dyskusję z mężem, ale o tym, od czego wszystko się zaczęło, o geście kobiety żegnającej się z instruktorem pływania, jak gdyby zapomniałem. Czy Agnes już przed nikim nie wykonuje tego gestu? Nie. Choć może to dziwne, wydaje mi się, że nie wykonuje go od dawna. Wykonywała go kiedyś, owszem, gdy była bardzo młoda.

Było to w czasach, gdy mieszkała jeszcze w mieście, za którym wyrastały alpejskie szczyty. Pewnego razu, miała wówczas szesnaście lat, poszła do kina z kolegą z klasy. Kiedy zgasło światło, wziął ją za rękę. Wkrótce ich dłonie zaczęły się pocić, lecz chłopiec nie śmiał puścić tak odważnie pochwyconej ręki, ponieważ przyznałby tym samym, że się poci i wstyd mu tego. Tak więc przez półtorej godziny trzymali się za ręce mokre od lepkiego ciepła i puścili je dopiero w chwili, gdy rozblęsnęło światło.

Chcąc przedłużyć spotkanie, poprowadził ją następnie uliczkami starego miasta aż pod stary, górujący nad nim klasztor, który swą dzwonnica przyciągał tłumy turystów. Wyglądało, że wszystko dobrze zaplanował, gdyż dosyć stanowczo zaciągnął ją w ciemny korytarz pod raczej głupim pretekstem, że pokaże jej pewien obraz. Doszli do końca korytarza i nie natknęli się na żaden obraz, lecz jedynie na brązowe drzwi, na których widniał napis WC. Chłopiec zatrzymał się, nie spostrzegłszy drzwi. Agnes dobrze wiedziała, że kolegę mało ciekawią obrazy i że szuka ustronnego miejsca, by ją pocałować. Biedaczyna, nie potrafił znaleźć nic lepszego niż ten ślepy korytarz z toaletą! Wybuchnęła śmiechem i nie chcąc, by myślał, że z niego kpi, wskazała palcem napis. Mimo rozpaczy zaśmiał się także. Nie mógł, przy tych dwóch literach zawieszonych w tle, pochylić się nad nią, aby ją pocałować (tym bardziej że chodziło o pierwszy pocałunek, niezapomniany z założenia) i nie pozostało mu nic innego, jak powrócić na ulicę z gorzkim poczuciem klęski.

Szli bez słowa i Agnes była zagniewana: dlaczego jej nie pocałował tak po prostu na ulicy? Dlaczego wolał zaciągnąć ją w podejrzany korytarz, pod toaletę, w której kolejne pokolenia starych mnichów, ohydnych i śmierdzących, opróżniały wnętrza? Zakłopotanie chłopca pochlebiali jej jako oznaka zakochania, lecz jeszcze bardziej irytowało jako dowód jego niedojrzałości: chodzenie z rówieśnikiem zdawało jej się czymś uwłaczającym; pociągali ją jedynie starsi od niej. I być może dlatego, że duchowo go zdradzała, wiedząc przy tym, że on ją kocha, niejasne poczucie sprawiedliwości skłoniło ją do przyjścia mu z pomocą, do przywrócenia mu nadziei, uwolnienia od dziecinnego zakłopotania. Skoro on nie mógł zdobyć się na odwagę, zdobędzie się ona.

Odprowadzał ją do domu i Agnes wyobrażała sobie, że gdy dojdą do willi, przed furką ogrodu obejmie go prędko, pocałuje i pozostawi osłupiałego ze zdziwienia. Ale w ostatniej chwili, gdy spostrzegła, że chłopiec nie tylko ma kwaśną minę, lecz okazuje dystans, a nawet wrogość, straciła ochotę. Podali więc sobie ręce i Agnes poszła w stronę drzwi alejką między dwiema grządkami. Czuła ciężar spojrzenia kolegi, który nie ruszał się i śledził ją wzrokiem. Znów wzbudził w niej litość, litość starszej siostry, i zrobiła wówczas rzecz, która chwilę wcześniej nie przyszlaby jej do głowy. Nie zatrzymując się, odwróciła ku niemu głowę, uśmiechnęła się i wyrzuciła w górę rękę, radośnie, lekko i zgrabnie, jakby rzucała w niebo kolorową piłkę.

Ta chwila, w której nagle, bez żadnego przygotowania, elegancko i zręcznie, Agnes uniosła rękę, ta chwila jest cudowna. W jaki sposób mogła w ułamku sekundy i od razu znaleźć ruch ciała i ramienia tak perfekcyjny, wykonany jak dzieło sztuki?

W tamtym okresie do ojca regularnie przychodziła sekretarka z wydziału, kobieta około czterdziestki, przynosząc mu różne papiery i wychodząc z innymi, opatrzonymi już jego podpisem. Choć powód jej wizyt był całkiem zwyczajny, wzbudzały one dziwne napięcie (matka milkła), które bardzo ciekawiło Agnes. Podbiegała do okna, by dyskretnie śledzić sekretarkę, gdy ta szykowała się do wyjścia. Pewnego dnia, idąc w stronę małej ogrodowej furki (odchodząc zatem tą samą drogą, którą Agnes miała później przebyć odprowadzana wzrokiem swojego nieszczęsnego kolegi) sekretarka obejrzała się, uśmiechnęła i nieoczekiwanym ruchem, zgrabnie i lekko, uniosła rękę. Niezapomniany widok: piaszczysta alejka lśniła w promieniach słońca niczym złota fala, a po obu stronach bramy rozkwiatały dwa krzewy jaśminu. Gest pomknął w górę, jakby chciał wskazać ustroniu tej złotej ziemi kierunek swego wlotu, i białe krzewy już przemieniały się w skrzydła. Agnes nie widziała ojca, lecz z gestu kobiety wywnioskowała, że stoi on w drzwiach willi i śledzi ją wzrokiem.

Gest był tak niespodziewany, tak piękny, że utkwiał w pamięci Agnes niczym ślad błyskawicy; zapraszał do dalekiej podróży, budził nieokreślone i ogromne pragnienie. I gdy nadeszła chwila, w której odczuła potrzebę przekazania czegoś ważnego swojemu koledze, gest ten odżył w niej, by w jej imieniu powiedzieć to, czego sama powiedzieć nie potrafiła.

Nie wiem, jak długo posługiwała się tym gestem (czy raczej, mówiąc dokładnie, jak długo gest posługiwał się nią); na pewno do dnia, w którym stwierdziła, że jej młodsza o osiem lat siostra wznosi rękę w powietrze, żegnając się z koleżanką. Widząc swój własny gest w wykonaniu siostrzyczki, która od dziecka podziwiała ją i we wszystkim naśladowała, Agnes odczuła przykrość: gest nie pasował do jedenastoletniej dziewczynki. Przeszkadzało jej jednak zwłaszcza to, że tym gestem może się posłużyć każdy i że w żadnym razie nie stanowi jej prywatnej własności; i że, wykonując go, stawała się jakby winna kradzieży albo fałszerstwa. Odtąd nie tylko

zaczęła unikać tego gestu (a niełatwa to rzecz odzwyczaić się od gestów, które w nas tkwią), lecz wręcz wystrzegać się wszelkich gestów. Starła się robić te tylko, które są niezbędne (skinąć głową, by wyrazić “tak” lub “nie”, wskazać na rzecz, której ktoś nie widzi) i w jej wykonaniu nie pretendują do miana oryginalnych. W ten sposób gest, który ją oczarował, gdy patrzyła na sekretarkę odchodzącą złotą alejką (i którego wdzięk oczarował mnie samego, gdy ujrzałem, jak kobieta w kostiumie kąpielowym żegna się z instruktorem pływania), zasnął w Agnes.

Któregoś dnia jednak się przebudził. Było to przed śmiercią matki, gdy Agnes przyjechała do willi spędzić dwa tygodnie przy łóżu chorego ojca. Żegnając się z nim ostatniego dnia, wiedziała, że nie zobaczy go przez długi czas. Matki nie było w domu i ojciec chciał ją odprowadzić na drogę, aż do samochodu. Zabroniła mu przekraczać próg willi i poszła w kierunku furtki, po złotym piasku między dwiema grządkami. Czowała uścisk w gardle i ogromne pragnienie, by powiedzieć ojcu coś pięknego, czego słowa powiedzieć nie mogą; i nagle, nie wiedząc, jak to się stało, odwróciła głowę i z uśmiechem uniosła wysoko w górę rękę, zgrabnie, lekko, jakby mówiła, że mają jeszcze przed sobą wiele życia i że często będą się spotykać. W chwilę później przypomniała sobie sekretarkę, która dwadzieścia pięć lat wcześniej, w tym samym miejscu i w ten sam sposób, żegnała się z ojcem. Agnes była wzruszona i zbita z tropu. Stało się tak, jakby nagle, w jednej sekundzie, spotkały się dwie odległe epoki, jakby spotkały się w jednym gościu dwie różne kobiety. I przemknęło jej przez myśl, że obie były może jedynymi, które kochał.

9.

W salonie, w którym rozsiedli się po kolacji z lampką koniaku lub filiżanką kawy w rękę, wstał pierwszy gość i z uśmiechem uklonił się pani domu. Na ten znak, chętnie poczytany za rozkaz, pozostali goście, wśród nich Agnes i Paul, również wyskoczyli z foteli i poszli do swych samochodów. Prowadził Paul, a Agnes śledziła niestrudzony przepływ pojazdów, migotanie świateł, czcze dygotanie miejskiej nocy, nie znającej chwili wytchnienia. I wtedy znów ogarnęło ją dziwne i silne uczucie, którego zaznawała coraz częściej: że nie ma nic wspólnego z tymi dwunożnymi stworzeniami z głowami na szyi i ustami w twarzy. Kiedyś ich polityka, ich wiedza, ich odkrycia porywały ją i chciała odegrać małą rolę w ich wielkiej przygodzie, aż do dnia, w którym zrodziło się w niej uczucie, że nie jest jedną z nich. Uczucie było dziwne i, świadoma jego absurdalności i nienormalności, broniła się przed nim, lecz w końcu powiedziała sobie, że nie można rządzić uczuciem: nie potrafiła ani przejmować się ich wojnami, ani radować ich świętami, gdyż nabrała pewności, że to wszystko nie jest jej sprawą.

Czy znaczy to, że ma zimne serce? Nie, to nie ma nic wspólnego z sercem. Zresztą na pewno nikt nie daje tylu pieniędzy żebrakom. Nie może przejść obok nich obojętnie i zwracają się do niej tak, jakby o tym wiedzieli, wyławiając wzrokiem od razu i z daleka tę, która słyszy ich i widzi. Tak, to prawda, ale muszę dodać: jej szczodrość wobec żebraków ma również tło "negatywne". Agnes daje im jałmużnę nie dlatego, że są częścią rodzaju ludzkiego, lecz dlatego, że są mu obcy i że są wykluczeni z rodzaju ludzkiego, i zapewne, podobnie jak ona, nie czują się z nim solidarni.

Niesolidarność z rodzajem ludzkim: tak, to właśnie Agnes. I tylko jedno mogłoby wyrwać ją z tego odosobnienia: konkretna miłość do konkretnego mężczyzny. Gdyby naprawdę kogoś kochała, los innych nie byłby jej obojętny, ponieważ jej ukochany od losu tego byłby zależny, a ona nie miałaby poczucia, że cierpienia ludzi, ich wojny, ich wakacje nie są jej sprawą.

Ta ostatnia myśl przestraszyła ją. Czy naprawdę nikogo nie kocha? A Paul?

Przypomniała sobie, jak parę godzin wcześniej, przed wyjściem na kolację, podszedł do niej i ją przytulił. Tak, coś było nie tak: od pewnego czasu prześladowała ją myśl, że jej miłość do Paula opiera się jedynie na woli: na woli kochania; na woli istnienia w szczęśliwym małżeństwie. Gdyby wola na chwilę osłabła, miłość uleciałaby niczym ptak z otwartej klatki.

Jest pierwsza nad ranem. Agnes i Paul rozbierają się. Jeśli jedno z nich miało by opisać rozbieranie się drugiego i towarzyszące temu gesty, znalazłoby się w nie lada kłopotcie. Albowiem już od dawna nie patrzą na siebie. Aparat pamięci został odłączony i nie rejestruje już tego, co poprzedza ich noc we wspólnym łóżku.

Wspólne łóżko: ołtarz małżeński; a kto mówi ołtarz, ten mówi poświęcenie. To tutaj poświęcają się dla siebie: oboje mają kłopoty z zaśnięciem i oddech jednego budzi drugie; każde z nich przesuwa się na skraj łóżka, pozostawiając w środku rozległą pustkę; jedno udaje sen, w nadziei że pozwoli to zasnąć drugiemu, które, bez obawy że przeszkadza, będzie mogło przewracać się z boku na bok. Niestety, partner nic na tym nie skorzysta, gdyż sam (i z tych samych powodów) będzie udawał, że śpi, i baczył, by się nie poruszyć.

Nie móc zasnąć i bronić sobie ruchu: łożo małżeńskie.

Agnes leży na wznak i w jej głowie przesuwały się obrazy: przyszedł do nich miły i dziwny mężczyzna, który wie o nich wszystko, lecz nie zna wieży Eiffla. Agnes dałaby wszystko za rozmowę w cztery oczy, ale on umyślnie wybrał chwilę, gdy w domu są oboje z Paulem. Agnes łamie sobie głowę, jaki tu obmyślić podstęp, żeby Paul sobie poszedł. Siedzą w trójkę w fotelach wokół niskiego stołu, przy trzech filiżankach kawy, i Paul bawi gościa rozmową. Agnes myśli już tylko o chwili, w której mężczyzna wstanie i zacznie wyjaśniać powody swej wizyty. Ona zna te powody. Ona jedna, Paul nie. Wreszcie gość przerywa pogawędkę i przechodzi do sedna sprawy: - Sądzę, że wiecie państwo, skąd przybywam.

- Tak - odpowiada Agnes. Wie, że przybywa on z innej planety, z bardzo odległej planety, zajmującej we wszechświecie ważne miejsce. I dodaje co prędzej z nieśmiałym uśmiechem: - Czy tam jest lepiej?

Gość jedynie wzrusza ramionami: - Agnes, przecież wie pani dobrze, gdzie pani żyje.

Agnes mówi: - Śmierć pewnie musi być. Ale czy nie można było wymyślić tego inaczej? Czy trzeba koniecznie zostawiać po sobie zwłoki, które należy zakopać w ziemi lub wrzucić do ognia? To wszystko jest ohydne!

- Powszechnie wiadomo, że Ziemia jest jednym wielkim ohydztwem - odpowiada gość.

- I jeszcze jedno - mówi dalej Agnes - choć pewnie pytanie wyda się panu głupie. Czy ci, którzy mieszkają tam u was, mają twarze?

- Nie. Twarz istnieje tylko tutaj, u was.

- Zatem w jaki sposób różnią się tam między sobą?

- Tam każdy jest, by tak rzec, swoim własnym dziełem. Każdy w całości wymyśla siebie samego. Trudno to wyjaśnić. Nie potrafi pani tego pojąć. Ale pewnego dnia pojmie pani. Bo ja przyszedłem pani powiedzieć, że w przyszłym życiu nie powróci pani na Ziemię.

Agnes oczywiście wiedziała z góry, co powie jej gość, i nie mogła czuć zdziwienia. Ale Paul osłupiał. Spojrzał na gościa, spojrział na Agnes, której nie pozostało nic innego, jak zapytać: - A Paul?

- Paul również nie powróci na Ziemię - odpowiedział gość. - To właśnie przybyłem państwu oznajmić. Uprzedzamy wszystkich, których wybraliśmy. Muszę tylko zadać jedno pytanie: w przyszłym życiu chcą państwo pozostać razem czy więcej już się nie spotkać?

Agnes spodziewała się tego pytania. Właśnie dlatego chciała zostać z gościem sam na sam. Wie, że nie potrafi odpowiedzieć przy Paulu: "Nie chcę już z nim żyć". Nie może powiedzieć tego w jego obecności, podobnie jak on nie może powiedzieć tego przy niej, choć jest wielce prawdopodobne, że także wolałby żyć inaczej, a zatem bez Agnes. Bo powiedzieć głośno w obecności drugiego: "W przyszłym życiu nie chcemy zostać ze sobą, nie chcemy się spotykać", znaczyłoby powiedzieć: "Między nami nie było ani nie ma żadnej miłości". Tego na głos powiedzieć nie mogą, gdyż ich wspólne życie (dwadzieścia lat wspólnego życia) opiera się na złudzeniu miłości, złudzeniu, któremu oboje hołdują i które pieczołowicie podtrzymują. Toteż wyobrażając sobie tę scenę i dochodząc do pytania gościa, Agnes wie, że zawsze skapituluje i wbrew życzeniu, wbrew swemu pragnieniu, odpowie w końcu: "Tak. Oczywiście. Chcę, żebyśmy byli razem, również w przyszłym życiu".

Dziś jednak pierwszy raz jest pewna, że nawet w obecności Paula zdobędzie się na odwagę, by powiedzieć, czego chce, czego chce naprawdę i całym sercem; jest pewna, że zdobędzie się na tę odwagę, nawet gdyby to, co między nimi istnieje, miało się zawalić. Obok słyszy głęboki oddech. Paul zasnął. Jak taśmę w projektorze, Agnes przewija raz jeszcze całą scenę: prowadzi z gościem rozmowę, Paul patrzy na nich osłupiały, i gość pyta: - W przyszłym życiu chcą państwo pozostać razem czy więcej już się nie spotkać?

(Ciekawe: mimo że ma wszelkie o nich informacje, ziemską psychologia jest dlań niezrozumiała, a pojęcie miłości nieznane; nie domyśla się zatem kłopotów, jakich im przysparza swoim bezpośrednim, praktycznym pytaniem, postawionym w jak najlepszej intencji.)

Agnes zbiera wszystkie siły i odpowiada stanowczo: - Wolimy więcej się nie spotkać.

I jest tak, jakby zatrzasnęła drzwi przed złudzeniem miłości.

Część druga

Nieśmiertelność

1.

13 września 1811. Już od trzech tygodni młoda mężatka Bettina, z domu Brentano, mieszka wraz z mężem, poetą Achimem von Arnim, u państwa Goethe w Weimarze. Bettina ma dwadzieścia sześć lat, Arnim trzydzieści, Christiana, żona Goethego, ma lat czterdzieści dziewięć; Goethe ma sześćdziesiąt dwa lata i ani jednego zęba. Arnim kocha swą młodą żonę, Christiana kocha starszego pana, a Bettina nawet po ślubie nie zaprzestała flirtów z Goethem. Tego dnia Goethe zostaje w domu, a Christiana idzie z młodymi małżonkami na wystawę obrazów, o których Goethe pochlebnie się wyrażał. Pani Christiana nie rozumie obrazów, lecz tak dobrze zapamiętała to, co mówił o nich Goethe, że bez trudu może głosić opinie męża jako własne. Arnim słyszy donośny głos Christiany i widzi okulary na nosie Bettiny. Ponieważ Bettina marszczy nos (zupełnie jak królik), okulary podskakują. I Arnim dobrze wie, co to oznacza. Bettina jest tak rozdrażniona, że bliska wybuchu, Arnim dyskretnie przechodzi do sąsiedniej sali, jakby czuł nadchodzącą burzę.

Ledwie wyszedł, Bettina przerywa Christianie: nie, ona nie podziela jej zdania! Te obrazy są nie do przyjęcia!

Christianą jest również rozdrażniona, i to z dwóch powodów: raz, że ta młoda patrycjuszka, choć mężatka i brzemienna, bezwstydnie flirtuje z Goethem; i, po drugie, zaprzecza jej, Christianie. Czego ona chce? Zająć pierwsze miejsce wśród wyznawców Goethego i zarazem pierwsze miejsce wśród kontestatorów? Christianę niepokoi każdy z tych powodów oddzielnie i oba naraz, gdyż jeden logicznie wyklucza drugi. Toteż głośno oświadcza, że nie do przyjęcia jest twierdzenie, iż obrazy tak wybitne są nie do przyjęcia.

Na co Bettina odcina się: nie tylko jest rzeczą całkowicie do przyjęcia twierdzenie, że obrazy są nie do przyjęcia, lecz wręcz trzeba je określić jako żałosne! Tak, żałosne. I na poparcie swego zdania przytacza argument za argumentem.

Christianą słucha i stwierdza, że ani w ząb nie pojmuje, co wygaduje ta młódka. Im bardziej Bettina się zaperza, tym więcej używa słów, których nauczyli ją zaprzyjaźnieni rówieśnicy, młodzi ludzie po uniwersytetach, i Christiana wie dobrze, że używa ich dlatego właśnie, że są niezrozumiałe. Wpatruje się w nos, na którym podskakują okulary, i myśli, że te okulary i te słowa świetnie do siebie pasują. Bo też okulary na nosie Bettiny są godne uwagi! Każdemu wiadomo, że Goethe potępiał publiczne noszenie okularów jako oznakę złego smaku, jako ekstrawagancję. Jeśli więc Bettina mimo wszystko obnosi się z nimi po całym Weimarze, to po to, by prowokacyjnie i bezczelnie demonstrować przynależność do młodego pokolenia, tego właśnie, które wyróżnia się romantycznymi poglądami i noszeniem okularów. Gdy ktoś z pychą i ostentacją głosi swą przynależność do młodego pokolenia, dobrze wiemy, co chce przez to

powiedzieć: chce powiedzieć, że będzie jeszcze żył, kiedy inni (w przypadku Bettiny: Goethe i Christiana) będą wachali kwiatki od spodu.

Bettina mówi i coraz bardziej się unosi, i nagle ręka Christiany wykonuje zamach. W ostatniej chwili Christiana zdaje sobie sprawę, że nie jest całkiem w dobrym tonie policzkowanie gościa. Powstrzymuje gest i dłoń przemyka jedynie po czole Bettiny. Okulary spadają na ziemię i rozbijają się w drobny mak. Ludzie wokół odwracają się z zakłopotaniem, zastygają w miejscu; z sąsiedniej sali nadbiega biedny Arnim i nie znajdując nic mądrzejszego do roboty, klęka i zbiera odłamki tak, jakby chciał je posklejać.

Przez kilka godzin wszyscy z lękiem oczekują wyroku Goethego. W czyjej stanie obronie, gdy dowie się o wszystkim?

Goethe staje w obronie Christiany i nieodwołalnie zabrania młodym przekraczać próg swego domu.

Gdy stłukł się kieliszek, przynosi to szczęście. Gdy stłukło się lustro, można oczekiwać siedmiu lat nieszczęścia. A gdy na drobny mak pękają okulary? Będzie wojna. Bettina oznajmia we wszystkich salonach Weimaru, że “gruba parówka wpadła w szal i ją pokąsała”. Określenie wędruje z ust do ust i cały Weimar śmieje się do łez. To nieśmiertelne określenie, ten nieśmiertelny śmiech wciąż brzmią w naszych uszach.

2.

Nieśmiertelność. Goethe nie lękał się tego słowa. W książce “Z mojego życia”, noszącej słynny podtytuł “Dichtung und Wahrheit”, “Zmyślenie i prawda”, mówi o kurtynie, którą jako dziewiętnastoletni młodzieniec zachłannie kontemplował w nowym teatrze Lipska. Na dalszym planie kurtyny wyobrażona była (cytuję Goethego) “der Tempel des Ruhmes”, Świątynia Chwały, a przed nią wszyscy wielcy dramaturgowie wszechczasów. Pośród nich, lecz nie przejęty ich obecnością, zdążający prosto do Świątyni “jakiś człek w zwykłym ubraniu (...) postać ta, odwrócona tyłem do publiczności, niczym się nie tłumaczyła. Miał to być Szekspir, który sam, bez poprzedników i następców, bez oglądania się na jakieś wzory, na własną rękę i samotnie kroczył ku nieśmiertelności.”

Nieśmiertelność, o której mówi Goethe, nie ma oczywiście nic wspólnego z nieśmiertelnością duszy. Chodzi o inną, świecką nieśmiertelność tych, którzy po śmierci pozostają w pamięci potomnych. Każdy może osiągnąć taką nieśmiertelność, mniejszą lub większą, krótszą czy dłuższą, i każdy od wczesnej młodości o niej myśli. Gdy byłem małym chłopcem, w niedzielę chodziłem na spacer do morawskiego miasteczka; jego burmistrz, opowiadano, trzymał w swym salonie otwartą trumnę; w chwilach szczęścia, gdy czuł się wyjątkowo z siebie zadowolony, kładł się w niej i wyobrażał sobie własny pogrzeb. Nigdy nie przeżył niczego piękniejszego nad owe chwile rozmarzenia w trumnie: zamieszkał wówczas we własnej nieśmiertelności.

Wobec nieśmiertelności ludzie nie są równi. Należy wyróżnić “małą nieśmiertelność”, wspomnienie o człowieku w myślach tych, którzy go znali (nieśmiertelność, o jakiej marzył burmistrz morawskiego miasteczka), i “wielką nieśmiertelność”, wspomnienie o człowieku w myślach tych, co go nie znali. Zdarzają się kariery, które od pierwszej chwili stawiają człowieka przed wielką nieśmiertelnością, niepewną co prawda, wręcz niewyobrażalną, lecz bezspornie możliwą: są to kariery artysty i męża stanu.

Ze wszystkich mężów stanu naszych czasów tym, który bez wątplenia najwięcej miejsca w swych myślach poświęcił nieśmiertelności, jest Francois Mitterand. Przypominam sobie niezapomnianą uroczystość zorganizowaną w 1981 roku po jego wyborze na prezydenta. Na placu Panteonu zebrał się rozentuzjasmowany tłum: Mitterand wysunął się z tłumu i szedł po szerokich schodach (zupełnie jak Szekspir kierujący się ku Świątyni Chwały na kurtynie opisanej przez Goethego) z trzema różami w dłoni. Następnie zniknął z oczu ludu i znalazł się sam wśród grobów sześćdziesięciu czterech słynnych zmarłych, w swej samotnej zadumie śledzony jedynie przez kamerę, ekipę filmową i kilka milionów Francuzów, którzy wśród potoków “Dziewiątej Symfonii” Beethovena wpatrywali się w mały ekran. Kolejno złożył róże na grobowcach trzech zmarłych,

których wybrał spośród innych. Niczym cieśla osadził trzy róże jak trzy słupy na ogromnym placu robót nieśmiertelności, aby wyznaczyć w ten sposób trójkąt, wewnątrz którego zostanie wzniesiony jego pałac.

Valery Giscard d'Estaing, jego poprzednik na prezydenckim fotelu, zaprosił w 1974 roku kilku śmieciarzy na śniadanie do Pałacu Elizejskiego. Był to gest wrażliwego bourgeois, dbającego o to, by ludzie prości kochali go i wierzyli, że jest jednym z nich. Mitterand nie był na tyle naiwny, aby upodabniać się do śmieciarzy (nie może się to udać żadnemu prezydentowi); chciał się upodobnić do zmarłych, co świadczy o większym rozsądku, jeśli bowiem śmierć i nieśmiertelność tworzą parę nierozłącznych kochanków, ten, którego twarz miesza się z twarzami zmarłych, jest nieśmiertelny za życia.

Amerykańskiego prezydenta Jimmy Cartera zawsze darzyłem sympatią, lecz odczułem dlań niemal miłość, widząc na ekranie telewizyjnym, jak biega w dresie wraz z grupą współpracowników, trenerów i goryli; nagle na czole zaperlił mu się pot, twarz się wykrzywiła, współpracownicy pochylili się nad nim, chwycili w pól: lekki atak serca. Jogging miał dostarczyć prezydentowi okazji do zademonstrowania narodowi swej wiecznej młodości. W tym celu zaproszono kamerzystów i nie jest ich winą, że zamiast atlety tryskającego zdrowiem musieli nam pokazać starzejącego się mężczyznę, który ma pecha.

Człowiek pragnie nieśmiertelności, a tu pewnego dnia kamera pokazuje nam jego usta wykrzywione w smutnym grymasie, jedyne, co po nim w nas zostanie i zamieni się w parabolę całego jego życia; wkroczy on w nieśmiertelność zwaną "śmiesznością". Tycho de Brahe był wielkim astronomem, lecz dzisiaj nie pamiętamy w związku z nim niczego poza słynnym obiadem na dworze cesarskim, podczas którego powstrzymywał wstydliwie potrzebę pójścia do ustępu, aż wreszcie pękł mu pęcherz i jako męczennik wstydu oraz uryny rychło dołączył do śmiesznych nieśmiertelnych. Dołączył do nich tak, jak później Christiana Goethe na wieki przemieniona we wściekłą parówkę. Nie znam na świecie pisarza, który byłby mi droższy nad Roberta Musila. Umarł on pewnego ranka, gdy ćwiczył hantlami. Kiedy i mnie zdarza się nimi ćwiczyć, lęklwie czuwam nad swoim pulsem i boję się umrzeć, gdyż śmierć z hantlami w ręku, jak śmierć mojego ukochanego autora, uczyniłaby ze mnie epigona tak niewiarygodnego, tak gorączkowego, tak fanatycznego, że śmieszna nieśmiertelność zostałaby mi zapewniona w jednej chwili.

3.

Wyobraźmy sobie, że w czasach cesarza Rudolfa istniały kamery (te, które unieśmiertniły Cartera) i że sfilmowały dworski obiad, podczas którego Tycho związał się na krześle, bladł, przebierał nogami i przewracał oczami. Gdyby wiedział, że obserwuje go kilka milionów widzów, jego cierpienia by się spotęgowały i po korytarzach nieśmiertelności niósłby się jeszcze głośniejszy śmiech. Lud, rozpaczliwie poszukujący wesołych racji bytu, żądałby zapewne, by na każdego sylwestra wyświetlano film o słynnym astronomie, który wstydził się siusiać.

Obraz ten nasuwa mi pytanie: czy w epoce kamery nieśmiertelność zmieniła swój charakter? Odpowiadam bez wahania: właściwie nie; albowiem, zanim go wymyślono, obiektyw fotograficzny już tu był jako własna zdematerializowana istota. Ludzie zachowywali się tak, jakby ich fotografowano, zanim został w nich wymierzony obiektyw rzeczywisty. Wokół Goethego nigdy nie biegło stadko fotografów, lecz biegały cienie fotografów rzucane w jego stronę z głębi przyszłości. Na przykład podczas słynnego spotkania z Napoleonem. Cesarz Francuzów, wówczas u szczytu kariery, zebrał w Erfurcie wszystkich przywódców państw europejskich, aby zatwierdzili podział władzy między nim samym a cesarzem Rosjan.

Pod tym względem Napoleon był bardzo francuski: setki tysięcy martwych nie starczyły, by go zadowolić, pragnął ponadto podziwu pisarzy. Zapytał swego radcy kulturalnego, jakie są największe duchowe autorytety współczesnych Niemiec; radca wymienił na pierwszym miejscu niejakiego monsieur Goethego. Goethe! Napoleon uderzył się w czoło: autor "Cierpień młodego Wertera"! Pewnego dnia podczas kampanii egipskiej spostrzegł, że książka ta pochłonęła bez reszty jego oficerów. A ponieważ sam ją znał, wpadł w furję. Wypomniał ostro oficerom lekturę takich sentymentalnych bredni i zabronił raz na zawsze brać do ręki powieść. Jakakolwiek powieść. Niech sobie czytają książki historyczne, o wiele pożyteczniejsze! Ale teraz, zadowolony, że dowiedział się, kim jest Goethe, postanowił go zaprosić. Uczynił to z tym większą przyjemnością, że wedle jego radcy Goethe wsławił się zwłaszcza jako dramaturg. W przeciwieństwie do powieści teatr cieszył się względami Napoleona, gdyż przypominał mu bitwy. Będąc wielkim autorem batalistycznym, w którym siedzi ponadto niezrównany reżyser, żywił przekonanie, że jest największym poetą tragicznym wszechczasów, większym niż Sofokles, większym niż Szekspir.

Radca kulturalny był człowiekiem kompetentnym, któremu wszakże często zdarzało się to i owo przeinaczyć. Prawdą jest, że Goethe dużo zajmował się teatrem, lecz sławę w niewielkim stopniu zawdzięczał swym sztukom. Bez wątpienia radca Napoleona pomylił Goethego z Schillerem! Ostatecznie Schiller przyjaźnił się z Goethem, nie było więc niczym zdrożnym, że radca z pary przyjaciół uczynił jednego poetę; być może nawet postąpił świadomie, ze szlachetnych

pobudek dydaktycznych tworząc dla Napoleona niejako syntezę klasycyzmu niemieckiego, osobę Friedricha Wolfganga Schilloethe.

Kiedy Goethe (nie domyślając się, że jest Schilloethem) otrzymał zaproszenie, pojął od razu, że musi je przyjąć. Dobiegał sześćdziesiątki. Śmierć była blisko, a wraz z nią nieśmiertelność (bowiem śmierć i nieśmiertelność tworzą, jak powiedziałem, nierozłączną parę, piękniejszą niż Marks i Engels, niż Romeo i Julia, niż Flip i Flap), i Goethe nie mógł sobie lekceważyć zaproszenia od nieśmiertelnego. Choć bardzo zajęty “Teorią kolorów”, którą uważał za swoje szczytowe osiągnięcie, odłożył rękopis i pojechał do Erfurtu, gdzie drugiego października 1808 roku odbyło się niezapomniane spotkanie między nieśmiertelnym poetą a nieśmiertelnym strategiem.

4.

Goethe, prowadzony przez adiutanta, wchodzi w towarzystwie rozbieganych cieni fotografów po jednych szerokich schodach, po drugich schodach i dalej korytarzami zmierza w kierunku wielkiej sali, w głębi której Napoleon spożywa przy stole śniadanie. Wokół niego aż roi się od mężczyzn w mundurach, podtykających mu raporty, i strateg udziela im odpowiedzi nie przerywając przeżuwania. Upływa kilka chwil, nim adiutant ośmieli się wskazać mu Goethego, nieruchomo tkwiącego na uboczu. Napoleon podnosi wzrok i wsuwa prawą rękę pod surdut, kciukiem dociskając żołądek. Jest to gest, który ma zwyczaj wykonywać, gdy otaczają go fotografowie. Pośpiesznie przełknąwszy kęs (gdyż niedobrze jest być fotografowanym, kiedy naszą twarz zniekształca przeżuwanie, a wiadomo, że fotografowie przepadają za tego rodzaju portretami), rzuca tubalnym głosem, tak by wszyscy go dosłyszeli: “Voilà un homme”, ależ to mąż!

Jest to dokładnie to, co w dzisiejszej Francji nazywa się “une petite phrase”. Politycy wygłaszają długie przemówienia, bez żenady powtarzając wciąż to samo, świadomi, że do publiczności i tak dotrze tylko kilka słów przytoczonych przez dziennikarzy; aby ułatwić im zadanie i przy okazji ich przechytryć, w coraz bardziej podobne do siebie przemówienia wtrącają jedno lub dwa zdania, których dotąd nigdy nie wypowiedzieli; jest to coś tak nieoczekiwanego, tak dziwnego, że zdanie takie od razu osiąga sławę. Dzisiejsza sztuka polityczna nie polega już na zarządzaniu “polis” (które zarządza się samo wedle logiki swego ciemnego i nie poddającego się kontroli mechanizmu), lecz na wymyślaniu “petites phrases”, dzięki którym polityk zostanie dostrzeżony, zrozumiany, uznany w sondażach, wybrany bądź nie wybrany. Goethe nie znał jeszcze pojęcia “petite phrase”, lecz, jak wiemy, rzeczy są obecne w swej istocie, zanim jeszcze zostaną materialnie urzeczywistnione i nazwane. Goethe rozumie, że Napoleon zdobył się właśnie na wspianiałą “petite phrase”, która obu im przysporzy korzyści. Zachwycony, podchodzi do stołu.

Myślcie sobie co chcecie o nieśmiertelności poetów, bardziej nieśmiertelni są stratedzy: słuszne jest zatem, że to Napoleon przepytuje Goethego, a nie odwrotnie. “Ile pan ma lat?” - pyta. “Sześćdziesiąt” - odpowiada Goethe. “Dobrze pan wygląda jak na swój wiek” - mówi Napoleon z szacunkiem (sam jest o dwadzieścia lat młodszy) i Goethe nadyma się jak paw. Kiedy miał pięćdziesiątkę, był już mocno tłustawy, miał podwójny podbródek i nie przejmował się tym. Ale z biegiem lat dopadł go lęk śmierci, a wraz z nim strach, że przejdzie do nieśmiertelności z niewąskim kałdunem. Toteż postanowił schudnąć i wkrótce znów stał się smukłym mężczyzną, może niezbyt już pięknym, lecz ze śladami minionej urody.

“Czy jest pan żonaty?” - pyta Napoleon ze szczerym zainteresowaniem. “Tak” - opowiada Goethe, lekko chyląc głowę. “A czy ma pan dzieci?” “Syna.” W tej samej chwili do Napoleona

podchodzi generał i przekazuje mu ważną wiadomość. Napoleon popada w zadumę. Wyciąga rękę spod surduta, nabija na widelec kawałek mięsa, wkłada je do ust (scena nie jest już fotografowana) i, przeżuwając, odpowiada. Dopiero po chwili przypomina sobie o Goethem. Ze szczerym zainteresowaniem pyta go: “Czy jest pan żonaty?” “Tak” - odpowiada Goethe, lekko chyląc głowę. “A czy ma pan dzieci?” “Syna.” “A jak tam pański Karol August?” - mówi zniechęcona Napoleon, strzelając w Goethego imieniem władcy Weimaru, którego, sądząc po tonie głosu, z pewnością nie lubi.

Goethe nie chce obmawiać swojego księcia, lecz nie chcąc również narażać się nieśmiertelnemu, odpowiada z dyplomatyczną wręcz zręcznością, że Karol August wiele zdołał dla nauki i dla sztuki. Aluzja do sztuki stwarza nieśmiertelnemu strategowi okazję do powstania od stołu, włożenia ręki pod surdut, uczynienia kilku kroków w stronę poety i rozwinięcia przed nim swojej idei teatru. Niewidzialnym stadkiem fotografów wstrząsa nagły dreszcz, aparaty trzaskają i strateg, który oddala się z poetą na intymną rozmowę w cztery oczy, musi podnieść głos, by go w sali słyszano. Proponuje Goethemu napisanie sztuki o konferencji w Erfurcie, gdyż ma ona zapewnić wreszcie ludzkości szczęście i pokój. “Teatr - dodaje głośno - powinien stać się szkołą ludu! (Oto druga piękna «petite phrase», dobra na pierwsze strony jutrzejszych gazet.) I byłoby fajnie - ciągnie nieco ciszej - zadedykować sztukę carowi Aleksandrowi.” (Albowiem to o niego chodzi w konferencji erfurckiej! To z niego chce Napoleon uczynić swego sprzymierzeńca!) Następnie aplikuje Schilloethemu małą lekcję literatury, lecz jeden z adiutantów przerywa mu i Napoleon traci wątek. W nadziei, że go odnajdzie, powtarza jeszcze dwukrotnie, nie na temat i bez przekonania, że teatr jest szkołą ludu, następnie (no wreszcie! w końcu! wątek się odnalazł!) wspomina o “Śmierci Cezara” Woltera. Pięknego, wedle niego, przykładu poety, który nie wykorzystał sposobności, by stać się wychowawcą ludu. Jego tragedia powinna była pokazać wielkiego stratega, który walczył o dobrobyt rodzaju ludzkiego, lecz któremu przedwczesna śmierć przeszkodziła w urzeczywistnieniu szlachetnych celów. Ostatnie słowa zabrzmiały melancholijnie i strateg patrzy poecie prosto w oczy: “Oto wielki temat dla waszmości!”

Ale znowu mu przerywają. Do sali wchodzi generałowie, Napoleon wyciąga rękę spod surduta, siada przy stole, nabija na widelec kawałek mięsa i przeżuwa słuchając raportów. Cienie fotografów zniknęły. Goethe rozgląda się wokół, zatrzymuje przy obrazach. Następnie, podchodząc do towarzyszącego mu adiutanta, pyta, czy audyencja dobiegła końca. Adiutant mówi, że tak, widelec Napoleona unosi się i Goethe wychodzi.

5.

Bettina była córką Maksymiliany La Roche, kobiety, w której Goethe zakochał się, mając dwadzieścia trzy lata. Nie licząc kilku niewinnych całusów, było to uczucie czyste, miłość niematerialna i tym bardziej wolna od następstw, że matka Maksymiliany w odpowiednim czasie wydała córkę za bogatego włoskiego kupca Brentano. Kiedy ten spostrzegł, że młody poeta zamierza ciągnąć flirt z jego żoną, wyrzucił poetę z domu, zakazując przekraczania jego progu. Maksymiliana powiła następnie tuzin dzieci (ten piekielny włoski samiec spłodził ich w sumie dwadzieścioro!), a wśród nich córkę, którą ochrzczono Elisabeth; była to Bettina.

Goethe pociągał Bettinę od dzieciństwa. Nie tylko dlatego że na oczach całych Niemiec kroczył w stronę Świątyni Chwały, lecz również dlatego że znała historię miłości Goethego do jej matki. Namiętnie interesowała się tą starą miłością, tym bardziej czarującą, iż odległą w czasie (dobry Boże, sięgała trzynastu lat przed narodzinami Bettiny!); i z wolna dojrzewała w niej myśl, że ma tajemne prawa do wielkiego poety, za którego córkę w sensie metaforycznym (a któż inny niż poeta miałby brać poważnie metafory?) uważała siebie.

Mężczyźni, jak powszechnie wiadomo, mają przykrą skłonność do ucieczki przed ojcowskimi obowiązkami, do niepłacenia alimentów, do wypierania się ojcostwa. Nie próbują zrozumieć, że dziecko jest istotą wszelkiej miłości, nawet jeśli nie zostało rzeczywiście poczęte i wydane na świat. W miłosnej algebrze dziecko jest magicznym znakiem dodawania do siebie dwóch bytów. Mężczyzna, nawet jeśli kocha kobietę nie dotykając jej, musi liczyć się z możliwością, że ich miłość jest płodna i owoc pojawi się na świecie w trzynastu lat po ostatnim spotkaniu zakochanych. Tak mniej więcej musiała sobie myśleć Bettina, nim ośmieliła się pojechać do Goethego do Weimaru. Było to na wiosnę 1807 roku. Miała dwadzieścia dwa lata (a zatem tyle co on, gdy zalecał się do jej matki), lecz nadal czuła się dzieckiem. Uczucie to chroniło ją w tajemny sposób, tak jakby dzieciństwo było jej tarczą.

Ukryć się za tarczą dzieciństwa było fortelem całego jej życia. Fortelem, lecz także jej naturą, gdyż od dziecka bawiła się w bycie dzieckiem. Podkochiwała się w poecie Klemensie Brentano, swoim starszym bracie, i z upodobaniem siadała mu na kolanach. Już wówczas (miała czternaście lat) potrafiła cenić smak trójznacznej sytuacji dziecka, siostry i kobiety spragnionej miłości. Czy potrafilibyście zrzucić dziecko z kolan? Nawet Goethe nie będzie do tego zdolny.

Usiadła mu na kolanach już w dniu ich pierwszego spotkania w 1807 roku, przynajmniej o ile wierzyć jej późniejszej opowieści: najpierw spoczęła na sofie naprzeciw Goethego; z okolicznościowym smutkiem mówił o księżnej Amelii zmarłej kilka dni wcześniej. Bettina powiedziała, że nic o tym nie wie. "Jak to? - zdziwił się Goethe. - Czy weimarskie życie nie

ciekawi pani?” Na co Bettina: “Poza panem nic mnie nie ciekawi.” Uśmiechając się do młodej kobiety, Goethe wypowiedział owo fatalne zdanie: “Jesteś pani czarującym dzieckiem.” Kiedy tylko Bettina usłyszała słowo “dziecko”, poczuła, że opuszcza ją cała trema: “Nie mogę wysiedzieć na tej sofie” - powiedziała, zrywając się na nogi. “Proszę spocząć, gdzie pani wygodnie” - powiedział Goethe. Bettina podbiegła go uściskując i usiadła mu na kolanach. Musiała czuć się tam na tyle wygodnie, że wkrótce, tuląc się do niego, zasnęła.

Trudno powiedzieć, czy było tak naprawdę, czy też Bettina posuwa się do mistyfikacji, ale nawet jeśli to mistyfikacja, tym lepiej dla nas: możemy dzięki temu zrozumieć, jaki obraz siebie chciała stworzyć oraz jaką metodę stosowała wobec mężczyzn: jak dziecko postępowała z impertynencką powagą (oznajmiając, że śmierć księżniczki jest jej obojętna, że sofa, na której przed nią siadały dziesiątki wdzięcznych gości, jest niewygodna); jak dziecko rzuciła się Goethemu na szyję i usiadła mu na kolanach; i szczyt wszystkiego: jak dziecko na nich usnęła.

Z dziecinnego zachowania płyną same korzyści: niewinne jeszcze i niedoświadczone, dziecko może pozwolić sobie na wszystko, czego chce; ponieważ nie wkroczyło jeszcze w świat, którym rządzi forma, nie musi przestrzegać zasad dobrego zachowania; może ujawniać swe uczucia nie dbając o konwenanse. Ludzie, którzy nie chcieli widzieć w Bettinie dziecka, uważali ją za wariatkę (pewnego dnia, w przyływie czystego szczęścia, tańczyła w pokoju i upadła, rozcinając sobie czoło o kant stołu), źle wychowaną (w salonie zawsze wolała siadać na podłodze), a zwłaszcza nieuleczalnie egzaltowaną. Natomiast ci, którzy godzili się widzieć w niej wieczne dziecko, zachwycali się jej naturalną spontanicznością.

Goethego dziecko wzruszało. Na pamiątkę własnej młodości ofiarował jej piękny pierścionek. I tego samego wieczoru zapisał lakonicznie w notatniku: “Mamsel Brentano”.

6.

Ile razy spotkali się słynni kochankowie Goethe i Bettina? Przyjechała zobaczyć się z nim jesienią tego samego 1807 roku i spędziła w Weimarze dziesięć dni. Kolejny raz spotkała go dopiero po trzech latach, podczas krótkiej trzydniowej wizyty w Teplicach, czeskim uzdrowisku, do którego, o czym nie wiedziała, Goethe przyjeżdżał na wodne kuracje. W rok później doszło do fatalnych odwiedzin w Weimarze, kiedy to w dwa tygodnie po jej przyjeździe okulary rozbiły się na posadzce.

A ile razy byli ze sobą rzeczywiście sam na sam? Trzy, cztery razy, chyba nie więcej. Im mniej się spotykali, tym więcej do siebie pisali czy raczej, mówiąc dokładnie, to ona pisała do niego. Wysłała pięćdziesiąt dwa długie listy, w których zwracała się do niego po imieniu i mówiła tylko o miłości. Ale poza lawiną słów do niczego w istocie nie doszło i można się zastanawiać, dlaczego ich historia miłosna jest tak sławna.

Oto odpowiedź: jest sławna, ponieważ od początku chodziło o coś innego niż miłość.

Goethe szybko się tego domyślił. Po raz pierwszy odczuł niepokój, gdy dowiedział się od Bettiny, że na długo przed jej wizytami w Weimarze zaprzyjaźniła się z jego starą matką, mieszkającą podobnie jak ona we Frankfurcie. Chciała wszystko o nim wiedzieć i zachwycona starsza pani, ujęta pochlebstwami, spędzała z nią całe dni na przywoływaniu wspomnień. Bettina miała nadzieję, że przyjaźń matki szybko otworzy jej drzwi do domu Goethego i do jego serca. Jej rachuby nie były całkiem trafne. Goethe uważał za cokolwiek śmieszny podziw żywiony dla niego przez matkę (nigdy nie jeździł do niej do Frankfurtu), i w przymierzu ekstrawaganckiej córki z naiwną matką wietrzył niebezpieczeństwo.

Wyobrażam sobie, jakich mieszanych odczuć doznawał, kiedy Bettina opowiadała mu historyjki usłyszane od matki. Początkowo schlebiało mu oczywiście zainteresowanie, którym obdarzyła go dziewczyna. Jej słowa budziły w nim tysiące uspiomych, zachwycających wspomnień. Ale wkrótce dowiedział się o takich, które nie mogły być się wydarzyć lub które pokazywały go w tak śmiesznym świetle, że nie powinny były się wydarzyć. Ponadto całe jego dzieciństwo, cała jego młodość nabierały w opowieściach Bettiny kolorów, a nawet znaczeń, które mu nie odpowiadały. Nie żeby Bettina chciała wykorzystać przeciwko niemu jego wspomnienia z dzieciństwa; ale każdego (nie tylko Goethego) drażni, gdy opowiada mu się jego życie wedle innej interpretacji niż jego własna. Toteż Goethe poczuł zagrożenie: to dziewczę, które obracało się wśród młodych intelektualistów z ruchu romantycznego (Goethe nie żywił dla nich najmniejszej sympatii), było niebezpiecznie ambitne i uważało się (z naturalnością graniczącą z bezwstydem) za przyszłego pisarza. Pewnego dnia powiedziała mu to zresztą bez ogródek: chciałaby napisać książkę na

podstawie wspomnień jego matki. Książkę o nim, o Goethem! W owej chwili dojrzał za jej miłosnymi wyznaniem groźną natarczywość pióra i zaczął mieć się na baczności.

Ale właśnie dlatego że miał się na baczności, zabraniał sobie bycia nieprzyjemnym. Okazała się zbyt niebezpieczna, by mógł sobie pozwolić na uczynienie z niej wroga; wolał utrzymywać ją pod stałą i grzeczną kontrolą, nie przesadzając też z tą grzecznością, gdyż najdrobniejszy gest, dający się poczytać za oznakę miłosnego przyzwolenia (w oczach Bettiny nawet kichnięcie mogło zostać uznane za wyznanie miłości), mógł pomnożyć zuchwalstwa dziewczyny.

Pewnego dnia napisała do niego: “Nie pal moich listów, nie drzyj ich; mógłbyś zrobić sobie krzywdę, gdyż miłość, którą w nich wyrażam, wiąże się z Tobą mocno, trwale i żywo. Ale nie pokazuj ich nikomu. Trzymaj je w ukryciu jak tajemne piękno.” Najpierw uśmiechnął się pobłażliwie z jej przekonania o pięknie listów, lecz później zaintrygowało go zdanie: “Nie pokazuj ich nikomu!” Skąd ten zakaz? Tak jakby miał ochotę komukolwiek je pokazywać! Władczym “nie pokazuj” Bettina ujawniała ukryte pragnienie “pokazania”. Zrozumiawszy, że wysyłane do niej listy mogły mieć od czasu do czasu innych czytelników, ujrzał się w sytuacji oskarżonego, którego sędzia uprzedził: począwszy od tej chwili wszystko, co pan powie, może być użyte przeciw panu.

Usiłował wytyczyć drogę pośrednią między uprzejmością a podejrzliwością: w odpowiedzi na jej ekstatyczne listy wysyłał przyjazne i zarazem powściągliwe bileciki; zwracaniu się przez “ty” długo przeciwstawiał swoje “pani”; jeśli przebywali w tym samym mieście, okazywał jej całkowicie ojcowską serdeczność, zapraszał ją do siebie, lecz najchętniej w obecności innych osób.

O co zatem chodziło?

Bettina napisała doń w jednym z listów: “Mam stanowczą i trwałą wolę kochać Cię wiecznie.” Przeczytajcie uważnie to pozornie banalne zdanie. O wiele istotniejsze od słowa “kochać” są słowa “wiecznie” oraz “wola”.

Nie będę dłużej przedłużać napięcia. Nie o miłość chodziło. Chodziło o nieśmiertelność.

7.

W 1810 roku, gdy przypadek na trzy dni zetknął ich w Teplicach, wyznała Goethemu, że poślubi wkrótce poetę Achima von Arnim. Zapewne powiedziała mu to z zażenowaniem, obawiając się, że uzna jej małżeńskie przyrzeczenie za zdradę tak ekstatycznie wyznawanej miłości. Brak doświadczenia z mężczyznami nie pozwalał jej przewidzieć, jaką skrytą radość wiadomość ta przyniesie Goethemu.

Natychmiast po wyjeździe Bettiny napisał do Christiany list, w którym przeczytać możemy radosne zdanie: "Mit Arnim ist's wohl gewiss." Z Arnimem to już całkiem pewne. W tym samym liście cieszył się, że znalazł Bettinę "doprawdy ładniejszą i miłszą niż niegdyś", i domyślamy się, dlaczego taka mu się wydała: był pewien, że istnienie męża ustrzeże go teraz przed ekstrawagancjami, które dotąd przeszkadzały mu doceniać w pogodzie ducha i dobrym nastroju uroki Bettiny.

Chcąc dobrze zrozumieć całą sytuację, nie wolno zapomnieć o rzeczy podstawowej: Goethe od wczesnej młodości był kobieciarzem, a zatem poznając Bettinę, był nim od lat czterdziestu; przez cały ten czas doskonalił się w nim mechanizm uwodzicielskich gestów i nawyków, uruchamiany najdrobniejszą podniętą. Do tej pory Goethe zmuszał się, wypada stwierdzić, że nie bez trudu, aby w obecności Bettiny utrzymywać mechanizm w bezruchu. Lecz gdy zrozumiał, że "z Arnimem to już całkiem pewne", rzekł sobie z ulgą, że ostrożność przestała być konieczna.

Wieczorem przyszła do jego pokoju z dzieciną jak zawsze minką. Prawiąc różne urocze impertynencje, siadła na podłodze, naprzeciw fotela, w którym spoczywał Goethe. Ponieważ był w doskonałym humorze ("z Arnimem to już całkiem pewne"), pochylił się nad nią, chcąc ją pogłaskać po policzkach, tak jak głaszcze się dziecko. W tej samej chwili dziecko przerwało paplaninę i podniosło ku niemu oczy pełne całkiem kobiecych żądań i pragnień. Chwycił ją za ręce i zmusił do powstania. Zapamiętajmy dobrze tę scenę: on siedział, ona stała przed nim, a za oknem słońce chyliło się ku zachodowi. Spojrzeli sobie w oczy, maszyna do uwodzenia poszła w ruch i Goethe nie uczynił niczego, by ją powstrzymać. Nie spuszczać z Bettiny wzroku, głosem nieco cichszym niż zawsze poprosił ją, by obnażyła piersi. Nie odpowiedziała, nie wykonała żadnego gestu; zarumieniła się. Podniósł się z fotela i rozpiął jej sukienkę na biuście. Patrzyła mu nieruchomo w oczy i czerwień zachodzącego słońca zlewała się na jej skórze z rumieńcem, który pokrył ją od czoła po brzuch. Położył dłoń na jej piersi: "Czy ktoś dotykał już twoich piersi?" - zapytał. "Nie - odpowiedziała. - To takie dziwne, że dotykasz mnie ty... " I ani na chwilę nie

spuszczała z niego oczu. Nie odrywając ręki od jej piersi, on również patrzył jej w oczy i w ich głębi obserwował długo, chciwie, wstyd młodej kobiety, której piersi nie dotknął jeszcze nikt.

Oto jak w opisie samej Bettiny wyglądała w przybliżeniu scena, która najprawdopodobniej nie miała żadnego dalszego ciągu; w retorycznej bardziej niż erotycznej historii obojga lśni ona niczym jedyny, wspaniały klejnot erotycznej ekscytacji.

8.

I choć się później rozstali, nosili w sobie ślad tamtej czarownej chwili. W liście powstałym po spotkaniu Goethe nazwał ją "Allerliebste", najdroższą ze wszystkich. Nie zapomniał jednak o tle wydarzeń i w liście następnym oraz kolejnych, powiadamiając ją o tym, że rozpoczął redakcję pamiętników "Z mojego życia, Dichtung und Wahrheit", prosił o pomoc: jego matki nie było już wśród żywych, nikt więcej nie pamiętał jego młodych lat. Przecież Bettina była ze starszą panią w zażyłych stosunkach: niech więc opisz, co ta jej opowiedziała, i wyśle to Goethemu.

Czy nie wiedział, że Bettina sama chciała wydać książkę o dzieciństwie Goethego? Że prowadziła nawet rozmowy z wydawcą? Oczywiście, że wiedział! Założę się, że poprosił ją o przysługę nie z rzeczywistej potrzeby, lecz po to, by uniemożliwić jakkolwiek o nim publikację. Zniwolona czarem ich ostatniego spotkania i z obawy, że jej małżeństwo z Arnimem odsunie od niej Goethego, ustąpiła. Udało mu się rozbroić ją tak, jak rozbraja się bombę.

Później, we wrześniu 1811 roku, przyjechała do Weimaru w towarzystwie młodego małżonka; była już brzemienna. Nie ma większej radości niż spotkanie z kobietą budzącą niegdyś strach, która, rozbrojona, nie napawa już lękiem! Tyle że Bettina, choć w ciąży, choć po ślubie, choć zniechęcona do pisania książki, nie czuła się rozbrojona i nie zamierzała zaniechać walki. Proszę mnie dobrze zrozumieć: walki nie o miłość, lecz o nieśmiertelność.

Status Goethego pozwala sądzić, że poeta myślał o nieśmiertelności. Ale czy jest możliwe, by kobieta równie młoda jak Bettina i równie jak ona nieznana miała podobne myśli? Oczywiście. O nieśmiertelności marzy się od dzieciństwa. Ponadto Bettina należała do pokolenia Romantyków, olśnionych przez śmierć od dnia, w którym ujrzeli światło dzienne. Novalis nie dożył nawet trzydziestki, lecz mimo młodego wieku nic bodaj nie budziło w nim większego natchnienia niż śmierć, śmierć czarodziejka, śmierć przetworzona w alkohol poezji. Wszyscy oni żyli w transcendencji, w przekraczaniu siebie, z rękami wyciągniętymi ku dali, ku kresowi ich życia i nawet dalej, ku ogromowi niebytu. Jak mówiłem, tam gdzie jest śmierć, tam jest jej towarzyszka nieśmiertelność, i Romantycy bez wstydu mówili do niej po imieniu, tak jak Bettina po imieniu mówiła do Goethego.

Tamte lata między rokiem 1807 a 1811 były najpiękniejsze w jej życiu. W 1810 złożyła w Wiedniu niespodzianą wizytę Beethovenowi. Tak więc poznała dwóch najbardziej nieśmiertelnych ze wszystkich Niemców, nie tylko pięknego poetę, lecz także brzydkiego kompozytora, i z oboma flirtowała. Ta podwójna nieśmiertelność upajała ją. Goethe był już stary (w tamtych czasach człowiek sześćdziesięcioletni uchodził za starca) i cudownie dojrzały do śmierci; Beethoven, podówczas zaledwie czterdziestolatek, był, nie wiedząc o tym, o pięć lat bliższy grobu niż Goethe.

Bettina przycupnęła między nimi jak delikatny aniołek między dwiema ogromnymi, czarnymi stelami. Było to wspaniałe, i bezzębne usta Goethego w niczym jej nie przeszkadzały. Przeciwnie, im był starszy, tym bardziej ją pociągał, gdyż im bliższy był śmierci, tym bliższy był nieśmiertelności. Tylko Goethe nieboszczyk był zdolny chwycić ją mocno za rękę i poprowadzić do Świątyni Chwały. Im bliższy był śmierci, tym mniej była gotowa z niego zrezygnować.

Dlatego właśnie w feralnym wrześniu 1811 roku, choć zameżna i brzemienna, bardziej niż kiedykolwiek bawiła się w dziecko, mówiła głośno i piskliwie, siadała na ziemi, na stole, na brzegu komody, zwieszała się na świeczniku, wspinała się na drzewa, przechodziła z miejsca na miejsce tańcząc, śpiewała, gdy inni prowadzili poważne rozmowy, mówiła z powagą, gdy inni śpiewali, i za wszelką cenę szukała sposobności do spotkania sam na sam z Goethem. Ale tylko jeden raz podczas tych dwóch tygodni zdołała spotkać się z nim na osobności. Powiadają, że spotkanie potoczyło się mniej więcej tak:

Był wieczór, siedzieli przy oknie w pokoju Goethego. Zaczęła mówić o duszy, potem o gwiazdach. Wówczas Goethe wzniosł oczy ku niebu i wskazał jej jedną wielką gwiazdę. Ale Bettina była krótkowidzem i niczego nie dostrzegła. Podsunął jej teleskop: "Masz szczęście, to jest Merkury. Tej jesieni widać go bardzo dobrze." Ale Bettina myślała o gwiazdach zakochanych, nie o gwiazdach astronomów: przyłożywszy oko do teleskopu, udawała, że niczego nie widzi, i oznajmiła, że soczewki są za słabe. Cierpliwy Goethe poszedł po mocniejszy teleskop. Ponownie przyłożyła oko i ponownie stwierdziła, że niczego nie widzi. To skłoniło Goethego do opowieści o Merkurym, o Marsie, o planetach, o Słońcu i o Drodze Mlecznej. Mówił długo i gdy skończył, Bettina, prosząc o wybaczenie, odeszła do swej sypialni. Kilka dni później oświadczyła na wystawie, że obrazy są nie do przyjęcia, i w odpowiedzi Christiana strąciła jej okulary na ziemię.

Ów dzień stłuczonych okularów, trzynasty dzień września, Bettina przeżyła jako wielką klęskę. Najpierw zachowała się walecznie, rozpowiadając po całym Weimarze, że wściekła parówka ją pokąsała, lecz niebawem pojęła, że okazując urazę może już nigdy więcej nie zobaczyć się z Goethem, a jej wielka miłość do nieśmiertelnego skurczy się do banalnego epizodu skazanego na zapomnienie. Skłoniła więc biednego Arnima, by napisał do Goethego list z prośbą o wybaczenie dla żony. List pozostał bez odpowiedzi. Małżonkowie wyjechali z Weimaru i powrócili tam w styczniu 1812 roku. Goethe ich nie przyjął. W 1816 Christiana zmarła i Bettina jakiś czas później wysłała do Goethego długi i pełen pokory list. Goethe nie odpisał. W roku 1821, a zatem w dziesięć lat po ich ostatnim spotkaniu, przybyła do Weimaru i kazała się oznajmić Goethemu, który tego wieczora przyjmował i nie mógł zapobiec jej wejściu. Ale nie wyrzekł do niej ani słowa. W grudniu tego samego roku napisała do niego ponownie. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

W 1823 roku radcy miejscy Frankfurtu postanowili wznieść pomnik ku czci Goethego i zamówili go u rzeźbiarza nazwiskiem Rauch. Gdy Bettina obejrzała szkic, który jej się nie podobał, nie miała wątpliwości, że los stwarza jej niepowtarzalną okazję. Choć nie potrafiła rysować, wzięła się do pracy i naszkicowała własny projekt pomnika: Goethe siedział w pozycji starożytnego herosa; w rękę trzymał lirę; między jego kolanami stała dziewczynka mająca wyobrażać Psyche; włosy poety przypominały płomienie. Przesłała rysunek Goethemu i wydarzyła się rzecz całkowicie zdumiewająca: w jego oku pojawiła się łza! I tak, po trzynastu latach (był lipiec 1824 roku, on miał siedemdziesiąt pięć lat, a ona trzydzieści dziewięć), przyjął ją u siebie i, choć nieco napszony, dał jej do zrozumienia, że wszystko zostało przebaczone, a era pogardliwego milczenia dobiegła końca.

Wydaje mi się, że w tej fazie znajomości bohaterowie posiadli zimne, przenikliwe rozumienie rzeczy: oboje wiedzieli, o co każdemu idzie, i każde wiedziało, że to drugie wie. Szkicując pomnik, Bettina po raz pierwszy niedwuznacznie ujawniała, co było od początku stawką w grze: nieśmiertelność. Nie wypowiedziała tego słowa, lecz musnęła je tak, jak dotyka się struny, która cicho i długo drży. Goethe ją usłyszał. Najpierw naiwnie poczuł się pochlebiony, lecz po chwili (otarłszy łzę) zrozumiał prawdziwy (i mniej pochlebny) sens posłania: powiadomiła go, że stara gra toczy się dalej; że to ona skroi uroczysty całun, w którym wystawią go na widok potomnym; powiadomiła go, że żadną miarą nie będzie mógł jej przeszkodzić, a już na pewno nie swoim nadąsanym milczeniem. Powiedział sobie raz jeszcze to, o czym wiedział od dawna: Bettina była groźna i lepiej trzymać ją pod nadzorem.

Bettina wiedziała, że Goethe wie. Wynika to z ich spotkania jesienią tego samego roku, pierwszego po pojednaniu; opowiada o nim sama w liście do siostrzenicy: Goethe przyjął ją i, pisze Bettina, “wprzód ją zrzędzić, a później prawil mi czule słówka, aby zyskać moją życzliwość”.

Jakże tu nie rozumieć Goethego! Zobaczywszy ją, odczuł do żywego, jak bardzo gra mu na nerwach, i rozgniewało go, że przerwał cudowne trzynastoletnie milczenie. Rozpętał kłótnię, jakby chciał wreszcie wylać na nią całą zgromadzoną złość. Ale czym prędzej się opamiętał: po co być szczerym? po co jej mówić to, co myśli? Istotna była sama decyzja: obezwładnić ją, unieszkodliwić, utrzymać pod nadzorem.

Goethe, opowiada Bettina, przerywał rozmowę pod różnymi pretekstami co najmniej sześć razy i szedł do sąsiedniego pokoju, w którym, jak mogła spostrzec po jego oddechu, ukradkiem popijał wino. W końcu zapytała go kpiąco, dlaczego pije w ukryciu, i Goethe się obraził.

Ciekawsza niż Goethe, który pije ukradkiem, wydaje mi się sama Bettina: nie zachowała się tak, jak zachowalibyście się wy czy ja; my obserwowalibyśmy Goethego z rozbawieniem, lecz milcząc dyskretnie i z szacunkiem. Powiedzieć mu to, co inni by przemilczeli (“czuć od ciebie alkohol! dlaczego wyszedłeś się napić? dlaczego pijesz ukradkiem?”), było jej sposobem na wyrwanie z niego choć jednej intymnej cząstki, na spotkanie się z nim w cielesnej bliskości. W napastliwej niedyskrecji, do której prawa w imię swej dziecięcej spontaniczności zawsze się domagała, Goethe od razu rozpoznał tę Bettinę, której trzynastcie lat wcześniej postanowił więcej nie widywać. Wstał bez słowa i wziął lampę na znak, że rozmowa dobiegła końca i że ciemnym korytarzem odprowadzi gościa do drzwi.

Wówczas, opowiada Bettina w dalszej części listu, uklękła na progu, twarzą w stronę pokoju, aby mu zagrozić drogę, i powiedziała: “Chcę sprawdzić, czy można trzymać cię w zamknięciu i czy jesteś duchem Dobra, czy duchem Zła jak szur Fausta; całuję i błogosławię ten próg, który przekracza co dnia najświetniejszy duch i mój najlepszy przyjaciel.”

I cóż począł Goethe? Wedle cytowanego listu oświadczył: “Aby wyjść, nie podepczę ani ciebie, ani twojej miłości; jest mi ona nadto droga; co do twojego ducha, prześlizgnę się obok niego (i rzeczywiście starannie wyminął jej klęczące ciało), gdyż jesteś zbyt chytra i lepiej żyć z tobą w zgodzie.”

Zdanie to, włożone w usta Goethego przez samą Bettinę, wydaje mi się podsumowaniem tego, co jej podczas spotkania powiedział nic nie mówiąc: Wiem, Bettino, że twój szkic pomnika jest genialnym podstępem. W mojej żalosej starości dałem się wzruszyć płomieniom, do których porównujesz moje włosy (ach, moje biedne przeredzone włosy), lecz wkrótce zrozumiałem: nie rysunek chciałaś mi pokazać, lecz pistolet, który trzymasz w dłoni, by wystrzelić z niego w siną dal mej nieśmiertelności. Nie, nie zdołałem cię rozbroić. Nie chcę więc wojny. Chcę pokoju. Ale też

niczego więcej. Ostrożnie cię ominę, nie dotykając, nie obejmę cię i nie pocałuję. Po pierwsze nie mam na to chęci. A ponadto wiem, że wszystko, co ja uczynię, przemienisz w naboje do twego pistoletu.

Dwa lata później Bettina powróciła do Weimaru; widywała Goethego niemal codziennie (miał wówczas siedemdziesiąt siedem lat) i pod koniec pobytu, próbując uzyskać wstęp na dwór Karola Augusta, popełniła jedną z owych uroczych impertynencji, w których celowała. I wtedy wydarzyła się rzecz nieoczekiwana: Goethe wybuchnął. “Ten nieznośny bąk («diese leidige Bremse»), którego odziedziczyłem po matce - napisał do Karola Augusta - od dawna nam się naprzykrza. Prowadzi gierkę, jaka kiedyś za młodych lat mogła zyskiwać poklask; mówi wciąż o słowikach i szczebiocze niby kanarek. Jeśli Wasza Wysokość rozkaże, w przyszłości z całą wujowską stanowczością zabronię jej wszelkiego naprzykrzania się. W przeciwnym razie Wasza Wysokość nigdy nie znajdzie schronienia przed jej dokuczliwością.”

Sześć lat później raz jeszcze kazała mu się oznajmić. Jednak Goethe nie zgodził się jej przyjąć i porównanie Bettiny do bąka pozostało jego ostatnim słowem w tej historii.

Co ciekawe: odkąd otrzymał szkic pomnika, przyjął zasadę, że za wszelką cenę będzie utrzymywał z nią pokój. Choć uczulony na samą jej obecność, zrobił wszystko (nawet jeśli miała czuć od niego alkohol), by spędzić z nią tamten wieczór “w zgodzie”. Jak mógł tak nagle zniweczyć cały swój wysiłek? Jak ten, który tak bardzo zważał, by nie wkroczyć do nieśmiertelności w pogniecionej koszuli, mógł napisać straszne słowa “nieznośny bąk”, słowa, które wypomną mu jeszcze sto lat później, trzysta lat później i kiedy nikt już nie będzie czytał ani “Fausta”, ani “Cierpień młodego Wertera”?

Trzeba zrozumieć tarczę życia:

Do pewnej chwili śmierć pozostaje czymś zbyt odległym, by się nią zajmować. Jest niewidoczna, jest niewidzialnością. To pierwszy, najszcześniejszy okres życia.

Potem dostrzegamy nagle własną śmierć przed sobą i nie możemy już usunąć jej z naszego pola widzenia. A że nieśmiertelność łączy się ze śmiercią jak Flip z Flapem, można powiedzieć, że nieśmiertelność też jest z nami. Ledwie odkryliśmy jej obecność, a już zaczynamy gorączkowo się o nią troszczyć. Zamawiamy dla niej smoking, kupujemy jej krawat, pełni obaw, żeby ubrania i krawata nie dobrali inni, i to nie dobrali źle. W takiej właśnie chwili Goethe postanawia napisać swe pamiętniki, “Z mojego życia”, i zaprasza oddanego mu Eckermanna (ciekawa zbieżność: dzieje się to w tym samym 1823 roku, w którym Bettina robi szkic pomnika), by pozwolić mu na napisanie “Rozmów z Goethem”, pięknego portretu wykonanego pod życzliwym nadzorem portretowanego.

Po drugim okresie życia, gdy człowiek nie może oderwać wzroku od śmierci, przychodzi okres trzeci, najkrótszy i najbardziej tajemny, o którym wie się niewiele i nie mówi nic. Człowieka

opuszczają siły i obezwładnia go zmęczenie. Zmęczenie: milczący most prowadzący z brzegu życia na brzeg śmierci. Śmierć jest tak bliska, że aż nudno na nią patrzeć. Tak jak kiedyś jest niewidoczna i niewidzialna. Niewidoczna jak przedmioty zbyt swojskie, zbyt znajome. Zmęczony człowiek spogląda przez okno i widzi liście drzew, których nazwy powtarza w myśli: kasztan, topola, klon. Nazwy te są piękne jak sam byt. Topola jest wysoka i przypomina atletę wznoszącego ramię ku niebu. Albo przypomina wysoki zastygły płomień. Topola, och, topola. Nieśmiertelność, jeśli porównać ją z pięknem topoli, którą stary zmęczony człowiek ogląda przez okno, jest żalonym złudzeniem, słowem pustym, podmuchem wiatru, za którym uganiamy się z siatką na motyle. O nieśmiertelności stary zmęczony człowiek nie myśli już wcale.

Co uczyni więc stary zmęczony człowiek patrzący na topolę, kiedy nagle anonsują mu kobietę, która chce tańczyć wokół stołu, klękać na progu i wygłaszać wymyślne mowy? Z uczuciem niewymownej radości i nagłym przyplywem wigoru nazwie ją "leidige Bremse", nieznośnym bąkiem.

Myślę o chwili, w której Goethe napisał: nieznośny bąk. Myślę o przyjemności, jaką odczuł, i sędzę, że w błysku objawienia pojął: nigdy nie postępował tak, jak chciał. Uważał się za zarządcę swej nieśmiertelności i ta odpowiedzialność sprawiła, że przestał być naturalny. Bał się ekstrawaganckich wybryków, choć miał do nich upodobanie, i jeśli nawet kilka mu się przydarzyło, usiłował je później załagodzić, by nie sprzeniewierzyć się owemu pogodnemu umiarkowaniu, które niekiedy utożsamiał z pięknem. Słowa "nieznośny bąk" nie były w zgodzie ani z jego dziełem, ani z jego życiem, ani z jego nieśmiertelnością. Słowa te były czystą wolnością. Mógł je napisać jedynie człowiek, który, dotarłszy do trzeciego okresu życia, przestał kierować swą nieśmiertelnością i nie uważa jej za rzecz poważną. Rzadko dociera się do tej najdalszej granicy, lecz ten, kto ją osiąga, wie, że prawdziwa wolność jest tam i nigdzie indziej.

Takie myśli przyszły Goethemu do głowy, lecz wkrótce o nich zapomniał, gdyż był starym zmęczonym człowiekiem i pamięć go zawodziła.

Przypomnijmy sobie: po raz pierwszy przyszła do niego przebrana za dziecko. Dwadzieścia pięć lat później, w marcu 1832, gdy dowiedziała się o ciężkiej chorobie Goethego, wysłała do niego również dziecko: swego syna Sigmunda. Nieśmiały osiemnastoletni chłopiec na polecenie matki spędził w Weimarze sześć dni, nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi. Ale Goethe wiedział: wyprawiała do niego posłanica mającego samą swą obecnością uświadomić mu, że śmierć za drzwiami już przestępuje z nogi na nogę i że z tą chwilą Bettina przejmuje w swoje ręce nieśmiertelność Goethego.

Potem śmierć otworzyła drzwi, 26 marca po tygodniowych zmaganiach Goethe umiera i kilka dni później Bettina pisze list do wykonawcy testamentu Goethego, kanclerza Müllera: "Istotnie śmierć Goethego wywarła na mnie głębokie, niezatarte wrażenie, wszakże nie wrażenie smutku; nie potrafię wyrazić słowami tej prawdy, lecz sądzę, że będę jej najbliższa mówiąc, że jest to wrażenie chwały."

Podkreślmy to uściślenie Bettiny: nie smutek, lecz chwała.

Nieco później prosi tego samego kanclerza Müllera o dostarczenie jej wszystkich listów, które wysłała do Goethego. Odczytując je, przeżyła rozczarowanie: cała historia zdawała się ledwo szkicem, owszem, arcydzieła, lecz tylko szkicem i, co więcej, niedoskonałym. Trzeba było zasiać do pracy. Trwała trzy lata: Bettina poprawiała, pisała od nowa, uzupełniała. Nie była zadowolona z własnych listów, ale jeszcze większe rozczarowanie przyniosły jej listy Goethego. Kiedy je odczytywała, czuła się dotknięta ich zwięzłością, ich rezerwą, a nawet impertynencją. Tak jakby biorąc ją naprawdę za dziecko, nadawał swym listom postać miłych lekcji adresowanych do uczennicy. Musiała zatem zmienić ich ton: "moja droga przyjaciółko" stało się "moim drogim sercem"; pouczenia, których jej udzielał, zostały złagodzone przez pochlebne dopiski, a inne dopiski dawały do zrozumienia, jaką to rolę natchnienia i muzy urzeczonego poety odegrała Bettina.

Jeszcze bardziej stanowczo potraktowała własne listy. Nie, nie zmieniała ich tonu, ton był właściwy. Ale na przykład zmieniała daty (aby poznikały długie przerwy w korespondencji, które zadałyby kłam stałości ich uczucia), usunęła wiele fragmentów nieodpowiednich (na przykład ten, w którym błaga Goethego, by nie pokazywał jej listów nikomu), inne rozwinęła, opisującym zdarzeniom przydała więcej dramatyzmu, dodała głębi swoim opiniom o polityce i sztuce, zwłaszcza gdy mowa była o muzyce Beethovena.

Ukończyła książkę w 1835 roku i wydała ją pod tytułem “Goethes Briefwechsel mit einem Kinde” (“Korespondencja Goethego z dzieckiem”). Nikt nie podawał w wątpliwość autentyczności listów aż do roku 1929, w którym odkryto i wydano korespondencję oryginalną.

Ach, dlaczego jej w porę nie spaliła?

Proszę postawić się na jej miejscu: niełatwo jest spalić intymne, drogie nam papiery; to tak jakby przyznać, że wasz czas się skończył, że jutro umrzecie; toteż akt zniszczenia odkładacie wciąż do jutra, i pewnego dnia jest już za późno.

Człowiek liczy na nieśmiertelność, a zapomina liczyć się ze śmiercią.

Koniec wieku stwarza nam dystans, dzięki któremu możemy chyba śmiało powiedzieć: postać Goethego tkwi dokładnie w środku europejskiej historii. Goethe: wspaniały punkt środkowy, centrum. Centrum nie jako trwożliwy punkt, brzydzący się obu punktów końcowych, lecz centrum solidne, które utrzymuje je oba w świetnej równowadze, jakiej Europa nigdy więcej nie osiągnie. W młodości Goethe studiował jeszcze alchemię, lecz później staje się pionierem współczesnej nauki; jest największym Niemcem, będąc przy tym antypatriotą i Europejczykiem; choć jest kosmopolitą, prawie nigdy nie wyjeżdża poza swą prowincję, poza swój malutki Weimar; jest człowiekiem Natury i zarazem człowiekiem Historii. W miłości jest tyleż libertynem, co romantykiem. I to jeszcze:

Przypomnijmy sobie Agnes w windzie poruszanej wstrząsami jak w tańcu świętego Wita. Mimo że jest ekspertem od cybernetyki, Agnes nie potrafiła wytłumaczyć sobie, co dzieje się w technicznej głowie urządzenia, które pozostawało dla niej równie obce i ciemne, jak mechanizmy wszystkich przedmiotów spotykanych każdego dnia, od małego komputera stojącego przy telefonie począwszy, na zmywarce skończywszy.

Goethe żył natomiast w takiej chwili historycznej, krótkiej i jedynej, gdy poziom techniczny pozwalał już na pewien komfort, lecz człowiek wykształcony mógł jeszcze zrozumieć wszystkie otaczające go przyrządy. Goethe wiedział, z czego i w jaki sposób został zbudowany jego dom, dlaczego lampa oliwna daje światło, znał mechanizm swego teleskopu; bez wątpienia nie miał dość śmiałości, by wykonywać operacje chirurgiczne, lecz przy kilku z nich asystował i mógł prowadzić fachowe rozmowy z lekarzem, który go leczył. Świat przedmiotów technicznych był dla niego czytelny i przejrzysty. Tak wyglądała wielka goetheańska minuta w środku historii Europy, minuta, która pozostawiła bolesną bliznę w sercu człowieka uwięzionego w trzęsącej się i roztańczonej windzie.

Dzieło Beethovena zaczyna się tam, gdzie kończy się wielka minuta Goethego. Świat z wolna traci przejrzystość, ciemnieje, staje się nieczytelny, pędzi ku nieznanemu, podczas gdy człowiek przez świat zdradzony ucieka w swe wnętrze, w nostalgię, w marzenia, w swój bunt i, ogłuszony bolesnym krzykiem, który w nim wzbiera, nie słyszy już głosów wołających go z zewnątrz. Krzyk wewnętrzny był dla Goethego nieznośnym zgiełkiem. Nienawidził hałasu. Jest to powszechnie wiadome. Nie znosił nawet psiego ujadania dochodzącego z głębi odległego ogrodu. Powiada się, że nie lubił muzyki. Nieprawda. Nie lubił orkiestr. Uwielbiał Bacha, który pojmował muzykę jeszcze jako przejrzyste brzmienie niezależnych i wyraźnych głosów. Ale w symfoniach Beethovena poszczególne głosy instrumentów stapiały się w jedną dźwiękową ciemność złożoną z

krzyków i płaczu. Goethe nie znosił wrzaskliwości orkiestry, podobnie jak nie znosił hałaśliwych szlochów duszy. Kompani Bettiny wyczytali wstręt w oczach boskiego Goethego, który obserwował ich, zatykając sobie uszy. Nie mogli mu tego wybaczyć i napadali na niego jako na wroga duszy, buntu i uczucia.

Siostra poety Brentano, małżonka poety Arnima, wielbicielka Beethovena Bettina, osoba z romantycznej rodziny, była przyjaciółką Goethego. Jej miejsce nie miało sobie podobnych: była panią na dwóch królestwach.

Jej książka wyglądała na wspaniały hołd złożony Goethemu. Wszystkie jej listy były jedną wielką “pieśnią” miłości do niego. Zgoda; ponieważ jednak wszyscy wiedzieli, że pani Goethe zrzuciła na ziemię okulary Bettiny i że Goethe haniebnie zdradził wówczas zakochane dziecko, książka była jednocześnie (i o wiele bardziej) “lekcją” miłości udzieloną poecie, który w obliczu wielkiego uczucia zachował się jak tchórzliwy pedant i sprzedał namiętność za nędzny małżeński spokój. Książka Bettiny była hołdem i zarazem batem.

W roku śmierci Goethego opowiedziała w liście do przyjaciela Hermanna von Pückler-Muskau, co wydarzyło się pewnego letniego dnia dwadzieścia lat wcześniej. Jeśli dać jej wiarę, dowiedziała się o tym od samego Beethovena. W roku 1812 (zatem w rok po czarnym roku stłuczonych okularów) Beethoven przyjechał na kilka dni do Karlsbadu, gdzie po raz pierwszy spotkał Goethego. Odbyli wspólny spacer. Kiedy szli alejką, nagle pojawiła się przed nimi cesarzowa w towarzystwie rodziny i dworu. Goethe, dostrzegłszy orszak i przestając słuchać tego, co mówił mu Beethoven, przystanął, ustąpił z drogi i zdjął kapelusz. Natomiast Beethoven wcisnął swój kapelusz głębiej, zmarszczył grube brwi, które urosły o parę dalszych centymetrów, i, nie zwalniając kroku, szedł arystokratom naprzeciw; i to oni zatrzymali się, to oni go przepuścili i złożyli mu ukłon. Dopiero wtedy odwrócił się, by poczekać na Goethego. Powiedział mu wówczas, co myśli o jego służalczym zachowaniu. Zbeształ go jak zwykłego smarkacza.

Czy scena ta rzeczywiście się wydarzyła? Czy też Beethoven ją wymyślił? W całości? Czy tylko ją nieco ubarwił? A może ubarwiła ją Bettina? Nikt nigdy się nie dowie. Jest jednak pewne, że pisząc list do Hermanna von Pücklera, dobrze pojmowała nieocenioną wartość tej anegdoty, jak żadna inna zdolnej ujawnić najgłębszy sens historii miłości między nią a Goethem. Jak wszakże ją rozpowszechnić? W swoim liście pyta Hermanna von Pücklera: „Podoba ci się ta historyjka? «Kannst Du sie brauchen»? Możesz ją wykorzystać?” Ale że von Pückler nie ma zamiaru jej wykorzystać, Bettina nosi się najpierw z zamiarem wydania całej korespondencji, którą prowadziła z hrabią, aż wreszcie znajduje o wiele lepsze rozwiązanie: w 1839 roku ogłasza w piśmie „Athenaum” list, w którym historię opowiada sam Beethoven! Oryginał listu z roku 1812 nigdy nie został odnaleziony. Istnieje jedynie kopia pisana ręką Bettiny. Kilka szczegółów (na przykład dokładna data listu) wskazuje, że Beethoven nigdy listu nie napisał, lub przynajmniej nie napisał tak, jak skopiowała go Bettina. Nieistotne jednak, czy chodzi tu o falsyfikat, czy półfalsyfikat, anegdota zyskała rozgłos i wszystkich urzekła. Nagle wszystko stało się jasne: nie przypadkiem od wielkiej miłości wołał Goethe parówkę: podczas gdy Beethoven jest człowiekiem zbuntowanym, idącym prosto przed siebie w kapeluszu wciśniętym na czoło i z rękami założonymi na plecach, Goethe to człowiek uległy, który kłania się w pas na poboczu alejki.

Bettina studiowała muzykę, skomponowała nawet kilka utworów, i powinna rozumieć, co nowego i pięknego było w muzyce Beethovena. Postawię jednak pytanie: czy muzyka Beethovena ujęła ją sobą samą, swoimi nutami? Czy raczej tym, co “przedstawiała”, inaczej mówiąc mglistym pokrewieństwem z postawami i ideami, które wyznawała Bettina i jej pokolenie? Czy miłość do sztuki, gdy wszystko dobrze rozważyć, w ogóle istnieje i kiedykolwiek istniała? Czy nie jest złudzeniem? Kiedy Lenin głosił, że ponad wszystko kocha “Appassionatę” Beethovena, co kochał naprawdę? Co słyszał? Muzykę? Czy szlachetny zgiełk, który przypominał mu uroczyste poruszenia jego duszy zakochanej we krwi, w braterstwie, w szubienicy, w sprawiedliwości i w absolicie? Słyszał muzykę czy dawał się tylko ponieść marzeniu, które ze sztuką ani z pięknem nie miało nic wspólnego? Wróćmy jednak do Bettiny: pociągał ją Beethoven muzyk czy Beethoven wielki Anty-Goethe? Czy kochała jego muzykę dyskretną miłością, tą, która wiąże nas z magiczną metaforą, ze spotkaniem dwóch kolorów na obrazie? Czy ową zdobywczą pasją, nakazującą wstępować do partii politycznej? Jakkolwiek było (a nigdy się nie dowiemy jak), Bettina przesłała światu obraz Beethovena idącego prosto przed siebie, w kapeluszu wciśniętym na czoło, i ten obraz dalej już sam podążał przez wieki.

W roku 1927, sto lat po śmierci Beethovena, niemieckie pismo “Die literarische Welt” poprosiło najwybitniejszych kompozytorów o określenie, czym był dla nich Beethoven. Redakcja nie wyobrażała sobie nawet, jaka pośmiertna egzekucja spotka człowieka z kapeluszem wciśniętym na oczy: Auric, członek Grupy Sześciu, wydał oświadczenie w imieniu wszystkich przyjaciół: Beethoven był im do tego stopnia obojętny, że nie zasługiwał nawet na bunt. Czy mógłby zostać któregoś dnia na nowo odkryty, zrehabilitowany, tak jak to się stało sto lat wcześniej z Bachem? Wykluczone! Śmieszne! Janáček również potwierdził, że dzieło Beethovena nigdy go nie zachwycało. A Ravel podsumował: nie lubił Beethovena, gdyż jego sława płynęła nie z muzyki, rzecz jasna, niedoskonalej, lecz z legendy literackiej wysnutej z jego biografii.

Legenda literacka. W tym przypadku opiera się ona na dwóch kapeluszach: jednym, głęboko wciśniętym na czoło aż po krzaczaste brwi, drugim, trzymanym w rękę przez mężczyznę, który składa niski ukłon. Prestidigitatorzy lubią się posługiwać kapeluszami. Sprawiają, że znikają w nich przedmioty, albo sami wyciągają z nich gołębicę, które wlatują pod sufit. Bettina wyciągnęła z kapelusza Goethego brzydkie ptaki usługowości; sprawiła zaś (zapewne tego nie chcąc) że w kapeluszu Beethovena zniknęła cała jego muzyka. Wyzaczyła Goethemu los Tychona de Brahe i Cartera: śmieszna nieśmiertelność. Ale śmieszna nieśmiertelność czyha na nas wszystkich;

dla Ravela Beethoven idący wprost przed siebie w kapeluszu wciśniętym na czoło był o wiele śmieszniejszy niż Goethe, który składał niski ukłon.

A zatem, jeśli nawet można kształtować nieśmiertelność, modelować ją zawczasu, manipulować nią, nigdy nie urzeczywistni się ona w postaci, w jakiej została zamierzona. Kapelusz Beethovena stał się nieśmiertelny. Pod tym względem zamiar się spełnił. Ale znaczenia, jakiego nabierze nieśmiertelny kapelusz, nikt nie mógł przewidzieć.

15.

- Widzi pan, Johannie - powiedział Hemingway - ja również nie mogę uciec od ich ciągłych oskarżeń. Zamiast czytać moje książki, książki o mnie piszą. Podobno nie kochałem moich małżonek. Nie dość zajmowałem się synem. Dałem w pysk pewnemu krytykowi. Brakowało mi powagi. Byłem pyszałkiem. Byłem "macho". Chwaliłem się dwustu trzydziestoma ranami z wojny, a tymczasem miałem ich tylko dwieście sześć. Masturbowałem się. Byłem niedobry dla mamusi.

- No, a co pan myśli, to jest nieśmiertelność - powiedział Goethe. - Nieśmiertelność jest wiecznym procesem sądowym.

- Jeśli to ma być wieczny proces, trzeba prawdziwego sędziego! A nie wiejskiej nauczycielki z dyscypliną w łapie.

- Dyscyplina, którą wymachuje wiejska nauczycielka, to właśnie jest wieczny proces. A pan co sobie wyobrażał, Erneście?

- Niczego sobie nie wyobrażałem. Miałem jedynie nadzieję, że po śmierci będę mógł żyć w spokoju.

- Uczynił pan wszystko, by zostać nieśmiertelnym.

- Gadanie. Pisałem książki i już.

- Właśnie! - parsknął Goethe.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby moje książki były nieśmiertelne. Napisałem je tak, aby nie można było zmienić w nich ani słowa. Zrobiłem wszystko, żeby przetrwały wszelkie niepogody. Ale jako człowiek, jako Ernest Hemingway, mam gdzieś nieśmiertelność!

- Rozumiem pana, Erneście. Tyle że powinien pan być zachować większą ostrożność, kiedy pan żył. Teraz już niewiele można poradzić.

- Większą ostrożność? Czy to przytyk do moich przechwałek? Prawda, za czasów młodości byłem jak kogut. Robiłem z siebie widowisko. Upajałem się opowieściami krążącymi na mój temat. Ale proszę mi wierzyć; choć tak próżny, nie byłem przecież potworem, a o nieśmiertelności wcale nie marzyłem! W dniu, w którym pojąłem, że to ona czyha na mnie, ogarnęła mnie panika. Setki razy nakłaniałem ludzi, by przestali się mieszać w moje życie. Lecz im dłużej nakłaniałem, tym było gorzej. Aby im się wymknąć, osiadłem na Kubie. Kiedy dali mi Nobla, odmówiłem wyjazdu do Sztokholmu. Gdzieś miałem nieśmiertelność, mówię panu, i powiem jeszcze więcej: w dniu, w którym stwierdziłem, że to ona bierze mnie w ramiona, odczułem przerażenie większe niż przerażenie samą śmiercią. Człowiek może położyć kres swojemu życiu. Ale nieśmiertelności kresu położyć nie może. Skoro wzięła już pana na pokład,

nigdy nie zdoła zejść pan z powrotem na ląd, i nawet jeśli strzeli pan sobie w łeb jak ja, pozostanie pan na pokładzie z tym pańskim samobójstwem i to jest potworne, Johannie, potworne. Byłem martwy, leżałem na mostku, a wokół siebie widziałem moje cztery przycupnięte żony, zapisujące wszystko to, co o mnie wiedzą, a za nimi stał mój syn, który też pisał, i Gertruda Stein, ta stara wiedźma, też tam była i pisała, i byli tam wszyscy moi przyjaciele, i opowiadali wszystkie plotki i oszczerstwa, jakie kiedykolwiek na mój temat słyszeli, a za nimi cisnęła się setka dziennikarzy z wycelowanymi mikrofonami, a we wszystkich uniwersytetach Ameryki armia profesorów już to klasyfikowała, analizowała, rozwijała, produkując tysiące artykułów i setki książek.

Hemingway drżał i Goethe ujął go za rękę. - Erneście, niechże się pan uspokoi. Proszę się uspokoić, drogi przyjacielu. Rozumiem pana. To, o czym pan opowiada, przypomina mi pewien sen. Był to mój ostatni sen, nigdy potem już nie śniłem albo miałem sny tak niewyraźne, że nie potrafiłem ich odróżnić od rzeczywistości. Niech pan sobie wyobrazi małą salkę w teatrze lalek. Stoję za sceną, poruszam lalkami i sam recytuję tekst. To przedstawienie "Fausta". Mojego "Fausta". A propos, czy wie pan, że "Faust" najpiękniej wychodzi w teatrze lalek? I dlatego byłem szczęśliwy, że nie ma aktorów i że mogę sam recytować strofy, które owego dnia brzmiały piękniej niż kiedykolwiek. A potem nagle spojrzałem na salę i stwierdziłem, że jest pusta. Zbiło mnie to z tropu. Gdzie się podziali widzowie? Czy mój "Faust" jest tak nudny, że wszyscy wyszli? Czy nie zasługuję nawet na gwizdy? Rozejrzałem się zakłopotany dookoła i osłupiałem: spodziewałem się ich na sali, a oni wszyscy stali za sceną! Spoglądali na mnie chciwie, wytrzeszczając oczy. Kiedy tylko nasze spojrzenia się zetknęły, zaczęli klaskać. I pojąłem, że przyszli oglądać nie marionetki, lecz mnie samego! Nie "Fausta", lecz Goethego! I wówczas ogarnęło mnie przerażenie bardzo podobne do tego, o którym pan wspominał przed chwilą. Poczułem, że chcę, abym coś powiedział, lecz nie mogłem się na to zdobyć. Ze ściśniętym gardłem rzuciłem lalki na jasno oświetloną scenę, na którą nikt nie patrzył. Starłem się zachować godny spokój; podszedłem do wieszaka, zdjąłem kapelusz, włożyłem go na głowę i, nie zwracając uwagi na gapiów, poszedłem do domu. Zmuszałem się, by nie rozglądać się na boki, a zwłaszcza by nie patrzeć w tył, bo wiedziałem, że depczą mi po piętach. Przekręciłem klucz, otworzyłem masywne drzwi mojego domu i szybko je za sobą zatrzasnąłem. Zapaliłem oliwną lampkę i niosąc ją w drżącej dłoni poszedłem do gabinetu, z nadzieją że przy mojej kolekcji minerałów zapomnę o tym nieszczęsnym zdarzeniu. Ledwo jednak postawiłem lampkę na stole, wzrok mój padł na okno: i zobaczyłem jedną przy drugiej ich stłoczone twarze. Wówczas pojąłem, że nigdy się ich nie pozbędę, już nigdy, nigdy, nigdy. Po ich wielkich, wpatrzonych we mnie oczach domyśliłem się, że lampa oświetla moją twarz. Zdmuchnąłem ją, świadom, iż popełniam błąd: odtąd już będą wiedzieli, że ukrywam się przed nimi, że się boję, i dopiero się rozbestwią. Że jednak strach wyparł już rozsądek, pobiegłem do sypialni, zerwałem z łóżka prześcieradło, przykryłem nim głowę i wcisnąłem się w kąt pokoju, kurczowo tuląc do ściany...

Hemingway i Goethe odchodzą po drózkach zaświatów, a wy mnie pytacie, skąd pomysł, by zetknąć ich ze sobą? Czy w ogóle można wymyślić bardziej arbitralną parę? Nie mają ze sobą nic wspólnego! No to co? A z kim, według was, wolałby Goethe spędzać czas w zaświatach? Z Herderem? Z Holderlinem? Z Bettiną? Z Eckermannem? Proszę sobie przypomnieć Agnes i jej wstręt na myśl, że po śmierci przyjdzie jej słuchać wciąż tych samych kobiecych głosów, które za każdym razem słyszała w saunie. Nie pragnęła również spotkać się z Paulem ani z Brigitte. Dlaczego zatem Goethe miałby tęsknić do pośmiertnej obecności Herdera? Śmiem nawet twierdzić, że nie miał też żadnej ochoty spotkać Schillera. Oczywiście za życia nigdy by się do tego nie przyznał; jak smutno byłoby przecież stwierdzić, że nie miało się w życiu żadnego przyjaciela. Schiller był z pewnością jego najdroższym przyjacielem. Najdroższy znaczy wszakże droższy od innych, którzy, mówiąc szczerze, nie byli mu szczególnie drodzy. Byli jego współczesnymi, nie wybierał ich. Nawet Schillera nie wybrał. Któregoś dnia musiał sobie uzmysłować, że będzie ich miał wokół siebie przez całe życie i wówczas trwoga ścisnęła mu serce. Cóż robić, trzeba było się z tym pogodzić. Ale dlaczego miałby sobie życzyć widywać ich po śmierci?

Toteż z całkowicie bezinteresownej miłości wyobraziłem sobie, że dam mu za towarzysza kogoś, kto potrafiłby go ująć (jeśli zapomnieliście, przypomnę, że Goethe był za życia niezwykle Ameryką zaciekawiony), kogoś, kto nie przypominałby mu koterii bladolicych romantyków, która pod koniec jego żywota podbiła Niemcy.

- Wie pan, Johannie - powiedział Hemingway - wielkie to dla mnie szczęście przebywać w pańskim towarzystwie. Ludzie drżą przed panem z szacunku, toż moje własne żony i nawet ta starucha Gertruda Stein na pański widok uciekają gdzie pieprz rośnie. - I wybuchnął śmiechem: - Chyba że to z powodu pańskiego dziwnego stroju!

Aby uczynić słowa Hemingwaya zrozumiałymi, muszę dodać, że nieśmiertelni mają prawo wybrać na spacer po zaświatach ulubiony spośród wszystkich wyglądy fizycznych, jakie mieli w życiu. A Goethe wybrał swój domowy wygląd z ostatnich lat życia; nikt, poza bliskimi, takim go nie widział: dla ochrony piekących oczu nosił na czole zielony przezroczysty daszek, przywiązany do głowy wstążeczką; na nogach miał papucie, a z obawy przed zaziębieniem otulał się ogromnym pstrokatym szalem.

Kiedy usłyszał o swoim dziwnym stroju, roześmiał się zadowolony, tak jakby Hemingway obdarzył go wielką pochwałą. Potem pochylił się w jego stronę i powiedział półgłosem: - Wystroiłem się tak z powodu Bettiny. Gdziekolwiek idzie, opowiada o swojej wielkiej do mnie miłości. Chcę zatem, żeby ludziska widzieli obiekt tej miłości! Gdy tylko spostrzeże mnie

z daleka, bierze nogi za pas. I wiem, że trzęsie się z wściekłości, widząc, że przechadzam się w tej postaci: bez zębów, bez włosów i z tym groteskowym czymś nad oczyma. Cześć trzeciaWalkaSiostry

Stacja radiowa, której słucham, jest państwowa i nie nadaje reklam, lecz wiadomości i komentarze przerywane najnowszymi przebojami. Stacja sąsiednia jest prywatna, więc reklamy zastępują muzykę, ale są one tak podobne do najnowszych przebojów, że nie wiem już, której stacji słucham, tym bardziej że co chwila zasypiam na nowo. Pograżony w półśnie, dowiaduję się, że od zakończenia wojny na drogach Europy zginęły dwa miliony ludzi, a we Francji średnia roczna wynosi dziesięć tysięcy ofiar i trzysta tysięcy rannych, cała armia beznogich, bezrękich, bezuchych i ślepych. Oburzony tym potwornym bilansem, poseł Bertrand Bertrand (o nazwisku pięknym jak kołysanka) zaproponował zastosowanie nadzwyczajnych środków, ale że w tym właśnie momencie na dobre ogarnął mnie sen, poznałem je dopiero pół godziny później, gdy powtarzano tę samą wiadomość: poseł Bertrand Bertrand, którego nazwisko jest piękne jak kołysanka, złożył w parlamencie projekt zakazujący wszelkiej reklamy piwa. W parlamencie wybuchła wielka wrzawa, wielu posłów sprzeciwiło się projektowi, a poparli ich przedstawiciele radia i telewizji, dla których podobny zakaz oznaczałby duże straty. Następnie słyszę głos samego Bertranda Bertranda: mówi o walce ze śmiercią, walce o życie. Słowo "walka", powtórzone w czasie krótkiego wystąpienia pięć razy, przypomina mi moją starą ojczyznę, Pragę, czerwone sztandary, plakaty, walkę o szczęście, walkę o sprawiedliwość, walkę o przyszłość, walkę o pokój; walkę o pokój aż do zniszczenia wszystkich przez wszystkich, jak dopowiadała skrzętnie czeska ludowa mądrość. Ale znowu zasypiam (za każdym razem, gdy pada nazwisko Bertranda Bertranda, chwytam mnie słodki sen), a gdy się budzę, trafiam na pogadankę dla ogrodników i przesuwam gałkę na stację sąsiednią. Mowa jest tutaj o pośle Bertrandzie Bertrandzie i zakazie wszelkiej reklamy piwa. Powoli zaczynam pojmować związki logiczne: ludzie zabijają się w samochodach niczym na polu bitewnym, lecz nie można zakazać używania pojazdów, które są dumą współczesnego człowieka; pewien procent katastrof jest dziełem pijanych kierowców, lecz nie można zakazać picia wina, nieśmiertelnej chwały Francji; powszechne pijaństwo jest w części sprawką piwa, lecz piwa również nie da się zakazać, gdyż byłoby to pogwałceniem międzynarodowych traktatów o wolnym handlu; pewien procent piwoszy zachęcają do picia kampanie reklamowe, co wreszcie odsłania piętę achillesową: i właśnie w reklamę dzielny poseł postanowił wymierzyć cios! Niech żyje Bertrand Bertrand, mówię do siebie, ale że imię to działa na mnie niczym kołysanka, od razu zapadam w sen aż do chwili, w której rozlega się dobrze znany głos, ujmujący atlasowy głos; tak, to redaktor Bernard, który, jakby nie było dzisiaj żadnych wiadomości poza kroniką wypadków, opowiada: zeszłej nocy pewna dziewczyna usiadła na szosie plecami w stronę nadjeżdżających samochodów. Kolejne trzy

pojazdy wyminęły ją w ostatniej chwili i wylądowały w rowie; są ofiary i ranni. Nie osiągnąwszy celu, samobójczyni odeszła i przepadła bez śladu, a o jej istnieniu dowiedzieć się można było tylko ze zbieżnych świadectw poszkodowanych. Wiadomość ta przeraża mnie do tego stopnia, że nie mogę już zasnąć. Nie pozostaje mi nic innego jak wstać, zjeść śniadanie i zasiąść do maszyny. Ale jeszcze długo nie potrafię się skupić, przed oczyma mam dziewczynę skuloną na drodze, z głową między kolanami, i słyszę krzyki dochodzące z rowu. Muszę siłą usunąć z myśli ten obraz, by dalej pisać moją powieść, która, jeśli pamięć wam dopisuje, zaczęła się na brzegu basenu, gdy, czekając na profesora Avenariususa, zobaczyłem nieznaną kobietę żegnającą instruktora pływania. Ponownie zobaczyliśmy ten gest, gdy Agnes żegnała swego nieśmiałego kolegę z klasy. Wykonywała go za każdym razem, gdy którykolwiek z kolegów odprowadzał ją do furtki. Mała Laura chowała się za krzakiem i czekała na powrót siostry; chciała zobaczyć, jak wymieniają pocałunek, a potem pójść za Agnes, gdy będzie już samotnie podchodzić do drzwi wejściowych. Czekala na chwilę, w której Agnes odwróci się i wyrzuci w górę rękę. W tym ruchu kryła się magicznie ulotna idea miłości, o której Laura nie wiedziała nic i która pozostanie dla niej na zawsze związana z obrazem uroczej i czulej starszej siostry.

Kiedy Agnes przyłapała Laurę na powtarzaniu tego gestu w chwili rozstania z koleżankami, poczuła się nieswojo i, jak wiemy, od tamtej pory postanowiła żegnać swych znajomych w sposób oszczędny, bez demonstracyjnych gestów. Ta krótka historia gestu pozwala nam określić mechanizm rządzący związkiem między obiema siostrami: młodsza naśladowała starszą, wyciągała ku niej ręce, lecz starsza w ostatniej chwili zawsze się jej wymykała.

Po zdaniu matury Agnes pojechała na dalszą naukę do Paryża. Laura miała jej za złe, że porzuciła krajobrazy, które obie kochały, lecz i ona po maturze pojechała na studia do Paryża. Agnes poświęciła się matematyce. Gdy skończyła studia, wszyscy przepowiadali jej błyskotliwą karierę naukową; zamiast jednak oddać się nauce Agnes poślubiła Paula i przyjęła propozycję banalnej, choć dobrze płatnej pracy bez chwalebnej przyszłości. Laura cierpiała nad tym i gdy tylko dostała się do konserwatorium, postanowiła naprawić niepowodzenie siostry i zdobyć sławę zamiast niej.

Któregoś dnia Agnes przedstawiła jej Paula. Dokładnie w chwili spotkania Laura usłyszała, jak ktoś niewidzialny mówi do niej: "Voilà un homme! Prawdziwy. Jedyny. Nie ma takiego drugiego w świecie." Kim był niewidzialny mówca? Może samą Agnes? Tak. To ona wskazywała młodszej siostrze drogę, zarazem drogę tę jej zagradzając.

Agnes i Paul byli bardzo mili dla Laury i otoczyli ją tak serdeczną opieką, że czuła się w Paryżu jak w rodzinnym mieście. Zanurzona w ich rodzinnej atmosferze przeżywała szczęście, które nie było wolne od melancholii: jedyny mężczyzna, jakiego mogła pokochać, był zarazem

jedynym, który został jej zakazany. Gdy dzieliła ich małżeńskie życie, chwile szczęścia mieszały się z napadami smutku. Milkła, jej spojrzenie ginęło w pustce i Agnes brała ją za rękę, mówiąc: “Co ci jest, Lauro? Co ci jest, siostrzyczko?” W takich momentach i z takim samym wzruszeniem za rękę chwycił ją niekiedy Paul i cała trójka zanurzała się w rozkosznej kąpieli przemieszanych uczuć: braterstwa i miłości, miłosierdzia i zmysłów.

Później wyszła za męża. Córka Agnes, Brigitte, miała dziesięć lat i Laura postanowiła jej podarować malutkiego kuzyna albo kuzyneczkę. Poprosiła męża, by uczynił ją brzemienną, i mąż bez trudu wywiązał się z zadania, lecz rezultat był rozpaczkliwy: Laura poroniła i lekarze ostrzegli ją, że jeśli nie podda się kilku poważnym operacjom, nie będzie mogła mieć dzieci. Ciemne okulary

Agnes zbkikowała na punkcie ciemnych okularów, gdy chodziła jeszcze do liceum. Nosiła je nie po to, by chronić oczy przed słońcem, lecz żeby wyglądać ładnie i tajemniczo. Okulary stały się jej konikiem: niektórzy mężczyźni mają szafę pełną krawatów, niektóre kobiety wypełniają szkatułki biżuterią, a Agnes zbierała ciemne okulary.

Natomiast Laura zaczęła używać ciemnych okularów nazajutrz po poronieniu. Nosiła je wówczas niemal stale, tłumacząc się przed przyjaciółmi: “Nie miejcie mi tego za złe, płacz oszpecił mi twarz, nie mogę się bez nich pokazywać.” Od tej pory okulary oznaczały dla niej żałobę. Nie nosiła ich po to, by ukryć łzy, lecz aby oznajmić, że płacze. Okulary stały się namiastką łez, mając nad prawdziwymi łzami tę przewagę, że nie niszczyły powiek, które już nie czerwieniały i nie puchły, i że były o wiele bardziej twarzowe.

To również Agnes zaszczerpiła Laurze zamiłowanie do ciemnych okularów. Jednak historia ciemnych okularów pokazuje poza wszystkim, że nie należy sprowadzać związku między obiema siostrami do naśladowania starszej przez młodszą. Laura naśladowała Agnes, owszem, lecz zarazem ją poprawiała: nadawała ciemnym okularom głębszą treść, zmuszając ciemne okulary Agnes do, by tak rzec, rumieńców wstydu za swą frywolność. Gdy Laura pokazywała się w ciemnych okularach, zawsze oznaczało to, że cierpi, i Agnes czuła, że przez skromność i delikatność powinna zdjąć swoje.

Historia ciemnych okularów ujawnia jeszcze jedno: Agnes zdawała się wybranką Fortuny, Laura jej nie chcianą kochanką. Obie uwierzyły, że wobec losu nie są równe, co chyba jeszcze bardziej bolało Agnes niż Laurę. “Moja siostrzyczka jest we mnie zakochana i ma pecha”, mówiła Agnes. Dlatego z taką radością przyjęła Laurę w Paryżu i przedstawiła jej Paula, prosząc go, by obdarzył ją przyjaźnią; dlatego wystarała się dla Laury o przyjemne mieszkanie w sąsiedztwie i dlatego zapraszała siostrę do siebie, gdy tylko podejrzewała, że jest jej smutno. Wszystko jednak na próżno; to ona pozostawała wciąż tą, którą Fortuna niesprawiedliwie wyróżniała, a Laura tą, której Fortuna nie chciała pokochać.

Laura miała wielki talent do muzyki, bardzo dobrze grała na fortepianie, lecz uparła się, że w konserwatorium studiować będzie śpiew. “Gdy gram na fortepianie, staję przed obcym i wrogim przedmiotem. Muzyka należy nie do mnie, lecz do czarnego instrumentu, który stawia mi czoło. Ale kiedy śpiewam, moje ciało przemienia się w ton i staję się muzyką.” Nie było jej winą, że miała niestety zbyt słaby głos, który przyniósł jej klęskę: nie została solistką i przez resztę życia jej muzyczne ambicje ograniczyły się do śpiewania w amatorskim chórze, do którego chodziła dwa razy w tygodniu na próby kilku corocznych koncertów.

Także jej małżeństwo, w które włożyła całą dobrą wolę, rozpadło się po sześciu latach. To prawda, że bardzo zamożny małżonek musiał zostawić jej piękne mieszkanie i wypłacić znaczne odszkodowanie; pozwoliło ono Laurze kupić sklep z futrami, gdzie sprzedawała futra ze znanostwem, które wszystkich zaskoczyło; ale sukces ten był zbyt przyziemny, by mógł wynagrodzić krzywdę doznaną na poziomie o wiele wyższym, bo duchowym i uczuciowym.

Po rozwodzie często zmieniała kochanków, uchodziła za kobietę namiętą i sprawiała wrażenie, że swoje miłości znosi niczym krzyż. “Miałam w życiu wielu mężczyzn”, mawiała często poważnym i melancholijnym tonem, jak gdyby uskarżała się na los.

- Zazdroszczę ci - odpowiadała Agnes i Laura wkładała na znak smutku ciemne okulary.

Podziw, jaki odczuwała w dzieciństwie na widok Agnes żegnającej się z przyjaciółmi przed furką, nigdy nie zniknął, i nie umiała ukryć rozczarowania, gdy pewnego dnia zrozumiała, że siostra rezygnuje z wszelkiej naukowej kariery.

- Co masz mi do zarzucenia? - pytała Agnes broniąc się. - Ty, zamiast śpiewać w operze, sprzedajesz futra, a ja, zamiast jeździć z kongresu na kongres, zajmuję przyjemnie nieistotne stanowisko w instytucie informatycznym.

- Ale ja zrobiłam co w mej mocy, żeby tylko śpiewać. Tymczasem ty świadomie porzuciłaś swoje ambicje. Ty się poddałaś.

- A po co miałabym robić karierę?

- Agnes! Mamy tylko jedno życie! Trzeba je udźwignąć! Musimy przecież coś po sobie zostawić!

- Zostawić coś po sobie? - powtórzyła Agnes zdziwionym i sceptycznym tonem.

Laura odczuła sprzeciw aż do bólu:

- Agnes, jesteś negatywna!

Zarzut ten stawiała siostrze często, lecz tylko w duchu. Na głos wypowiedziała go zaledwie parokrotnie. Ostatnim razem zdarzyło się to po śmierci matki, gdy zobaczyła, że ojciec darł zdjęcia. Postępek ojca był nie do przyjęcia: niszczył on część życia, wspólnego życia z matką; darł obrazy, darł wspomnienia, które były nie tylko jego, lecz należały do całej rodziny, a już

zwłaszcza do córek: nie miał prawa tego robić. Zaczęła na niego krzyczeć i Agnes stanęła w obronie ojca. Gdy zostały same, pokłóciły się po raz pierwszy w życiu, z pasją i nienawiścią. “Jesteś negatywna! Jesteś negatywna!”, wykrzyknęła Laura, po czym, płacząc z wściekłości, włożyła ciemne okulary i wyjechała. Ciało

Słynny malarz Salvador Dali i jego żona Gala byli już w bardzo podeszłym wieku, gdy oswoili królika, który zamieszkał z nimi i nie odstępował ich na krok; kochali go bardzo. Pewnego dnia mieli wyjechać w długą podróż i zastanawiali się do późna w nocy, co począć z królikiem. Trudno było zabrać go ze sobą, lecz jeszcze trudniej komuś powierzyć, gdyż królik był nieufny. Nazajutrz Gala przygotowała obiad i Dali rozkoszował się daniem, dopóki nie zrozumiał, że zjada potrawkę z królika. Wstał od stołu i pobiegł do muszli klozetowej z wymiotować swoje ukochane zwierzątko, wiernego towarzysza sędziwych lat. Natomiast Gala była szczęśliwa, że jej ukochany przeniknął w jej wnętrze, długo je żywił i stał się ciałem swej pani. Nie знаła bardziej absolutnego spełnienia miłości niż spożycie ulubieńca. Akt miłosny, porównany z takim złączeniem ciał, wydawał się jej żalną zachcianką.

Laura była niczym Gala. Agnes była niczym Dali. Lubiła wielu ludzi, mężczyzn i kobiety, lecz gdyby jakaś dziwna przyjacielska umowa nałożyła na nią obowiązek zajmowania się ich nosami i regularnego dbania o nie, wolałaby żyć bez przyjaciół. Laura, wiedząc o tym wstręcie, pouczała siostrę: “Co znaczy sympatia, którą do kogoś czujesz? Jak z tej sympatii możesz wykluczyć ciało? Czy bez ciała człowiek jest jeszcze człowiekiem?”

Tak, Laura była niczym Gala: całkowicie tożsama z własnym ciałem, świetnie w nie wpasowana. I ciało nie było tylko tym, co dało się zobaczyć w lustrze: jego najcenniejsza część spoczywała w środku. Toteż Laura wyznaczała w swym słowniku najlepsze miejsce dla nazw organów wewnętrznych. Chcąc wyrazić rozpacz, w której dzień wcześniej pograżył ją kochanek, mówiła: “Gdy tylko wyszedł, zebrało mi się na wymioty.” Mimo licznych aluzji do wymiotów Agnes nie była pewna, czy jej siostra kiedykolwiek wymiotowała. Wymioty nie były jej prawdą, lecz jej poezją: metaforą, lirycznym obrazem rozczarowania i niesmaku.

Pewnego dnia, gdy poszły po zakupy do sklepu z bielizną, Agnes spostrzegła, że Laura głaszcze biustonosz, który jej podała sprzedawczyni. W takich właśnie chwilach rozumiała, co ją od siostry dzieli: dla Agnes biustonosz należał do przedmiotów mających naprawić fizyczną ułomność, podobnie jak opatrunki, protezy, okulary, gipsowe kołnierze, które noszą chorzy po urazie kręgow szyjnych. Biustonosz ma na celu podtrzymanie czegoś cięższego, niż to przewidziano, czego ciężar został źle obliczony i co należy następnie wesprzeć, podobnie jak podpira się słupami i przyporami balkon w źle postawionym budynku. Mówiąc inaczej: biustonosz ujawnia “techniczny” charakter kobiecego ciała.

Agnes zazdrościła Paulowi, że może żyć bez ciągłej świadomości własnego ciała. Wdycha powietrze, wydycha je, jego płuca pracują jak wielki automatyczny miech i podobnie postrzega swe ciało: radośnie o nim zapominając. Nawet jeśli coś mu fizycznie dolega, nigdy o tym nie mówi, nie przez skromność, lecz raczej z próżnego pragnienia elegancji, gdyż choroba jest dlań zwykłą niedoskonałością, której się wstydzi. Przez lata cierpiał na wrzody żołądka, jednak Agnes dowiedziała się o tym dopiero w dniu, gdy karetka zabrała go do szpitala podczas potwornego ataku, który powalił go na ziemię w chwilę po dramatycznej mowie obrończej w sądzie. Ta próżność była śmieszna, lecz wzruszała Agnes, która niemal mu jej zazdrościła.

Mimo że Paul jest nieprzeciętnie próżny, mówiła sobie Agnes, jego zachowanie ukazuje różnicę między kondycją żeńską a kondycją męską: kobieta spędza o wiele więcej czasu na rozmowie o fizycznych dolegliwościach; nie wie, co to beztroska niepamięć o ciele. Wszystko rozpoczyna się wraz z pierwszymi miesięcznymi krwawieniami; nagle jej ciało jest i ona staje przed nim niczym mechanik, który ma sam nadzorować pracę małej fabryki: musi co miesiąc nosić podpaski, połykać proszki, poprawiać biustonosz, być gotową do produkcji. Agnes z zazdrością myślała o starych mężczyznach: ciało jej ojca niepostrzeżenie zamieniało się w swój cień, dematerializowało się, pozostając tu, na ziemi, już tylko jako nonszalancko wcielona dusza. Ciało kobiety, przeciwnie, im bardziej staje się niepotrzebne, tym bardziej staje się ciałem: ciężkim i obecnym; przypomina starą manufakturę przeznaczoną do rozbiórki, przy której jednak ja kobiety zmuszone jest tkwić w roli stróża aż do końca.

Co mogłoby zmienić stosunek Agnes do własnego ciała? Nic poza chwilą podniecenia. Podniecenie: ulotne odkupienie ciała.

Ale i z tym twierdzeniem Laura by się nie zgodziła. Chwila odkupienia? Jak to chwila? Dla Laury ciało jest erotyczne od pierwszej chwili, a priori, zawsze i w całości, z samej swej istoty. Kochać kogoś znaczyło dla niej: przynosić mu swoje ciało, składać swoje ciało przed nim, ciało, jakim ono jest i na zewnątrz, i wewnątrz, nawet łącznie z czasem, który łagodnie, powoli je psuje.

Dla Agnes ciało nie było erotyczne. Erotycznym stawało się w rzadkich tylko chwilach, gdy podniecenie rzucało na nie sztuczne, nierealne światło, które czyniło je pięknym i pożądanym. I dlatego, choć niemal nikt tego nie podejrzewał, miłość fizyczna prześladowała Agnes i pociągała, gdyż bez niej nędza ciała nie miałaby żadnego wyjścia awaryjnego. Kochając się, otwierała oczy i jeśli w pobliżu znajdowało się lustro, patrzyła na siebie: jej ciało zdawało się wówczas oblane światłem.

Ale patrzeć na ciało oblane światłem to zdradliwa zabawa. Pewnego dnia, gdy była ze swym kochankiem, Agnes spostrzegła w lustrze kilka usterek swego ciała, które umknęły jej uwagi podczas poprzedniego spotkania (spotykali się raz lub dwa razy do roku, w wielkim anonimowym

paryskim hotelu) i nie potrafiła oderwać od nich wzroku: nie widziała już kochanka, nie widziała już kopulujących ciał, widziała jedynie starość, która zaczęła ją trawić. Podniecenie szybko opuściło pokój. Agnes przymknęła oczy i przyśpieszyła miłosne ruchy, by partner nie, mógł odgadnąć jej myśli: postanowiła właśnie, że jest to ich ostatnie spotkanie. Czowała się słaba i zatęskniła za małżeńskim łóżem, przy którym lampka zawsze była zgaszona; pragnęła go jak pocieszenia, jak przystani ciemności. Dodawanie i odejmowanie

W naszym świecie, w którym każdego dnia pojawia się coraz więcej coraz bardziej podobnych do siebie twarzy, człowiek nie ma łatwego zadania, jeśli chce potwierdzić przed sobą oryginalność swego ja i skutecznie przekonać siebie o jego niepowtarzalności. Są dwie metody uprawiania niepowtarzalności ja: metoda “dodawania” i metoda “odejmowania”. Agnes odejmuje od swego ja to wszystko, co jest zewnętrzne i zapożyczone, aby w ten sposób zbliżyć się do swej czystej istoty (ryzykując, że w wyniku kolejnego odejmowania otrzyma zero). Metoda Laury jest dokładnie odwrotna: aby uwidocznić ją, ułatwić jego uchwycenie, aby zwiększyć jego objętość, nieustannie dodaje do niego nowe przymioty, z którymi próbuje się utożsamić (ryzykując, że pod sumą przymiotów utraci istotę ja).

Weźmy dla przykładu jej kotkę. Po rozwodzie Laura pozostała sama w wielkim mieszkaniu i poczuła smutek. Chciała dzielić z kimś swą samotność, choćby z jakimś zwierzątkiem. Myślała najpierw o przygarnięciu psa, lecz wkrótce zrozumiała, że pies wymaga troski, którą nie byłaby zdolna go otoczyć. Toteż wzięła kotkę. Była to wielka kotka syjamska, piękna i złośliwa. Żyjąc z nią pod jednym dachem i wciąż opowiadając o niej przyjaciołom, Laura zaczęła przywiązywać do kotki, wybranej raczej przypadkowo i bez większego przekonania (w końcu najpierw chciała mieć psa!), coraz większe znaczenie: wychwalała wszędzie jej zalety, zmuszając wszystkich, aby ją podziwiali. Widziała w niej piękną niezależność, dumę, swobodę ruchu i trwałość uroku (zupełnie innego niż urok ludzki, którego chwile przeplatają się z momentami niezdarności i niezgrabności); widziała w kotce wzór; widziała w niej siebie.

Jest zupełnie bez znaczenia, czy Laura swym charakterem przypomina kotkę, czy też nie; ważne, że wrysowała ją w swój herb i że kotka stała się jednym z przymiotów jej ja. Ponieważ wielu jej kochanków drażnił widok tego egocentrycznego i nieżyczliwego zwierzęcia, plującego i drapiącego bez powodu, kotka stała się testem na władzę Laury, która zdawała się mówić każdemu: będziesz mnie miał, lecz taką, jaka jestem, to znaczy z moją kotką. Kotka była obrazem jej duszy i kochanek musiał najpierw uznać jej duszę, jeśli chciał następnie posiadać ciało.

Metoda dodawania jest całkiem przyjemna, gdy do własnego ja dodaje się psa, kotkę, pieczeń wieprzową, miłość do oceanu lub zimne prysznice. Rzecz staje się mniej sielankowa, jeśli do ja postanawia się dodać umiłowanie komunizmu, ojczyzny, Mussoliniego, Kościoła

katolickiego, ateizmu, faszyzmu albo antyfaszyzmu. W obu przypadkach metoda pozostaje dokładnie ta sama: ten, kto uporczywie broni wyższości kotów nad innymi zwierzętami, postępuje w istocie tak samo jak ten, kto ogłasza Mussoliniego jedynym zbawicielem Włoch: wychwala przymiot swojego ja i posługuje się wszystkim, by przymiot ten (kotka bądź Mussolini) został uznany i pokochany przez całe jego otoczenie.

Tak przedstawia się dziwny paradoks, którego ofiarami padają ci wszyscy, co uprawiają swoje ja metodą dodawania: poprzez dodawanie usiłują oni stworzyć ja jedyne i niepowtarzalne; lecz stając się propagatorami dodawanych przymiotów, czynią zarazem wszystko, by jak największa liczba ludzi była do nich podobna; i wówczas niepowtarzalność ich ja (zdobywana z takim mozołem) natychmiast pryska.

Możemy przeto zapytać, dlaczego człowiek, który kocha kotkę (albo Mussoliniego), nie zadowala się swą miłością i chce narzucić ją jeszcze innym. Spróbujmy odpowiedzieć, wspominając kobietę z sauny, bojowo głoszącą upodobanie do zimnych pryszniców. Właśnie w ten sposób udało jej się od razu odróżnić siebie od tej połowy rodzaju ludzkiego, która woli prysznicie ciepłe. Nieszczęście polega na tym, że druga połowa ludzkości stała się tym bardziej do niej podobna. Ach, jakież to smutne! Wielu ludzi, mało idei; co więc czynić, by odróżnić siebie od innych? Młoda nieznajoma знаła jeden tylko sposób, by przewyciężyć swe niefortunne podobieństwo do niezliczonych tłumów wielbicieli zimnego prysznicu: należało od progu sauny wykrzyknąć co sił swe upodobanie ("uwielbiam zimne prysznic!"), by miliony innych kobiet, które lubią zimne prysznicie, okazały się nagle jej nędnymi naśladowczyniami. Innymi słowy: jeśli chcemy, by miłość (niewinnie nieistotna) do prysznicu stała się przymiotem naszego ja, należy podać do wiadomości całego świata nasz zamiar walki o tę miłość.

Ten, kto z miłości do Mussoliniego czyni przymiot swego ja, zostaje działaczem politycznym; ten, kto wielbi koty, muzykę lub stare meble, rozdaje przyjaciołom prezenty.

Przypuśćmy, że macie przyjaciela, który kocha Schumanna i nie znosi Schuberta, podczas gdy wy kochacie Schuberta do szaleństwa, a Schumann śmiertelnie was nudzi. Jaka płytę podarujecie przyjacielowi na jego urodziny? Schumanna, za którym on przepada, czy Schuberta, za którym przepadacie wy? Oczywiście Schuberta. Ofiarowując płytę Schumanna, mielibyście niemiłe poczucie, że jesteście nieszczerzy, że dajecie przyjacielowi rodzaj łapówki, by mu się przypodobać, powodowani małostkowym niemal pragnieniem zdobycia jego uznania. W końcu skoro już dajecie prezent, to z miłości, po to, by ofiarować część was samych, kawałek waszego serca! Toteż wręczycie "Niedokończoną Symfonię" Schuberta i przyjaciel po waszym wyjściu włoży rękawiczki, napluje na płytę, chwyci ją w dwa palce i wyrzuci do śmieci.

Na przestrzeni kilku lat Laura podarowała siostrze i szwagrowi zastawę stołową, kompotiere, lampę, fotel bujany, pięć czy sześć popielniczek, obrus i przede wszystkim pianino, które pewnego dnia dwóch barczystych osiłków wniosło bez uprzedzenia, pytając, gdzie je postawić. Laura promieniała: “Chciałam dać wam prezent, który każe wam o mnie myśleć, nawet gdy mnie z wami nie ma.”

Po rozwodzie Laura spędzała u siostry wszystkie wolne chwile. Zajmowała się Brigitte niczym własną córką; pianino kupiła głównie po to, by jej siostrzenica nauczyła się grać. Ale Brigitte nie znosiła pianina. W obawie że Laura może poczuć się urażona, Agnes błagała córkę, by się poświęciła i okazała czarnym oraz białym klawiszom odrobinę uczucia. Brigitte broniła się: “To ja mam się uczyć grać dla jej przyjemności?” Toteż cała historia źle się skończyła i po kilku miesiącach pianino stało się wyłącznie przedmiotem ozdobnym czy raczej natrętnym; melancholijnym wspomnieniem o poronionym projekcie; wielkim białym (tak, pianino było białe) cielskiem, którego nikt nie chciał.

Prawdę mówiąc, Agnes nie lubiła ani pianina, ani zastawy stołowej, ani bujanego fotela. Nie żeby przedmioty te były niegustowne; miały one w sobie coś ekscentrycznego, co nie odpowiadało ani naturze Agnes, ani jej smakowi. Odczuła zatem nie tylko szczerą przyjemność, lecz wręcz egoistyczną ulgę, gdy pewnego dnia (pianina od sześciu lat nikt już nie dotknął) Laura, cała w skowronkach, oznajmiła jej, że zakochała się w Bernardzie, młodym przyjacielu Paula. Kobieta przeżywająca właśnie wielką miłość, myślała Agnes, będzie miała coś lepszego do roboty niż znoszenie siostrze prezentów i zajmowanie się kształceniem siostrzenicy. Starsza kobieta, młodszy mężczyzna

- To nadzwyczajna nowina - powiedział Paul, gdy Laura zwierzyła mu się ze swej miłości, i zaprosił obie siostry na kolację. A ponieważ miłość dwóch osób, które sam kochał, była dla niego wielką radością, zamówił dwie butelki najdroższego wina.

- Zwiążesz się z jednym z największych rodów we Francji - wyjaśnił Laurze. - Czy wiesz, kim jest ojciec Bernarda?

Laura powiedziała: - Oczywiście! Posłem! - Na co Paul: - Ty nic nie wiesz! Poseł Bertrand Bertrand jest synem posła Arthura Bertranda. Ten, bardzo dumny ze swego rodowego nazwiska, zapragnął, by jego syn jeszcze bardziej je rozślawił. Długo się wahał, jakie dać mu imię, i wpadł na genialny pomysł, by nazwać go Bertrandem. Podwojone w ten sposób nazwisko nikomu nie pozwoli na obojętność i nikt nie będzie mógł go zapomnieć! Wystarczy powiedzieć tylko Bertrand Bertrand, aby nazwisko rozbrzmiało jak owacja, jak wiwat: Bertrand! Bertrand! Bertrand! Bertrand! Bertrand! Bertrand!

Przy tych słowach Paul wznosił kieliszek, jakby skandował imię wodza wielbionego przez tłumy i pił za jego zdrowie. Pociągnął łyk. - To wino jest doskonale - stwierdził i mówił dalej: - Każdy z nas pozostaje pod tajemnym wpływem własnego nazwiska i Bertrand Bertrand, słysząc wielokrotnie w ciągu dnia rytmiczne dźwięki swojego, poczuł, jak całe jego życie pęka pod ciężarem urojonej chwały czterech harmonijnych sylab. Gdy oblał maturę, wziął to sobie do serca o wiele bardziej niż jego koledzy. Tak jakby jego podwojone nazwisko automatycznie podwoiło poczucie odpowiedzialności. Jego przysłowiowa skromność pozwoliłaby mu znieść hańbę, którą się okrył, ale nie mógł się pogodzić z hańbą, która okryła jego nazwisko. Kiedy miał dwadzieścia lat, uroczyście obiecał swemu nazwisku, że poświęci życie walce o dobro. Ale wnet stwierdził, że trudno jest odróżnić to, co dobre, od tego, co złe. Na przykład jego ojciec Arthur głosował wraz z większością posłów za układem monachijskim. Chciał ratować pokój, gdyż pokój bezsprzecznie jest dobrem. Ale później wyrzucano mu, że tym samym otworzył drogę wojnie, która bezsprzecznie jest złem. Chcąc uniknąć błędów ojca, syn przestrzegał kilku podstawowych zasad. Nigdy nie wypowiadał się na temat Palestyńczyków, Izraela, Rewolucji Październikowej, Fidela Castro i nawet na temat terroryzmu, wiedząc, że poza pewną granicą zabójstwo staje się czynem heroicznym, a on granicy tej nigdy nie potrafi rozpoznać. Z tym większą pasją występuje przeciwko Hitlerowi, przeciwko nazizmowi, przeciwko komórkom gazowym i w pewnym sensie żałuje, że Hitler zginął w ruinach Kancelarii, począwszy bowiem od tego dnia dobro i zło stały się nieznośnie względne. Wszystko to skłoniło go do poświęcenia się dobru w jego najbardziej bezpośrednim, jeszcze nie skażonym przez politykę wymiarze. Za swoją dewizę uznał: "Dobrem jest życie." Toteż celem jego istnienia stała się walka z aborcją, z eutanazją, z samobójstwami.

Laura zaprotestowała ze śmiechem: - Robisz z niego debila!

- Widzisz - powiedział Paul do Agnes - ona już broni rodziny swego kochanka. Zasługuje to na najwyższą pochwałę, podobnie jak wino, którego wybór powinniście nagrodzić owacją! Podczas niedawnego programu o eutanazji Bertrand Bertrand dał się sfilmować przy łóżku paralityka ślepego z amputowanym językiem, cierpiącego na wieczne bóle. Siedział przy łóżku, pochylając się nad chorym, i kamera pokazywała, jak ożywia go nadzieją na lepsze jutro. W chwili gdy wymawiał po raz trzeci słowo "nadzieja", chory, nagle rozczulony, wydał z siebie długi i przeraźliwy wrzask podobny do krzyku zwierzęcia, konia, byka, słonia czy wszystkich trzech naraz, i Bertrand Bertrand się przestraszył: zaniemówił i próbował jedynie, nadludzkim wysiłkiem, utrzymać uśmiech, a kamera długo filmowała ten zastygły uśmiech trzęsącego się ze strachu posła, i wraz z nim, w tym samym ujęciu, wyjąca twarz konającego. Ale nie o tym chciałem mówić. Chciałem wam powiedzieć, że wybierając synowi imię rzeczywiście pokpił sprawę. Najpierw zamierzał dać mu imię Bertrand, lecz szybko musiał przyznać, że dwóch Bertrandów Bertrandów

na tym padole to już groteska, ponieważ ludzie nigdy nie byliby pewni, czy chodzi o dwie, czy o cztery osoby. Nie chciał jednak zrezygnować ze szczęścia, jakim byłoby słyszeć w imieniu latorośli echo własnego imienia, i tak wpadł na pomysł, by nazwać swego syna Bernardem. Niestety Bernard Bertrand nie brzmi jak owacja czy wiwat, lecz jak bełkot czy raczej jedno z ćwiczeń wymowy, które wykonują aktorzy i spikerzy radiowi, żeby nauczyć się mówić szybko i bez pomyłek. Jak wspomniałem, imiona, które nosimy, sterują nami zdalnie i tajemnie, a imię Bernarda od kołyski predestynowało go do występowania na falach radiowych.

Paul wygłaszał te niedorzeczności tylko dlatego, że nie śmiał przy szwagierce wyrazić na głos nurtującej go myśli: osiem lat, zachwycało go osiem lat różnicy między Laurą a młodym Bernardem! Paul zachował przecież świetlane wspomnienie o kobiecie, starszej od niego o piętnaście lat, z którą się związał, gdy sam miał lat dwadzieścia pięć. Chciał o tym opowiedzieć, chciał wyjaśnić Laurze, że każdy mężczyzna powinien przeżyć miłość do starszej od siebie kobiety i że żadna inna miłość nie pozostawia równie drogocennego wspomnienia. Starsza kobieta, miał ochotę wykrzyknąć ponownie wznosząc kieliszek, jest ametystem w życiu mężczyzny! Ale zrezygnował z tego nieprzemysłanego gestu i zadowolił się niemym wspomnieniem dawnej kochanki, która powierzyła mu klucze do swego mieszkania, dokąd mógł przychodzić, kiedy chciał, i gdzie mógł robić, co chciał, a okazało się to tym większą wygodą, że Paul był w złych stosunkach z ojcem i pragnął przebywać u niego możliwie jak najrzadziej. Nie uzurpowała sobie prawa do jego wieczorów; przychodził do niej, jeśli nie był zajęty, a gdy nie miał czasu się z nią spotkać, nie musiał składać żadnych wyjaśnień. Nigdy go nie zmuszała do wyjścia w swoim towarzystwie, a gdy widziano ich razem, zachowywała się jak zakochana krewniaczka gotowa zrobić wszystko dla swego czarującego kuzynka. Gdy się ożenił, dała mu okazały prezent, który dla Agnes na zawsze pozostał tajemnicą.

Ale nie mógł przecież powiedzieć Laurze: jestem szczęśliwy, że mój przyjaciel kocha starszą kobietę, która będzie się przy nim zachowywać niczym ciotka zakochana w swym uroczym kuzynku. Było to tym mniej możliwe, że Laura znów zabrała głos:

- Najpiękniejsze, że w jego towarzystwie czuję się młodsza o dziesięć lat. Dzięki niemu wykreśliłam z mego życia dziesięć czy piętnaście niedobrych lat: mam wrażenie, że dopiero wczoraj przyjechałam ze Szwajcarii i go spotkałam.

Wyznanie to przeszkodziło Paulowi w głośnym przywołaniu ametystu; zachował zatem wspomnienia dla siebie i zadowolił się smakiem wina, nie słuchając słów Laury. Dopiero później spytał, chcąc powrócić do rozmowy: - Co ci powiedział Bernard o swoim ojcu?

- Nic - odpowiedziała Laura. - Mogę cię zapewnić, że jego ojciec nie jest tematem naszych rozmów. Wiem, że należą do wielkiego rodu. Ale wiesz chyba, co myślę o wielkich rodach.

- I nie chciałybyś się dowiedzieć czegoś więcej?

- Nie - powiedziała Laura, śmiejąc się wesoło.

- Powinnaś. Bertrand Bertrand jest podstawowym problemem Bernarda Bertranda.

- Na pewno nie! - wykrzyknęła Laura, przekonana, że sama jest podstawowym problemem Bernarda.

- Czy wiesz, że stary Bertrand przeznaczał Bernarda do kariery politycznej? - spytał Paul.

- Nie - odpowiedziała Laura, wzruszając ramionami.

- W tej rodzinie dziedziczy się karierę polityczną, tak jak dziedziczy się posiadłość.

Bertrand Bertrand był pewny, że kiedyś jego syn zacznie się ubiegać zamiast niego o mandat poselski. Ale Bernard w wieku lat dwudziestu usłyszał w radiu taką wiadomość: "Katastrofa lotnicza nad Atlantykiem. Zginęło stu trzech pasażerów, w tym siedmioro dzieci i czterech dziennikarzy." To, że w podobnym przypadku wspomina się o dzieciach jako o szczególnym i cennym gatunku ludzkości, już od dawna nas nie dziwi. Ale gdy tym razem spikerka do dzieci dołączyła dziennikarzy, Bernard doznał olśnienia. Rozumiejąc, że polityk jest dzisiaj postacią śmieszną, postanowił zostać dziennikarzem. Przypadek chciał, że w tamtych czasach prowadziłem na wydziale prawa seminarium, na które chodził. I tam dokonała się ostatecznie zdrada ojca. Czy Bernard mówił ci o tym?

- Oczywiście! - odparła Laura. - On cię uwielbia!

Do sali wszedł Murzyn z koszykiem kwiatów. Laura przywołała go ręką. Murzyn pokazał wspaniałe białe zęby i Laura, wyjąwszy z koszyka bukiet z pięciu na wpół zwiędłych goździków, podała go Paulowi: - To tobie zawdzięczam całe moje szczęście.

Paul zanurzył rękę w koszyku i wyciągnął drugi bukiet goździków. - Dzisiaj jest nie moje, lecz twoje święto - powiedział, wręczając jej kwiaty.

- Tak, dzisiaj jest święto Laury - powiedziała Agnes, wyciągając z koszyka trzeci bukiet goździków.

Laura miała wilgotne oczy: - Czuję się tak dobrze, czuję się z wami tak dobrze - powiedziała i wstała. Przyciskając oba bukietki do piersi, zastygła w bezruchu obok Murzyna, który wyprężył się dumnie jak król. Wszyscy Murzyni podobni są do królów: ten był jak Otello, nim poczuł zazdrość o Desdemonę, a Laura była niczym Desdemona zakochana w swoim królu. Paul wiedział, co się niechybnie wydarzy. Kiedy Laura była pijana, zawsze zaczynała śpiewać. Z głębi jej ciała żądza śpiewu wznosiła się powoli ku gardłu z taką siłą, że kilku gości odwróciło z zaciekawieniem głowy.

- Lauro - mruknął Paul - w tej restauracji nie docenią chyba twojego Mahlera!

Z bukietami przyciśniętymi do piersi Laura czuła się jak na scenie operowej. Zdawało jej się, że pod palcami czuje nabrzmiałe melodię sutki. Ale prośba Paula była dla niej zawsze rozkazem. Usłyszała i tylko westchnęła: - Tak bardzo chciałabym coś zrobić...

Wówczas Murzyn, wiedziony subtelnym instynktem królów, wyjął z dna koszyka dwa ostatnie bukietki zgniecionych goździków i wzniosłym gestem wręczył je Laurze. - Agnes - powiedziała Laura - najdroższa Agnes, gdyby nie ty, nigdy nie przyjechałabym do Paryża, gdyby nie ty, nigdy nie poznałabym Paula, gdyby nie Paul, nigdy nie poznałabym Bernarda - i złożyła przed nią na stole wszystkie cztery bukietki. Jedenaste przykazanie

Kiedyś za symbol dziennikarskiej sławy uchodzić mogło wielkie nazwisko Hemingwaya. Całe jego dzieło, podobnie jak oszczędny i zwięzły styl, wyrasta z reportaży, które młody Ernest Hemingway wysyłał do gazet w Kansas City. Być dziennikarzem znaczyło wówczas być bliżej niż ktokolwiek inny realiów życia, szperać we wszystkich jego zakamarkach, zanurzać w nich ręce i je brukać. Hemingway był dumny, że pisze książki, które są tak bardzo przyziemne i zarazem tak wysoko zawieszane na firmamencie sztuki.

Gdy Bernard zastanawia się nad słowem "dziennikarz" (mianem, które w dzisiejszej Francji nadaje się także ludziom radia, telewizji oraz fotografom prasowym), nie o Hemingwayu myśli, a gatunkiem literackim, w którym pragnie celować, nie jest reportaż. Marzy mu się raczej pisanie dla jakiegoś znanego tygodnika artykułów wstępnych, przed którymi trzęsłaby się cała ojcowska konfraternia. Albo robienie wywiadów. Któż zresztą jest pionierem nowoczesnego dziennikarstwa? Nie jest to jakiś Hemingway opowiadający o przeżyciach w okopach ani ktoś spoufalony z praskimi kurwami jak Egon Erwin Kisch, ani jakiś Orwell, spędzający cały rok z paryskimi nędzarnikami, lecz Oriana Fallaci, która między rokiem 1969 a 1972 opublikowała we włoskim magazynie "Europeo" serię wywiadów z najsłynniejszymi politykami naszych czasów. Wywiady te były czymś więcej niż zwykłymi wywiadami; były pojedynkami. Zanim wszechmocni politycy zdolali pojąć, że prowadzą nierówną walkę - bowiem to nie oni, lecz ona stawiała pytania - leżeli już znokautowani na deskach ringu.

Pojedynki były znakiem czasu: sytuacja się zmieniła i dziennikarze pojęli, że zadawanie pytań jest nie tylko metodą pracy reportera, pokornie zbierającego materiał z notatnikiem w ręku, lecz prawdziwym sposobem sprawowania władzy. Dziennikarzem nie jest ten, kto stawia pytania, lecz ten, kto zachowuje święte prawo do ich stawiania, stawiania ich komukolwiek i na jakikolwiek temat. Czy jednak wszyscy nie mamy tego prawa? Czy wszelkie pytanie nie jest pomostem zrozumienia przerzucanym od człowieka do człowieka? Być może. Uściślam zatem moje twierdzenie: władza dziennikarza nie opiera się na prawie do stawiania pytań, lecz na prawie do "wymagania" odpowiedzi.

Zechciejcie, proszę, zauważyć, że Mojżesz nie umieścił “nie kłam” wśród dziesięciu przykazań Boga. To żaden przypadek! Albowiem ten, kto mówi: “nie kłam”, musiał wcześniej powiedzieć: “odpowiedz!”, a przecież Bóg nie przyznał nikomu prawa do wymagania od bliźniego odpowiedzi. “Nie kłam!”, “mów prawdę!” to rozkazy, jakich człowiek nie powinien wydawać drugiemu człowiekowi, póki uważa go za siebie równego. Mógłby to czynić jedynie może Bóg, ale On nie ma żadnego powodu, by tak postępować, gdyż wie wszystko i nasze odpowiedzi w ogóle nie są mu potrzebne.

Nierówność między tym, kto rządzi, a tym, kto musi okazywać posłuszeństwo, nie jest tak głęboka jak między tym, kto ma prawo do wymagania odpowiedzi, a tym, kto ma obowiązek odpowiadać. Dlatego też prawo do wymagania odpowiedzi było zawsze przyznawane wyjątkowo. Na przykład sędziemu, który wdraża postępowanie sądowe. W naszym stuleciu prawa tego udzieliły sobie państwa komunistyczne i faszystowskie, i to nie w wyjątkowych wypadkach, lecz na stałe. Obywatele tych krajów wiedzieli, że w każdej chwili mogą być zmuszeni do odpowiedzi: co robili wczoraj? co sobie w istocie myślą? o czym rozmawiają z A? czy utrzymują intymne związki z B? I ten właśnie uświęcony nakaz: “nie kłam! mów prawdę!”, to jedenaste przykazanie, którego sile nie potrafili się oprzeć, przemieniły ich w zastęp dziecięcych facetów. Czasami trafiał się jednak jakiś C, który z uporem odmawiał odpowiedzi na pytanie, o czym rozmawiał z A; chcąc wyrazić swój sprzeciw (często był to jedyny możliwy sprzeciw!), zamiast mówić prawdę kłamał. Ale policja wiedziała o tym i zakładała u niego podsłuch. Nie kierował nią żaden karygodny motyw, lecz zwykle pragnienie poznania prawdy, którą kłamca C ukrywał. Trzymała się po prostu swego świętego prawa do wymagania odpowiedzi.

W kraju demokratycznym każdy obywatel pokazałby język policjantowi, który śmiałyby go spytać, o czym rozmawiał z A i czy utrzymuje intymne związki z B. Jednakże i tutaj działa wszechwładna siła jedenastego przykazania. W stuleciu, w którym Dekalog został niemal zapomniany, musi przecież działać choć jedno przykazanie! Cała moralna budowla naszej epoki spoczywa na jedenastym przykazaniu, i dziennikarz zrozumiał, że to on ma nim zarządzać; że takie jest tajemne rozporządzenie Historii, która dzisiaj powierza mu władzę, o jakiej nie śmiał dotąd marzyć żaden Hemingway, żaden Orwell.

Stało się to jasne jak słońce w dniu, w którym amerykańscy dziennikarze Carl Bernstein i Bob Woodward zdemaskowali swoimi pytaniami karygodne postępowanie prezydenta Nixona podczas kampanii wyborczej, zmuszając w ten sposób najpotężniejszego na naszym globie człowieka najpierw do publicznego kłamstwa, następnie do publicznego przyznania się do kłamstwa, wreszcie do opuszczenia z pochyloną głową Białego Domu. Wszyscyśmy zgodnie wówczas klaskali, gdyż sprawiedliwości stało się zadość. A Paul klaskał dlatego jeszcze, że w

epizodzie tym przeczuł wielką historyczną przemianę, przekroczenie progu, niezapomnianą zmianę warty: oto pojawiła się nowa siła, jedyna zdolna obalić starego profesjonalistę władzy, jakim był dotychczas polityk. I obalić go nie tyle bronią czy intrygą, lecz zwykłą siłą pytania.

“Powiedz prawdę!” - domaga się dziennikarz, a my oczywiście możemy się zastanawiać, co oznacza słowo “prawda” dla kogoś, kto zarządza instytucją jedenastego przykazania? Aby uniknąć nieporozumień, podkreślmy, że nie chodzi ani o prawdę Boga, za którą zginął na stosie Jan Hus, ani o prawdę naukową, za którą spalono później Giordana Bruna. Prawda, jakiej domaga się jedenaste przykazanie, nie dotyczy ani wiary, ani myśli, jest to prawda z najniższego ontologicznego piętra, czysto pozytywistyczna prawda rzeczy: co C porabiał wczoraj; co naprawdę sobie myśli; o czym mówi, gdy spotyka się z A; i czy utrzymuje intymne związki z B. Choć jednak położona na najniższym ontologicznym piętrze, jest ona prawdą naszej epoki i zawiera tę samą wybuchową siłę, co niegdyś prawda Jana Husa czy Giordana Bruna. “Czy utrzymuje pan intymne związki z B?” pyta dziennikarz. C odpowiada kłamstwem, twierdząc, że nigdy nie znał żadnej B. Ale dziennikarz śmieje się w kułak, gdyż już dawno temu reporter jego gazety potajemnie zrobił zdjęcie zupełnie nagiej B w ramionach C, i tylko od niego zależy, czy wywoła publiczny skandal, dorzucając w nagrodę wypowiedź kłamcy C, który tyleż tchórzliwie, co bezczelnie wypiera się znajomości z B.

Trwa kampania wyborcza, polityk wskakuje do helikoptera, z helikoptera do samochodu, miota się i poci, obiad połyka w biegu, wrzeszczy do mikrofonów, wygłasza dwugodzinne przemówienia, lecz o tym, które z pięćdziesięciu tysięcy wypowiedzianych zdań ukaże się w gazetach lub będzie cytowane w radiu, zadecyduje ostatecznie jakiś Woodward czy Bernstein. Toteż polityk pragnie wystąpić osobiście w radiu lub w telewizji, ale wówczas nie może się obejść bez udziału jakiejś Oriany Fallaci, która poprowadzi program i zada pytania. Chcąc dobrze spożytkować krótką chwilę, gdy obejrzeć go może cały naród, polityk będzie się śpieszył z powiedzeniem wszystkiego, co mu leży na sercu, ale Woodward pytać go będzie o sprawy, które politykowi na sercu w ogóle nie leżą i o których wolałby się nie wypowiadać. Znajdzie się wówczas w klasycznej sytuacji ucznia przy tablicy i posłuży się starym chwytem: udając, że odpowiada na pytanie, w rzeczywistości wyrzuci z siebie zdania przygotowane przed programem w domu. Kiedyś takim sposobem potrafił zwieść nauczyciela, lecz nie zwiedzie Bernsteina, który go bezlitośnie zbeszta: “Nie odpowiedział pan na moje pytanie!”

Kto chciałby dzisiaj robić karierę polityczną? Kto chciałby być pytany przy tablicy o całe swoje życie? Na pewno nie syn pośła Bertranda Bertranda. Imagologia

Polityk zależy od dziennikarza. Ale od kogo zależą dziennikarze? Od tych, którzy im płacą. A płacą im agencje reklamowe, kupujące dla swych ogłoszeń miejsca w gazetach lub czas w

radiu. Należałoby więc sądzić, że bez wahania powinny się one zwracać do wszystkich dzienników, których szerokie rozpowszechnienie promuje sprzedaż danego produktu. Ale jest to sąd naiwny. Sprzedaż produktu ma mniejsze znaczenie, niż się twierdzi. Wystarczy pomyśleć o tym, co się dzieje w krajach komunistycznych: niepodobna przecież stwierdzić, że miliony plakatów z Leninem porzlepiane wszędzie na waszej drodze wzmogą waszą miłość do Lenina. Agencje reklamowe partii komunistycznej (sławetne wydziały agitacji i propagandy) dawno zapomniały o swym praktycznym zadaniu (szerzyć miłość do systemu komunistycznego) i stały się swoim własnym celem: stworzyły język, sformułowania, estetykę (szefowie tych agencji sprawowali kiedyś absolutną władzę nad sztuką w swoich krajach), szczególny styl życia, który następnie rozwinęły, wylansowały i narzuciły nieszczęsnym narodom.

Wytkniecie mi, że reklama i propaganda nie mają ze sobą nic wspólnego, gdyż ta pierwsza jest na usługach rynku, a ta druga ideologii? Niczego nie rozumiecie. Przecież w Rosji już prawie sto lat temu prześladowani marksiści tworzyli małe nielegalne kółka, w których studiowali wspólnie "Manifest" Marksa; upraszczali jego treść ideologiczną, by ją upowszechnić w innych kółkach, których członkowie, upraszczając z kolei to uproszczenie prostego, przekazywali ją i szerzyli w ten sposób, że marksizm, w chwili gdy stał się znany i potężny na całej planecie, sprowadzał się do zbioru sześciu czy siedmiu sloganów, tak marnie ze sobą powiązanych, że z trudem można je uznać za ideologię. I ponieważ nic, co zostało po Marksie, nie tworzy już "żadnego logicznego systemu idei", lecz jedynie zbiór sugestywnych obrazów i emblematów (uśmiechnięty robotnik z młotem w ręku, Biały podający rękę Żółtemu i Czarnemu, wzlatający gołębek pokoju, itd), mamy prawo mówić o stopniowej, ogólnej i obejmującej cały glob przemianie ideologii w imagologię.

Imagologia! Kto pierwszy ukuł ten mistrzowski neologizm? Paul czy ja? Nieważne. Liczy się to, że istnieje wreszcie słowo, które pozwala zebrać pod jednym dachem zjawiska o tak różnych nazwach jak: agencje reklamowe, doradcy mężów stanu w dziedzinie tak zwanej komunikacji; projektanci sylwetki nowego samochodu albo wyposażenia sali gimnastycznej; twórcy i dyktatorzy mody; fryzjerzy; gwiazdy show businessu narzucające normy fizycznego piękna, które staną się natchnieniem dla wszystkich branż imagologii.

Oczywiście imagolodzy istnieli przed powstaniem potężnych instytucji, znanych nam dzisiaj. Nawet Hitler miał swego osobistego imagologa, który, stojąc przed Führerem, pokazywał mu cierpliwie, jakie gesty powinien wykonać na trybunie, by wprawić tłumy w ekstazę. Gdyby jednak tenże imagolog w wywiadzie udzielonym jakiemuś dziennikarzowi opisał Niemcom Fuhrera, który nie umie odpowiednio machać rękami, nie przeżyłby dłużej niż pół dnia od chwili popełnienia podobnej niedyskrecji. Dzisiaj imagolog nie ukrywa już swej pracy, przeciwnie,

uwielbia o niej mówić, często zamiast swego męża stanu; uwielbia wyjaśniać publicznie, czego próbował nauczyć swego klienta, od jakich nawyków go odzwyczaił, jakie dał mu instrukcje, jakich sloganów i sformułowań użyje on w przyszłości, jakiego koloru będzie jego krawat. Nie powinno nas dziwić to samozadowolenie: w ciągu ostatnich dziesięcioleci imagologia odniosła historyczne zwycięstwo nad ideologią.

Wszystkie ideologie upadły: ich dogmaty zdemaskowano ostatecznie jako iluzje i ludzie przestali brać je poważnie. Komuniści wierzyli na przykład, że rozwój kapitalizmu będzie prowadzić do coraz większej nędzy proletariatu; gdy pewnego dnia odkryli, że wszyscy robotnicy Europy jeżdżą do pracy samochodami, mieli ochotę wykrzyknąć, że rzeczywistość oszukuje. Rzeczywistość była silniejsza niż ideologia. I w tym samym sensie imagologia prześcignęła rzeczywistość: imagologia jest silniejsza niż rzeczywistość, która zresztą od dawna przestała znaczyć dla człowieka to, co znaczyła dla mojej babki, żyjącej w morawskiej wiosce i wiedzącej wszystko z własnego doświadczenia: jak się wypieka chleb, jak się buduje dom, jak się zabija świniaka i jak się wędzi boczek, czym się wypycha pierzynę, co ksiądz proboszcz myśli o świecie i co myśli o nim pan nauczyciel; spotykając się codziennie z mieszkańcami wioski, wiedziała, ile zabójstw popełniono w okolicy w ciągu dziesięciu lat; trzymała rzeczywistość, by tak rzec, pod osobistą kontrolą i nikt nie mógłby jej wmówić, że morawskie rolnictwo świetnie prosperuje, jeśli w domu nie było niczego do jedzenia. Mój paryski sąsiad z klatki schodowej spędza większość czasu za biurkiem, naprzeciw drugiego urzędnika, następnie wraca do domu, włącza telewizor, aby zobaczyć, co dzieje się w świecie, i gdy spiker, komentując ostatni sondaż, powiadamia go, że wedle większości Francuzów Francja przoduje w Europie pod względem bezpieczeństwa (a taki sondaż niedawno przeczytałem), oszalały z radości otwiera butelkę szampana i nigdy się nie dowie, że tego dnia na jego własnej ulicy dokonano trzech włamań i popełniono dwa morderstwa.

Sondaże opinii publicznej są kluczowym instrumentem władzy imagologicznej i pozwalają jej żyć w doskonałej harmonii ze społeczeństwem. Imagolog bombarduje ludzi pytaniami: jak się miewa gospodarka francuska? czy we Francji istnieje rasizm? czy rasizm jest rzeczą dobrą, czy złą? Kto jest największym pisarzem wszechczasów? czy Węgry leżą w Europie, czy w Polinezji? który ze wszystkich mężów stanu jest najbardziej seksowny? A zważywszy na to, że rzeczywistość jest dzisiaj kontynentem mało odwiedzanym i niezbyt, co zresztą słuszne, lubianym, sondaż staje się rodzajem rzeczywistości wyższej; albo, mówiąc inaczej, staje się prawdą. Sondaż opinii publicznej jest parlamentem obradującym stale; jego misją jest wytwarzanie prawdy, można nawet powiedzieć, najbardziej demokratycznej prawdy, jaką kiedykolwiek znano. Ponieważ władza imagologów nigdy nie stanie w sprzeczności z parlamentem prawdy, zawsze będzie miała

słuszność i choć wiem, że wszystko, co ludzkie, mija, nie potrafię sobie wyobrazić siły, która mogłaby władzę tę przełamać.

Mówiąc o związku ideologii z imagologią, chciałbym dodać jeszcze jedno: ideologie były niczym ogromne koła, kręcące się za kulisami i napędzające wojny, rewolucje, reformacje. Koła imagologiczne również się kręcą, lecz ich obroty nie mają żadnego wpływu na Historię. Ideologie prowadziły ze sobą wojny i każda z nich zdolna była wypełnić swoją myślą całą epokę. Imagologia sama organizuje bezgłośną wymianę swych systemów w szybkim rytmie pór roku. Jak powiedziałby Paul: ideolodzy należeli do Historii, królestwo imagologii zaczyna się tam, gdzie kończy się Historia.

Słowo “zmiana”, jakże miłe naszej Europie, nabrało nowego znaczenia; nie określa już ono “nowego szczebla w ciągłym rozwoju” (jak rozumiał je Vico, Hegel czy Marks), lecz “przejście z jednego miejsca na drugie”, ze strony lewej na prawą, ze strony prawej do tyłu, z tyłu na stronę lewą (jak rozumieją je wielcy projektanci mody, wymyślający linię na najbliższy sezon). Imagolodzy postanowili zawiesić ogromne lustro na ścianach klubu, do którego chodzi Agnes, nie po to, by pozwolić gimnastykom na lepszą kontrolę ich ćwiczeń, lecz dlatego, że w tamtym momencie lustro uchodziło za zwycięską liczbę w imagologicznej ruletce. Jeżeli wszyscy, w chwili gdy piszę te słowa, postanowili, że należy uważać filozofa Heideggera za gnidę i łajdaka, to nie dlatego, by jego myśl została w tyle za innymi filozofami, lecz dlatego że w imagologicznej ruletce stał się on chwilowo liczbą przegrywającą, antyideałem. Imagolodzy tworzą systemy ideałów i antyideałów, systemy, które mają krótki żywot, gdyż każdy z nich zostanie wkrótce zastąpiony przez inny; wpływają one jednak na nasze zachowania, nasze poglądy polityczne, nasze wybory estetyczne, na kolor dywanów w salonie i na dobór książek z równą siłą, co dawne systemy ideologów.

Po tych uwagach mogę zawrócić do początku moich rozważań. Polityk zależy od dziennikarza. A od kogo zależą dziennikarze? Od imagologów. Imagolog wymaga od dziennikarza, by jego gazeta (jego stacja telewizyjna lub jego rozgłośnia radiowa) odpowiadała duchowi obowiązującego w danej chwili systemu imagologicznego. I właśnie tego ducha sprawdzają często imagolodzy, gdy mają podjąć decyzję, czy udzielić poparcia tej czy innej gazecie. Pewnego dnia rozpatrywali przypadek stacji radiowej, w której Bernard był redaktorem, a Paul prowadził co sobotę kronikę zatytułowaną “Prawo i prawa”. Obiecali stacji wiele kontraktów reklamowych oraz wielką kampanię z afiszami na cały Paryż, lecz postawili warunki, wobec których dyrektor programowy, znany pod przezwiskiem Grizzly, musiał się ugiąć: wkrótce zadbał on o skrócenie wszystkich komentarzy, aby nie nudzić słuchacza długimi refleksjami; pozwolił, by wypowiedzi jednych redaktorów były przerywane pytaniami innych redaktorów, i przekształcił w ten sposób

monolog w rozmowę; pomnożył do tego stopnia liczbę przerywników muzycznych, że muzyka stanowiła często nawet tło słów, i polecił wszystkim współpracownikom, by nadawali temu, co mówić będą do mikrofonu, zrelaksowaną lekkość, świeżą, młodą i beztroską, tę samą lekkość, która tak upiękaczyła moje poranne sny czyniąc z prognozy pogody niemalże operę buffo. Ponieważ zależało mu zawsze, aby wyglądać w oczach podwładnych na potężnego niedźwiedzia, uczynił, co mógł, dla utrzymania wszystkich miejsc pracy. Ustąpił tylko w jednym. Program zatytułowany "Prawo i prawa" imagolodzy uważali za tak ewidentnie nudny, że odmówili wszelkiej o nim dyskusji, a gdy ktoś o nim wspominał, tylko wybuchali śmiechem, który obnażał ich nazbyt białe zęby. Przynależszy im wycofanie kroniki, Grizzly zawstydził się swego ustępstwa. Wstyd był tym dotkliwszy, że Paul był jego przyjacielem. Błyskotliwy sprzymierzeniec własnych grabarzy

Dyrektor programowy nosił przydomek Grizzly i innego nosić nie mógł: był wielki, powolny, dobrotliwy, lecz każdy wiedział, że gdy wpadł we wściekłość, łapę miał ciężką. Imagolodzy, na tyle bezczelni, by uczyć go jego własnej profesji, wyczerpali całą cierpliwość niedźwiedzia. Siedział przy stoliku w radiowym bufecie i wyjaśniał kilku współpracownikom: - Ci szalbierze od reklamy spadli z księżycy. Nie zachowują się jak normalni ludzie. Gdy mówią wam prosto w oczy najbardziej niemiłe rzeczy, z ich twarzy bije radość. Używają nie więcej niż sześćdziesięciu wyrazów i mówią krótkimi zdaniami, które składają się co najwyżej z czterech słów. Ich wypowiedzi, przetykane paroma niezrozumiałymi pojęciami technicznymi, zawierają jedną, maksimum dwie myśli, prymitywne ze aż strach. Oni nie wstydzą się być sobą; oni nie mają żadnego kompleksu niższości. A jak wiecie, właśnie po tym poznaje się ludzi, którzy mają władzę.

W tej samej mniej więcej chwili w kantynie pojawił się Paul. Widząc go, zgromadzeni poczuli zażenowanie, tym większe, że Paul był wyraźnie w doskonałym humorze. Wziął z lady filiżankę kawy i przysiadł się do kolegów.

W obecności Paula Grizzly zrobił się nieswój. Miał sobie za złe, że go zdradził, i nie zdobył się nawet na odwagę, by mu to wyznać. Porwany przez kolejną falę nienawiści do imagologów, mówił dalej: - Aby zadowolić tych kretynów, musiałbym uczynić z prognozy pogody rozmowę błaznów, lecz czułbym się głupio słysząc w chwilę później, jak Bernard informuje o śmierci setki osób w katastrofie lotniczej. Gotów jestem oddać życie za to, by Francuz dobrze się bawił, ale wiadomości nie są przecież błazenadą.

Wszyscy zdawali się zgadzać, z wyjątkiem Paula, który z radosnym śmiechem prowokatora włączył się do rozmowy: - Grizzly! Imagolodzy mają rację! Tobie wiadomości mylą się z kursami wieczorowymi.

Grizzly przypomniał sobie kronikę Paula, niekiedy dowcipną, lecz zawsze do przesady zawiłą i naszpikowaną nieznanymi słowami, których znaczenia cała redakcja szukała później

ukradkiem w słowniku. Nie chcąc jednak poruszać jeszcze tej kwestii, odpowiedział z wielką godnością: - Zawsze miałem o dziennikarstwie wysokie mniemanie i nie zamierzam zmieniać zdania.

Paul ciągnął: - Słuchać wiadomości to tak jak palić papierosa, a potem go wyrzucić.

- Właśnie z tym trudno mi się pogodzić.

- Przecież jesteś nałogowym palaczem! Dlaczego się uskarżasz, że wiadomości przypominają papierosy? - powiedział Paul ze śmiechem. - O ile papierosy są szkodliwe, to wiadomości przecież niczym nie grożą i dostarczają ci przynajmniej rozrywki przed dniem ciężkiej pracy.

- Czy wojna między Iranem i Irakiem jest rozrywką? - spytał Grizzly, a w jego współczucie dla Paula wkradła się odrobina irytacji. - Czy uważasz za zabawną dzisiejszą katastrofę kolejową, tę straszliwą masakrę?

- Popelniasz pospolity błąd dostrzegając w śmierci tragedię - powiedział Paul, który był niewątpliwie w świetnej formie.

- Przyznam - powiedział Grizzly lodowatym głosem - że w śmierci zawsze widziałem tragedię.

- Błąd - powiedział Paul. - Katastrofa kolejowa jest przerażająca dla tego, kto podróżuje pociągiem, albo dla tego, kto wie, że do pociągu wsiadł jego syn. Ale w wiadomościach radiowych śmierć ma dokładnie to samo znaczenie, co w powieściach Agaty Christie, która jest zresztą największym magikiem wszechczasów, gdyż potrafiła zamienić zabójstwo w rozrywkę, i nawet nie jedno zabójstwo, lecz dziesiątki zabójstw, setki zabójstw, zabójstwa taśmowe, dokonywane ku największej naszej radości w obozach zagłady jej powieści. O Oświęcimiu zapomniano, lecz powieściowe krematoria Agaty Christie wiecznie buchają dymem w niebo i tylko niezwykle prostoduszny człowiek mógłby stwierdzić, że jest to dym tragedii.

Grizzlemu przypomniało się, że podobnymi paradoksami Paul od dawna tumaniał całą ekipę, która pod złowieszczym spojrzeniem imagologów udzielała raczej skromnego poparcia szefowi, skrycie przekonana, że jest staromodny. Mając sobie za złe ustępstwo, Grizzly wiedział, że nie było innego wyboru. Takie wymuszone kompromisy z duchem czasu są czymś powszechnym i w istocie nieuniknionym, jeśli nie chce się wezwać do strajku powszechnego tych wszystkich, którym obrzydło nasze stulecie. Jednak w przypadku Paula nie było mowy o wymuszonym kompromisie. Pośpiesznie i zbyt, wedle Grizzlego, gorliwie przyznawał swemu stuleciu rację i używał mu własnowolnie swych błyskotliwych paradoksów. Toteż Grizzly odpowiedział z jeszcze większym chłodem: - Ja również czytuję Agatę Christie! Kiedy się czuję

zmęczony, kiedy chcę być przez chwilę dzieckiem. Ale jeśli całe życie staje się dziecięcą igraszką, któregoś dnia świat wreszcie zginie wśród chichotów i gaworzenia.

Paul powiedział: - Wolę zginąć wśród gaworzenia niż słuchając "Marsza żałobnego" Chopina. I powiem ci jeszcze: całe zło pochodzi od tego żałobnego marsza, który opiewa śmierć. Gdyby było mniej marszów żałobnych, może i ludzie mniej by umierali. Zrozum, co chcę powiedzieć: szacunek, jaki wzbudza tragedia, jest o wiele bardziej niebezpieczny niż bez troskie gaworzenie dziecka. Co jest odwieczną przyczyną tragedii? Istnienie ideałów, których wartość ceni się wyżej niż życie ludzkie. A co jest przyczyną wojen? To samo. Każą ci umierać, gdyż podobno istnieje coś wyższego nad twoje życie. Wojna może istnieć jedynie w świecie tragedii; od początku swej historii człowiek żył wciąż w świecie tragicznym i nie umie się z tego świata wymknąć. Jedynie bunt frywolności potrafi położyć kres erze tragedii. Z "Dziewiątej Symfonii" Beethovena ludzie znają tylko cztery takty hymnu do radości, towarzyszące reklamie perfum Bella. To mnie nie gorszy. Tragedia zostanie wygnana ze świata niczym stary kabotyn, który chwyta się za serce i deklamuje wzniosłym głosem. Frywolność jest radykalną kuracją odchudzającą. Rzeczy utracą dziewięćdziesiąt procent swego sensu i staną się lekkie. W tak rozrzedzonej atmosferze zniknie fanatyzm. Wojna stanie się niemożliwa.

- Miło mi, że wreszcie znalazłeś sposób na likwidację wojen - powiedział Grizzly.

- Czy potrafisz sobie wyobrazić francuską młodzież rwącą się do walki za ojczyznę? W Europie wojna jest już nie do pomyślenia. Nie politycznie; antropologicznie nie do pomyślenia. W Europie ludzie nie są już zdolni do prowadzenia wojny.

Nie wmówicie mi, że dwoje ludzi, między którymi panuje głęboka niezgoda, może się lubić; to bajeczki dla dzieci. Mogliby się i lubić, gdyby swoje poglądy zachowywali dla siebie lub wygłaszali je żartobliwym tonem, chcąc umniejszyć ich znaczenie (w ten zresztą sposób Paul i Grizzly rozmawiali dotychczas). Gdy jednak kłótnia raz wybuchła, jest już za późno. Nie dlatego że wierzą tak bardzo w poglądy, których bronią; lecz dlatego że nie znoszą nie mieć racji. Spójrzcie na nich. Ich kłótnia niczego przecież nie zmienia, nie doprowadzi do żadnej decyzji, w żaden sposób nie wpłynie na bieg rzeczy, jest doskonale jałowa, bezużyteczna, zamknięta w przestrzeni bufetu i jego mdłych zapachów, z którymi zniknie, gdy sprzątaczkę otworzą okna. A jednak zwróćcie uwagę na skupione miny grupki widzów, stłoczonych wokół stołu! Wszyscy słuchają w milczeniu, zapominając nawet o kawie. A obaj przeciwnicy trzymają się tej maleńkiej opinii publicznej; ona wskaże na tego spośród nich, który posiadał prawdę: wskazanie, że się jej nie posiadało, oznacza utratę honoru. Albo utratę cząsteczki własnego ja. W rzeczy samej pogląd, którego bronią, niewiele ich obchodzi. Ale że uczynili z niego przymiot swego ja, każdy zamach na ten pogląd jest igłą wbitą w ich ciało.

Gdzieś w głębi duszy Grizzly odczuwał zadowolenie na myśl, że Paul nie będzie już więcej wygłaszał w radiu swoich wyszukanych komentarzy; jego pełen niedźwiedziej pychy głos stawał się coraz niższy, lodowaty. Paul, przeciwnie, podnosił głos, i pomysły, które przychodziły mu do głowy, stawały się coraz bardziej drastyczne i prowokacyjne. - Wielka kultura powiedział - jest córką owej europejskiej perwersji, której na imię Historia: mam na uwadze manię ciągłego marszu naprzód, oceniania następstwa pokoleń jako biegu sztafety, w której każdy wyprzedza swego poprzednika, po czym sam zostaje wyprzedzony przez swego następcę. Bez tej sztafety, której na imię Historia, nie byłoby europejskiej sztuki ani tego, co ją charakteryzuje: pragnienia oryginalności, pragnienia zmiany. Robespierre, Napoleon, Beethoven, Stalin, Picasso, wszyscy są biegaczami jednej sztafety, wszyscy biegną na tym samym stadionie.

- Czy naprawdę sądzisz, że można porównywać Bethovena ze Stalinem? - spytał Grizzly z ironicznym naciskiem.

- Oczywiście, choćby ciebie miało to szokować. Wojna i kultura są dwoma biegunami Europy, jej niebem i piekłem, jej chwałą i wstydem; ale nie sposób ich rozdzielić. Kiedy padnie jeden, padnie i drugi, oba znikną razem. Fakt, że od pięćdziesięciu lat nie było w Europie wojny, łączy się skrycie z faktem, że od pięćdziesięciu lat nie objawił się żaden Picasco.

- Paul, coś ci powiem - rzekł Grizzly z niepokojącą flegmą, tak jakby wznosił do ciosu swoją ciężką łapę: - Jeśli wielka kultura jest skończona, ty też jesteś skończony, a z tobą twoje paradoksalne pomysły, gdyż paradoks jako taki wywodzi się z wielkiej kultury, a nie z dziecięcego gaworzenia. Przywodziś mi na myśl młodych ludzi, którzy wstępowali niegdyś do ruchów nazistowskich czy komunistycznych, nie dlatego by pragnęli czynić zło, ani dlatego że byli karierowiczami, lecz przez nadmiar inteligencji. Nic bowiem nie wymaga od myśli większego wysiłku niż argumentacja mająca usprawiedliwić brak myśli. Po wojnie miałem okazję stwierdzić to na własne oczy, gdy intelektualisci i artyści jak cieleńta szli do partii komunistycznej, która następnie likwidowała ich z wielką przyjemnością i systematycznie. Robisz dokładnie to samo. Jesteś błyskotliwym sprzymierzeńcem własnych grabarzy. Osioł kompletny

Z tranzystora leżącego między ich głowami dochodził znajomy głos Bernarda, przeprowadzającego wywiad z aktorem, którego film miał wkrótce wejść na ekrany. Wysoki głos aktora wyrwał ich z półsnu:

- Przyszedłem tu rozmawiać o moim filmie, a nie o moim synu.

- Proszę się nie obawiać, na film przyjdzie kolej później - mówił głos Bernarda. - Sprawy bieżące przede wszystkim. Podobno odegrał pan pewną rolę w skandalu związanym z pańskim synem.

- Zapraszając mnie do programu, zapewniał pan, że mowa będzie o filmie. Będziemy zatem rozmawiali o filmie, a nie o moim życiu prywatnym.

- Jest pan postacią publiczną i pytam pana o sprawy, które interesują naszych słuchaczy. Wykonuję tylko mój zawód.

- Odpowiem na każde pytanie dotyczące filmu.

- Jak pan sobie życzy. Ale nasi słuchacze będą zdziwieni, że odmawia pan odpowiedzi.

Agnes wstała z łóżka. Po dobrym kwadransie, gdy wyszła już do pracy, wstał z kolei Paul. Ubrał się i szedł do dozorczy po listy. Jeden z listów, podpisany przez Grizzlego, oznajmiał mu w sposób nader pokrętny i mieszając przeprosiny z cierpkimi żartami to, co nam jest już wiadome: radio nie będzie więcej korzystało z usług Paula.

Przeczytał list cztery razy. Wreszcie machnąwszy obojętnie ręką, udał się do gabinetu. Czuł się jednak nieswojo, nie potrafił się skupić i myślał tylko o liście. Czyżby cios był dla niego aż tak ciężki? Z praktycznego punktu widzenia wcale nie. Dotknął go jednak do żywego. Przez całe życie usiłował się wymknąć ze świata prawników: był szczęśliwy, że może prowadzić seminarium na uniwersytecie, był szczęśliwy, że występuje w radiu. Nie żeby zawód adwokata przestał mu się podobać: przeciwnie, lubił podsądnych, próbował zrozumieć ich winę i nadać jej sens; “nie jestem adwokatem, lecz poetą obrony!”, powiadał żartobliwie; w pełni świadomie i całym sercem stawał po stronie wyjętych spod prawa, uważając siebie (nie bez cienia próżności) za zdrajcę, za piątą kolumnę, miłosiernego “guerillero” w świecie nieludzkich praw spisanych w grubych księgach, które do ręki brał zawsze z lekkim wstrętem pozbawionego złudzeń znawcy. Toteż pragnął utrzymywać związki z ludźmi poza murami Pałacu Sprawiedliwości, nawiązywać znajomości ze studentami, z pisarzami, z dziennikarzami, by mieć pewność (a nie tylko wrażenie), że należy do ich rodziny. Był do nich bardzo przywiązany i nie mógł znieść myśli, że list Grizzlego wysła go z powrotem do gabinetu i na salę sądową.

Miał inny jeszcze powód do zmartwienia. Grizzly nazwał go dzień wcześniej sprzymierzeńcem własnych grabarzy. Paul odczytał to jako elegancką złośliwość bez żadnej konkretnej treści. Słowo “grabarze” niewiele mu mówiło. Albowiem o swoich grabarzach nie wiedział jeszcze nic. Ale teraz, po otrzymaniu listu, musiał uznać tę oczywistość: grabarze naprawdę istnieli, już go dostrzegli i czekają na niego.

Nagle zrozumiał, że ludzie widzieli go innym, niż widział siebie sam, innym niż sądził, że go widzą. Był jedynym spośród kolegów z rozgłośni, który musiał odejść, chociaż Grizzly (w to nie wątpił) bronił go jak mógł. Czym rozdrażnił reklamiarzy? Zresztą naiwnością byłoby sądzić, że ci panowie są jedynymi, którzy go nie akceptują. Wiele innych osób musiało podzielać ich zdanie. Co się przydarzyło jego obrazowi? Coś się stało, lecz nie wiedział co i nigdy się nie dowie. Bo tak już

jest i dotyczy to wszystkich: nigdy się nie dowiadujemy dlaczego i czym drażnimy innych, co w nas wydaje im się sympatyczne, a co śmieszne; nasz własny obraz jest dla nas największą tajemnicą.

Paul wiedział, że przez cały dzień nie będzie już myślał o niczym innym; podniósł więc słuchawkę i zaprosił Bernarda na obiad do restauracji.

Usiedli naprzeciw siebie; Paul palił się do opowieści o liście, ale że był dobrze wychowany, zaczął od uprzejmości: - Słyszałem cię dzisiaj wczesnie rano. Pogoniłeś temu aktorowi kota.

- To prawda - powiedział Bernard. - Może przesadziłem. Ale byłem w okropnym humorze. Złożono mi dzisiaj wizytę, której nigdy nie zapomnę. Przyszedł do mnie nieznajomy mężczyzna. Wyższy ode mnie o głowę, z opasłym brzuchem. Przedstawił się z uśmiechem i przeraźliwie grzeczną miną. "Mam zaszczyt wręczyć panu ten dyplom", powiedział i wsunął mi do ręki papierowy rulon. Domagał się natarczywie, bym go otworzył przy nim. Wewnątrz był dyplom. Kolorowy. Pięknie wykaligrafowany. Napis głosił: "Bernard Bertrand zostaje mianowany kompletnym osłem."

- Co takiego? - Paul parsknął śmiechem, ale natychmiast się opamiętał, widząc przed sobą poważną i stężoną twarz, na której nie było najmniejszego śladu rozbawienia.

- Tak - powtórzył Bernard posępnie - zostałem mianowany kompletnym osłem.

- Ale kto cię mianował? Czy jest tam nazwa jakiejś organizacji?

- Nie. Widać tylko nieczytelny podpis.

Bernard powtórzył parokrotnie, co się stało, i dodał: - Najpierw nie wierzyłem własnym oczom. Zdawało mi się, że padłem ofiarą zamachu, chciałem krzyczeć i wzywać policję. Potem zrozumiałem, że nie mogę nic zrobić. Facet uśmiechnął się i podał mi rękę: "Niech mi będzie wolno pogratulować panu", powiedział, a ja byłem tak zbity z tropu, że tę rękę uściskałem.

- Podałeś mu rękę? Naprawdę mu podziękowałeś? - powiedział Paul, z trudem powstrzymując śmiech.

- Gdy zrozumiałem, że nie mogę wezwać policji i wsadzić gościa do aresztu, postanowiłem okazać zimną krew i zachowywać się tak, jakby to wszystko było najnormalniejsze w świecie, a mnie nic się nie stało.

- Matematyka - powiedział Paul. - Gdy mianują człowieka osłem, człowiek zachowuje się jak osioł.

- Niestety - powiedział Bernard.

- I nie wiesz, kto to był? Przecież się przedstawił!

- Byłem tak zdenerwowany, że od razu zapomniałem jego nazwisko.

Paul nie mógł się dłużej opanować i wybuchnął śmiechem.

- Tak, wiem, powiesz, że to żart, i oczywiście będziesz miał rację, to jest żart - odezwał się Bernard. - Ale niczego się nie da już zrobić. Nie potrafię już myśleć o czymś innym.

Paul przestał się śmiać, rozumiejąc, że Bernard mówi prawdę: bez wątpienia od wczoraj nie myślał o niczym innym. Jak zachowałby się Paul, gdyby otrzymał podobny dyplom? Tak samo jak Bernard. Kiedy nazywają was kompletnym osłem, oznacza to, że co najmniej jedna osoba widzi was pod postacią osła i pragnie, byście o tym wiedzieli. Już samo w sobie bardzo to przykre. A przecież jest całkiem możliwe, że pomysł rzuciła nie jedna, lecz z dziesięć osób. Możliwe jest również, że ludzie ci wymyślą jeszcze coś innego, na przykład zamieszczą w gazetach ogłoszenie, i w jutrzejszym "Le Monde" każdy będzie mógł się dowiedzieć z rubryki "Pogrzeby, śluby i odznaczenia honorowe", że Bernard został mianowany kompletnym osłem.

Bernard wyznał mu następnie (i Paul nie wiedział, czy ma się śmiać ze swego przyjaciela, czy nad nim płakać), że zaraz po otrzymaniu dyplomu pokazał go każdemu, kogo spotkał na swej drodze. Nie chciał tkwić samotnie w poniżeniu, próbował wciągnąć w nie innych, wyjaśniając wszystkim, że nie on jeden był celem ataku: "Gdyby chodziło tylko o mnie, wręczyliby mi dyplom w domu. Ale wręczyli mi go w radiu! To jest atak na dziennikarzy! Atak na nas wszystkich!"

Paul kroił mięso na talerzu, sączył wino i myślał sobie: oto para dobrych przyjaciół: jeden nazywa się kompletny osioł, drugi błyskotliwy sprzymierzeniec własnych grabarzy. I zrozumiał (co jeszcze wzmogło jego uczucie do młodszego przyjaciela), że w duchu już nigdy nie będzie go nazywał Bernardem, lecz zawsze kompletnym osłem: nie przez złośliwość, ale dlatego że tak pięknemu tytułowi nie można się oprzeć; i tak samo nazywać go będą z pewnością wszyscy, którym Bernard w niedorzecznym wzburzeniu pokazał dyplom.

Pomyślał również, że Grizzly zachował się jak przyjaciel, określając go jako błyskotliwego sprzymierzeńca własnych grabarzy podczas zwykłej rozmowy przy stoliku. W końcu mógł przyznać mu dyplom i rzeczy miałyby się o wiele gorzej. I tak Paul, dzięki kłopotom przyjaciela, niemal zapomniał o własnym zmartwieniu, i gdy Bernard powiedział: "Zdaje się, że z tobą też jest coś nie tak?" machnął tylko ręką: "To głupstwo", a Bernard przytaknął: "Od razu sobie pomyślałem, że ty jesteś ponad. Ty masz tysiące ciekawszych rzeczy do roboty."

Gdy Bernard odprowadził go do samochodu, Paul rzekł do niego bardzo melancholijnie: - Grizzly się myli, a rację mają imagolodzy. Człowiek jest niczym więcej niż własnym obrazem. Niech sobie filozofowie tłumaczą, że opinia świata waży niewiele, a liczy się jedynie to, czym jesteśmy. Filozofowie niczego nie rozumieją. Tak długo jak będziemy żyć wśród ludzi, będziemy tym, za co ludzie nas uważają. Gdy pytamy wciąż siebie, jak widzą nas inni, gdy się wysilamy, by

wyglądać tak sympatycznie jak tylko możliwe, biorą nas za wielkich spryciarzy albo za szelmy. Czy jednak między moim ja a ja drugiej osoby istnieje bezpośredni kontakt, bez udziału oczu? Czy jest do pomyślenia miłość bez trwożliwej pogoni za własnym obrazem w myślach ukochanej osoby? Kiedy tylko przestaje nas obchodzić sposób, w jaki nas ona widzi, już jej nie Kochamy.

- Masz rację - powiedział Bernard ponurym głosem.

- Naiwnym złudzeniem jest wiara, że nasz obraz jest zwykłym pozorem, za którym skrywa się prawdziwa substancja naszego ja, niezależna od spojrzenia świata. Imagolodzy dowodzą ze skrajnym cynizmem, że jest odwrotnie: nasze ja jest zwykłym pozorem, nieuchwytnym, nie opisanym, niejasnym, podczas gdy jedyną rzeczywistością, aż zbyt łatwą do uchwycenia i do opisanego, jest nasz obraz w oczach innych. Lecz najgorsze jest to, że nie jesteś jego panem. Na początku próbujesz sam go namalować, następnie zachować przynajmniej na niego wpływ, kontrolować go, lecz na próżno: wystarczy jedno nieżyczliwe określenie, by na zawsze zamienić cię w żalostną karykaturę.

Zatrzymali się przy samochodzie i Paul zobaczył przed sobą zatrzwożoną i jeszcze bledszą twarz przyjaciela. Zamierzał dodać mu otuchy, a okazało się, że jego przemowa zadała mu cios. Poczł wyrzuty sumienia: to przecież z myślą o sobie, o swoim własnym przypadku wdał się w te rozważania. Ale zło już się stało.

Żegnając się, Bernard powiedział z zakłopotaniem, które wzruszyło Paula: - Bardzo cię proszę, nie mów o tym Laurze. I nie mów nawet Agnes.

Paul mocno, przyjaźnie uściskał mu dłoń: - Możesz mi ufać.

Po powrocie do gabinetu zabrał się do pracy. Spotkanie z Bernardem dziwnie go pocieszyło i czuł się o wiele lepiej niż rano. Późnym popołudniem wrócił do domu. Opowiadając Agnes o liście Grizzlego, nie omieszkał szybko dodać, że sprawa jest bez znaczenia. Gdy mówił, próbował się śmiać, ale Agnes spostrzegła, że wśród słów i śmiechu Paul pokasłuje. Znała ten kaszel. Kiedy Paul miewał kłopoty, zawsze umiał nad sobą panować; zdradzał go jedynie ten bezradny kaszel, z którego nie zdawał sobie sprawy.

- Chcieli mieć program zabawniejszy i bardziej młodzieńczy - powiedziała Agnes. Miała być to ironiczna uwaga wymierzona w tych, którzy usunęli audycję Paula. Potem pogłaskała go po włosach. Ale nie powinna była tego robić. W jej oczach Paul dostrzegł swój obraz: obraz poniżonego człowieka, którego postanowiono nie uważać już za młodego ani zabawnego. Kotka

Każdy z nas pragnie przekroczyć erotyczne konwencje, tabu, i w upojeniu wstąpić w królestwo Zakazu. Ale tak bardzo brak nam śmiałości... Starsza kochanka, młodszy kochanek to najłatwiejszy i dostępny dla wszystkich sposób przekraczania zakazów, jaki moglibyśmy polecić. Laura miała po raz pierwszy kochanka młodszego od siebie, Bernard miał po raz pierwszy

kochankę od siebie starszą, i oboje przeżywali to pierwsze doświadczenie jako podniecający grzech.

Gdy Laura zapewniła Paula, że Bernard odmłodził ją o dziesięć lat, mówiła prawdę: wstąpiła w nią nowa fala energii. Ale nie znaczyło to, że czuje się od Bernarda młodsza. Przeciwnie, z rozkoszą smakowała nie znaną dotąd myśl, że ma młodszego kochanka, kochanka, który uważa się za słabszego i czuje tremę sądząc, że doświadczona metresa będzie go porównywała z jego poprzednikami. Z erotyzmem rzecz ma się jak z tańcem: jeden z partnerów zawsze bierze na siebie prowadzenie drugiego. Laura po raz pierwszy prowadziła mężczyznę i to prowadzenie było dla niej równie upojne, jak dla Bernarda bycie prowadzonym.

Tym, co starsza kobieta daje młodszemu mężczyźnie, jest przede wszystkim pewność, że ich miłość rozwija się daleko od groźby małżeństwa, bo przecież nikt nie potrafi sobie wyobrazić, by mężczyzna o pięknej i wielkiej przyszłości mógł kiedykolwiek poślubić kobietę o osiem lat starszą. Dlatego Bernard patrzył na Laurę jak niegdyś Paul na damę, która miała zostać jego ametystem: zakładał, że kochanka gotowa jest ustąpić kiedyś miejsca kobiecie młodszej, którą będzie mógł przedstawić rodzicom nie wprowadzając ich w zakłopotanie. Ufny w macierzyńską mądrość Laury, uważał, że potrafi być świadkiem na jego ślubie i umiejętnie skrywać przed panną młodą, że była (a nawet, dlaczego by nie, że jest nadal) kochanką Bernarda.

Przez dwa lata nic nie zmąciło ich szczęścia. Potem Bernard został mianowany kompletnym osłem i zamknął się w sobie. Laura nic nie wiedziała o dyplomie (Paul dotrzymał słowa), a ponieważ nie miała zwyczaju wypytywać Bernarda o jego pracę, nie wiedziała również o jego innych kłopotach zawodowych (jak wiadomo nieszczęścia chodzą parami); jego milczenie interpretowała zatem jako dowód na to, że już jej nie kocha. Parokrotnie przyłapała go na występku: nie pamiętał, o czym mu wcześniej opowiadała. Była pewna, że w takich chwilach myśli o innej kobiecie. Ach, w miłości tak niewiele trzeba, by wpaść w rozpacz!

Pewnego dnia przyszedł do niej pogrążony w ponurych myślach. Zniknęła w sąsiednim pokoju, aby się przebrać, i pozostał w salonie w towarzystwie wielkiej syjamskiej kotki. Nie czuł do niej żadnej szczególnej sympatii, ale wiedział, że w oczach jego kochanki zwierzątko jest świętością. Oddając się więc w fotelu swym ponurym myślom machinalnie wyciągnął do kotki rękę, sądząc, że wypada mu ją pogłaskać. Ale kotka zamruczała złowrogo i ugryzła go. Ugryzienie dopełniło pasma klęsk i poniżeń doznanych w ostatnich tygodniach, Bernard wpadł we wściekłość, zerwał się na równe nogi i zaczął wygrażać kotce pięścią. Uciekła do kąta i, nastroszona, zaczęła przeraźliwie syczeć.

Bernard odwrócił się i spostrzegł Laurę. Stała na progu i z pewnością widziała całe zajście.
- Nie - powiedziała - nie wolno jej karać. Miała pełne prawo tak postąpić.

Bernard spojrział na nią ze zdziwieniem. Ugryzione miejsce bolało go i oczekiwał od kochanki, że zdobędzie się przynajmniej na elementarne poczucie sprawiedliwości, o ile w ogóle nie sprzymierzy się z nim przeciwko kotce. Miał ochotę wymierzyć zwierzakowi tak potężnego kopniaka, żeby rozpląszczył się na suficie. Opanował się z wielkim trudem.

Laura mówiła dalej, starannie wymawiając każde słowo: - Ona wymaga, by ten, kto ją głaszcze, nie robił tego w roztargnieniu. Ja również nie znoszę, gdy ktoś jest ze mną, a myśli o czymś innym.

Kilka chwil wcześniej, widząc, jak gwałtownie reaguje kotka na nieprzytomne zachowanie Bernarda, poczuła nagle solidarność ze zwierzęciem: Bernard od kilku tygodni postępował z nią jak z kotką: głaskał ją, lecz jego myśli były gdzie indziej; udawał, że jest z nią razem, lecz jej nie słuchał.

Kiedy zobaczyła, jak kotka kąsa jej kochanka, doznała wrażenia, że inne jej ja, symboliczne i mistyczne ja, jakim było dla niej zwierzę, chciało jej dodać w ten sposób odwagi, pokazać, jak ma się zachowywać, służyć za przykład. Są chwile, pomyślała, w których trzeba umieć wysunąć pazury. Postanowiła, że tego jeszcze wieczora, w restauracji, gdzie mieli zjeść kolację we dwoje, zdobędzie się wreszcie na odwagę potrzebną do działania.

Powiem od razu, uprzedzając wypadki: trudno sobie wyobrazić większe głupstwo niż jej postanowienie. To, co zamierzała uczynić, godziło w nią samą. Bo trzeba podkreślić, że przez dwa lata znajomości Bernard był z Laurą szczęśliwy, może nawet szczęśliwszy, niż sądziła. Była dla niego ucieczką, schronieniem przed życiem, do którego ojciec, eufoniczny Bertrand Bertrand, szykował go od dziecka. Mógł wreszcie żyć wolny, w zgodzie ze swymi pragnieniami, mieć tajemny zakątek, do którego nie wetknie ciekawskiej głowy żaden członek rodziny, zakątek, w którym życie toczy się wedle innych zwyczajów: uwielbiał cygańskie maniery Laury, jej pianino, na którym od czasu do czasu grywała, koncerty, na które go prowadziła, jej nastroje i ekscentryczne zachowanie. W jej towarzystwie czuł się bezpieczny od bogatych i nudnych ludzi, z którymi przestawał jego ojciec. Ale ich szczęście zależało od jednego warunku: mieli nie brać ślubu. Gdyby się pobrali, wszystko zmieniłoby się w jednej chwili: ich związek stałby się podatny na wszelkie naciski rodziny Bernarda; ich miłość utraciłaby nie tylko urok, lecz wręcz swój sens. I Laura zaprzepściłaby całą władzę, którą miała dotychczas nad Bernardem.

Jak mogła podjąć tak głupią, tak przeciwną jej interesom decyzję? Czy aż tak słabo znała swego kochanka? Czy aż tak źle go rozumiała?

Tak; choć może się to wydać dziwne, znała go źle i nie rozumiała. Była nawet dumna, że w Bernardzie interesuje ją tylko jego miłość. Nigdy nie wypytywała go o ojca. O jego rodzinie nie wiedziała nic. Gdy zdarzało mu się samemu o niej mówić, ostentacyjnie się nudziła i szybko

dawała mu do zrozumienia, że szkoda jej cennego czasu, który mogłaby poświęcić tylko jemu, Bernardowi. I rzecz jeszcze dziwniejsza: podczas ponurych tygodni po otrzymaniu dyplomu, gdy otwierał usta, jedynie aby przeprosić za to, że ma kłopoty, powtarzała mu ciągle: “Tak, ja wiem, co to znaczy mieć kłopoty”, nie zadając jednak nigdy pytania, tego najprostszego ze wszystkich pytań: “«Jakie» kłopoty? O co konkretnie chodzi? No, powiedz mi, co cię gryzie!”

Ciekawe: szalała za Bernardem i jednocześnie nie interesowała się nim. Posunę się wręcz do stwierdzenia: szalała za Bernardem i “z tego właśnie powodu” nim się nie interesowała. Gdybyśmy wyrzucili jej ten brak zainteresowania i oskarżyli o nieznajomość swego kochanka, nie zrozumiałaby, o co nam chodzi. Bo Laura nie wiedziała, co “znaczy” kogoś znać. Była niczym dziewczyna, która obawia się, że zajdzie w ciążę, jeśli wymieni z kochankiem zbyt wiele pocałunków! Od pewnego czasu myślała o Bernardzie niemal bez wytchnienia. Wyobrażała sobie jego ciało, twarz, miała wrażenie, że przebywa z nim ciągle, że jest nim przesiąknięta. I wierzyła, że zna go sercem, zna go tak, jak nie poznał go nigdy nikt. Uczucie miłości mamy nas wszystkich złudzeniem wiedzy.

Po tych wyjaśnieniach chyba możemy wreszcie uwierzyć, że powiedziała przy deserze (mógłbym na jej usprawiedliwienie podkreślić, że wypili butelkę wina i po lampce koniaku, lecz jestem pewien, że na trzeźwo powiedziałyby to samo): - Bernardzie, ożeń się ze mną! Gest sprzeciwu wobec zamachów na prawa człowieka

Brigitte wyszła z lekcji niemieckiego ze stanowczym postanowieniem, że nigdy już na kurs nie powróci. Język Goethego zdawał jej się całkowicie nieprzydatny (to matka nakłoniła ją do nauki), a ponadto czuła, że jest z niemieckim w głębokim konflikcie. Ten język drażnił ją swym brakiem logiki. A tym razem miarka się przebrała: przyimek “ohne” (bez) rządzi biernikiem, przyimek “mit” rządzi celownikiem. Dlaczego? Oba przyimki oznaczają przecież negatywną i pozytywną stronę “tego samego” związku, toteż powinny spowodować tę samą deklinację. Brigitte zwróciła na to uwagę nauczycielowi, młodemu Niemcowi; jej zarzut wprowadził go w zakłopotanie i natychmiast wywołał poczucie winy. Ten sympatyczny i wrażliwy człowiek cierpiał należąc do narodu rządzonego kiedyś przez Hitlera. Gotów przypisać ojczyźnie wszelkie wady, przyznał od razu, że nie ma żadnego poważnego powodu, który mógłby usprawiedliwić dwie różne deklinacje po przyimkach “mit” i “ohne”.

- Ja wiem, że to nielogiczne, lecz taki zwyczaj utrwalił się na przestrzeni wieków - powiedział, tak jakby chciał wzbudzić u młodej Francuzki litość dla języka potępionego przez dzieje.

- Cieszę się, że pan to przyznał. To nie jest logiczne. A język “musi” być logiczny - powiedziała Brigitte.

Młody Niemiec przytaknął: - Niestety my nie mieliśmy Kartezjusza. W naszej historii jest to niewybaczalna luka. Niemcy nie mają waszej tradycji rozumu i jasności; są pełne metafizycznych mgieł. Niemcy to muzyka Wagnerowska, a wiemy wszyscy, kto był największym wielbicielem Wagnera: Hitler!

Nie przejmując się Hitlerem ani Wagnerem, Brigitte rozumowała dalej: - Dziecko może się nauczyć nielogicznego języka, bo dziecko nie ma rozumu. Ale dorosły cudzoziemiec nigdy nie zdoła się go nauczyć. Dlatego niemiecki nie jest w moim przekonaniu językiem powszechnego porozumienia.

- Ma pani całkowitą rację - powiedział Niemiec i dodał półgłosem: - Widzi pani, jak absurdalną była niemiecka wola panowania nad światem.

Brigitte, zadowolona z siebie, wsiadła do samochodu i pojechała do sklepów Fauchona po butelkę wina. Daremnie szukała miejsca do zaparkowania: długie rzędy samochodów stały zderzak w zderzak przy wszystkich chodnikach w promieniu kilometra; po kwadransie jazdy w kółko ogarnęło ją nerwowe zdziwienie i oburzenie, że brakuje wolnych miejsc: wjechała na chodnik i zgasiła silnik. Następnie pomaszerowała do sklepu. Już z daleka widziała, że dzieje się przed nim coś dziwnego. Gdy podeszła bliżej, zrozumiała.

Wewnątrz i przed wejściem do słynnych delikatesów, w których wszystko kosztuje dziesięć razy tyle co gdzie indziej, a klientela składa się z ludzi, dla których większą przyjemnością jest płacenie niż jedzenie, zebrało się około stu skromnie ubranych osób, bezrobotnych. Szczególna była to manifestacja: ludzie ci nie przyszli tu rozrabiać, wykrzykiwać gróźb ani hasel; przyszli wprawić po prostu bogaczy w zakłopotanie i zepsuć im przyjemność zakupu dobrego wina i kawioru. I faktycznie, sprzedawcy i kupujący mieli na twarzach nieśmiały uśmiech i zdawali się niezdolni zarówno do sprzedawania, jak kupowania.

Brigitte utorowała sobie drogę przez tłum i weszła do środka. Do bezrobotnych nie czuła wrogości, a i damom w futrach nie miała niczego za złe. Gromkim głosem poprosiła o butelkę bordeaux. Jej stanowczość zaskoczyła sprzedawczynię i dała jej do zrozumienia, że obecność manifestujących nie niesie żadnego zagrożenia i nie powinna jej przeszkodzić w obsłudze młodej klientki. Brigitte zapłaciła więc za butelkę wina i wróciła do samochodu, przy którym czekało na nią dwóch policjantów z długopisami w ręku.

Zaczęła im wymyślać i gdy wyjaśnili, że źle zaparkowany samochód zawadza na chodniku, wskazała na samochody zaparkowane gęsiego: - Może mi panowie powiedzą, gdzie miałam stanąć? - krzyczała. - Jeśli ludziom wolno kupować samochody, to powinno im się zapewnić miejsce do parkowania, czyż nie? Trochę logiki!

Opowiadam o tym wszystkim ze względu na jeden szczegół: wymyślając policjantom, Brigitte przypomniała sobie bezrobotnych, manifestujących przed delikatesami i odczuła nagłą i wielką do nich sympatię: łączyła się z nimi w tej samej walce. Dodało jej to odwagi i jeszcze bardziej podniosła głos; policjanci (zakłopotani podobnie jak damy w futrach naprzeciw szpaleru bezrobotnych) powtarzali głupio i bez przekonania słowa “zakaz”, “niedozwolone”, “dyscyplina”, “porządek”, i wreszcie pozwolili jej odjechać nie wypisując mandatu.

Podczas sprzeczki Brigitte wykonywała szybkie i krótkie ruchy głową, wzruszając przy tym ramionami i unosząc brwi. Gdy po powrocie do domu opowiadała o zdarzeniu ojcu, kręciła głową dokładnie w ten sam sposób. Spotkaliśmy już się z tym gestem: wyraża on pełne oburzenia zdziwienie wobec tych, którzy chcą podważyć nasze najbardziej podstawowe prawa. Nazwijmy go zatem: “gestem sprzeciwu wobec zamachów na prawa człowieka”.

Pojęcie “prawa człowieka” pochodzi sprzed dwóch wieków, lecz szczyt sławy osiągnęło dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych naszego stulecia. Wtedy właśnie wygnano z Rosji Aleksandra Sołżenicyna: jego niezwykła postać, ozdobiona brodą i parą kajdanek, wprowadziła w hipnozę zachodnich intelektualistów złaknionych wielkich egzystencji. Dzięki niemu uznali wreszcie, z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem, istnienie obozów koncentracyjnych w komunistycznej Rosji; nawet postępowcy doszli nagle do przekonania, że niesprawiedliwością jest więzić ludzi za to, co myślą. I chcąc utwierdzić się w swym nowym poglądzie, wymyślili znakomity argument: komuniści rosyjscy gwałcili prawa człowieka, uroczyście głoszone przez samą Rewolucję Francuską!

Tak więc dzięki Sołżenicynowi wyrażenie “prawa człowieka” odnalazło miejsce w słowniku naszych czasów; nie znam żadnego polityka, który nie wspominałby dziesięć razy dziennie o “walce o prawa człowieka” albo o “podeptanych prawach człowieka”. Zważywszy jednak, że na Zachodzie życie nie toczy się w cieniu obozów koncentracyjnych, że powiedzieć i napisać można wszystko, walka o prawa człowieka, w miarę jak zyskiwała na popularności, traciła wszelką konkretną treść i stała się wreszcie wspólną postawą wszystkich wobec wszystkich, rodzajem energii przekształcającej wszelkie pragnienia w prawa. Świat stał się prawem człowieka i wszystko przemieniło się w prawo: pragnienie miłości w prawo do miłości, pragnienie odpoczynku w prawo do odpoczynku, pragnienie przyjaźni w prawo do przyjaźni, pragnienie zbyt szybkiej jazdy w prawo do zbyt szybkiej jazdy, pragnienie szczęścia w prawo do szczęścia, pragnienie wydania książki w prawo do wydania książki, pragnienie krzyczenia nocą na ulicy w prawo do krzyczenia nocą na ulicy. Bezrobotni mają prawo okupować luksusowe delikatesy, damy w futrach mają prawo kupować kawior, Brigitte ma prawo parkować samochód na chodniku i wszyscy - bezrobotni, damy w futrach, Brigitte, należą do tej samej armii bojowników o prawa człowieka.

Siedząc w fotelu naprzeciw Brigitte, Paul patrzył z miłością na jej prędkie ruchy głową z lewa na prawo. Wiedział, że podoba się córce, i było to dla niego ważniejsze niż podobać się żonie. Zachwycone oczy córki dawały mu bowiem to, czego nie mogła dać Agnes: dowód, że nie zraził do siebie młodzieży, że sam nadal do młodych należy. Ledwie dwie godziny upłynęły od chwili gdy Agnes, wzruszona jego kaszlem, pogłaskała go po włosach. O ileż bardziej od tej poniżającej pieśczoły wolał potrząśnięcia głową córki! Obecność Brigitte była dla niego niczym zbiornik energii, z którego czerpał siłę. Być absolutnie nowoczesnym

Ach, mój drogi Paul, który chciał sprowokować Grizzlego i doprowadzić go do wściekłości, przekreślając jednym ruchem Historię, Beethovena, Picassa... W myślach myli mi się on z Jaromilem, bohaterem powieści, którą ukończyłem dokładnie dwadzieścia lat temu i której egzemplarz pozostawię na waszych oczach dla profesora Avenariususa, parę rozdziałów dalej, w jednej z kawiarenek Montparnassu.

Jesteśmy w Pradze w roku 1948; osiemnastoletni Jaromil kocha na zabój nowoczesną poezję, poezję Desnosa, Eluarda, Bretona, Vitezslava Nezvala; podobnie jak oni swoim hasłem uczynił zdanie Rimbauda z "Sezonu w piekle": "Trzeba być absolutnie nowoczesnym." A w Pradze absolutnie nowoczesna okazała się nagle rewolucja socjalistyczna, która bez zwłoki i brutalnie przypuściła atak na nowoczesną poezję, kochaną przez Jaromila na zabój. Mój bohater wyrzekł się wówczas sarkastycznie w obecności kilku przyjaciół (nie mniej niż on zakochanych na zabój w nowoczesnej poezji) wszystkiego tego, co kochał (wszystkiego, co kochał prawdziwie, całym sercem), aby tylko nie zdradzić wielkiego przykazania, że "trzeba być absolutnie nowoczesnym". W tym wyrzeczeniu zawarł całą swą wściekłość, całą pasję prawiczka, który brutalnym postępkim chce wtargnąć w dorosłe życie; i jego przyjaciele, widząc, z jaką zawziętością wyrzeka się tego, co było mu najdroższe, dla czego żył i żyć chciał, widząc, że wyrzeka się Picassa i Salvadora Dali, Bretona i Rimbauda, widząc, że wyrzeka się ich w imię Lenina i Armii Czerwonej (która w tamtej chwili była szczytem nowoczesności), mieli ściśnięte gardła i najpierw się zdumieli, potem poczuli wstręt, a na końcu grozę. W widoku prawiczka, który sprzymierzył się z tym, co ogłosiło siebie nowoczesnym, a sprzymierzył się nie z tchórzostwa (by ułatwić sobie karierę), lecz z odwagi, jak mężczyzna z bólem poświęcający to, co kocha, tak, w widoku tym była jakaś prawdziwa groza (zwiastująca grozę nadchodzącego terroru, grozę aresztów i szubienicy). Być może któryś z nich pomyślał wtedy, obserwując Jaromila: "Jaromil jest sprzymierzeńcem własnych grabarzy."

Oczywiście Paul i Jaromil w ogóle nie są do siebie podobni. Jedyne, co ich łączy, to namiętne przekonanie, że "trzeba być absolutnie nowoczesnym". "Absolutnie nowoczesny" jest pojęciem, którego treść zmienia się i pozostaje nieuchwytna. W 1872 roku Rimbaud nie wyobrażał sobie z pewnością skrytych za tymi słowami milionów popiersi Lenina i Stalina; w jeszcze

mniejszym stopniu wyobrażał sobie filmy reklamowe, kolorowe fotosy czy ekstatyczną twarz pieśniarza rockowego. Nie jest to zresztą istotne, gdyż być absolutnie nowoczesnym znaczy: nigdy nie podważać nowoczesnej treści, służyć jej tak, jak służy się absolutowi, a zatem bez żadnych wątpliwości.

Podobnie jak Jaromil, Paul wiedział, że nowoczesność dnia jutrzejszego różni się od nowoczesności dzisiejszej i że dla wiecznego "imperatywu" nowoczesności trzeba umieć zdradzić jego tymczasową treść, tak jak trzeba umieć zdradzić "wiersze" Rimbauda dla Rimbaudowskiego "hasła". W Paryżu roku 1968 studenci, posługując się jeszcze bardziej radykalnym słownictwem niż Jaromil w Pradze roku 1948, odrzucili świat, jaki jest, sztuczny świat komfortu, wolnego rynku, reklamy, świat ogłupiającej kultury masowej, która faszeruje głowy ludzi melodramatami, świat konwencji, świat ojca. Paul spędził wówczas kilka dni na barykadach i jego słowa brzmiały równie mądrze, jak dwadzieścia lat wcześniej słowa Jaromila; nic nie mogło nim zachwiać; wsparty o ramię, które podała mu studencka rewolta, oddalał się od świata ojców, by wreszcie, w trzydziestym piątym roku życia, stać się dorosłym.

Mijał czas, córka wydorosła i świetnie się poczuła w świecie, jaki jest, w świecie telewizji, rocka, reklamy, kultury masowej i jej melodramatów, w świecie piosenkarzy, samochodów, mody, luksusowych delikatesów i eleganckich przemysłowców zaliczanych w poczet telewizyjnych gwiazd. Paul, zdolny niegdyś do zacieklej obrony swych poglądów przed profesorami, przed policjantami, przed prefektami i ministrami, zupełnie nie potrafił ich bronić przed własną córką, która lubiła siadywać mu na kolanach i której bynajmniej nie było spieszno do porzucenia świata ojca i wkroczenia w dorosłe życie. Przeciwnie, chciała tak długo jak to możliwe pozostać pod tym samym dachem, co jej tolerancyjny tata, pozwalający jej (niemal z rozczeniem) w każdą sobotę sypiać z przyjacielem w pokoju obok sypialni rodziców.

Co znaczy być absolutnie nowoczesnym, gdy człowiek nie jest już młody, a córkę ma zupełnie inną, niż on sam był w jej wieku? Paul bez trudu znalazł odpowiedź: być absolutnie nowoczesnym znaczy w podobnym przypadku absolutnie utożsamić się z córką.

Wyobrażam sobie Paula w towarzystwie Agnes i Brigitte przy obiedzie. Brigitte siedzi bokiem do stołu i przeżuwa jedzenie, wpatrując się w ekran telewizyjny. Żadne z nich nie mówi słowa, bo telewizor gra głośno. Paulowi wciąż chodzi po głowie ponura uwaga Grizzlego, który nazwał go sprzymierzeńcem własnych grabarzy. Po chwili śmiech Brigitte przerywa bieg jego myśli; na ekranie pojawiła się reklama: nagi, najwyżej półtoraroczny niemowlak wstaje z nocnika i ciągnie za sobą zwój papieru toaletowego, którego biel rozpościera się niczym majestatyczny tren sukni ślubnej. A Paul przypomina sobie, jak to niedawno ze zdumieniem doszedł do wniosku, że

Brigitte nigdy nie przeczytała żadnego wiersza Rimbauda. Zważywszy, do jakiego stopnia on w jej wieku kochał Rimbauda, może ją zasadnie uznać za swego grabarza.

Odczuwa lekką melancholię, słysząc szczery śmiech córki, która nie zna wielkiego poety i raczy się telewizyjnymi głupstwami. I zadaje sobie pytanie: dlaczego właściwie tak bardzo kochał Rimbauda? w jaki sposób zapalał do niego miłością? czy to wiersze rzuciły na niego urok? Nie. Rimbaud mieszał mu się wówczas w myślach z Trockim, z Bretonem, z Mao, z Castro, tworząc z nimi jeden rewolucyjny zlepek. Z Rimbauda poznał najpierw hasło powtarzane do znudzenia przez wszystkich: "zmienić życie" (tak jakby do wypowiedzenia podobnego banału potrzebny był wielki poeta...). Oczywiście później Paul czytywał wiersze Rimbauda; niektóre z nich znał na pamięć i kochał. Nigdy jednak nie przeczytał wszystkich wierszy; podobały mu się te tylko, o których wspominało mu jego otoczenie, wspominające o nich za namową innego otoczenia. Rimbaud nie był więc jego miłością estetyczną; zresztą takiej miłości nie przeżył chyba nigdy. Stał pod sztandarem Rimbauda, tak jak ktoś zaciąga się do wojska, zapisuje do partii politycznej, zostaje kibicem drużyny piłkarskiej. Co rzeczywiście dały mu wiersze Rimbauda? Niczego prócz dumy, że należy do tych, którzy kochają wiersze Rimbauda.

Paul wciąż wracał myślą do niedawnej rozmowy z Grizzlim: tak, przesadził, dał się ponieść paradoksom, sprowokował Grizzlego i całą resztę, czyż jednak koniec końców nie mówił prawdy? Czy to, co Grizzly nazywa z takim respektem "kulturą", nie jest naszą chimera, czymś z pewnością pięknym i cennym, lecz mniej dla nas istotnym, niż śmiemy to wyznaczyć?

Kilka dni wcześniej Paul, starając się użyć tych samych pojęć, rozwinął przed Brigitte myśli, które wstrząsnęły Grizzlim. Ciekaw był reakcji córki. Nie dość że prowokacyjne sformułowania wcale jej nie przeraziły, to jeszcze gotowa była posunąć się o wiele dalej. Dla Paula miało to duże znaczenie. Coraz bardziej przywiązywał się bowiem do córki i od kilku lat pytał ją o zdanie we wszystkich problemach, z którymi się stykał. Początkowo czynił to może z pobudek pedagogicznych, chcąc ją zmusić do zajęcia się czymś poważniejszym, lecz wkrótce role niepostrzeżenie się odwróciły: nie przypominał już nauczyciela, który pytaniami dodaje odwagi bojaźliwej uczennicy, lecz niezbyt pewnego siebie człowieka, proszącego o poradę wróżbitkę.

Od wróżbitki nikt nie wymaga wielkiej mądrości (Paul nie miał zbyt wielkich złudzeń co do talentów czy wiedzy córki), lecz tego, by niewidzialne nitki wiązały ją ze zbiornicą mądrości umieszczoną poza nią. Kiedy Brigitte przedstawiała mu swoje opinie, nie przypisywał ich osobistej oryginalności córki, lecz wielkiej zbiorowej mądrości młodych, która wypowiadała się przez jej usta; słuchał jej zatem z rosnącą ufnością.

Agnes wstała od stołu i zebrała talerze, by je zanieść do kuchni. Brigitte obróciła się już cała z krzesłem w stronę telewizora i Paul został przy stole sam. Pomyślał o grze, jaką zabawiali się

jego rodzice. Dziesięć osób krąży wokół dziesięciu krzeseł i na dany znak wszystkie muszą usiąść. Każde krzesło nosi napis. Na krzesle, które przypada Paulowi, przeczytać można: “Błyskotliwy sprzymierzeniec własnych grabarzy”. Wie, że gra dobiegła końca i że na tym krzesle będzie siedział już zawsze.

Co począć? Nic. Zresztą dlaczego człowiek nie miałby być sprzymierzeńcem własnych grabarzy? Czy ma się z nimi bić na pięści? Żeby pluli na jego trumnę?

Usłyszał znowu śmiech Brigitte i w tej samej chwili do głowy przysłała mu inna definicja, najbardziej paradoksalna, idąca najdalej. Spodobała mu się tak, że zapomniał o smutku. Oto ona: być absolutnie nowoczesnym, to być sprzymierzeńcem własnych grabarzy. Być ofiarą własnej sławy

Powiedzieć Bernardowi “ożeń się ze mną!” byłoby błędem w każdym przypadku; powiedzieć to, gdy został mianowany kompletnym osłem, było pomyłką wielką jak Mont Blanc. Musimy bowiem wziąć pod uwagę okoliczność, która na pierwszy rzut oka wydaje się zupełnie nieprawdopodobna, lecz jej przypomnienie jest konieczne, jeśli chcemy zrozumieć Bernarda: nie licząc przebytej w dzieciństwie różyczki, nigdy nie był chory, jedyna śmierć, jaką zobaczył z bliska, zabrała myśliwskiego charta ojca i, wyjąwszy kilka słabych ocen z egzaminów, nie doznał żadnej porażki; żył w przeświadczeniu, że z natury rzeczy należy mu się szczęście i sympatia wszystkich. Nominacja na osła była pierwszym ciosem, jaki los mu wymierzył.

Doszło wówczas do dziwnej zbieżności. W tym samym mniej więcej czasie imagolodzy podjęli szeroką kampanię reklamującą radio Bernarda i kolorowy portret ekipy redakcyjnej wypełnił wielkie afisze porozlepiane po całej Francji: siedzieli na tle błękitnego nieba w białych koszulach z podwiniętymi rękawami, usta mieli otwarte: śmieli się. Spacerując po Paryżu, Bernard pękał najpierw z dumy. Ale po jednym czy dwóch tygodniach niepokalanej sławy przyszedł opasły potwór i z uśmiechem wręczył mu kartonowy rulon. Gdyby zdarzyło się to wcześniej, kiedy olbrzymi portret jeszcze nie ukazał się całemu światu, Bernard zapewne lepiej zniosłby szok. Ale sława zdjęcia nadała wstydu z powodu dyplomu jakby rezonans; wzmogła go.

Czymś innym jest przeczytać w “Le Monde”, że niejaki Bernard Bertrand został mianowany kompletnym osłem, a czymś innym dowiedzieć się, że mianowano nim człowieka, którego zdjęcie widnieje na wszystkich murach. Sława roznosi stokrotnym echem wszystko, co nam się zdarza. A chodzenie po świecie z echem za sobą nie jest bynajmniej czymś miłym. Bernard uprzytomnił sobie nagle swoją świeżą ranę i pomyślał, że sława jest tym, do czego nigdy przecież nie dążył. Pożądał naturalnie sukcesów, lecz sukces i sława to dwie różne rzeczy. Sława oznacza, że zna was wielu ludzi, których wy nie znacie; sądzą oni, że wszystko im wobec was wolno, chcą wszystko o was wiedzieć i postępują tak, jakbyście do nich należeli. Aktorzy, piosenkarze, politycy

doznają zapewne rozkoszy, oddając się w ten sposób innym. Ale Bernard takiej rozkoszy nie pożądał. Niedawno, gdy przeprowadzał wywiad z aktorem, którego syn zamieszany był w jakąś ciemną sprawkę, rozkoszował się widząc, jak sława człowieka staje się jego piętą achillesową, jego słabym punktem, ułomnością, lwią grzywą, za którą można go chwycić, wytargać, a potem już nie puścić. Bernard chciał być tym, kto zadaje pytania, nie tym, kto musi na nie odpowiadać. A sława należy do odpowiadającego, nie do pytającego. Człowiek, który odpowiada, pozostaje w świetle reflektorów, człowiek, który pyta, filmowany jest od tyłu. W pełnym świetle pojawia się Nixon, a nie Woodward. Bernard nie pożąda sławy tego, w kogo wycelowane są reflektory, lecz władzy tego, kto stoi w półmroku. Pożąda siły myśliwego zabijającego tygrysa, a nie sławy tygrysa podziwianego przez tych, którym posłuży za dywan, gdy wstawać będą z łóżka.

Sława nie jest jednak własnością słynnych ludzi. Każdy przeżywa choć raz swoją małą sławę i doznaje choć na chwilę tego samego, co Greta Garbo, Nixon, czy tygrys obdarty ze skóry. Otwarte usta Bernarda śmiały się ze wszystkich murów miasta i Bernard czuł się pod pręgierzem: wszyscy widzieli go, oglądali, sądzili. Kiedy Laura powiedziała: “Bernardzie, ożeń się ze mną!”, wyobraził ją sobie pod pręgierzem u swego boku. I nagle (nic takiego nigdy wcześniej mu się nie przytrafiło) wydała mu się stara, nieprzyjemnie ekstrawagancka i nieco śmieszna.

Wszystko to było tym bardziej głupie, że potrzebował jej jak nigdy dotąd. Najbardziej zbawienną dla niego miłością pozostawała wciąż miłość kobiety starszej, pod warunkiem że miłość ta stanie się jeszcze bardziej skryta i że kobieta w jeszcze większym stopniu okaże swą mądrość i dyskrecję. Gdyby, zamiast głupio proponować mu małżeństwo, Laura postanowiła zbudować z ich miłości luksusowy i odległy od publicznego życia zamek, nie musiałyby się lękać, że utraci Bernarda. Ale widząc na każdym rogu ulicy jego gigantyczne zdjęcie, Laura powiązała je z nowym zachowaniem kochanka, z jego milczeniem, roztargnioną miną, i doszła do wniosku, że sukces sprowadził na jego drogę inną kobietę, zajmującą wszystkie jego myśli. A ponieważ Laura nie chciała się poddać bez walki, przeszła do ataku.

Rozumiecie teraz, dlaczego Bernard się cofał. Gdy jedna osoba atakuje, druga się cofa, taka jest zasada. Odwrót, jak dobrze wiadomo, jest najtrudniejszym manewrem wojennym. Bernard przeprowadził go z matematyczną precyzją: wcześniej spędzał u Laury cztery noce w tygodniu, teraz ograniczył się do dwóch; wcześniej wyjeżdżał z nią na wszystkie weekendy, teraz poświęcał jej co drugą niedzielę i przygotowywał nowe restrykcje. Zdawało mu się, że jest pilotem kosmicznego pojazdu, który, powracając w ziemską stratosferę, musi gwałtownie wyhamować. Hamował zatem, ostrożnie i wytrwale, a w tym czasie jego urocza i macierzyńska kochanka znikła mu sprzed oczu. Na jej miejscu pojawiła się kobieta swarliwa, wyzuta z mądrości, z dojrzałości i nieprzyjemnie przedsiębiorcza.

Grizzly powiedział pewnego dnia: - Poznałem twoją narzeczoną.

Bernard poczerwieniał ze wstydu.

Grizzly mówił dalej: - Opowiadała mi o waszych nieporozumieniach. To sympatyczna kobieta. Bądź dla niej miły.

Bernard pobladł z wściekłości. Wiedząc, że Grizzly nie potrafi trzymać języka za zębami, był pewny, że cała redakcja już wie, kim jest jego kochanka. Związek ze starszą od niego kobietą wydawał mu się dotychczas uroczą perwersją, niemal brawurą; ale teraz rozumiał, że koledzy dojrzą w tym związku po prostu kolejny dowód jego oślich uszu.

- Dlaczego chodzisz na skargę do obcych?

- Do obcych? O kim ty mówisz?

- O Grizzlim.

- Myślałam, że to twój przyjaciel!

- Nawet gdyby był moim przyjacielem, po co mu opowiadać o naszym prywatnym życiu?

Odpowiedziała ze smutkiem: - Ja nie ukrywam miłości do ciebie. Czy muszę milczeć? Może ty się mnie wstydzisz?

Bernard nie odpowiedział. Tak, wstydził się jej. Wstydził się jej, nawet jeśli w jej towarzystwie czuł się szczęśliwy. Ale czuł się szczęśliwy w jej towarzystwie tylko wtedy, gdy zapominał, że się jej wstydzi. Walka

Na pokładzie kosmicznego pojazdu miłości Laura bardzo źle znosiła ujemne przyspieszenie.

- Co ci jest? Proszę, wyjaśnij mi.

- Nic mi nie jest.

- Zmieniłeś się.

- Potrzebuję być sam.

- Czy coś się stało?

- Mam kłopoty.

- Jeśli masz kłopoty, tym bardziej nie powinieneś być sam. Kiedy człowiek ma kłopoty, wtedy najbardziej kogoś potrzebuje.

Któregoś piątku pojechał do swego wiejskiego domu i nie zaprosił jej. Jednak w sobotę zjawiała się u niego. Wiedziała, że nie powinna tego robić, lecz od dawna zwykła postępować, tak jak nie powinna, i nawet się tym pyszniła, gdyż właśnie dlatego mężczyźni, a Bernard bardziej niż ktokolwiek, ją podziwiali. Czasami w trakcie koncertu lub spektaklu, który jej się nie podobał, wstawiała na znak protestu i ostentacyjnie, hałaśliwie wychodziła, obrzucana przez rozgniewanych sąsiadów niechętnym spojrzeniem. Pewnego dnia Bernard poprosił córkę konsjerżki o zanieśnienie

do sklepu Laury listu, którego niecierpliwie oczekiwała; w przypiływie radości zdjęła z półki futrzany toczek, wart co najmniej dwa tysiące franków, i podarowała go szesnastoletniej dziewczynie. Innym razem pojechała z Bernardem na dwa dni do wynajętej nad morzem willi; chcąc go za coś ukarać, spędziła całe popołudnie na zabawie z dwunastoletnim chłopcem, synem sąsiada rybaka, jak gdyby zapomniała o istnieniu kochanka. Najdziwniejsze było to, że Bernard, choć mocno dotknięty, ostatecznie dopatrywał się w jej zachowaniu urzekającej spontaniczności ("Dla tego dzieciaka niemal zapomniałam o bożym świecie!"), oraz rozbijającej kobiecości (czyż nie była po "matczynemu" czuła dla dziecka?) i nazajutrz, gdy zapomniała o synu sąsiada i zajęła się tylko nim, cały jego gniew uleciał. Pod miłosnym i wielbiącym spojrzeniem Bernarda jej kapryśne pomysły rozwijały się bujnie, rozkwitały, rzecz można, niczym róże; niestosowne postępkę, nierozważne słowa wydawały się Laurze oznaką własnej oryginalności, wdziękiem jej ja, i była szczęśliwa.

Kiedy Bernard zaczął się Laurze wymykać, jej ekstrawagancje nie zniknęły, lecz natychmiast utraciły szczęśliwy i naturalny wyraz. Tamtego dnia, gdy postanowiła pojechać do niego bez zaproszenia, dobrze wiedziała, że tym razem nie zyska żadnego aplauzu, i weszła do domu pełna niepokoju, który sprawił, że jej zuchwałość, niedawno jeszcze niewinna, a nawet urocza, stała się napastliwa i wymuszona. Zdawała sobie z tego sprawę i nie mogła wybaczyć Bernardowi, że pozbawia ją wczorajszej przyjemności bycia sobą samą, przyjemności, która nagle ujawniła swą kruchość, brak korzeni i pełne uzależnienie od Bernarda, od jego miłości i jego podziwu. I tym bardziej coś ją popychało do posunięć dziwacznych, nierozumnych, mających wzbudzić jego złość; pragnęła doprowadzić do eksplozji, w niejasnej i skrytej nadziei, że po burzy chmury się rozwieją i wszystko będzie jak dawniej.

- No i jestem - powiedziała ze śmiechem. - Mam nadzieję, że się cieszysz.

- Tak, cieszę się. Ale ja przyjechałem tu popracować.

- Nie będę ci przeszkadzała w pracy. O nic cię nie proszę. Chcę tylko być z tobą. Czy kiedykolwiek przeszkodziłam ci pracować?

Nie odpowiedział.

- W końcu często jeździłam z tobą na wieś, gdy miałeś przygotować audycję. Czy kiedykolwiek ci przeszkadzałam?

Nie było rady. Musiał odpowiedzieć: - Nie, nie przeszkadzałaś mi.

- No to dlaczego teraz ci przeszkadzam?

- Nie przeszkadzasz mi.

- Nie kłam! Spróbuj się zachować jak mężczyzna; miej przynajmniej odwagę i powiedz mi, jak strasznie cię drażnią przyjeżdżając tu bez zaproszenia. Nie znoszę tchórzy. Wolałabym, żebyś kazał mi się stąd wynosić. No, każ mi się wynieść!

Wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

- Dlaczego taki z ciebie tchórz?

Znow wzruszył ramionami.

- Nie wzruszaj ramionami!

Miał ochotę wzruszyć nimi po raz trzeci, lecz się powstrzymał.

- Co ci jest? Proszę, wyjaśnij mi.

- Nic mi nie jest.

- Zmieniłeś się.

- Lauro! Mam kłopoty! - powiedział podniesionym głosem.

- Ja też mam kłopoty! - odpowiedziała, również podnosząc głos.

Wiedział, że zachowuje się głupio, jak smarkacz strofowany przez matkę, i nienawidził jej. Co miał robić? Potrafił być dla kobiet miły, zabawny, może nawet uroczy, lecz nie umiał być dla nich zły, tego nikt Bernarda nie nauczył, przeciwnie, wszyscy wbijali mu do głowy, że nigdy nie należy być dla nich złym. Jak ma się zachowywać mężczyzna wobec kobiety, która przyjeżdża do niego bez zaproszenia? Na jakim uniwersytecie można nauczyć się takich rzeczy?

Przestał jej odpowiadać, przeszedł do sąsiedniego pokoju, wyciągnął się na sofie i chwycił pierwszą lepszą książkę. Leżąc na wznak, trzymał otwartą książkę przed twarzą; udawał, że czyta. Laura weszła po minucie i usiadła naprzeciw w fotelu. Po chwili, spoglądając na kolorowe zdjęcie na okładce książki, spytała:

- Jak można czytać coś podobnego?

Zaskoczony odwrócił ku niej głowę.

- Okładka! - powiedziała Laura.

Nadal nie rozumiał.

- Jak możesz podtykać mi pod nos rzecz w tak złym guście? Jeśli zależy ci, by czytać tę książkę w mojej obecności, zrób mi przyjemność i zerwij okładkę.

Bernard nic nie odpowiedział, zerwał okładkę, podał ją Laurze i pogrążył się w lekturze.

Laurze chciało się krzyknąć. Pomyślała, że powinna wstać, odejść i nigdy więcej z nim się nie zobaczyć. Albo powinna odsunąć o kilka centymetrów książkę i splunąć mu w twarz. Nie mogła jednak zebrać się na odwagę. Zamiast tego rzuciła się na niego (książka upadła na dywan) i obsypała Bernarda szaleńczymi pocałunkami, i gładziła go po całym ciele.

Bernard nie miał najmniejszej ochoty na miłość. Choć jednak miał czelność odmówić rozmowy, nie umiał odmówić erotycznemu wezwaniu, w czym przypominał zresztą wszystkich mężczyzn wszechczasów. Który mężczyzna ośmieli się powiedzieć: “Łapy przy sobie” kobiecie, wsuwającej mu miłośniczo rękę między nogi? I ten sam Bernard, który z wielkopańską pogardą dopiero co zerwał okładkę z książki i wręczył ją poniżonej kochance, nagle poddał się posłuszenie jej pieścizom i pocałował ją, rozpinając spodnie.

Ale i ona nie pragnęła teraz miłości. Popchnęła ją ku niemu rozpacz, że nie wie co robić, i konieczność, by zrobić cokolwiek. Jej niecierpliwie pieścizy wyrażały ślepe pragnienie działania, nieme pragnienie słowa. Gdy zaczęli się kochać, chciała, by ich uściski były dziksze niż kiedykolwiek, gwałtowne niczym pożar. Ale jak osiągnąć coś takiego w czasie milczącego zbliżenia (gdyż kochali się zawsze w milczeniu, nie licząc kilku lirycznych słów wyszeptanych, gdy brakło tchu)? Tak, jak to osiągnąć? szybkimi, prężnymi ruchami? zwiększając siłę westchnień? częstą zmianą położenia ciał? Ponieważ nie знаła innych, posłużyła się tymi trzema metodami. Przede wszystkim co chwila zmieniała z własnej inicjatywy pozycję: to opierała się na rękach i kolanach, to siadała na nim okrakiem, to wymyślała zupełnie nowe i skrajnie trudne figury, jakich nigdy nie próbowali.

Bernard pojął jej nieoczekiwany fizyczny wyczyn jako wyzwanie, którego nie mógł odrzucić. Odezwała się w nim dawna bojaźń młodzieńca, lękającego się, że jego erotyczny talent i dojrzałość zostaną niedocenione. Bojaźń ta przywracała Laurze utraconą ostatnio władzę, na której opierał się kiedyś ich związek: władzę kobiety starszej od partnera. Bernard znów miał nieprzyjemne wrażenie, że Laura jest bardziej doświadczona, że umie to, czego nie umie on, że może porównać go z innymi i osądzić. Z nadzwyczajną zatem gorliwością wykonywał nakazane ruchy i na najmniejszy znak Laury, wskazujący, że chce się ułożyć inaczej, reagował posłuszenie i błyskawicznie niczym żołnierz na mustrze. Miłosna gimnastyka wymagała tylu starań, że nie miał nawet czasu pomyśleć, czy jest podniecony, czy też nie, i czy doznaje czegoś, co mógłby określić, jako rozkosz.

Ona również nie dbała o przyjemność i podniecenie. Nie puszczę cię, mówiła sobie w duchu, nie dam się odstawić, będę o ciebie walczyła. I jej podbrzusze, podnosząc się i opadając, zamieniało się w wojenną maszynę, którą wprawiała w ruch i prowadziła. Ta broń jest ostatnią, myślała, jedyną, która jej została, lecz broń to wszechmocna. W rytm poruszeń powtarzała sobie niczym basowe “ostinato” w utworze muzycznym: “będę walczyć, będę walczyć, będę walczyć”, i wierzyła w zwycięstwo.

Wystarczy otworzyć słownik. Walczyć znaczy przeciwstawić swoją wolę woli drugiej osoby, aby ją złamać, rzucić na kolana, w razie czego zabić. “Życie jest walką” to wyrażenie, które,

wypowiedziane po raz pierwszy, musiało zabrzmieć jak melancholijne i pełne rezygnacji westchnienie. Naszemu stuleciu optymizmu i rzezi udało się przekształcić to straszne powiedzenie w wesołą piosenkę. Powiecie może, że choć walka “przeciw” komuś jest niekiedy rzeczą straszną, to walka o coś jest szlachetna i piękna. Z pewnością pięknie jest nie szczędzić wysiłków w służbie szczęścia (miłości, sprawiedliwości itd.), lecz jeśli lubicie określać swoje wysiłki słowem “walka”, wynika z tego, że w waszym szlachetnym wysiłku kryje się pragnienie, by przewrócić kogoś na ziemię. Walki “o” nie da się oddzielić od walki “przeciw”, a podczas walki walczący zawsze zapominają o przyimku o na rzecz przyimka “przeciw”.

Podbrzusze Laury poruszało się z wielką siłą w górę i w dół. Laura walczyła. Kochała i walczyła. Walczyła o Bernarda. Ale przeciw komu? Przeciw temu, którego trzymała w uścisku i po chwili odpychała, zmuszając do zmiany pozycji. Ta wycieńczająca gimnastyka na sofie i na dywanie, od której oblewali się potem i tracili dech, przypominała pantomimę bezlitosnej walki: ona atakowała, a on się bronił, ona wydawała rozkazy, a on słuchał. Profesor Avenarius

Profesor Avenarius poszedł w dół avenue du Maine, minął dworzec Montaparnasse, a ponieważ nigdzie się nie śpieszył, postanowił zajrzeć do Galeries Lafayette. W dziale damskim przystanął wśród woskowych manekinów, które, ubrane jak każda najnowsza moda, zewsząd go obserwowały. Avenarius lubił ich towarzystwo. Dostrzegał szczególny powab w kobietach, które zastygły w szaleńczej pozycji i których szeroko otwarte usta wyrażały nie śmiech (ich wargi nie były rozciągnięte), lecz silne wzruszenie. Profesor Avenarius wyobrażał sobie, że wszystkie te skamieniałe kobiety zobaczyły przed chwilą wspaniały wzwód jego członka, który nie dość, że był olbrzymi, to jeszcze wyróżniał się od zwykłych penisów główką rogatego diabła, zdobiącą jego koniuszek. Obok kobiet ogarniętych zachwytem i przerażeniem stały też inne, układające w dziobek swe karminowe usta, spomiędzy których w każdej chwili wyrosnąć mógł język, by zachęcić Avenariusza do zmysłowego pocałunku. I była też trzecia kategoria kobiet, których usta układały się w marzycielski uśmiech. Ich wółprzymknięte oczy nie pozostawiały cienia wątpliwości: smakowały one jeszcze długą i cichą rozkosz kopulacji.

Cudowny erotyzm, jaki manekiny wysyłały w przestrzeń niczym promienie energii atomowej, nie wywoływał u nikogo odzewu; ludzie krążyli wśród towarów, zmęczeni, poszarzali, znudzeni, rozdrażnieni i zupełnie obojętni na seks; jeden profesor Avenarius, w poczuciu, że przechodząc tędy staje na czele gigantycznej orgii, był szczęśliwy.

Niestety, wszystko co piękne ma kres: profesor Avenarius wyszedł z domu towarowego i, chcąc uniknąć fali samochodów mknących po bulwarze, skierował kroki w stronę schodów, prowadzących w podziemia metra. Był bywalcem tego miejsca i nie zaskoczył go napotkany widok. W korytarzu ulokowała się ta sama co zawsze kompania. Dwóch kloszardów przepijało do

siebie; od czasu do czasu jeden z nich, nie wypuszczając z ręki butelki wina, niedbale i z rozbajającym uśmiechem nagabywał przechodniów o datek na nową butelkę. Obok na ziemi siedział młody mężczyzna, wsparty plecami o ścianę, z twarzą ukrytą w dłoniach; napis kredą na ziemi głosił, że człowiek ten wyszedł właśnie z więzienia, nie może znaleźć pracy i jest głodny. Wreszcie przy ścianie (naprzeciw wypuszczonego z więzienia mężczyzny) stał znużony muzyk; u jego stóp leżał z jednej strony kapelusz z kilkoma monetami, a z drugiej trąbka.

Wszystko wyglądało całkiem normalnie i tylko jeden niecodzienny szczegół przykuł uwagę Avenariusza. Dokładnie w połowie drogi między mężczyzną, który wyszedł z więzienia, a obu pijanymi kloszardami, lecz nie przy ścianie, tylko na samym środku korytarza, przystanąła raczej ładna dama, jeszcze przed czterdziestką; w rękę trzymała czerwoną skarbonkę i z promiennie kobiecym uśmiechem wyciągała ją w stronę przechodniów; na skarbonce widniał napis: "Wspomóż trędowatych." Kobieta wyróżniała się spośród otoczenia eleganckim strojem, a jej zapał rozświetlał niczym latarnia półmrok korytarza. Było oczywiste, że jej obecność drażni żebraków, którzy zwykli tu właśnie spędzać dzień pracy, a trąbka złożona u stóp muzyka wymownie wyrażała kapitulację wobec nieuczciwej konkurencji.

Za każdym razem, gdy udało się jej pochwycić czyjeś spojrzenie, kobieta wymawiała starannie, lecz w sposób niemal niesłyszalny, aby zmusić przechodniów do czytania z jej ust: "Trędowaci!" Profesor Avenarius miał właśnie odgadnąć z warg jej słowa, ale kobieta, dostrzegłszy go, wymówiła jedynie "trędo-" i wstrzymała "-waci", ponieważ go rozpoznała. Avenarius również ją rozpoznał i nie umiał sobie wyjaśnić, skąd tu się wzięła. Biegiem pokonał schody i wyszedł po drugiej stronie bulwaru.

Tutaj pojął, że niepotrzebnie skorzystał z podziemnego przejścia, gdyż ruch samochodów został wstrzymany: od restauracji "la Coupole" po rue de Rennes posuwał się całą szerokością jezdni tłum manifestantów. Wszyscy mieli smagłe twarze i profesor Avenarius sądził, że to Arabowie protestują przeciw rasizmowi. Nie przejmując się nimi, przebył kilkadziesiąt metrów i otworzył drzwi kawiarni. Szef powiedział: "Pan Kundera się spóźni. Zostawił dla pana tę książkę, żeby umilić panu oczekiwanie" i podał profesorowi swoją powieść "Życie jest gdzie indziej", w tanim wydaniu zwanym folio.

Profesor Avenarius wepchnął książkę do kieszeni, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, gdyż w tej właśnie chwili przypomniał sobie o kobiecie z czerwoną skarbonką i zapragnął ujrzeć ją ponownie. "Zaraz wracam", powiedział i wyszedł.

Z napisów na transparentach zrozumiał, że w pochodzie idą nie Arabowie, lecz Turcy, protestujący nie przeciw rasizmowi francuskiemu, lecz przeciw bułgaryzacji mniejszości tureckiej w Bułgarii. Manifestanci wznosili zaciśnięte pięści, z pewnym jednak znużeniem, gdyż

bezgraniczna obojętność paryżan idących trotuarem doprowadzała ich do skrajnej rozpacz. Gdy jednak spostrzegli wydatny i wypięty brzuch mężczyzny, który posuwał się chodnikiem i wznosił pięść z okrzykiem "Precz z Rosjanami! Precz z Bułgarami!", poczuli nagle nowe siły i nad bulwarem w najlepsze wzleciały kolejne hasła.

Przy zejściu do metra, którym wyszedł przed kilkanaście minutami, Avenarius zobaczył dwie brzydule, rozdające ulotki. Chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o walce z Bułgarami, spytał jedną z nich: "Pani jest Turczynką?" "Broń Boże! - zarzekła się kobieta, tak jakby oskarżył ją o jakąś potworność. - My nie mamy nic wspólnego z tą manifestacją! My tutaj walczymy z rasizmem!" Avenarius wziął od każdej po ulotce i nadział się na uśmiech młodzieńca niedbale wspartego o barierkę przy wejściu. On także podał mu ulotkę z wyzywająco rozradowaną miną.

- A to przeciwko czemu? - spytał profesor Avenarius.

- To o wolność dla ludu Kanaków.

Profesor Avenarius zszedł zatem w podziemia z trzema ulotkami; gdy tylko znalazł się w katakumbach, stwierdził, że atmosfera się zmieniła; zmęczenie i nuda uleciały, coś się działo: dosłyszał radosny głos trąbki, oklaski, śmiechy. Po chwili zobaczył całą scenę. Kobieta z czerwoną skarbonką stała w tym samym miejscu, lecz otoczona przez obu kloszardów: pierwszy chwycił ją za lewą wolną dłoń, drugi lekko ścisnął w łokciu prawą rękę ze skarbonką. Ten, który trzymał dłoń, wykonywał taneczne kroki, trzy do przodu, trzy w tył. Ten, który ścisnął łokieć, wyciągnął w stronę przechodniów kapelusz muzyka, krzycząc: "Na trędowatych! Na Afrykę!", a muzyk dmuchał obok w trąbkę, dmuchał do utraty tchu, dmuchał jak nigdy; wokół gromadzili się uśmiechnięci ludzie i rzucali do kapelusza monety, a nawet banknoty, kloszard zaś dziękował: "Ach, jakże Francja jest szczodra! Dzięki! Dzięki w imieniu trędowatych, którzy bez Francji pozdychaliby jak psy! Ach, jakże Francja jest szczodra!"

Kobieta nie wiedziała, co począć; to próbowała się wyrwać, to znów oklaski zachęcały ją do tanecznych kroków, raz w przód, raz w tył. W pewnej chwili kloszard chciał obrócić ją wokół siebie i zatańczyć z nią w parze. Poczula silny odór alkoholu i zaczęła się bronić niezręcznie, ze strachem i trwogą na twarzy.

Mężczyzna, który wyszedł z więzienia, nagle zerwał się i zaczął machać rękami, jakby chciał ostrzec kloszardów przed niebezpieczeństwem. Nadchodziło dwóch policjantów. Widząc ich, profesor Avenarius sam ruszył do tańca. Potrząsał z lewa na prawo swym ogromnym brzuchem, wyrzucał do przodu to jedną ugiętą rękę, to drugą, uśmiechał się na wszystkie strony, roztaczając wokół niewymowny nastrój beztroski i spokoju. Gdy policjanci byli już blisko, przesłał damie ze skarbonką porozumiewawczy uśmiech i zaczął klaskać w rytm trąbki i własnych kroków. Policjanci spojrzeli na niego spode łba i ruszyli w dalszy obchód.

Zachwycony sukcesem, Avenarius zdwoił wysiłki i z niespodziewaną lekkością zawirował, zrobił skok w przód i skok w tył, uniósł wysoko nogę i ruchem rąk naśladował tancerkę kankana, która zadziera spódnicę. Natchnął tym kloszarda, trzymającego kobietę za łokieć. Kloszard pochylił się i chwycił brzeg jej sukienki. Chciała się bronić, lecz nie mogła oderwać wzroku od brzuchacza, który patrzył na nią z zachęcającym uśmiechem; gdy próbowała odwzajemnić uśmiech, kloszard zadarł jej sukienkę aż do pasa, odsłaniając nagie nogi i zielone majteczki (dobrze dobrane do różowej sukienki). Znowu chciała się bronić, ale była bezsilna: w jednej ręce trzymała skarbonkę (choć nikt nie wrzucił ani centyma, ścisnęła ją mocno, jakby skarbonka zawierała jej honor, sens jej życia, a może jej duszę), drugą rękę przytrzymywał kloszard. Gorzej być nie mogło, nawet gdyby związanej jej ręce i chciano ją zgwałcić. Kloszard raz jeszcze zadarł wysoko spódniczkę, wykrzykując "Dla trędowatych! Dla Afryki!", i po twarzy damy spłynęły łzy poniżenia. Nie chcąc jednak wyglądać na poniżoną (poniżenie wyznane jest poniżeniem w dwójnasób), zmusiła się do uśmiechu, jak gdyby wszystko odbywało się za jej przyzwoleniem i dla dobra Afryki; odważyła się nawet wyrzucić w powietrze nogę, ładną, choć nieco krótką.

Wówczas uderzył ją straszliwy smród: z ust kloszarda śmierdziało nie mniej niż z ubrań, które, noszone od lat, nocą i dniem, przylepiły się do jego skóry (gdyby padł ofiarą wypadku, cały sztab chirurgów musiałby przez godzinę zdrapywać z niego szmaty przed położeniem go na operacyjnym stole). Nie wytrzymała: ostatkiem sił wyrwała się z uścisku i przyciskając skarbonkę do piersi, podbiegła do profesora Avenariusza. Profesor rozpostarł ramiona i objął ją. Mocno przytulona, drżała i łkała. Szybko ją uspokoił, chwycił za rękę i wyprowadził z metra. Ciało

- Lauro, ty chudniesz - powiedziała Agnes z zatroskaną miną, gdy jadły z siostrą obiad w restauracji.

- Tracę apetyt. Wszystko zwracam - odpowiedziała Laura, pociągając łyk wody mineralnej, którą zamówiła zamiast, jak zawsze, wina. - Jest za mocna - dodała.

- Co, woda mineralna?

- Muszę ją mieszać ze zwykłą.

- Lauro!... - Agnes chciała się sprzeciwić, lecz powiedziała tylko: - Nie martw się tak.

- Wszystko stracone, Agnes.

- Ale co się między wami zmieniło?

- Wszystko. Mimo że kochamy się jak nigdy przedtem. Jak para szaleńców.

- Więc co się zmieniło, jeśli kochacie się jak szaleni?

- To są jedyne chwile, gdy mam pewność, że jest ze mną. Gdy tylko przestajemy się kochać, jego myśli wędrują gdzie indziej. I niczego by nie zmieniło, gdybyśmy kochali się sto razy

częściej. To już koniec. Bo kochać się niewiele znaczy. Nie to jest dla mnie ważne. Ważne jest, żeby o mnie myślał. Miałam w życiu wielu mężczyzn i żaden z nich już nic o mnie nie wie, i ja nie wiem nic o nich, i pytam siebie: po co żyłam, jeśli w nikim nie zachował się po mnie żaden ślad? Co pozostaje z mojego życia? Nic, Agnes, nic! Ale przez te dwa ostatnie lata byłam naprawdę szczęśliwa, bo wiedziałam, że Bernard o mnie myśli, że mieszkam w jego głowie, że żyję w nim. Bo tym właśnie jest dla mnie prawdziwe życie. Żyć w czyichś myślach. Bez tego jestem martwa, martwa za życia.

- Ale gdy jesteś sama w domu i słuchasz płyty, czy wtedy twój Mahler nie daje ci tej minimalnej porcji szczęścia, dla której warto żyć? Czy to ci nie wystarcza?

- Agnes, mówisz głupstwa i dobrze o tym wiesz. Mahler nie znaczy dla mnie nic, jeśli jestem sama. Mahler sprawia mi przyjemność wtedy tylko, gdy jestem z Bernardem lub wiem, że myśli o mnie. Kiedy jestem sama, nie mam nawet siły posłać łóżka. Nie mam nawet ochoty myć się i zmieniać bielizny.

- Lauro! Twój Bernard nie jest jedynym mężczyzną na świecie!

- Jest - odpowiedziała Laura. - Dlaczego chcesz, żebym się okłamywała? Bernard jest moją ostatnią szansą. Nie mam już dwudziestu lat. Ani trzydziestu. Po Bernardzie będzie już tylko pustynia.

Wypiła łyk wody mineralnej i powtórzyła: - Ta woda jest za mocna. - Zawołała na kelnera i poprosiła o karafkę ze zwykłą wodą.

- Za miesiąc jedzie na dwa tygodnie na Martynikę - ciągnęła. - Już dwa razy tam z nim byłam. Tym razem oznajmił mi, że pojedzie sam. Ale wiem, co zrobię.

Na stole pojawiła się karafka i ku zdziwieniu kelnera Laura dołała z niej wody do swej szklanki. Po czym powtórzyła:

- Tak, wiem, co zrobię.

Zamilkła, jakby milczeniem chciała nakłonić siostrę do dalszych pytań. Agnes zrozumiała i naumyślnie nie zadała żadnego. Milczenie jednak przedłużało się i skapitulowała:

- Co chcesz zrobić?

Laura odpowiedziała, że w ostatnich tygodniach była z wizytą u pięciu co najmniej lekarzy i każdy przepisał jej środki nasenne.

Odkąd zaczęła w swoje codzienne skargi wtrącać aluzje o samobójstwie, Agnes czuła znużenie i przygnębienie. Wielokrotnie przytaczała argumenty logiczne i uczuciowe; zapewniała siostrę o swej miłości ("«mnie» nie możesz tego zrobić"), lecz to nie skutkowało: Laura znów mówiła o samobójstwie, jakby nic do niej nie docierało.

- Wyjadę na Martynikę tydzień przed nim - ciągnęła. - Mam klucz. Willa stoi pusta. Tak to urządzę, że zastanie mnie w środku. I nigdy nie będzie mógł o mnie zapomnieć.

Agnes wiedziała, że Laura jest skłonna do nierozumnych działań, i przestraszyły ją słowa "tak to urządzę, że zastanie mnie w środku": wyobraziła sobie nieruchome ciało Laury w salonie tropikalnej willi; obraz ten, jak uzmysłowiła sobie z przerażeniem, był zupełnie prawdopodobny, całkowicie do pomyślenia, podobny do Laury.

Kochać kogoś znaczyło dla Laury czynić dar z własnego ciała: przynosić mu je tak, jak niegdyś kazała przynieść siostrze do mieszkania białe pianino, i składać je na środku mieszkania: oto jestem, oto moje pięćdziesiąt siedem kilo, oto moje ciało i kości; są dla ciebie i u ciebie je zostawiam. Ta ofiara była dla niej gestem erotycznym, gdyż w jej oczach ciało było erotyczne nie tylko w wyjątkowych chwilach podniecenia, lecz, jak już wspomniałem, od początku, a priori, stale i całkowicie, na powierzchni i wewnątrz, podczas snu, na jawie i nawet po śmierci.

Dla Agnes erotyzm ograniczał się do chwili podniecenia, w której ciało staje się ponętne i piękne. I tylko ta jedna chwila była dla ciała usprawiedliwieniem i jego odkupieniem; gdy jej sztuczne światła gasły, ciało znów stawało się niechlujnym mechanizmem, który musiała konserwować. Dlatego Agnes nigdy nie mogłaby powiedzieć: "Tak to urządzę, że zastanie mnie w środku." Przerażeniem napawałaby ją myśl, że ukochany mężczyzna ujrzy ją jako zwykłe ciało, pozbawione seksu, odarte z czaru, z wykrzywioną konwulsyjnie twarzą, w pozie, nad którą nie mogłaby już panować. Wstydziłaby się. Wstyd przeszkodziłby jej stać się z własnej woli trupem.

Ale Agnes wiedziała, że jej siostra jest inna: pomysł, by wystawić swoje martwe ciało w salonie kochanka, wynikał ze stosunku Laury do ciała i z jej pojęcia miłości. Dlatego Agnes obleciał strach. Pochylając się przez stół, chwyciła siostrę za rękę.

- Zrozum mnie - mówiła Laura półgłosem. - Ty masz Paula. Najlepszego mężczyznę, jakiego mogłabyś sobie życzyć. Ja mam Bernarda. Jeśli Bernard mnie zostawi, nie mam już nic i nikogo już mieć nie będę. I dobrze wiesz, że mnie byle co nie wystarczy! Nie będę patrzeć na nędzę mojego życia. Chcę, żeby życie dało mi wszystko: w przeciwnym razie odchodzę. Ty mnie rozumiesz. Jesteś moją siostrą.

Nastała chwila ciszy i Agnes szukała w popłochu słów, aby coś odpowiedzieć. Była zmęczona. Ten sam dialog powtarzał się co tydzień i wszystko, co mówiła, pozostawało bez echa. Nagle w tej chwili zmęczenia i niemocy rozległy się zupełnie nieprawdopodobne słowa:

- Stary Bertrand Bertrand znowu rzucał w Zgromadzeniu gromy na falę samobójstw. A to on jest właścicielem willi na Martynice. Wyobrażasz sobie, jaką mu sprawię przyjemność! - powiedziała Laura i wybuchnęła śmiechem.

Mimo że nerwowy i wymuszony, śmiech ten okazał się nieoczekiwanym sprzymierzeńcem Agnes. Roześmiała się sama i wkrótce z ich śmiechu uleciało całe napięcie i stał się on nagle śmiechem prawdziwym, śmiechem ulgi, i obie siostry śmiały się do łez, wiedząc, że się kochają i że Laura nie popełni samobójstwa. Mówiły obie naraz, trzymając się za ręce, i były to słowa miłości, spoza których przeświecała szwajcarska willa w ogrodzie i gest ręki wzniesionej wysoko w powietrze, niczym kolorowa piłka, niczym zaproszenie do podróży, niczym obietnica niewysłowionej przyszłości, obietnica, która nie została dotrzymana, lecz której echo zachowało wciąż pociągający urok.

Gdy chwila upojenia minęła, Agnes powiedziała:

- Lauro, nie wygaduj głupstw. Żaden mężczyzna nie zasługuje, żebyś dla niego cierpiała. Pomyśl o mnie, pomyśl, że cię kocham.

A Laura powiedziała:

- Chciałabym jednak coś zrobić, tak bardzo chciałabym coś zrobić.

- Coś? Co?

Laura spojrzała siostrze głęboko w oczy i wzruszyła ramionami, jakby przyznając, że zawartość tego “czegoś” nie jest jeszcze dla niej jasna. Po czym odchyliła lekko głowę, przywołała na twarz cień melancholijnego uśmiechu, czubkami palców dotknęła wgłębienia między piersiami i, nie przestając powtarzać “coś”, wyrzuciła przed siebie ręce.

Agnes poczuła ulgę: Laura zapewne nie umiała wyobrazić sobie niczego konkretnego jako “czegoś”, lecz jej gest nie pozostawiał cienia wątpliwości: to “coś” dążyło ku wzniosłej dali i nie mogło mieć nic wspólnego z trupem na podłodze salonu w tropikach.

Kilka dni później Laura wybrała się do Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Afrykańskiej, któremu przydywał ojciec Bernarda, i zgłosiła się do ulicznej zbiórki pieniędzy dla trędowatych. Gest pragnienia nieśmiertelności

Pierwszą miłością Bettiny był jej brat Clemens, przysły wielki poeta romantyczny, następnie, jak wiemy, zakochała się w Goethem, uwielbiała Beethovena, kochała swego męża Achima von Arnim, również wielkiego poetę, potem zapalała uczuciem do hrabiego Hermanna von Pucler-Muskau, który, choć nie był wielkim poetą, pisywał książki (to jemu zresztą dedykowała “Korespondencję Goethego z dzieckiem”), później, dobiegając pięćdziesiątki, żywiła erotyczno-macierzyńskie uczucie do dwóch młodzieńców, Philippa Nathusiusa i Juliusa Doringa, którzy, choć nie pisali książek, wymieniali z nią listy (korespondencję tę w części opublikowała), podziwiała Karola Marksa i zmusiła go pewnego dnia, będąc z wizytą u jego narzeczonej Jenny, do długiej nocnej przechadzki (Marks nie miał na przechadzkę najmniejszej ochoty, nad towarzystwo Bettiny stawał towarzystwo Jenny; jednak nawet on, zdolny wyrzucić świat do góry nogami, nie

potrafił odmówić kobiecie, będącej z Goethem na ty), miała słabość do Franciszka Liszta, lecz słabość przelotną, gdyż szybko zmierziło ją zainteresowanie, jakie poświęcał Liszt własnej tylko sławie, z prawdziwą pasją starała się pomóc malarzowi Karlowi Brecherowi, dotkniętemu chorobą umysłową (gardziła jego żoną podobnie jak niegdyś żoną Goethego), zaczęła korespondować z Karolem Aleksandrem, dziedzicem tronu sasko-weimarskiego, dla pruskiego króla Fryderyka Wilhelma napisała "Księgę króla", która traktowała o obowiązkach króla wobec poddanych, po czym wydała "Księgę ubogich", opisującą straszliwą nędzę ludu, ponownie zwróciła się do króla, chcąc nakłonić go do uwolnienia Wilhelma Friedricha Schloeffela, oskarżonego o spisek komunistyczny, a wkrótce wystąpiła w obronie Ludwika Mierosławskiego, jednego z przywódców polskiego powstania, oczekującego w więzieniu na wykonanie wyroku. Nie poznała nigdy ostatniego mężczyzny, którego wielbiła: był nim Sándor Petőfi, węgierski poeta poległy w dwudziestym czwartym roku życia w szeregach wojsk powstańczych w 1849 roku. Objawiła światu nie tylko wielkiego poetę (nazywała go "Sonnengott", "bogiem słońca"), lecz wraz z nim jego ojczyznę, o której istnieniu ówczesna Europa nie wiedziała niemal nic. Jeśli sobie przypomnimy, że węgierscy intelektualiści nazywali siebie "Kołem Petőfięgo", gdy w 1956 roku powstali przeciw cesarstwu rosyjskiemu, wzniecając pierwszą antystalinowską rewoltę, stwierdzimy, że poprzez swe miłości Bettina jest obecna na rozległym polu europejskiej historii od wieku osiemnastego aż po połowę naszego stulecia. Dzielna, uparta Bettina: wróżka Historii, jej kapłanka. A mówię kapłanka nie bez kozery, gdyż Historia była dla niej (wszyscy jej przyjaciele używali tej samej metafory) "wcieleniem Boga".

Niekiedy przyjaciele zarzucali jej, że nie dość myśli o rodzinie, o swej sytuacji materialnej, i że zbyt się poświęca dla innych.

"Nie obchodzi mnie wasze gadanie. Ja nie jestem buchalterem. Oto kim jestem!", odpowiadała, dotykając czubkami palców wgłębienia między piersiami. Po czym odrzucała lekko głowę w tył i, przywołując na twarz uśmiech, gwałtownie, lecz elegancko wyrzucała przed siebie ręce. Na początku tego ruchu palce jeszcze się stykały; w ostatniej fazie ręce się rozchodziły, a palce rozwierały szeroko.

Nie, nie mylicie się. Laura wykonała ten sam gest w poprzednim rozdziale, gdy oświadczyła, że chce "coś" zrobić. Przypomnijmy sobie:

Kiedy Agnes powiedziała: "Lauro, nie wygaduj głupstw. Żaden mężczyzna nie zasługuje, żebyś dla niego cierpiała. Pomyśl o mnie, pomyśl, że cię kocham." Laura odparła: "Chciałabym jednak coś zrobić, tak bardzo chciałabym coś zrobić!"

Mówiąc te słowa, wyobrażała sobie mgliście, że pójdzie do łóżka z innym mężczyzną. Myśl ta często ją nachodziła i nie kłóciła się z pragnieniem samobójstwa. Były to dwie skrajne, lecz

całkowicie zasadne reakcje poniżonej kobiety. Gniewne pytanie Agnes, chcącej wyjaśnić wszystko do końca, przerwało brutalnie to mgliste marzenie:

- Coś? Co?

Laura uzmysłowiła sobie, że naraża się na śmieszność, mówiąc o zdradzie zaraz po zapowiedzi samobójstwa; poczuła zakłopotanie i powtórzyła raz jeszcze swoje "coś". Spojrzenie Agnes wymagało jednak bardziej precyzyjnej odpowiedzi, toteż usiłowała przynajmniej za pomocą gestu nadać pewien sens tak nieścislemu określeniu: złożyła ręce na piersi i wyrzuciła je do przodu.

Skąd się wziął pomysł tego gestu? Trudno powiedzieć. Nigdy wcześniej go nie wykonywała. Musiał go podszeptać ktoś nieznajomy, tak jak aktorowi podpowiada się zapomniany tekst. Choć gest ten nie wyrażał niczego konkretnego dawał do zrozumienia, że "zrobić coś" znaczy poświęcić się, ofiarować siebie światu, wysłać swą duszę w błękitną dal niczym białą gołębicę.

Myśl, by zejść ze skarbonką do metra, kilka chwil wcześniej była z pewnością całkowicie Laurze obca i nie przyszlaby jej oczywiście do głowy, gdyby Laura nie złożyła palców między piersiami i nie wyrzuciła rąk do przodu. Gest ten miał jakby własną wolę: nakazywał, a ona słuchała.

Gesty Laury i Bettiny są identyczne, i zapewne istnieje również związek między pragnieniem niesienia pomocy Murzynom w dalekich krajach a staraniami Bettiny o uwolnienie Polaka skazanego na śmierć. Porównanie zdaje się wszakże niestosowne. Nie potrafiłbym sobie wyobrazić Bettiny von Arnim zebrzącej ze skarbonką w metrze. Bettina nie czuła żadnego pociągu do miłosiernych uczynków. Nie była zamożną, znudzoną beczynnością damą, która, chcąc wypełnić czymś dzień, organizuje zbiórki dla ubogich. Służbę traktowała tak surowo, że narażała się na uwagi męża ("służący też mają duszę", przypominał jej w jednym z listów). Do działania nie skłaniało jej umiłowanie dobroczynności, lecz pragnienie nawiązania bezpośredniego i osobistego kontaktu z Bogiem, który wcielił się, jak wierzyła, w Historię. Każda jej miłość do słynnego mężczyzny (inni jej nie interesowali) była tylko trampoliną, na którą spadała z całą siłą, aby odbić się jak najwyżej, aż po firmament, gdzie przebywa (wcielony w Historię) Bóg.

Tak, wszystko to prawda. Lecz uwaga! Laura również nie była podobna do wrażliwych dam, stojących na czele towarzystw charytatywnych. Nie leżało w jej zwyczajach dawanie jałmużny żebrakom. Przechodząc nie dalej niż dwa, trzy metry obok, nie widziała ich. Była chronicznym duchowym dalekowidzem. Bliżsi jej byli Murzyni, którym kawałkami odpadało ciało cztery tysiące kilometrów stąd. Znajdowali się dokładnie w tym miejscu horyzontu, dokąd ruchem rąk wysyłała swą cierpiącą duszę.

Jednakże między Polakiem skazanym na śmierć a trędowatymi Murzynami istnieje różnica! To, co u Bettiny było wkroczeniem w Historię, u Laury stało się zwykłym aktem miłosierdzia. Ale nie Laury to wina. Historia światowa ze swymi rewolucjami, utopiami, nadziejami, okropnościami porzuciła Europę i zostawiła tylko tęsknotę. I właśnie dlatego Francuz umiędzynarodowił miłosierdzie. Do jego okazywania nie skłania Francuza (tak jak skłania Amerykanina) chrześcijańska miłość bliźniego, lecz tęsknota za utraconą Historią, pragnienie przywołania jej do siebie i bycia w niej obecnym przynajmniej pod postacią czerwonej skarbonki na datki dla trędowatych Murzynów.

Nazwijmy gest Bettiny i Laury “gestem pragnienia nieśmiertelności”. Dążąc do wielkiej nieśmiertelności, Bettina chce powiedzieć: nie zgadzam się umierać razem z czasem teraźniejszym i jego zmartwieniami, chcę przejść siebie samą, być częścią Historii, ponieważ Historia jest wieczną pamięcią. Laura, choć dąży jedynie do małej nieśmiertelności, chce tego samego: przejść siebie samą i przejść niebezpieczną chwilę, jaką przeżywa, zrobić “coś”, aby pozostać w pamięci tych wszystkich, którzy ją znali. Dwuznaczność

W dzieciństwie Brigitte lubiła siadać na kolanach ojca, ale wydaje mi się, że z jeszcze większą przyjemnością czyniła to, gdy miała lat osiemnaście. Agnes tego nie potępiała: Brigitte wślizgiwała się często do ich łóżka (gdy na przykład oglądali przed zaśnięciem telewizję) i między całą trójką wytwarzała się większa fizyczna bliskość niż niegdyś między Agnes i jej rodzicami. Jednakże Agnes dostrzegała całą dwuznaczność tej sceny: dorodna dziewczyna z obfitym biustem i zaokrąglonym zadkiem, siedząca na kolanie przystojnego i jeszcze pełnego wigoru mężczyzny, muska tymże zaborczym biustem jego ramiona i twarz i nazywa go “tatusiem”.

Któregoś wieczoru zaprosili do siebie wesołą gromadkę przyjaciół, a wśród nich Laurę. Gdy w chwili rozbawienia Brigitte usiadła ojcu na kolanach, Laura powiedziała: “Ja też tak chcę.” Brigitte ustąpiła jej jedno kolano i w ten sposób obydwie zasiadły okrakiem na udach Paula.

Scena ta raz jeszcze przypomina nam Bettinę, gdyż to dzięki niej i nikomu innemu siadanie na kolanach stało się modelem erotycznej dwuznaczności. Wspomniałem, że Bettina przebyła pole miłosnych bitew swego życia chroniona tarczą dzieciństwa. Tarczą tą zasłaniała się do pięćdziesiątego roku życia, a potem wymieniła ją na tarczę macierzyństwa, sadzając sobie na kolanach wszystkich młodych mężczyzn. Sytuacja znów nabiera bajecznej dwuznaczności: matce nie wolno żywić seksualnych zamiarów wobec swego syna i dlatego obraz młodego mężczyzny siedzącego (choćby tylko metaforycznie) na kolanach dojrzałej kobiety obfituje w znaczenia erotyczne, tym dobitniejsze, że nie wyraził.

Śmiem twierdzić, że nie ma prawdziwego erotyzmu bez sztuki dwuznaczności; im większa jest dwuznaczność, tym silniejsze podniecenie. Któż nie pamięta dziecięcej zabawy w doktora?

Dziewczynka się kładzie, a chłopiec ją rozbiera pod pretekstem lekarskich oględzin. Dziewczynka jest posłuszna; ten, kto ją bada, nie jest przecież ciekawskim chłopczykiem, lecz poważnym specjalistą, troszczącym się o jej zdrowie. Erotyczny ładunek tej sytuacji jest tyleż tajemniczy, co ogromny; obojgu brakuje tchu. A tym bardziej brakuje tchu, że chłopiec ani przez chwilę nie przestaje być lekarzem i, zdejmując dziewczynce majteczki, nazywa ją panią.

Ta błogosławiona chwila dzieciństwa wywołuje we mnie jeszcze piękniejsze wspomnienie, wspomnienie z prowincjonalnego czeskiego miasta, do którego po pobycie w Paryżu powróciła na stałe w 1969 roku pewna młoda kobieta. W 1967 pojechała ona na studia do Francji i po dwóch latach zastała swój kraj pod okupacją wojsk rosyjskich; ludzie bali się wszystkiego i ich jedynym pragnieniem było znaleźć się gdzie indziej, tam gdzie jest wolność, gdzie jest Europa. Przez tamte dwa lata młoda Czeszka pilnie uczęszczała na wszystkie seminaria, na które każdy, kto chciał przebywać w samym sercu życia intelektualnego, powinien w owych czasach pilnie uczęszczać; dowiedziała się wtedy, że od najwcześniejszego dzieciństwa, jeszcze przed fazą edypalną, przechodzimy to, co słynny psychoanalityk nazywał "stadium lustra"; chodziło mu o to, że zanim zetkniemy się z ciałem matki i ojca, odkrywamy nasze własne ciało. Wracając do kraju, młoda Czeszka myślała, że wielu jej rodaków ominęło, ku swemu nieszczęściu, to właśnie stadium osobistego rozwoju. Oświetlona aureolą Paryża i jego głośnych seminariów, stworzyła kółko młodych kobiet. Wykładała im teorię, z której nikt niczego nie rozumiał, i wprowadzała ją w ćwiczenia praktyczne, tyleż proste, ile złożona była teoria: wszystkie kobiety rozbierały się do naga i każda przypatrywała się sobie w wielkim zwierciadle, po czym z najwyższą uwagą oglądały siebie wzajemnie, a na koniec obserwowały się w kieszonkowym lusterku, które jedna podstawiała drugiej tak, by mogła zobaczyć to, czego nie widziała nigdy. Wykładowczynie nawet przez chwilę nie porzucała języka teorii i jego fascynująca nieprzejrzystość przenosiła je daleko od rosyjskich wojsk, daleko od ich prowincjonalnego miasta, dostarczając ponadto tajemniczego i niepojętego podniecenia, o którym wzbraniały się mówić. Wykładowczynie była niewątpliwie nie tylko uczennicą wielkiego Lacana, lecz także lesbijką; nie sądzę jednak, by do koła należało wiele lesbijek z przekonania. I wyznam, że spośród wszystkich tych kobiet w moich fantazjach pojawia się najczęściej zupełnie niewinna dziewczyna, dla której podczas wspólnych seansów nie istniało na świecie nic poza ciemnym i źle przełożonym na czeski językiem Lacana. Ach, tamte naukowe spotkania nagich kobiet w jednym z mieszkań czeskiego miasteczka, gdy ulice przemierzały rosyjskie patrole, ach tamte seanse, o ileż bardziej podniecające niż orgie, podczas których każdy usiłuje sprostać wymaganym ruchom, wszystko jest konwencjonalne i ma tylko jeden, żałośnie pojedynczy sens! Porzućmy jednak czeskie miasteczko i powróćmy szybko do kolan Paula: na

jednym siedzi Laura; na drugim wyobraźmy sobie dla celów doświadczalnych nie Brigitte, lecz jej matkę.

Laura doznaje przyjemnego uczucia, gdy siedzeniem dotyka ud skrycie pożądanego mężczyzny; uczucia tym bardziej dojmującego, że nie usiadła na kolanach Paula jako kochanka, lecz jako szwagierka, za pełnym przyzwoleniem małżonki. Laura jest narkomanką dwuznaczności.

Dla Agnes w całej tej scenie nie ma nic podniecającego, lecz nie może uciec od śmiesznego zdania, które chodzi jej po głowie: “Na każdym kolanie Paula siedzi kobiecy odbyt. Na każdym kolanie Paula siedzi kobiecy odbyt!” Agnes jest przenikliwym obserwatorem dwuznaczności.

A Paul? Nie zamykają mu się usta, żartuje, podnosząc to jedno, to drugie kolano, żeby siostry dobrze wiedziały, jaki z niego wesoły wujaszek, w każdej chwili gotów dla przyjemności swych malutkich siostrzenic stać się kłusującym rumakiem. Paul jest głuptasem dwuznaczności.

W czasie największych miłosnych rozterek Laura często pytała Paula o radę i spotykała się z nim w różnych kawiarniach. Zauważmy, że w ich rozmowach nie było wzmianki o samobójstwie. Laura prosiła Agnes o zachowanie w tajemnicy ponurych zamiarów, których sama nigdy Paulowi nie ujawniała. Toteż nadto brutalny obraz śmierci nie rozdzierał delikatnej draperii pięknego, zwiewnego smutku i, siedząc twarzą w twarz, Paul i Laura niekiedy się dotykali. Paul ścisnął jej rękę lub ramię, by dodać jej sił i otuchy, gdyż Laura kochała Bernarda, a ten, kto kocha, zasługuje na wsparcie.

Miałem powiedzieć, że w takich chwilach patrzył jej w oczy, lecz nie byłoby to prawdą, gdyż Laura znowu zaczęła nosić ciemne okulary i Paul wiedział, z jakiej przyczyny: nie chciała pokazywać oczu nabrzmiałych od łez. Ciemne okulary nabrały nagle wielu znaczeń: dodawały Laurze surowej niemal elegancji oraz nieprzystępności i zarazem wskazywały na coś bardzo cielesnego, bardzo zmysłowego: na zapłakane oko, oko, które stało się nagle otworem w ciele, jedną z dziewięciu pięknych bram do kobiecego ciała, o których mówi słynny wiersz Apollinaire'a, zapłakane oko, ukryte za figowym listkiem przydymionego szkła. Obraz łyzy za okularami był chwilami tak silny, a wyobrażona łza tak gorąca, że zamieniała się w parę, która otulała ich dwoje, pozbawiając zdolności osądu i patrzenia.

Paul widział tę parę. Czy jednak rozumiał jej sens? Nie sądzę. Wyobraźmy sobie taką scenę: do chłopczyka przychodzi dziewczynka. Zaczyna się rozbierać i mówi: “Panie doktorze, musi mnie pan zbadać.” A chłopczyk na to: “Ależ dziewczynko! Ja nie jestem lekarzem!”

Tak właśnie zachowywał się Paul. Wróżbitka

Jak to się dzieje, że Paul, który w dyskusji z Grizzlim chciał wyglądać na błyskotliwego zwolennika frywolności, mając siostry na kolanach nie był zbyt frywolny? Oto wyjaśnienie: w jego

mniemaniu frywolność była dobroczynną lewatywą, którą chciał zaaplikować kulturze, życiu publicznemu, sztuce, polityce, lewatywą dobrą dla Goethego i Napoleona, lecz (proszę zwrócić uwagę!) na pewno nie dla Laury ani Bernarda. Głęboką nieufność, jaką odczuwał wobec Beethovena i Rimbauda, odkupywał Paul bezgraniczną ufnością, jaką pokładał w miłości.

Z pojęciem miłości wiązał mu się obraz oceanu, najburzliwszego spośród żywiołów. Gdy był z Agnes na wakacjach, otwierał szeroko okno w pokoju hotelowym, aby w ich miłosne westchnienia wmieszał się szum fal i w tym wielkim szumie rozplynęło ich uczucie. Choć był szczęśliwy z żoną, choć ją kochał, w jakimś zakamarku duszy czuł lekkie, wstydlive rozczarowanie na myśl, że ich miłość nigdy nie objawiła się w nieco bardziej dramatyczny sposób. Niemal zazdrościł Laurze przeszkód, które napotykała na swej drodze, tylko bowiem przeszkody mogły, wedle niego, zamienić miłość w miłosną historię. Toteż obdarzył Laurę uczuciem życzliwej solidarności i trapił się jej troskami jak swymi własnymi.

Któregoś dnia zatelefonowała, by go powiadomić, że Bernard wyjeżdża za kilka dni na Martynikę do swej rodzinnej willi, a ona ma zamiar tam się wybrać, chociaż jej nie zapraszał. Jeśli zastanie go w towarzystwie obcej kobiety, to trudno. Przynajmniej wszystko będzie jasne.

Aby oszczędzić jej niepotrzebnego starcia, próbował odradzić podróż. Lecz rozmowa ciągnęła się w nieskończoność: Laura przytaczała wciąż te same argumenty i zrezygnowany Paul zamierzał już jej powiedzieć: "No to jedź, skoro jesteś przekonana, że podjęłaś właściwą decyzję!" Jednak Laura ubiegła go i oświadczyła: - Tylko jedno mogłoby stanąć mi na przeszkodzie: twój zakaz.

Dość jasno dawała mu do zrozumienia, co powinien powiedzieć, by ją odwieść od tego zamiaru, i zachowywała przy tym godność kobiety, zdecydowanej pójść do końca w swej rozpacz i walce. Przypomnijmy sobie jej pierwsze spotkanie z Paulem; usłyszała wówczas w głowie te same słowa, którymi Napoleon zwrócił się do Goethego: "Voilà un homme!" Gdyby Paul był naprawdę mężczyzną, nie wahałby się ani chwili i zakazałby jej podróży. Niestety, nie był mężczyzną, lecz mężczyzną z zasadami: już dawno wykreślił ze swego słownika słowo "zakazać" i szczycił się tym. Zaprotestował: - Wiesz, że ja niczego nikomu nie zakazuję.

Laura nalegała: - Ale ja chcę, żebyś mi zakazywał i rozkazywał. Wiesz, że nikt poza tobą nie ma do tego prawa. Zrobię, co mi każesz.

Paul poczuł zakłopotanie: przez godzinę wyjaśniał jej, że nie powinna jechać, a ona od godziny twierdzi, że tak. Dlaczego zamiast dać się przekonać, żąda zakazu? Zamilkł.

- Boisz się? - spytała.

- Czego?

- Narzucać mi swą wolę?

- Skoro nie umiałem cię przekonać, nie mam prawa czegokolwiek ci zakazywać.

- No właśnie o tym mówię: boisz się.

- Chciałem przemówić ci do rozumu.

Zaśmiała się: - Kryjesz się za rozumem, bo się boisz narzucić mi swoją wolę. Boisz się mnie!

Jej śmiech wprowadził go w jeszcze większe zakłopotanie i pośpiesznie zakończył rozmowę: - Muszę się zastanowić.

Poprosił Agnes o zdanie.

Agnes powiedziała: - Nie powinna jechać. To byłoby kolosalne głupstwo. Jeśli będziesz z nią rozmawiał, zrób wszystko, żeby nie jechała!

Jednak opinia Agnes niewiele znaczyła, gdyż głównym doradcą Paula była Brigitte.

Gdy wyjaśnił, w jakiej sytuacji znalazła się jej ciotka, reakcja Brigitte była natychmiastowa: - A dlaczego nie miałyby tam jechać? Zawsze trzeba robić to, na co ma się ochotę.

- Ale wyobraź sobie - zaproponował - że Laura zastanie Bernarda z kobietą. Zrobi mu straszną awanturę!

- Czy jej powiedział, że jedzie tam z kobietą?

- Nie.

- Powinien był powiedzieć. Jeśli nie powiedział, to znaczy, że jest tchórzem i Laura nie ma co się z nim patyczkować. Co ona ma do stracenia? Nic.

Możemy zapytać, dlaczego Brigitte udzieliła Paulowi takiej, a nie innej odpowiedzi. Dlatego że czuła solidarność z Laurą? Nie sędzę. Laura zachowywała się często tak, jakby była córką Paula, co Brigitte wydawało się śmieszne i nieprzyjemne. Nie miała żadnej ochoty na solidarność ze swą ciotką; pragnęła jednego: przypodobać się ojcu. Przeczuwała, że Paul zwrócił się do niej jak do wróżbitki, i chciała potwierdzić swój magiczny autorytet. Słusznie przypuszczając, że matka jest niechętna podróży Laury, chciała przyjąć postawę odmienną; pozwolić mówić przez siebie głosowi młodości i oczarować ojca nieroztropną odwagą.

Kręciła szybko głową z lewa na prawo, z prawa na lewo, wzruszając ramionami i unosząc brwi, i Paul znów doznawał cudownego uczucia, że w córce ma zbiornik, z którego czerpie energię. Pomyślał, że gdyby Agnes miała zwyczaj jeżdżenia za nim, ścigania samolotami jego kochanek na odległych wyspach, byłby może szczęśliwszy. Przez całe życie pragnął, żeby ukochana kobieta gotowa była bić dla niego głową w mur, wyć z rozpacz i skakać z radości po mieszkaniu. Pomyślał, że Laura i Brigitte były po stronie odwagi i szaleństwa i że bez szczypty szaleństwa

życie niewarte byłoby życia. Niech więc Laura usłucha głosu serca! Po co obracać i przewracać każde z naszych działań czynów na patelni rozumu niczym naleśnik?

- Nie zapominaj jednak - zaproponował raz jeszcze - że Laura jest kobietą wrażliwą. Ta podróż może jej przysporzyć jedynie cierpień!

- Ja bym na jej miejscu pojechała i nikt nie zdołałby mnie powstrzymać powiedziała Brigitte tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Potem Laura znowu zadzwoniła. Aby uniknąć długiej dyskusji, powiedział od razu: - Długo się zastanawiałem i moim zdaniem powinnaś zrobić to, na co właśnie masz ochotę. Jeśli chcesz jechać, to jedź!

- Byłam już prawie zdecydowana nie jechać. Tak nieufnie byłeś do tej podróży nastawiony. Skoro jednak się zgadzasz, jutro polecę.

Dla Paula był to zimny prysznic. Zrozumiał, że Laura bez jego zachęty nigdy nie poleciałaby na Martynikę. Nie umiał już jednak niczego więcej powiedzieć. Nazajutrz samolot przewiózł Laurę przez Atlantyki i Paul czuł osobistą odpowiedzialność za podróż, którą w głębi duszy uważał, zupełnie jak Agnes, za kompletny bezsens. Samobójstwo

Upłynęły dwa dni, odkąd wsiadła do samolotu. Telefon zadzwonił o szóstej rano. Laura. Oznajmiła siostrze i szwagrowi, że na Martynice jest północ. W jej głosie brzmiała sztuczna radość i Agnes pojęła od razu, że jest źle.

Nie myliła się: gdy Bernard zobaczył Laurę na wysadzonej palmami alejce, wiodącej do willi, pobrał z gniewu i powiedział ostro: "Prosiłem cię, żebyś nie przyjeżdżała." Usiłowała się usprawiedliwić, lecz Bernard bez słowa wrzucił do torby dwie koszule, wskoczył do samochodu i odjechał. Została sama, błąkała się po domu i w szafie znalazła czerwony kostium kąpielowy, który zapomniała zabrać podczas ostatniego pobytu.

- Czekał na mnie tylko ten kostium. On jeden - powiedziała wpadając ze śmiechu w płacz. I płacząc, mówiła dalej: - To ohydne z jego strony. Wymiotowałam. Później postanowiłam zostać. Wszystko skończy się w tej willi. Gdy Bernard wróci, znajdzie mnie w tym kostiumie.

Głos Laury rozchodził się po pokoju; słyszeli go oboje, lecz mieli tylko jedną słuchawkę i podawali ją sobie.

- Proszę cię - mówiła Agnes - uspokój się, najpierw się uspokój. Spróbuj zachować zimną krew.

Laura znowu się roześmiała: - Pomyśleć, że przed wyjazdem kupiłam dwadzieścia pudełek środków nasennych i wszystkie zostawiłam w Paryżu. Byłam taka zdenerwowana.

- Całe szczęście, całe szczęście - powiedziała Agnes, czując nagłą ulgę.

- Ale znalazłam w szufladzie pistolet - ciągnęła Laura zanosząc się śmiechem: - Bernard chyba się boi o własne życie! Boi się, że czarnuchy go napadną! To dla mnie znak.

- Jaki znak!

- Że zostawił ten rewolwer dla mnie.

- Oszalałaś! Niczego ci nie zostawił! Nie spodziewał się ciebie!

- Z pewnością nie zostawił go umyślnie. Ale kupił rewolwer, którym tylko ja się posłużę.

Więc zostawił go dla mnie.

Agnes poczuła znowu bezsilną rozpacz. - Proszę cię - powiedziała - odłóż ten rewolwer na miejsce.

- Nie umiem się nim posłużyć. Ale Paul... Paul, słyszysz mnie?

Paul chwycił słuchawkę.

- Tak.

- Paul, tak się cieszę, że słyszę twój głos.

- Ja również, Lauro, tylko proszę cię...

- Wiem, Paul, ale ja już nie mogę... - I wybuchnęła płaczem.

Zapadło krótkie milczenie.

Potem odezwała się Laura:

- Rewolwer leży przede mną. Nie mogę oderwać od niego wzroku.

- Odłóż go na miejsce - powiedział Paul.

- Paul, ty byłeś w wojsku.

- Oczywiście.

- Jesteś oficerem!

- Podporucznikiem.

- To znaczy, że potrafisz się posługiwać rewolwerem.

Paul był zrozpaczony. Ale musiał odpowiedzieć:

- Tak.

- Po czym poznać, że rewolwer jest nabity?

- Jak wystrzeli, to znaczy, że był nabity.

- Jak nacisnę spust, to wystrzeli?

- Możliwe.

- Jak to, możliwe?

- Jeśli jest odbezpieczony, to wystrzeli.

- Ale po czym poznać, że jest odbezpieczony?

- Przecież nie będziesz jej wyjaśniał, jak ma się zastrzelić! - wykrzyknęła Agnes i wyrwała słuchawkę z rąk Paula.

Laura mówiła dalej: - Ja chcę tylko wiedzieć, jak się tym posługiwać. W końcu wszyscy powinni wiedzieć, jak należy się obchodzić z rewolwerem. A jak się odbezpiecza?

- Dość tego - powiedziała Agnes - nie chcę już słyszeć o tym rewolwerze. Odłóż go na miejsce. Dość tego! Dość tych żartów!

Głos Laury nagle spowaźniał: - Agnes! Ja nie żartuję! - I znowu wybuchnęła płaczem.

Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność; Agnes i Paul powtarzali w kółko to samo, zapewniali Laurę o swej miłości, błagali, by z nimi pozostała i nigdy więcej ich nie porzucała, toteż przyrzekła wreszcie, że schowa rewolwer do szuflady i pójdzie spać.

Kiedy odłożyli słuchawkę, byli tak wyczerpani, że długo nie mogli wydobyć z siebie słowa.

Później Agnes powiedziała: - Dlaczego ona to robi! Dlaczego to robi!

A Paul powiedział: - To moja wina. To ja ją tam wysłałem.

- I tak by pojechała.

Paul potrząsnął głową: - Nie. Gotowa była nie jechać. Popełniłem największe głupstwo w życiu.

Agnes chciała oszczędzić Paulowi poczucia winy. Nie ze współczucia, lecz z zazdrości: nie chciała, żeby do tego stopnia czuł się odpowiedzialny za Laurę i duchowo się z nią wiązał. Dlatego powiedziała: - Skąd możesz mieć pewność, że znalazła rewolwer?

Paul nie od razu zrozumiał. - Co masz na myśli?

- Że być może w ogóle tam nie ma żadnego rewolweru.

- Agnes! Ona nie urządza komedii! To się przecież czuje.

Agnes spróbowała oględniej wyrazić swe podejrzenia: - Być może ma rewolwer. Ale jest również możliwe, że ma ze sobą środki nasenne, a o rewolwerze mówi po to tylko, żeby nas zmylić. Niewykluczone także, że nie ma ani proszków, ani rewolweru i chce, żebyśmy się martwili.

- Agnes - powiedział Paul - jesteś złośliwa.

Wymówka Paula obudziła jej czujność: nie zdając sobie z tego sprawy, Paul był od dłuższego czasu bliżej z Laurą niż z Agnes; myślał o Laurze, jej poświęcał uwagę, koło niej skakał, to ona go wzruszała, i Agnes przyszło na myśl, że Paul porównuje ją z siostrą i że w tym porównaniu to ona zdaje się osobą mniej wrażliwą.

Próbowała się bronić: - Nie jestem złośliwa. Chcę tylko powiedzieć, że Laura gotowa jest na wszystko, by ściągnąć na siebie uwagę. To normalne, skoro cierpi. Wszyscy śmieją się z jej miłosnych kłopotów i wzruszają ramionami. Gdy chwyta za rewolwer, już nikt nie może się śmiać.

- A jeśli pragnienie ściągnięcia na siebie uwagi doprowadzi ją do samobójstwa? Czy nie może tak być?

- Może - przyznała Agnes i znowu zapadło długie trwożliwe milczenie.

Następnie Agnes powiedziała: - Ja również mogę zrozumieć, że człowiek chce ze sobą skończyć. Że nie może dłużej znieść cierpienia. Ani ludzkiego zła. Że chce odejść, odejść na zawsze. Każdy ma prawo się zabić. Taka jest nasza wolność. Nie mam nic przeciw samobójstwu, jeśli jest ono sposobem odejścia.

Zamilkła na chwilę, lecz poczynania siostry napawały ją taką wściekłością i wrogością, że zaczęła mówić dalej: - Ale z nią jest inaczej. Ona nie chce "odejść". Myśli o samobójstwie, gdyż ono jest dla niej sposobem "na pozostanie". Na pozostanie z nim. Pozostanie z nami. Wpisanie się na zawsze w naszą pamięć. Zwalenie się całym ciałem na nasze życie. Zmiażdżenie nas.

- Jesteś niesprawiedliwa - powiedział Paul. - Ona cierpi.

- Wiem - powiedziała Agnes i rozplakała się. Wyobraziła sobie, że siostra nie żyje, i wszystko, co przed chwilą o niej mówiła, wydało jej się niskie, podłe i niewybaczalne.

- A jeśli obiecała, że odłoży rewolwer, by nas tylko uspokoić? - spytała, wykręcając numer willi na Martynice; nikt nie odbierał i pot wystąpił im na czoła; wiedzieli, że nie potrafią odłożyć słuchawki i będą bez końca słuchać dzwonka, który oznacza śmierć Laury. Wreszcie usłyszeli jej dziwnie szorstki głos. Spyтали, gdzie była. "W sąsiednim pokoju", powiedziała. Agnes i Paul mówili do słuchawki jednocześnie. Wspominali o strachu, który kazał im do niej zadzwonić. Zapewnili ją wielokrotnie o swej miłości i o tym, że niecierpliwie czekają na jej powrót do Paryża.

Wyszli do pracy spóźnieni i przez cały dzień myśleli tylko o niej. Wieczorem znowu do niej zatelefonowali i znowu rozmowa trwała godzinę, znowu zapewniali ją o miłości i swojej tęsknocie.

Kilka dni później zadzwoniła do ich drzwi. Paul był sam w domu. Stała na progu w ciemnych okularach. Rzuciła mu się w ramiona. Przeszli do salonu, usiedli naprzeciw siebie w fotelach, ale była tak niespokojna, że po kilku chwilach wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Mówiła gorączkowo. Wówczas Paul wstał również, i też chodził po pokoju, i mówił.

Mówił z pogardą o swym dawnym uczniu, protegowanym i przyjacielu. Owszem, słowa te dawały się usprawiedliwić pragnieniem, by uśmierzyć jej ból rozłąki. Jednak sam był zdziwiony, widząc, że myśli szczerze i poważnie to, co mówi: Bernard jest rozpieszczonym smarkaczem; dzieckiem bogatych rodziców i arogantem.

Laura, oparta łokciem o kominek, patrzyła na Paula. I Paul spostrzegł nagle, że nie ma już ciemnych okularów. Trzymała je w ręku i wpatrywała się w Paula opuchniętymi, mokrymi oczami. Zrozumiał, że od dłuższej chwili Laura go nie słucha.

Zamilkł. Salon wypełniła wielka cisza, tchnąca jakąś tajemną siłą, która kazała mu do niej podejść. - Paul - powiedziała - dlaczego ty i ja nie spotkaliśmy się wcześniej? Przed innymi...

Słowa te otoczyły ich niczym mgła. Paul wszedł w tę mgłę wyciągając rękę, jak ktoś, kto posuwa się na oślepi; jego dłoń musnęła Laure. Laura westchnęła i pozwoliła ręce Paula pozostać na swej skórze. Potem odeszła o krok i włożyła okulary. Ten gest rozproszył mgłę i stanęli naprzeciw siebie jak szwagier i szwagierka.

Kilka chwil później Agnes wróciła z pracy i weszła do salonu. Ciemne okulary

Kiedy Agnes zobaczyła Laure pierwszy raz po jej powrocie z Martyniki, zamiast wyściskać ją niczym rozbitka, który uniknął śmierci, okazała zadziwiający chłód. To nie siostrę zobaczyła, zobaczyła jej ciemne okulary, tę tragiczną maskę, pragnącą narzucić ton ich spotkaniu. "Lauro - powiedziała, jakby nie zauważyła maski - strasznie schudłaś." Dopiero później podeszła do siostry i, jak francuski zwyczaj nakazuje osobom, które się znają, pocałowała ją lekko w oba policzki.

Ponieważ były to jej pierwsze słowa od tamtych dramatycznych dni, musimy przyznać, że brzmiały niestosownie. Nie dotyczyły ani życia, ani śmierci, ani miłości, lecz trawienia. Samo w sobie nie było to czymś złym, gdyż Laura uwielbiała mówić o swym ciele i zawsze uważała je za metaforę własnych uczuć. O wiele gorsze było to, że zdanie to zostało wypowiedziane całkiem beztrąsko, bez cienia melancholijnego podziwu dla cierpień, które przyczyniły się do spadku wagi, ale z widocznym znużeniem i wstrętem.

Laura zauważyła oczywiście ton, jakim zwróciła się do niej Agnes, i pojęła jego wymowę. Jednak udając, że i ona nie wie, co siostra ma na myśli, odpowiedziała zbolalym głosem: - Tak. Straciłam siedem kilo.

Agnes chciała wykrzyknąć: "Dość tego! Dość! To już zbyt długo trwa! Przestań!", lecz opanowała się i nie powiedziała nic.

Laura uniosła rękę: - Spójrz, to już nie jest ramię, to łodyżka... Nie mogę już włożyć spódniczki. Pływam we wszystkich ubraniach. I jeszcze krwawię z nosa... - i, jakby chcąc zademonstrować to, o czym mówi, odchyliła głowę i długo wciągała nosem powietrze.

Agnes spoglądała na to wychudłe ciało ze wstrętem, którego nie mogła powstrzymać, i myślała: gdzie się podziało siedem kilo, które Laura straciła? czy się rozeszło w błękitnicie niczym spalona energia? czy z ekskrementami spłynęło do kanału? gdzie się podziało siedem kilo z niezastąpionego ciała Laury?

Laura tymczasem zdjęła okulary i położyła je na kominku, o który opierała się łokciem. Spojrzała na siostrę oczami spuchniętymi od łez, tak jak przed chwilą spoglądała na Paula.

Kiedy zdjęła okulary, wyglądało to tak, jakby obnażyła twarz. Jakby się rozebrała do naga. Nie jak kobieta jednak, rozbierająca się przed kochankiem, lecz tylko przed lekarzem, któremu powierza odpowiedzialność za swe ciało.

Agnes, nie umiejąc powstrzymać dłużej słów, które cisnęły jej się na usta, powiedziała głośno: - Dość tego! Przestań. Wszyscy jesteśmy u kresu sił. Rozstaniesz się z Bernardem jak miliony kobiet rozstały się z milionami mężczyzn nie grożąc przy tym samobójstwem.

Po paru tygodniach rozmów bez końca, podczas których Agnes zapewniała siostrę o swej miłości, taki wybuch, wydawałoby się, powinien był zaskoczyć Laurę, lecz bynajmniej nie zaskoczył; Laura zareagowała na słowa Agnes tak, jakby od dawna się ich spodziewała. Odpowiedziała z największym spokojem: - Powiem ci, co myślę. Ty o miłości nie wiesz nic, nigdy niczego nie wiedziałas i nigdy się nie dowiesz. Miłość nigdy nie była twoją mocną stroną.

Laura wiedziała, gdzie łatwo siostrę zranić, i Agnes się przestraszyła; rozumiała, że Laura mówiła tak, gdyż obok stał Paul. Nagle wszystko stało się jasne, nie chodziło już o Bernarda: nie jego dotyczył dramat z samobójstwem; według wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle się o nim nie dowiedział; dramat przeznaczony był dla Paula i Agnes. I pomyślała to jeszcze: gdy człowiek podejmuje walkę, uruchamia siłę, która nie wyczerpuje się na pierwszym celu; za pierwszym celem, jakim był dla Laury Bernard, kryły się jeszcze inne.

Nie można już było uniknąć walki. Agnes powiedziała: - Jeśli straciłas siedem kilo z powodu Bernarda, jest to materialnym, niezbitym dowodem miłości. Jednak trudno mi ciebie pojąć. Gdy ja kogoś kocham, życzę mu jak najlepiej, gdy kogoś nienawidzę, życzę mu jak najgorzej. A ty od wielu tygodni torturujesz Bernarda i nas również torturujesz. Co to ma wspólnego z miłością? Nic.

Wyobraźmy sobie salon jako scenę teatralną: całkiem na prawo kominek, z boku, po stronie lewej, biblioteka. W głębi, pośrodku, sofa, niski stół i dwa fotele. Paul stoi na środku salonu, Laura przy kominku, wpijając wzrok w Agnes, która stoi dwa kroki dalej. Spuchnięte oczy Laury oskarżają siostrę o okrucieństwo i chłód. Podczas gdy Agnes mówi, Laura cofa się na środek, tam gdzie stoi Paul, tak jakby swym odejściem wyrażała bojaźliwe zdziwienie niesprawiedliwą napaścią siostry.

Przystanąła dwa kroki przed Paulem i powtarzała: - Ty nic nie wiesz o miłości.

Agnes przesunęła się i stanęła przy kominku, w miejscu, które przed chwilą opuściła siostra. Powiedziała: - Bardzo dobrze wiem, czym jest miłość. W miłości ważny jest ten, kogo się kocha. To o niego chodzi, i o nic innego. I zastanawiam się, czym jest miłość dla kobiety, która widzi tylko samą siebie. Mówiąc inaczej, zastanawia mnie, jaki sens ma słowo miłość dla absolutnej egocentryczki.

- Zastanawianie się, czym jest miłość, nie ma najmniejszego sensu, droga siostrzyczko. Miłość jest, czym jest, i koniec. Albo się ją przeżywa, albo nie. Miłość jest skrzydłem bijącym w mojej piersi jak w klatce i nakłaniającym mnie do robienia rzeczy, które tobie zdają się niedorzeczne. Tobie one nigdy się nie przytrafiają. Powiadasz, że umiem widzieć tylko siebie samą. A ja ciebie przejrzałam, przejrzałam na wskroś. Gdy zapewniałaś mnie o swej miłości, świetnie wiedziałam, że w twych ustach to słowo nie ma żadnego znaczenia. Było zwykłym podstępem. Argumentem, który miał mnie uspokoić. Zabronić mi naruszania twojego spokoju. Ja ciebie znam, siostrzyczko: przez całe życie byłaś po drugiej stronie miłości. Zupełnie po drugiej stronie. Poza miłością.

Mówiąc o miłości, obie kobiety ziały do siebie nienawiścią. A mężczyzna, który stał przy nich, był zrozpaczony. Chciał powiedzieć coś, co osłabiłoby nieznośne napięcie: - Jesteśmy wszyscy troje u kresu sił. Powinniśmy we trójkę wyjechać gdzieś daleko i zapomnieć o Bernardzie.

Ale o Bernardzie już dawno zapomniano i słowa Paula sprawiły tylko, że kłótnia ustąpiła miejsca milczeniu; i w tym milczeniu nie było za grosz współczucia, żadnego wspólnego wspomnienia, cienia solidarności między obiema siostrami.

Nie odrywajmy oczu od całej sceny: po prawej stronie stała Agnes, oparta o kominek; pośrodku salonu, o dwa kroki od Paula, stała Laura, zwrócona twarzą ku siostrze. Paul machnął z rozpaczą ręką, bezradny wobec bezmyślnego wybuchu nienawiści między obiema kobietami, które kochał. Odwrócił się na pięcie i podszedł do biblioteki, jakby chciał tym odejściem wyrazić swój sprzeciw. Oparł się o nią, zwrócił głowę ku oknu i starał się nie patrzeć na żadną z nich.

Agnes spostrzegła na kominku ciemne okulary i chwyciła je odruchowo. Przyjrzała im się z urazą, jak gdyby trzymała w ręku czarne grube łyzy siostry. Odpychało ją wszystko to, co się wiązało z ciałem Laury, i grube szklane łyzy zdawały jej się wydzieliną tego ciała.

Laura zobaczyła okulary w dłoniach Agnes. Poczowała, że nagle brakuje jej tych okularów. Potrzebowała tarczy, woalu, który zasłoniłby twarz przed nienawiścią siostry. Nie miała jednak siły uczynić czterech kroków, podejść do siostry nieprzyjaciółki i odebrać jej okularów. Bała się Agnes. Utożsamiła się zatem, w masochistycznym niemal zaciętrzewieniu, z nie osłoniętą nagością twarzy, na której odcisnęły się wszystkie ślady jej cierpień. Wiedziała dobrze, że jej ciało i to, co sama mówiła o nim i o siedmiu utraconych kilogramach, drażniły Agnes bezgranicznie, wiedziała o tym instynktownie, intuicyjnie i właśnie dlatego, buntując się i rzucając wyzwanie, chciała uczynić siebie ciałem, tak bardzo jak to tylko możliwe, być już tylko ciałem, ciałem porzuconym i odrzuconym. Chciała złożyć to ciało na środku salonu i tam je pozostawić. Pozostawić je tam, ciężkie i nieruchome. I jeśli oboje nie chcą tego ciała u siebie, zmusić ich, by chwycili to ciało, jej

ciało, jedno z nich za rękę, drugie za nogi, i wynieśli na ulicę, tak jak w nocy wynosi się po kryjomu stary zużyty materac.

Agnes stała przy kominku i trzymała w ręku ciemne okulary. Na środku salonu Laura patrzyła na siostrę i cofała się krok za krokiem, jak najdalej od siostry. Wreszcie uczyniła ostatni krok i jej plecy oparły się o ciało Paula, mocno, bardzo mocno, gdyż Paul sam przywarł plecami do biblioteki. Jej ręce przyłgnęły do ud Paula. Odchyliła głowę i oparła ją na jego piersi.

Agnes stoi po drugiej stronie pokoju i trzyma w ręku okulary; z tej strony, naprzeciw, lecz daleko od niej, stoją nieruchomo, skamieniali niczym rzeźba, Laura i Paul. Nikt się nie odzywa. Mija chwila i Agnes odsuwa kciuk od palca wskazującego. Ciemne okulary, ten symbol zmartwienia, te łzy przemienione, spadają na kamienne płyty przy kominku i rozbijają się w drobny mak.

Część czwarta

Homo sentimentalis

1.

Podczas wiecznego procesu wytoczonego Goethemu wniesiono przeciw niemu niezliczone oskarżenia i złożono wiele świadectw w sprawie Bettiny. Nie chcąc nużyć czytelnika wyliczaniem błahostek, przedstawię trzy świadectwa, które zdają mi się szczególnie ważne.

Po pierwsze: świadectwo Rainera Marii Rilkego, największego po Goethem poety niemieckiego.

Po drugie: świadectwo Romain Rollanda, w latach dwudziestych i trzydziestych jednego z najbardziej poczytnych pisarzy od Uralu po Atlantyk, cieszącego się ponadto wielkim autorytetem postępowca, antyfaszysty, humanisty, pacyfisty i przyjaciela Rewolucji.

Po trzecie: świadectwo poety Paula Eluarda, wybitnego przedstawiciela tego, co nazwano "awangardą", wielkiego piewcy miłości czy raczej, wedle jego wyrażenia, miłości-poezji, gdyż w jego odczuciu oba pojęcia (jak świadczy jeden z najpiękniejszych tomików, zatytułowany właśnie "L'amour la poésie") zlewały się w jedno.

2.

Wezwany na świadka w wiecznym procesie Rilke używa dokładnie tych samych słów, co w swym najsłynniejszym utworze prozaicznym, "Pamiętnikach Malte-Lauridsa Brigge", gdzie kieruje do Bettiny tę długą apostrofę:

"Jak to być może, iż wszyscy po dziś dzień jeszcze o twej miłości nie opowiadają? Cóż się od tego czasu takiego zdarzyło, co by bardziej było godne pamięci? Co ich zaprzęta? Ty sama znałaś wartość swej miłości, tyś ją głośno podpowiadała największemu swojemu poecie, iżby ją uczłowieczył, albowiem była jeszcze żywiołem. On ją wszakże ludziom wyperswadował, pisując do ciebie. Wszyscy czytali te odpowiedzi i bardziej im wierzą, ponieważ poeta jest dla nich wyraźniejszy niż natura. Ale może kiedyś okaże się, że tu był kres jego wielkości. Ta kochanka (diese Liebende) została przed nim postawiona (tak jak «stawia się» przed nami zadanie lub «stawia się» nas przed egzaminem), ale on jej nie sprostał (er hat nicht bestanden, co znaczy dokładnie: nie zdał egzaminu, jakim była dla niego Bettina). Cóż znaczy, że nie mógł odwzajemnić uczucia (erwidern)? Taka miłość nie wymaga wzajemności, taka miłość ma wołanie i odpowiedź w sobie; wysłuchuje sama siebie. Ale ukorzyć był się winien przed nią w całej swej świetnej paradzie i pisać, co ona dyktuje, obojgiem rąk, jak Jan święty na Patmos, na klęczkach! Nie było wyboru w obliczu tego głosu, co «spełniał aniołów urząd» (die «das Amt der Engel verrichtete»), który przyszedł owinąć go zasłoną i pociągnąć w wieczność. Tu był rydwan jego płomienistej jazdy w niebo. Tu dla jego śmierci zgotowany był ciemny mit (der dunkle Mythos), a on go porzucił."

3.

Świadekstwo Romain Rollanda dotyczy związku między Goethem, Beethovenem a Bettiną. Powieściopisarz wyjaśnił go szczegółowo w eseju "Goethe i Beethoven", wydanym w Paryżu w roku 1930. Choć cieniuje swe odczucia, nie ukrywa, że to Bettinę darzy największą sympatią: interpretuje wypadki podobnie jak ona. Goethe, mimo że Rolland nie zaprzecza jego wielkości, smuci go: zarówno estetyczna, jak polityczna ostrożność geniuszom nie przystoi. A Christiana? Ach, nie ma co o niej mówić, jest "duchowym nic".

Ten punkt widzenia, powtórzę, wyrażony jest subtelnie i z umiarem. Epigoni są zawsze bardziej radykalni od swych mistrzów. Trzymam w ręku grubą biografię Beethovena, wydaną we Francji w latach sześćdziesiątych. Jest w niej mowa wręcz o "tchórzostwie" Goethego, o jego "służalczości" i o "starczej obawie przed każdą nowością", i tak dalej, i tak dalej. Natomiast Bettina posiadała "zdolność jasnowidzenia i siłę wróżenia, które nadają jej cechy niemal geniusza". A Christiana, jak zawsze, jest tylko "opasłą małżonką".

4.

Chociaż Rilke i Rolland stają po stronie Bettiny, o Goethem mówią z szacunkiem. W “Ścieżkach i drogach poezji”, tekście napisanym w 1949 roku (a zatem, bądźmy wobec niego sprawiedliwi, w najgorszym okresie kariery, gdy był zagorzałym zwolennikiem Stalina) Paul Eluard, niczym prawdziwy Saint-Just miłości-poezji, okazuje o wiele większą surowość:

“W swym dzienniku Goethe ujmuje pierwsze spotkanie z Bettiną w takich tylko słowach: «Mamsel Brentano». Uznany poeta, autor “Wertera”, nad aktywne szały namiętności («délirs actifs de la passion») stawiał małżeński spokój. I jego olimpijskiego marzenia nie zakłóci cała wyobraźnia, cały talent Bettiny. Gdyby Goethe oddał się miłości, być może jego śpiew zstąpiłby na ziemię, lecz my nie kochalibyśmy go przez to mniej, gdyż zapewne nie ograniczyłby się wówczas do roli dworskiego pochlebcy i nie skaziłby ludu, wpajając mu, że niesprawiedliwość jest lepsza od nieporządku.”

5.

“Ta kochanka została przed nim postawiona”, pisze Rilke, a my możemy zadać sobie pytanie: co oznacza tu gramatyczna strona bierna? Mówiąc inaczej: “kto” postawił przed nim tę kochankę?

To samo pytanie przychodzi nam do głowy, gdy w liście Bettiny do Goethego z 15 czerwca 1807 czytamy: “Nie powinnam lękać się tego uczucia, ponieważ nie ja je zasiałam w moim sercu.”

Kto zatem je tam zasiał? Goethe? Z pewnością nie to miała na myśli. Ten, kto zasiał miłość w jej sercu, przewyższał ją i przewyższał Goethego: jeśli nie był to Bóg, był to przynajmniej jeden z aniołów, o których mówi Rilke.

W tym miejscu możemy wziąć Goethego w obronę: jeśli ktoś (Bóg lub anioł) zasiał uczucie w sercu Bettiny, staje się oczywiste, że usłucha ona tego uczucia: jest ono w “jej” sercu, jest “jej” uczuciem. Ale nikt chyba nie zasiał uczucia w sercu Goethego. Bettina została przed nim “postawiona”. Postawiona niczym zadanie. Auferlegt. Jak zatem może Rilke wypominać Goethemu, że bronił się przed zadaniem, które przed nim postawiono wbrew jego woli i, by tak rzec, bez ostrzeżenia? Dlaczego miał paść na kolana i pisać “obiema rękami” to, co “dyktował” mu głos dochodzący z wysoka?

Nie mogąc znaleźć żadnej racjonalnej odpowiedzi na to pytanie, zmuszony jestem posłużyć się porównaniem: wyobraźmy sobie Szymona łowiącego ryby w jeziorze Genezaret. Jezus podchodzi do niego i prosi, by porzucił sieci i poszedł za nim. A Szymon mówi: “Daj mi spokój. Milsze mi są moje sieci i moje ryby.” Taki Szymon zamieniłby się od razu w postać komiczną, w Falstaffa Ewangelii: podobnie Goethe stał się w oczach Rilkego Falstaffem miłości.

6.

Rilke mówi o miłości Bettiny: “Taka miłość nie wymaga wzajemności, taka miłość ma wołanie i odpowiedź w sobie; wysłuchuje samej siebie.” Miłość zasiana w sercach ludzi przez ogrodnika aniołów nie wymaga żadnego przedmiotu, żadnego odzewu, żadnej “Gegen-Liebe” (miłości przeciwzwrotnej, odwzajemnionej), jak mówiła Bettina. Ukochany (na przykład Goethe) nie jest ani przyczyną, ani celem miłości.

W czasie swej korespondencji z Goethem Bettina słała listy miłosne również do Arnima. W jednym z nich napisała: “Prawdziwa miłość (die wahre Liebe) nie umie być niewierna.” Miłość taka nie dba o wzajemność (die Liebe ohne Gegen-Liebe) i “szuka ukochanego w jego wszystkich wcieleniach”.

Gdyby miłości w sercu Bettiny nie zasiał anielski ogrodnik, lecz Goethe lub Arnim, rozkwitłaby w niej miłość do Goethego lub do Arnima, miłość niepowtarzalna, niezastąpiona, przeznaczona temu, kto ją zasiał, temu, kto był kochany, miłość nie znająca zatem innych wcieleń. Taką miłość określić można jako związek: uprzywilejowany związek między dwiema osobami.

Natomiast to, co Bettina nazywa “wahre Liebe” (miłość prawdziwa), nie jest miłością-związkiem, lecz miłością-uczuciem: płomieniem, który niebiańska ręka zapala w duszy człowieka; pochodnią, w której świetle ten, kto kocha, “szuka ukochanego we wszystkich jego wcieleniach”. Taka miłość (miłość-uczucie) nie wie co to zdrada, gdyż jeśli nawet jej obiekt się zmienia, miłość pozostaje tym samym płomieniem, zapalonym przez tę samą niebiańską rękę.

W tym miejscu naszych rozważań zaczynamy już chyba rozumieć, dlaczego Bettina w swej obfitej korespondencji stawia Goethemu tak niewiele pytań. Mój Boże, wyobraźcie sobie, że zezwolono wam pisywać do niego listy! O co byście go nie zapytali! O wszystkie jego książki. O książki pisane przez jemu współczesnych. O poezję. O prozę. O malarstwo. O Niemcy. O Europę. O naukę i o technikę. Przyciskalibyście go do muru, by dokładnie określił swe poglądy. Sprzeczałibyście się z nim, by wydobyć z niego to, czego dotychczas nie wypowiedział.

Otóż Bettina nie prowadzi z Goethem dyskusji. Nawet o sztuce. Z jednym tylko wyjątkiem: przedstawia mu swój pogląd na muzykę. Ale to ona udziela lekcji! Wie dobrze, że Goethe nie podziela jej zdania. Dlaczego więc nie pyta o przyczyny jego niezgody? Gdyby umiała stawiać pytania, odpowiedzi Goethego złożyłyby się na pierwszą, “avant la lettre”, krytykę romantyzmu w muzyce!

Jednak nie, na nic takiego nie natrafimy w jej rozległej korespondencji; niewiele dowiemy się z niej o Goethem, gdyż Bettina po prostu interesowała się Goethem o wiele mniej, niż się sądzi; przyczyną i sensem jej miłości nie był Goethe, lecz miłość.

7.

Cywilizacja europejska zasadza się podobno na rozumie. Ale równie dobrze można stwierdzić, że Europa jest cywilizacją uczucia; zrodziła ona typ ludzki, który nazwałbym chętnie człowiekiem sentymentalnym: "homo sentimentalis".

Religia żydowska narzuca swym wiernym prawo. Prawo to chce być dostępne dla rozumu (Talmud jest ciągłym rozważaniem biblijnych poleceń); nie wymaga od wierzących ani tajemnego zmysłu spraw nadprzyrodzonych, ani szczególnej żarliwości, ani mistycznego ognia rozpalającego duszę. Kryterium dobra i zła jest obiektywne: chodzi o rozumienie i przestrzeganie prawa pisanego.

Chrześcijaństwo odwróciło to kryterium do góry nogami: "Kochaj Boga i czyń, co chcesz!", mówi święty Augustyn. Kryterium dobra i zła przeniesione w duszę jednostki stało się subiektywne. Jeśli czyjaś duszę przepelnia miłość, wszystko układa się jak najlepiej: człowiek ten jest dobry i dobre jest to, co czyni.

Bettina rozumuje jak święty Augustyn, gdy pisze do Arnima: "Wymyśliłam piękne przysłowie: prawdziwa miłość ma zawsze rację, nawet gdy się myli. Luter rzecze w jednym z listów: prawdziwa miłość często się myli. Nie wydaje mi się, by dorównywało to mojemu przysłowiu. Zresztą w innym miejscu Luter sam powiedział: miłość poprzedza wszystko, nawet ofiarę, nawet modlitwę. Wnoszę z tego, że miłość jest najwyższą cnotą. Miłość sprawia, że tracimy poczucie (macht bewusstlos) ziemskości i przepelnia nas niebiańskość, toteż więc miłość gładzi nasze winy (macht unschuldig)."

Na przekonaniu, że miłość uniewinnia człowieka, polega swoistość europejskiego prawa i jego teorii winy, biorącej pod uwagę uczucia oskarżonego: gdy mordujecie kogoś z zimną krwią, dla pieniędzy, nie ma dla was przebaczenia; jeśli mordujecie go, ponieważ was obraził, wasz gniew będzie się liczył jako okoliczność łagodząca i dostaniecie mniejszy wyrok; jeśli wreszcie do zabójstwa popchnie was uczucie zranionej miłości lub zazdrość, sąd okaże wam sympatię, a Paul, jako wasz adwokat z urzędu, zażąda najwyższego wymiaru kary dla waszej ofiary.

8.

Homo sentimentalis należy określić nie jako osobę, która doznaje uczuć (gdyż tych doznawać możemy wszyscy), lecz jako osobę, która wyniosła je do rzędu wartości. Skoro uczucie zostaje uznane za wartość, doznawać go chce każdy; a ponieważ wszyscy jesteśmy z naszych wartości dumni, ujawnienie naszych uczuć jest wielką pokusą.

Przemiana uczucia w wartość dokonała się w Europie około dwunastego stulecia: wyśpiewując swą ogromną miłość do szlachetnej damy, do niedostępnej kochanki, trubadurzy zdawali się tak piękni i godni podziwu, że każdy chciał za ich przykładem paść chwalebłą ofiarą jakiegoś nieposkromionego drżenia serca.

Nikt nie rozpoznał równie przenikliwie homo sentimentalis jak Cervantes. Don Kiszot postanawia kochać pewną damę, Dulcyneę, choć ledwo ją zna (nie powinno nas to dziwić: wiemy już, że gdy w grę wchodzi "wahre Liebe", miłość prawdziwa, osoba kochana nie liczy się wcale). W dwudziestym piątym rozdziale pierwszej części odjeżdża z Sanczem w pustynne góry i tam chce mu zademonstrować ogrom swej miłości. Jak wszakże udowodnić, że w naszej duszy płonie ogień? Jak ponadto udowodnić to osobie tak naiwnej i nieokrzesej jak Sancho? Otóż Don Kiszot rozbiera się na stromej ścieżce, zostaje tylko w koszuli i, chcąc pokazać słudze rozmiar swego uczucia, zaczyna fikać przed nim koziołki. Za każdym razem, gdy przelatuje głową w dół, koszula ześlizguje się mu z ramion i Sancho widzi rozkołysany członek. Widok małego członka rycerza jest tak żałośnie śmieszny, tak rozdzierający, że Sancho, mimo swej szorstkiej duszy, nie wytrzymuje, wskakuje na Rosynanta i ucieka gdzie pieprz rośnie.

Po śmierci ojca Agnes musiała ustalić przebieg ostatniej posługi. Pragnęła, by ceremonia pogrzebowa odbyła się bez przemówień, przy "Adagio" z dziesiątej symfonii Mahlera, które jej ojciec lubił szczególnie. Ale muzyka ta była przerażająco smutna i Agnes obawiała się, że podczas ceremonii nie powstrzyma łez. Uważając za nieprzystojny płacz na oczach wszystkich, puściła z gramofonu nagranie "Adagia" i wysłuchała go. Raz, potem drugi, potem trzeci. Muzyka przywoływała wspomnienia ojca i Agnes płakała. Gdy jednak "Adagio" rozbrzmiało w jej pokoju po raz ósmy czy dziewiąty, siła muzyki stępiła się i przy trzynastym jej wysłuchaniu Agnes nie była bardziej wzruszona, niż gdyby odegrano przed nią hymn Paragwaju. Dzięki temu treningowi nie płakała podczas pogrzebu.

Z samej swej definicji uczucie wybucha w nas bezwiednie, a często wbrew nam samym. Jeśli tylko "chcemy" go doświadczyć (jeśli tylko "postanawiamy" go doświadczyć, tak jak Don Kiszot postanowił pokochać Dulcyneę), uczucie nie jest już uczuciem, lecz imitacją uczucia, jego

przedstawieniem. Potocznie nazywamy to histerią. Dlatego homo sentimentalis (inaczej mówiąc ten, kto wyniósł uczucie do rzędu wartości) jest w istocie tożsamy z homo histericus.

Nie znaczy to, że człowiek naśladowuje uczucie, którego nie doświadcza. Aktor grający rolę starego króla Lira odczuwa na scenie, w obecności widzów, autentyczny smutek człowieka porzuconego i zdradzonego, lecz smutek ten ginie w chwili, gdy przedstawienie dobiega końca. I dlatego homo sentimentalis, kiedy już olśnił nas wielkimi uczuciami, zbija nas z tropu swą niepojętą obojętnością.

Don Kiszot był prawiczkim. Bettina miała dwadzieścia pięć lat, gdy po raz pierwszy poczuła na swej piersi, w hotelowym pokoju w Teplicach, w których znalazła się sam na sam z Goethem, rękę mężczyzny. A Goethe, jeśli dać wiarę jego biografom, poznał, czym jest miłość fizyczna, dopiero podczas słynnej podróży do Włoch, gdy liczył już niemal czterdzieści lat. Nieco później spotkał w Weimarze dwudziestotrzyletnią robotnicę i uczynił ją swoją pierwszą stałą kochanką. Była to Christiana Vulpius, która po kilku latach wspólnego życia poślubiła go w roku 1806, a w pamiętnym roku 1811 straciła na ziemię okulary Bettiny. Była bardzo oddana mężowi (podobno własnym ciałem zasłoniła Goethego przed pijanymi żołdakami Napoleona), była też zapewne doskonałą kochanką, o czym świadczą żartobliwe słowa Goethego, który nazywał ją “mein Bettschatz”, co przełożyć możemy jako “skarb mojego łóżka”.

W goetheańskiej hagiografii Christiana znajduje się jednak poza miłością. Wiek dziewiętnasty (a także nasz wiek, którego dusza tkwi wciąż w niewoli poprzedniego stulecia) nie dopuścił Christiany do miłosnej galerii Goethego obok Charlotty (tej, która miała posłużyć za wzór Lotty z “Wertera”), Frederyki, Lili, Bettiny i Ulryki. Pewnie dlatego, powiecie, że była jego małżonką, a małżeństwo zwykliśmy uważać przecież za rzecz niepoetyczną. Sądzę jednak, że powód jest głębszy: publiczność nie chciała dostrzegać w Christianie miłości Goethego po prostu dlatego, że Goethe z nią sypiał. Albowiem skarb miłości i skarb łóżka zdawały się wzajemnie wykluczać. Pisarze XIX wieku chętnie kończyli swe powieści ślubem nie dlatego, że pragnęli ustrzec swe miłosne historie przed małżeńską nudą. Nie, pragnęli ustrzec je przed kopulacją.

Wielkie europejskie historie miłosne toczą się w przestrzeni pozakopulacyjnej: historia księżniczki de Clèves i historia Pawła i Wirginii, powieść Fromentina, którego bohater, Dominik, przez całe życie kocha kobietę i nigdy jej nie całuje, i oczywiście historia Wertera, i historia Wiktorii Hamsuna, i Piotra oraz Łucji, bohaterów Romain Rollanda, którzy w swym czasie doprowadzali do łez czytelniczki całej Europy. W “Idiocie” Dostojewski pozwolił Nastasji Filippownie przespać się z pierwszym lepszym kupcem, lecz gdy pojawiła się prawdziwa namiętność, to znaczy gdy Nastasja trafiła między księcia Myszkina a Rogożyna, ich narządy płciowe rozplynęły się w trzech wielkich sercach niczym kostki cukru w trzech filiżankach herbaty. Miłość Anny Kareniny i Wrońskiego dobiegła końca w chwili ich pierwszego seksualnego zbliżenia, i później stała się już własnym rozpadem, a my nie wiemy dlaczego: czy byli tak beznadziejni w łóżku? czy, przeciwnie, kochali się z taką wprawą, że siła rozkoszy zrodziła w nich poczucie grzechu? Jakkolwiek brzmiałaby odpowiedź, po miłości przedkopulacyjnej nie było już wielkiej miłości i być jej nie mogło.

W żadnym razie nie znaczy to, że miłość bez kopulacji była niewinna, anielska, dziecięca, czysta: przeciwnie, kryła całe piekło, jakie można sobie na tym padole wyobrazić. Nastasja Filippowna mogła sobie spokojnie sypiać z wulgarnymi plutokratami; ale od pierwszego spotkania z Myszkinem i Rogożynem, których członki, jak wspomniałem, rozplynęły się w wielkim samowarze uczucia, weszła w rejon katastrof i było już po niej. Przypomnijcie sobie także wspaniałą scenę z “Dominika” Fromentina: kochankowie, którzy przez lata żywili do siebie miłość, lecz się nie dotykali, wybierają się na konną przejażdżkę i czuła, subtelna i delikatna Madeleine z niespodziewanym okrucieństwem pogania swego wierzchowca, dobrze wiedząc, że Dominik jest kiepskim jeźdźcem i może się zabić. Miłość pozakopulacyjna: postawiony na ogniu kocioł, gdzie doprowadzone do wrzenia uczucie przemienia się w namiętność i podrzuca pokrywkę, która tańczy jak szalona.

Europejskie pojęcie miłości zapuściło korzenie w glebie pozakopulacyjnej. Wiek dwudziesty, który chlubi się wyzwoleniem seksu i chętnie kpi z uczuć romantycznych, nie potrafił nadać pojęciu miłości żadnego nowego sensu (i jest to jedna z klęsk tego wieku), toteż młody Europejczyk, wymawiający w duchu to wielkie słowo, chcąc nie chcąc wraca na skrzydłach zachwycenia dokładnie tam, gdzie Werter przeżywał miłość do Lotty, a Dominik omal nie spadł z konia.

Znamienne jest, że wielbiciel Bettiny, Rilke, także podziwiał Rosję i przez pewien czas uważał ją za swą duchową ojczyznę. Albowiem Rosja jest par excellence krajem chrześcijańskiej uczuciowości. Oszczędził ją racjonalizm średniowiecznej scholastyki, nie trafił do niej Renesans. Czasy nowożytne, wyrosłe z kartezjańskiej myśli krytycznej, dosięgły jąże stu- czy dwustuletnim opóźnieniem. Homo sentimentalis nie znalazł zatem w Rosji wystarczającej przeciwwagi i stał się tam własną hiperbolą, nazywaną powszechnie “duszą słowiańską”.

Rosja i Francja są dwoma biegunami Europy, które będą wiecznie się przyciągać. Francja jest starym zmęczonym krajem, gdzie po uczuciach zostały tylko formy. Na zakończenie listu Francuz pisze do was tak: “Zechce Drogi Pan przyjąć wyrazy moich głębokich uczuć.” Kiedy po raz pierwszy otrzymałem taki list z oficyny Gallimarda, podpisany przez sekretarkę, mieszkałem jeszcze w Pradze. Podskoczyłem z radości pod sufit: w Paryżu jest kobieta, która mnie kocha! Udało jej się przemycić w ostatnich słowach listu miłosne wyznanie! I nie dość, że żywi do mnie uczucia, to jeszcze podkreśla wyraźnie, że są one głębokie! Żadna Czeszka nie wyznała mi czegoś takiego!

Wiele lat później, gdy mieszkałem już w Paryżu, wyjaśniono mi, że istnieje cały semantyczny wachlarz grzecznościowych zwrotów używanych w listach; pozwalają one Francuzowi wybrać z aptekarską dokładnością uczucie, które chce okazać adresatowi, choć go nie odczuwa; w tym niezwykle szerokim wyborze “głębokie uczucia” wyrażają najniższy stopień urzędniczej uprzejmości, graniczący niemal z pogardą.

O Francjo! Jesteś krajem Formy, tak jak Rosja jest krajem Uczucia! Dlatego Francuz, wiecznie sfrustrowany tym, że nie czuje w piersiach żadnego płomienia, z zazdrością i tęsknotą zerka na kraj Dostojewskiego, gdzie ludzie podają sobie po bratersku usta, gotowi poderżnąć gardło każdemu, kto nie zechce ich ucałować. (Jeśli zresztą już je poderzną, należy co prędzej im to wybaczyć, gdyż działali z urażonej miłości, a jak wiemy od Bettiny, miłość rozgrzesza tego, kto kocha. Co najmniej stu dwudziestu paryskich adwokatów chętnie wynajmie pociąg do Moskwy, by bronić sentymentalnego mordercę. Nie będzie nimi powodowało współczucie (uczucie nadto egzotyczne i rzadko w ich kraju doświadczane), lecz abstrakcyjne pryncypia, które są ich jedyną namiętnością. Rosyjski morderca, nie mający o tym najmniejszego pojęcia, rzuci się po uniewinnieniu na swojego francuskiego obrońcę, aby go uściskać i pocałować w usta. Przerazony Francuz uchyli się, obrażony Rosjanin wbije mu nóż w serce i cała historia będzie się powtarzać jak w przyśpiewce o psie, co wpadł raz do kuchni.)

Ach, Rosjanie...

Gdy mieszkałem jeszcze w Pradze, opowiadano taki dowcip o rosyjskiej duszy: Czech nad wyraz szybko uwiódł Rosjankę. Przespali się ze sobą i Rosjanka powiada mu z bezgraniczną pogardą: "Moje ciało już miałeś. Mojej duszy mieć nie będziesz nigdy!"

Piękna historyjka. Bettina napisała do Goethego pięćdziesiąt dwa listy. Słowo "dusza" pojawia się w nich pięćdziesiąt razy, słowo "serce" sto dziewiętnaście razy. Słowo "serce" rzadko użyte jest w dosłownym anatomicznym znaczeniu ("serce mi zabiło"); częściej używane jest jako synekdocha dla oznaczenia piersi ("chciałabym przytulić cię do serca"), lecz w większości przypadków oznacza to samo co słowo "dusza": "jaczujące".

"Myślę, więc jestem" to powiedzenie intelektualisty, który nie docenia bólu zębów. "Czuję, więc jestem" jest prawdą o wiele większym zasięgu, dotyczącą każdego żywego stworzenia. Moje ja samą myślą nie różni się istotnie od waszego. Wielu ludzi, mało myśli: myślimy wszyscy mniej więcej to samo, przekazując, pożyczając, kradnąc sobie wzajemnie nasze myśli. Ale gdy ktoś nadeptnie mi na nogę, ja tylko czuję ból. Fundamentem ja jest nie myśl, lecz cierpienie, uczucie najbardziej podstawowe ze wszystkich. W cierpieniu nawet kot nie może wątpić w swe niezbywalne, jedyne ja. Kiedy cierpienie przybiera na sile, świat zanika i każdy z nas pozostaje sam ze sobą. Cierpienie jest wielką szkołą egocentryzmu.

"Nie czuje pan do mnie głębokiej pogardy? - pyta Hipolit księcia Myszkina.

- Dlaczego? Czyż dlatego, że cierpiał pan i cierpi bardziej niż my?

- Nie, dlatego że jestem niegodzien mojego cierpienia."

Jestem niegodny mojego cierpienia. Wielkie zdanie. Zakłada ono, że cierpienie jest nie tylko fundamentem ja, jego jedynym niezbitym dowodem ontologicznym, lecz także uczuciem najbardziej ze wszystkich godnym szacunku: wartością nad wartościami. Dlatego Myszkin podziwia wszystkie cierpiące kobiety. Kiedy po raz pierwszy widzi zdjęcie Nastasji Filippowny, mówi: "Ta kobieta zapewne dużo wycierpiała." Słowa te precyzują od razu, że Nastasja Filippowna, zanim będziemy mogli zobaczyć ją we własnej osobie, stoi ponad wszystkimi innymi. "Ja nie cierpiałem, lecz pani cierpiała", mówi oczarowany Myszkin do Nastasji w piętnastym rozdziale pierwszej części i od tej chwili jest zgubiony.

Powiedziałem, że Myszkin podziwia wszystkie cierpiące kobiety, lecz nie mniej prawdziwe jest twierdzenie odwrotne: skoro tylko jakaś kobieta mu się podoba, wyobraża ją sobie cierpiącą. A ponieważ nie potrafi trzymać języka za zębami, śpieszy jej to powiedzieć. Koniec końców jest to znakomity sposób na uwiedzenie (i szkoda, że księżę nie potrafi go wykorzystać),

jeśli bowiem mówimy kobiecie “wiele pani wycierpiała”, to zwracamy się jakby bezpośrednio do jej duszy, pieścimy ją i sławimy. W takiej chwili każda kobieta gotowa jest nam powiedzieć: “Nie masz jeszcze mojego ciała, lecz moja dusza już do ciebie należy!”

Pod okiem Myszkińska dusza rośnie i rośnie, przypomina olbrzymi grzyb, wysoki jak pięciopiętrowy dom, przypomina balon, który w każdej chwili może wzlecieć w niebo ze swoją załogą. To właśnie nazywam “przerostem duszy”.

Kiedy Goethe otrzymał od Bettiny projekt swego pomnika, poczuł, jak może pamiętać, łzę w oku; był wówczas pewien, że jego najgłębsza jaźń pozwala mu poznać prawdę: Bettina prawdziwie go kocha i był wobec niej niesprawiedliwy. Dopiero później pojął, że jaźń nie objawia żadnej nieoczekiwanej prawdy o oddaniu Bettiny, lecz co najwyżej banalną prawdę o jego własnej próżności. Ogarnął go wstyd, że dał się nabrać na demagogię własnej łzy. Odkąd przekroczył pięćdziesiąty rok życia, miał z nią wiele doświadczeń: za każdym razem, gdy ktoś wypowiadał jego pochwałę lub gdy sam czuł falę zadowolenia z siebie po pięknym czy dobrym postępku, do oczu napływały mu łzy. Czym jest łza, zastanawiał się Goethe często i nigdy nie znajdował odpowiedzi. Ale jedno było dla niego jasne: często, nazbyt często, łza rodziła się ze wzruszenia, jakie w Goethem wzbudzał Goethe.

Niemal tydzień po straszliwej śmierci Agnes Laura złożyła wizytę pogrążonemu w bólu Paulowi.

- Paul - powiedziała - zostaliśmy na świecie sami.

Paul poczuł, że łzy napływają mu do oczu, i odwrócił głowę, by ukryć cierpienie.

Ten właśnie ruch głowy sprawił, że Laura chwyciła go mocno za ramię: - Paul, nie płacz!

Patrząc na nią przez łzy, stwierdził, że i ona ma mokre oczy. Uśmiechnął się. - To ty chyba płaczesz - powiedział drżącym głosem.

- Paul, gdybyś tylko czegoś potrzebował, to wiesz, że ja tu jestem, jestem cała z tobą.

I Paul odpowiedział: - Wiem.

Łza w oku Laury była łzą wzruszenia, jakie wywołał u Laury widok Laury zdecydowanej złożyć w ofierze swe życie, pozostając u boku męża zmarłej siostry.

Łza w oku Paula była łzą wzruszenia, jakie wywołała u Paula wierność Paula niezdolnego do życia z inną kobietą niż ta, która jest cieniem zmarłej małżonki, jej imitacją, jej siostrą.

A później, pewnego dnia, legli w szerokim łóżku i łza (miłosierdzie łzy) spłukała ostatnie podejrzenie, że może zdradzili zmarłą.

Odwieczna sztuka erotycznej dwuznaczności przyszła im z pomocą: leżeli przy sobie nie jak małżonkowie, lecz jak rodzeństwo. Dla Paula Laura była dotychczas tabu; nawet w najgłębszych zakamarkach myśli nigdy nie miał w związku z nią erotycznych skojarzeń. Czuł się wobec niej jak brat, który ma teraz zastąpić jej siostrę. Poczucie to uczyniło moralnie łatwiejszym pójście z nią do łóżka, a potem doprowadziło go do podniecenia, jakiego dotychczas nie zaznał: wiedzieli o sobie wszystko (jak brat i siostra) i nie dzieliło ich nieznanie, lecz zakaz; zakaz powstały dwadzieścia lat wcześniej i z biegiem czasu coraz trudniejszy do złamania. Nie było niczego

bliższego niż ciało drugiego. Nie było większego zakazu niż ciało drugiego. Podniecony uczuciem popełnianego kazirodztwa (i ze łzami w oczach), zaczął się z nią kochać i kochał się z nią tak dziko, jak z nikim w życiu się nie kochał.

Z architektonicznego punktu widzenia istniały cywilizacje wyższe od europejskiej, a starożytna tragedia pozostanie na zawsze niezrównana. Jednak żadnej cywilizacji nie udało się stworzyć z dźwięków cudu, jakim jest tysiącletnia historia europejskiej muzyki, z jej bogactwem form i stylów! Europa: wielka muzyka i homo sentimentalis. Bliźnięta ułożone przy sobie w jednej kołysce.

Muzyka nie tylko nauczyła Europejczyka wrażliwości, lecz także oddawania czci uczuciom i ją czującym. Znacnie ten widok: na estradzie skrzypek przymyka oczy i przeciąga dwie pierwsze nuty. Teraz z kolei przymyka oczy słuchacz i, czując jak dusza rozplywa mu się w piersiach, wzdycha: "Jakież to piękne." A przecież usłyszał tylko dwie proste nuty, które nie mogą zawierać żadnej kompozytorskiej myśli, żadnego twórczego celu, żadnej zatem sztuki i żadnego piękna. Ale nuty te wzruszyły serce słuchacza, nakazując milczenie jego rozumowi oraz osądowi estetycznemu. Prosty muzyczny dźwięk działa na nas mniej więcej tak, jak spojrzenie Myszki na rzucone na kobietę. Muzyka: pompa do nadmuchiwania duszy. Przerośnięte dusze, przemienione w ogromne balony, szybują pod sufit sali koncertowej i tłocząc się okropnie, wpadają na siebie.

Laura kochała muzykę szczerze i głęboko; w jej miłości do Mahlera dostrzegam konkretny sens: Mahler jest ostatnim wielkim kompozytorem, który jeszcze naiwnie i bezpośrednio zwraca się do homo sentimentalis. Po Mahlerze uczucie w muzyce staje się podejrzane; Debussy chce nas oczarować, lecz nie wzruszyć, a Strawiński wstydy się uczuć. Mahler jest dla Laury "ostatnim kompozytorem" i kiedy z pokoju Brigitte dochodzą do niej wrzaski rocka, jej zraniona miłość do muzyki europejskiej, która zanika pod ciosami gitar elektrycznych, doprowadza ją do szału, toteż stawia Paula przed ultimatum: albo Mahler, albo rock, co znaczy: albo ja, albo Brigitte.

Jak jednak wybrać między dwiema równie nie lubianymi muzykami? Rock jest dla Paula zbyt hałaśliwy (podobnie jak Goethe, ma on delikatny słuch), a muzyka romantyczna budzi w nim poczucie trwogi. Pewnego dnia w czasie wojny, gdy wszyscy wokół byli przerażeni groźnym biegiem wypadków, z radia rozległy się zamiast dźwięków tanga i walca minorowe akordy smutnej i uroczystej melodii; akordy te na zawsze wryły się w pamięć dziecka jako zwiastuny katastrofy. Później zrozumiał, że patos muzyki romantycznej jednoczy całą Europę: słyhać ją za każdym razem, gdy ofiarą mordu pada mąż stanu, gdy wywołana zostaje wojna, za każdym razem, gdy trzeba nabić głowę ludzi poczuciem chwały, aby chętniej dali się pozabijać. Mordujące się nawzajem narody przepełniało to samo braterskie wzruszenie na gromkie dźwięki "Marsza żałobnego" Chopina lub "Symfonii Heroicznej" Beethovena. Ach, gdyby to zależało tylko od Paula, świat mógłby się obejść zarówno bez rocka, jak bez Mahlera. Ale dwie kobiety nie

pozostawiały mu wyjścia. Zmuszały go do wyboru: między dwiema muzykami, między dwiema kobietami. I nie wiedział, co począć, gdyż kochał obie.

One natomiast się nienawidziły. Brigitte spoglądała z bolesnym smutkiem na pianino, od lat służące za miejsce do składania różnych przedmiotów; przypominało jej Agnes, która z miłości do siostry błagała ją kiedyś, aby nauczyła się grać. Ledwie Agnes odeszła, pianino odżyło i rozbrzmiewało co dnia. Jazgotem rocka Brigitte pragnęła pomścić zdradzoną matkę i wypędzić intruza. Kiedy zrozumiała, że Laura zostanie, odeszła sama. Rock zamilkł. Płyta kręciła się na gramofonie, trąbki Mahlera dęły w mieszkaniu i rozdzierały serce Paula załamanego odejściem Brigitte. Laura ujęła głowę Paula i spojrzała mu w oczy. “Tak bardzo chciałabym dać ci dziecko”, powiedziała. Oboje wiedzieli, że lekarze od dawna przestrzegali ją przed nową ciążą. Dlatego dodała: “Przejdę wszystkie konieczne operacje.”

Nadeszło lato. Laura zamknęła sklep i wyjechali na dwa tygodnie nad morze. Fale rozbijały się o brzeg i swym hukiem wypełniały pierś Paula. Była to jedyna muzyka, którą namiętnie kochał. Szczęśliwy i zdziwiony widział, że z muzyką tą miesza mu się Laura; jedyna w jego życiu kobieta, która była jak ocean; jedyna, która była oceanem.

Romain Rolland, świadek oskarżenia w wiecznym procesie wytoczonym Goethemu, wyróżniał się dwiema zaletami: wielbił kobiety ("była kobietą i dlatego ją kochamy", mówi o Bettinie) i żywił entuzjastyczne pragnienie, by iść do przodu z postępem (co znaczyło dla niego: z komunistyczną Rosją i z Rewolucją). Co ciekawe, ten wielbiciel kobiecości darzył podobnym uwielbieniem Beethovena, ponieważ ten nie chciał się kłaniać kobietom. Bo o to przecież chodziło, jeśli dobrze pojęliśmy zdarzenie w uzdrowisku Teplice: Beethoven z kapeluszem wciśniętym na oczy i z rękami na plecach kroczył w stronę cesarzowej i jej dworu, w którym obok mężczyzn znajdowały się z pewnością także kobiety. Nie ukłonić się im byłoby bezprzykładnym grubiaństwem! Trudno w to wszystko uwierzyć: choć oryginał i mruk, Beethoven nigdy nie zachowywał się wobec kobiet jak ordynus! Cała ta anegdota jest oczywistą bzdurą: jeśli naiwnie uznano ją i rozpowszechniono, to dlatego, że ludzie (i nawet powieściopisarz, a to już doprawdy wstyd!) zupełnie utracili poczucie rzeczywistości.

Wytkniecie mi, że nadużyciem jest rozważać prawdopodobieństwo anegdoty, która w sposób oczywisty nie jest świadectwem, lecz alegorią. Zgoda; rozpatrzmy zatem alegorię jako alegorię, zapomnijmy o okolicznościach jej powstania (na zawsze pozostaną one niejasne), zapomnijmy o stronniczej wymowie, jaką ten czy ów chciał ją opatrzyć, i pokażmy się o uchwycenie, by tak rzec, jej obiektywnego znaczenia:

Co oznacza kapelusz Beethovena wciśnięty głęboko na oczy? Że Beethoven gardzi arystokracją, gdyż jest ona reakcyjna i niesprawiedliwa, podczas gdy kapelusz w pokornej dłoni Goethego błaga świat, by został, jakim jest? Tak, ta interpretacja jest ogólnie uznana, lecz trudna do utrzymania: podobnie jak Goethe, Beethoven musiał wytworzyć dla siebie i swojej muzyki modus vivendi z własną epoką, toteż dedykował sonaty jednemu czy drugiemu księciu i nie wahał się skomponować na cześć zebranych w Wiedniu zwycięzców Napoleona kantaty, w której chór wykrzykuje słowa "Niech świat będzie znowu taki, jaki był!". Posunął się nawet do tego, że napisał poloneza dla carycy Rosji, jakby chciał symbolicznie złożyć niefortunną Polskę (tę Polskę, za którą trzydzieści lat później tak dzielnie będzie walczyła Bettina) u stóp samozwańczyni.

Jeśli więc na naszym alegorycznym obrazie Beethoven mija grupkę arystokratów nie zdejmując kapelusza, nie może to znaczyć, że arystokraci są godnymi pogardy wstecznikami, a on godnym podziwu rewolucjonistą; znaczy to, że ci, którzy "tworzą" (pomniki, wiersze, symfonie), zasługują na większy szacunek niż ci, którzy "rządzą" (służbą, urzędnikami albo narodami). Że twórczość jest czymś więcej niż władza, a sztuka czymś więcej niż polityka. Że nieśmiertelne są dzieła, a nie wojny i książęce bale.

(Zresztą Goethe musiał podzielać to zdanie, tyle że nie sądził, by jego nieprzyjemną prawdę warto przekazywać panom świata za ich życia. Było rzeczą pewną, że w zaświatach to oni ukłonią mu się pierwsi i ta pewność mu wystarczała.)

Alegoria jest jasna, a jednak wciąż interpretuje się ją na opak: ci, którzy, spoglądając na alegoryczny obraz, śpieszą z oklaskami dla Beethovena, nie pojmują niczego z jego pychy; najczęściej są to ludzie zaślepieni polityką, ci sami, co nad Picassa czy Felliniego stawiają Lenina, Fidela Castro, Kennedy'ego czy Mitteranda. Romain Rolland złożyłby z pewnością jeszcze głębszy ukłon kapeluszem, gdyby na alejce w Teplicach spostrzegł idącego mu naprzeciw Stalina.

Respekt Romaina Rollanda dla kobiecości wydaje mi się nieco dziwny. On, który uwielbiał Bettinę za to tylko, że była kobietą („była kobietą i dlatego ją kochamy”), nie dostrzegł niczego godnego podziwu w Christianie, która bez wątpienia również była kobietą! Bettina ma według niego „czułe i szalone serce”, jest „szalona i mądra”, „szalenie żywa i skłonna do śmiechu”, i jest „szalona” w jeszcze kilku określeniach. A my wiemy, że dla homo sentimentalis słowa „szalony”, „szalona”, „szaleństwo” (które po francusku brzmią jeszcze bardziej poetycko niż w innych językach: fou, folle, folie) oznaczają egzaltację uczuciem wyzwolonym spod wszelkiej cenzury („aktywne szały namiętności”, jak powiada Eluard), wymawiane są zatem z pełnym wzruszenia podziwem. Natomiast o Christianie ten wielbiciel kobiet i proletariatu nigdy nie wspomina inaczej, niż obrzucając jej imię, wbrew wszelkim zasadom galanterii, przymiotnikami: „zazdrosna”, „czerwona i masywna”, „tłusta”, „natrętna”, „ciekawska” i wielokrotnie „opasła”.

Co ciekawe, przyjaciel kobiet i proletariatu, głosiciel równości i braterstwa, nie przejawia najmniejszego wzruszenia na myśl, że Christiana jest byłą robotnicą i że Goethe dał przykład niezwyklej odwagi, żyjąc z nią otwarcie, a później pojmując za żonę. Musiał stawiać czoło nie tylko potwarzom weimarskich salonów, lecz także dezaprobacie przyjaciół intelektualistów, Herdera i Schillera, patrzących na Christianę z góry. Nie dziwię się, że Weimar arystokratów przyklasnął słowom Bettiny, określającym Christianę jako tłustą parówkę. Ale dziwi mnie, że oklaskuje je przyjaciel kobiet i klasy robotniczej. Jak mógł poczuć bliskość z młodą patrycjuszką, która złośliwie popisywała się swoją kulturą przed prostą kobietą? I jak być może, że Christiana, która piła, tańczyła i radośnie tyła, nie dbając o linię, nigdy nie zdobyła prawa do boskiego przymiotnika „szalona” i dla przyjaciela proletariatu była jedynie „natrętem”?

Jak może być, że przyjaciel proletariatu nie wpadł na myśl, by przekształcić scenę ze stłuczonymi okularami w alegoryczny obraz, w którym kobieta z ludu wymierza sprawiedliwą karę aroganckiej intelektualistce i w którym Goethe, biorąc żonę w obronę, pędzi z uniesioną głową (i bez kapelusza) prosto na szlachecką armadę i jej haniebne przesady?

Oczywiście taka alegoria byłaby nie mniejszym głupstwem niż poprzednia. Jednakże pozostaje pytanie: dlaczego przyjaciel proletariatu i kobiet wolał jedno alegoryczne głupstwo od drugiego? Dlaczego wolał Bettinę od Christiany?

Pytanie to prowadzi do sedna rzeczy.

Odpowie na nie kolejny rozdział.

Goethe namawiał Bettinę (w jednym z niedatowanych listów), by “wystąpiła z siebie”. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że zarzuca jej egocentryzm. Czy miał jednak do tego prawo? Kto się ujął za tyrolskimi patriotami? Kto strzegł pamięci o Petofim, walczył o życie Mierosławskiego? Kto myślał wciąż o innych? Które z nich gotowe było do poświęcenia?

Bettina. Bez najmniejszej wątpliwości. Jednak to nie osłabia zarzutu Goethego. Bettina bowiem nigdy nie wystąpiła ze swego ja. Gdziekolwiek szła, jej ja trzepotało za nią jak chorągiew. Tym, co skłoniło ją do ujęcia się za tyrolskimi góralami, nie byli sami górale, lecz zniewalający obraz Bettiny pasjonującej się walką tyrolskich górali. Tym, co skłoniło ją do miłowania Goethego, nie był Goethe, lecz czarujący obraz Bettiny-dziecka zakochanej w starym poecie.

Przypomnijmy sobie jej gest, który nazwałem gestem pragnienia nieśmiertelności: najpierw kładła palce we wgłębieniu między piersiami, jakby wskazywała samo centrum tego, co nazywamy ja. Następnie wyrzucała ręce przed siebie, jakby wysyłała to ja bardzo daleko, poza horyzont, w nieskończoność. Gest pragnienia nieśmiertelności ma tylko dwa punkty odniesienia: ja, tutaj; oraz tam, w oddali, horyzont; i zna dwa tylko pojęcia: absolut, którym jest ja, oraz absolut świata. Gest ten nie ma zatem nic wspólnego z miłością, gdyż drugi człowiek, bliźni, ktokolwiek, kto znajduje się między dwoma skrajnymi biegunami (światem i ja), jest z góry wykluczony z gry, pominięty, nie dostrzeżony.

Dwudziestoletni chłopiec, który zapisuje się do partii komunistycznej lub który ze strzelbą w dłoni idzie się bić do górskiej partyzantki, urzeczony jest obrazem siebie jako rewolucjonisty: to on wyróżnia go spośród innych, to przezeń staje się sobą samym. U źródeł jego walki tkwi wzmożone i niespełnione umiłowanie swojego ja, któremu chciałby nadać wyraźny kształt, by posłać je następnie (wykonując opisany przeze mnie gest pragnienia nieśmiertelności) na wielką scenę dziejów, w którą wpatrują się tysiące oczu; a na przykładzie Myszki i Nastasji Filippowny wiemy, że dusza, pod utkwionymi w niej spojrzeniami, rośnie i rośnie, nadyma się, nabiera objętości, by wreszcie wznieść się pod firmament niczym cudownie iluminowany powietrzny statek.

Tym, co skłania ludzi do wzniesienia pięści, do chwycenia za broń, do wspólnej obrony spraw sprawiedliwych i niesprawiedliwych, nie jest rozum, lecz przerośnięta dusza. To ona jest paliwem, bez którego motor dziejów nie mógłby pracować, a Europa leżałaby sobie na trawie leniwie wpatrując się w chmury sunące po niebie.

Christiana nie cierpiała na żaden przerost duszy i w ogóle nie pragnęła się pokazywać na wielkiej scenie dziejów. Podejrzewam, że wołała wyciągnąć się na trawie i patrzeć na chmury

sunące po niebie. (Podejrzewam nawet, że w takich chwilach była szczęśliwa, na co człowiek o przerośniętej duszy spogląda niechętnie, gdyż, spalany przez płomień swego ja, sam nigdy nie jest szczęśliwy.) Romain Rolland, przyjaciel postępu i łez, nie zawahał się więc ani chwili, gdy musiał wybierać między Christianą a Bettiną.

Spacerując po ścieżkach zaświatów, Hemingway dostrzegł w oddali młodzieńca, idącego mu naprzeciw; był elegancko ubrany i bardzo prosto się trzymał. W miarę jak elegant się zbliżał, Hemingway coraz wyraźniej dostrzegał na jego twarzy lekki, filuterny uśmiezek. Podeszedłszy bliżej, młodzieniec zwolnił, jakby chciał dać Hemingwayowi ostatnią szansę rozpoznania go.

- Johann! - wykrzyknął zdziwiony Hemingway.

Goethe uśmiechnął się z zadowoleniem, dumny ze znakomitego scenicznego efektu. Nie zapominajmy, że jako długoletni dyrektor teatru wiedział, jak taki efekt przygotować. Ujął przyjaciela za ramię (interesujący szczegół: choć w danej chwili młodszy, nadal zachowywał się wobec Hemingwaya z grzeczną wyrozumiałością osoby starszej) i zaciągnął go na długi spacer.

- Johannie - powiedział Hemingway - jest pan dzisiaj piękny jak młody bóg! - Piękność przyjaciela sprawiała mu szczerą przyjemność i zaśmiał się radośnie: - Ale, ale, co się stało z pańskimi papuciami? Gdzie się podział zielony daszek? - I tłumiąc śmiech dodał: - Tak powinien pan wyglądać na wiecznym procesie. Zmiażdżyć sędziów nie siłą argumentów, lecz swoim pięknem!

- Wie pan, że na wiecznym procesie nie wyrzekłem ani słowa. Z pogardy. Lecz nie mogłem się powstrzymać, by tam nie pójść i ich nie wysłuchać. Żałuję tego.

- No cóż, skazano pana na nieśmiertelność, karząc za napisanie książek. Sam mi pan to wyjaśnił.

Goethe wzruszył ramionami i powiedział z niejaką pychą: - Możliwe, że nasze książki są w pewnym sensie nieśmiertelne. Być może. - I po chwili dodał półgłosem, z powagą: - Ale nie my.

- Wprost przeciwnie! - zaprotestował Hemingway z goryczą w głosie. - Zapewne wkrótce nie będzie się już czytać naszych książek. Po pańskim "Fauście" pozostanie ta głupawa opera Gounoda. No, może jeszcze ten wiersz, w którym mowa o wiecznej kobiecości, prowadzącej nas gdzieś...

- Das Ewigweibliche zieht uns hinan - wyrecytował Goethe.

- O, właśnie... Za to ludzie nigdy nie przestaną obgadywać szczegółów z pańskiego życia, nawet tych najdrobniejszych.

- Czyż nadal pan nie rozumie, że osoby, o których ludzie mówią, nie mają z nami nic wspólnego?

- Chyba nie będzie pan twierdził, Johannie, że nie istnieje żaden związek między panem a tym Goethem, o którym wszyscy rozmawiają i piszą. Przyznaję, że nie jest pan całkowicie tożsamy

z obrazem, który po panu został. Przyznaję, że dosyć on pana wypacza. Wszelako jest pan w nim obecny.

- Nie jestem obecny w tym obrazie - powiedział stanowczo Goethe. - I powiem panu coś więcej. W moich książkach również nie jestem obecny. Ten, kogo nie ma, nie może być obecny.

- To zbyt filozoficzny dla mnie język.

- Niechże pan zapomni przez chwilę, że jest pan Amerykaninem, i ruszy głową: ten, kogo nie ma, nie może być obecny. Czy to takie skomplikowane? Od chwili mej śmierci porzuciłem wszystkie miejsca, w których przebywałem. Nawet książki. Książki te pozostają w świecie beze mnie. Nikt mnie już w nich nie odnajdzie. Bo nie sposób znaleźć tego, kogo nie ma.

- Chętnie bym panu uwierzył - podjął Hemingway - lecz proszę mi powiedzieć: jeśli pański obraz nie ma z panem nic wspólnego, dlaczego poświęcił mu pan za życia tyle uwagi? Po co zaprosił pan do siebie Eckermanna? Po co zaczął pan pisać "Z mojego życia"?

- Erneście, musi się pan pogodzić z myślą, że byłem takim samym dziwakiem jak pan. To z troski o własny obraz wynika niepoprawna niedojrzałość człowieka. Jakże trudno jest zachować obojętność wobec obrazu samego siebie! Taka obojętność jest ponad ludzkie siły. Człowiek osiąga ją dopiero po śmierci. I też nie od razu. Długo po śmierci. Pan jeszcze jej nie osiągnął. Pan wciąż nie jest dorosły. A przecież pan nie żyje... od jak dawna?

- Od dwudziestu siedmiu lat - powiedział Hemingway.

- To niewiele. Musi pan jeszcze poczekać co najmniej ze dwadzieścia, trzydzieści lat. I być może dopiero wówczas zrozumie pan, że człowiek jest śmiertelny, i będzie pan umiał wyciągnąć z tego wszystkie wnioski. Wcześniej się to panu nie uda. Na jakiś czas przed śmiercią zdarzało mi się odczuwać taką twórczą moc, iż uważałem za niemożliwy jej zupełny zanik. I, rzecz jasna, wierzyłem, że pozostawię po sobie obraz, który będzie moim przedłużeniem. Tak, byłem jak pan. Nawet po śmierci trudno mi było się pogodzić z tym, że już mnie nie ma. Wie pan, to bardzo dziwne. Bycie śmiertelnym jest najbardziej podstawowym doświadczeniem ludzkim, a przecież człowiek nigdy nie umiał go przyjąć, zrozumieć i odpowiednio się zachowywać. Człowiek nie umie być śmiertelny. A gdy umiera, nie umie nawet być martwy.

- A pan? Pan sądzi, że umie być martwy? - spytał Hemingway, by złagodzić powagę chwili. - Czy naprawdę sądzi pan, że najlepszym sposobem bycia umarłym jest tracenie czasu na pogawędki ze mną?

- Niechże pan nie robi z siebie durnia, Erneście - powiedział Goethe. - Wie pan dobrze, że jesteśmy w tej chwili jedynie frywolnym wymysłem jakiegoś powieściopisarza, który każe nam mówić to, co sam chce powiedzieć i czego zapewne sami nie powiedzielibyśmy nigdy. Dajmy zresztą temu spokój. Czy zauważył pan, jak dzisiaj wyglądam?

- Powiedziałem to panu, gdy tylko pana rozpoznałem. Jest pan piękny jak młody bóg!

- Tak wyglądałem w czasach, gdy całe Niemcy widziały we mnie nieustraszonego uwodziciela - powiedział Goethe tonem niemal uroczystym. Po czym dodał wzruszony: - Chciałem, żeby taki mój obraz zachował pan na przyszłe lata.

Hemingway spojrział na niego z nagłą i czułą pobłażliwością: - A jaki jest pana wiek post mortem, Johannie?

- Sto pięćdziesiąt siedem lat - odparł Goethe nieco zawstydzony.

- I dotychczas nie nauczył się pan bycia umarłym?

Goethe uśmiechnął się: - Wiem, Ernście. Postępuję trochę wbrew temu, co przed chwilą panu powiedziałem. Dałem się ponieść tej dziecinnej próżności tylko dlatego, że widzimy się dzisiaj po raz ostatni. - A potem powoli, jak człowiek, który nigdy już nie zabierze głosu, wypowiedział te słowa: - Albowiem raz na zawsze zrozumiałem, że wieczny proces jest bzdurą. Postanowiłem skorzystać wreszcie z mej martwej kondycji i, proszę mi wybaczyć niewłaściwość wyrażenia, pójść spać. Aby smakować rozkoszy całkowitego niebytu, o którym mój wielki wróg Novalis powiadał, że kolor jego niebieski.

Część piąta

Przypadek

1.

Po śniadaniu wróciła na górę. Była niedziela, w hotelu nie spodziewano się żadnych nowych gości i nikt jej nie prosił o szybkie opuszczenie pokoju; wielkie łóżko nadal było nie posłane, tak jak zostawiła je rano. Widok ten napełnił ją szczęściem: spędziła tu samotnie dwa dni i słyszała tylko własny oddech, leżąc po przekątnej łóżka, tak jakby chciała objąć całym ciałem tę wielką kwadratową przestrzeń, należącą tylko do niej i do jej snu.

Otwarta walizka na stole była już spakowana: na złożonej spódnicy spoczywały wiersze Rimbauda w broszurowym wydaniu. Zabrała je ze sobą, gdyż w ostatnich tygodniach wiele myślała o Paulu. Zanim Brigitte przyszła na świat, Agnes siadała często za nim, na tylnym siedzeniu wielkiego motocykla, i razem przemierzali całą Francję. Tamte czasy łączyły się w jej pamięci z wierszami Rimbauda: to był ich poeta.

Zabrała te na pół zapomniane wiersze, jak bierze się stary pamiętnik, aby sprawdzić, czy pożółkłe z biegiem czasu zapiski wydadzą się wzruszające, śmieszne, fascynujące, czy nic już nie będą znaczyły. Wiersze były nadal piękne, lecz jedno ją dziwiło: nie miały nic wspólnego z wielkim motocyklem, na którym kiedyś jeździła z Paulem. Świat poezji Rimbauda był o wiele bliższy współczesnym Goethego niż współczesnym Brigitte. Rimbaud, który nakazał całemu światu być absolutnie nowoczesnym, był poetą przyrody, wagabundą; jego wiersze kryły słowa, o których dzisiejszy człowiek zapomniał lub które nie sprawiają mu już żadnej przyjemności: świerszcze, wiaź, leszczyna, lipa, wrzos, dąb, gawrony, ciepłe odchody ze starych gołębników; i drogi, zwłaszcza drogi: "W błękitne zmierzchy letnie pójdę drogą polną, skroś traw i ziół, muskany przez dojrzałe żyto... Nie będę tedy mówił ani myślał wcale... i będę szedł jak Cygan - w coraz dalsze dale, w przyrodzie, jak z kobietą, szczęśny w tej godzinie..."

Zamknęła walizkę. Wyszła na korytarz, zbiegła po schodach przed hotel, rzuciła walizkę na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą.

2.

Było pół do trzeciej i należało już jechać, gdyż nie lubiła prowadzić nocą. Nie mogła się jednak przemóc i przekręcić kluczyka w stacyjce. Krajobraz wokół powstrzymywał jej odjazd niczym kochanek, który nie zdążył wyrazić, co czuje w sercu. Wysiadła. Otaczały ją góry; szczyty po lewej jaśniały żywymi barwami, a powyżej ich zielonych grani lśniła biel lodowców; szczyty po prawej tkwiły w żółtawej mgle, z której przebierały tylko ich kontury. Były to dwa zupełnie odmienne światła; dwa odmienne światy. Przeniosła wzrok z lewej strony na prawą, z prawej na lewą i postanowiła pójść na ostatni spacer. Wybrała drogę, która, wznosząc się łagodnie między łąkami, wiodła do lasu.

Od alpejskiej podróży z Paulem na wielkim motocyklu minęło niemal dwadzieścia pięć lat. Paul kochał morze, góry go nie wzruszały. Agnes chciała natchnąć go miłością do swego świata; chciała, by czuł zachwyt na widok drzew i łąk. Motocykl stał na skraju drogi i Paul mówił:

- Łąka jest jednym wielkim polem cierpienia. W jej pięknej zieleni nieustannie coś umiera, mrówki pożerają żywcem dżdżownice, na niebie ponad nią krążą ptaki, czyhające na kunę lub szczura. Widzisz tam tego czarnego kota, który znieruchomiał wśród traw? Czeka tylko na sposobność, by zabić. Naiwny szacunek, jakim darzy się przyrodę, napawa mnie obrzydzeniem. Czy sądzisz, że w paszczy tygrysa łania jest mniej przerażona, niż byłabyś przerażona ty? Ludzie mówią, że zwierzę nie potrafi cierpieć tak jak człowiek, bo przecież nie mogliby znieść myśli, że żyją pośród natury będącej jednym wielkim okrucieństwem i wyłącznie okrucieństwem.

Paula cieszyła myśl, że człowiek z wolna pokrywa całą ziemię betonem. Znaczyło to dla niego zamurować żywcem dzikiego mordercę. Agnes zbyt dobrze go rozumiała, by mieć mu za złe ten wstręt do natury, uzasadniony, by tak rzec, jego dobrocią i poczuciem sprawiedliwości.

Być może jednak była to zupełnie banalna zazdrość męża, który usiłuje raz na zawsze oderwać żonę od jej ojca. Bo to od ojca nauczyła się Agnes miłości do przyrody. W jego towarzystwie przemierzała długie kilometry dróg, zachwycając się ciszą lasu.

Pewnego dnia przyjaciele zabrali ją na wycieczkę samochodową w głąb amerykańskiej przyrody. Rosło tam królestwo drzew, nieskończone, niedostępne, poprzecinane długimi drogami. Cisza tamtych lasów zdała jej się równie złowroga i obca, jak zgiełk Nowego Jorku. W lasach, które Agnes kocha, drogi rozgałęziają się na małe dróżki, a potem na ścieżki; ścieżkami chadzają leśnicy. Wzdłuż dróg stoją ławki, z których widać krajobraz z pasącymi się owcami i krowami. To jest Europa, to jest serce Europy, Alpy.

3.

“Już tydzień temu rozdarłem trzewiki o przydrożne kamienie...”- pisze Rimbaud.

Droga: pasmo ziemi, po którym chodzi się pieszo. Szosa różni się od drogi nie tylko tym, że przemierza się ją samochodem, lecz również tym, że jest zwykłą linią łączącą jeden punkt z drugim. Sama w sobie szosa nie ma żadnego sensu: mają go tylko oba punkty, które łączy. Droga jest hołdem wobec przestrzeni. Każdy odcinek drogi obdarzony jest sensem i zachęca nas do postoju. Szosa tryumfalnie pozbawia przestrzeń wartości; dzisiaj przestrzeń to już tylko utrudnienie dla człowieka, który się porusza, zwykła strata czasu.

Wcześniej niż z krajobrazu, drogi zniknęły z ludzkiej duszy: człowiek nie pragnie już wędrować po drogach i z wędrowki czerpać rozkoszy. Swego życia również nie spostrzega jako drogi, lecz jako szosę: jako linię prowadzącą od jednego punktu do drugiego, od stopnia kapitana do stopnia generała, od stanu małżeńskiego do owdowienia. Czas życia stał się zwykłą przeszkodą, którą należy pokonywać z wciąż rosnącą szybkością.

Droga i szosa to również dwa odmienne pojęcia piękna. Gdy Paul mówi, że w tym miejscu jest pięknie, znaczy to: jeśli zatrzymasz tu samochód, zobaczysz piękny zamek z XVII wieku, otoczony parkiem; albo: tu jest jezioro i łabędzie pływają po błyszczącej powierzchni, która ginie w oddali.

W świecie szosy piękny pejzaż znaczy: oto wysepka piękna, powiązana długą linią z innymi wysepkami piękna.

W świecie dróg piękno jest ciągle i wciąż zmienne; za każdym krokiem mówi nam “Zatrzymaj się!”.

Świat dróg był światem ojca. Świat szosy był światem męża. I historia Agnes domyka się jak pierścień: od świata dróg do świata szosy, a teraz ponownie do punktu wyjścia. Bo Agnes będzie mieszkała w Szwajcarii. Podjęła już decyzję i dlatego czuje się od dwóch tygodni tak ciągle, tak szaleńczo szczęśliwa.

4.

Było już późne popołudnie, kiedy wróciła do samochodu. Dokładnie w chwili, gdy wsuwała klucz do stacyjki, profesor Avenarius podszedł w samych kąpielówkach do małego basenu, w którym czekałem na niego, zanurzony w ciepłej wodzie i biczowany silnymi strumieniami, tryskającymi z podwodnych ścian.

W ten właśnie sposób wydarzenia stają się równoczesne. Za każdym razem, gdy coś się dzieje w punkcie Z, coś innego wydarza się w punktach A, B, C, D, E. “Dokładnie w chwili, gdy...” jest jedną z magicznych formuł, jaką znajdziemy we wszystkich powieściach, formułą czarującą nas, kiedy czytamy “Trzech muszkieterów”, ulubioną powieść profesora Avenarius, do którego na powitanie powiedziałem tak: - Dokładnie w chwili gdy wchodzisz do basenu, bohaterka mojej powieści przekręciła wreszcie kluczyk w stacyjce i wjeżdża na szosę prowadzącą do Paryża.

- Cudowna zbieżność - powiedział profesor Avenarius z widocznym zadowoleniem, i zanurzył się w wodzie.

- Oczywiście w świecie co sekunda wydarzają się miliardy podobnych zbieżności. Marzę, by napisać o tym wielką księgę: teorię przypadku. Część pierwsza: przypadek rządzący zbieżnością. Klasyfikacja różnych rodzajów zbieżności. Na przykład: “dokładnie w chwili, gdy profesor Avenarius wszedł do basenu, by wystawić swe plecy na wodne bicze, w publicznym ogrodzie Chicago z kasztana spadł zwiędły liść”. Jest to zbieżność wydarzeń, lecz nie ma ona żadnego sensu. W mojej klasyfikacji nazywam ją “zbieżnością niemą”. Ale wyobraź sobie, że mówię: “dokładnie w chwili, gdy “pierwszy” zwiędły liść spadł w mieście Chicago, profesor Avenarius wszedł do basenu, by rozmasować sobie plecy”. Zdanie staje się melancholijne, gdyż patrzymy na profesora Avenarius jako na posłańca jesieni, i woda, w której się zanurzył, wydaje nam się słona od łez. Zbieżność wypełniła wydarzenie nieoczekiwanym sensem i dlatego nazywam ją “zbieżnością poetycką”. Ale mogę również powiedzieć to, co rzekłem na twój widok: “profesor Avenarius zanurzył się w basenie dokładnie w chwili, gdy Agnes uruchomiła gdzieś w Alpach samochód”. Zbieżność ta nie jest być może poetycka, gdyż nie nadaje twemu wejściu do basenu żadnego szczególnego sensu, niemniej jest bardzo cenną zbieżnością, którą ja nazywam “kontrapunktową”. To tak jakby w jednej kompozycji połączyły się dwie melodie. Znam to z dzieciństwa. Jedno dziecko śpiewało jedną piosenkę, drugie dziecko zupełnie inną i obie spajały się w całość! Ale istnieje jeszcze inny typ zbieżności: “profesor Avenarius wszedł do podziemi metra Montparnasse dokładnie w chwili, gdy stanęła tam piękna dama z czerwoną skarbonką”. Jest to “zbieżność fabułowicza”, szczególnie ceniona przez powieściopisarzy.

Przerwałem znacząco wypowiedź, w nadziei że powie mi coś więcej o spotkaniu w metrze; on jednak wyginał plecy, by wystawić swe lumbago na masaż tryskającej wody, i zrobił taką minę, jakby ostatni podany przeze mnie przykład w ogóle go nie dotyczył.

- Nie mogę się pozbyć myśli - powiedział - że zbieżnością w życiu ludzkim nie rządzi rachunek prawdopodobieństwa. Chcę przez to powiedzieć, że spotykamy często przypadki tak nieprawdopodobne, iż nie dają się one matematycznie uzasadnić. Niedawno, gdy szedłem sobie nieważną ulicą w nieważnej paryskiej dzielnicy, wpadłem na kobietę z Hamburga, którą dwadzieścia pięć lat temu widywałem niemal codziennie, lecz później całkowicie straciłem z oczu. Szedłem tą ulicą, bo przez pomyłkę wysiadłem o jedną stację za wcześnie. Natomiast ta kobieta przyjechała do Paryża na trzy dni i zabłądziła. Istniała jedna możliwość na miliard, że się spotkamy!

- Jakiej metody używasz do obliczenia prawdopodobieństwa ludzkich spotkań?

- Czyżbyś znał jakąś metodę?

- Nie. I ubolewam nad tym - odparłem. - To ciekawe, ale ludzkie życie nigdy nie zostało poddane matematycznym badaniom. Weźmy dla przykładu czas. Marzę o doświadczeniu, w którym przyczepiałoby się elektrody do głowy człowieka i obliczało, jaki procent swego życia poświęca on teraźniejszości, jaki procent wspomnieniom, jaki procent przyszłości. Moglibyśmy w ten sposób odkryć, czym jest człowiek wobec czasu. Czym jest ludzki czas. I moglibyśmy zapewne wyróżnić trzy podstawowe typy ludzkie według wymiaru czasu przeważającego w każdym z nich. Ale wracam do przypadku. Cóż poważnego można powiedzieć o przypadkach w życiu bez badań matematycznych? Tylko że matematyka egzystencjalna nie istnieje.

- Matematyka egzystencjalna. Znakomity pomysł - powiedział Avenarius i zamyślił się. A potem powiedział: - Bez względu na to, czy spotkanie miało jedną szansę na milion, czy też jedną szansę na bilion, że się wydarzy, było ono zupełnie nieprawdopodobne i to właśnie nieprawdopodobieństwo stanowi o jego wartości. Bowiem egzystencjalna matematyka, która nie istnieje, postawiłaby takie mniej więcej równanie: wartość przypadku równa się stopniowi jego nieprawdopodobieństwa.

- Spotkać nieoczekiwanie w środku Paryża piękną kobietę, której nie widziało się całe lata... - powiedziałem w rozmarzeniu.

- Nie wiem, na jakiej podstawie uważasz, że była piękna. Była szatniarką w knajpie, do której w tamtych czasach codziennie wpadałem, a do Paryża przyjechała z grupą emerytów na trzydniową wycieczkę. Gdy się rozpoznaliśmy, zaczęliśmy wpatrywać się w siebie z zakłopotaniem. A nawet z pewną rozpaczą, z rozpaczą, jaką odczułby beznogi młodzieniec, który wygrał na loterii rower. Mieliśmy oboje wrażenie, że otrzymaliśmy w prezencie bardzo cenną, ale

kompletnie bezużyteczną zbieżność. Wydało się nam, że ktoś z nas zakpił, i wstydziliśmy się siebie.

- Ten typ zbieżności nazwać by można "niezdrowym" - powiedziałem. - Ale wciąż na próżno zadaję sobie pytanie: w jakiej kategorii umieścić przypadek, który sprawił, że Bernard Bertrand dostał dyplom kompletnego osła?

Avenarius odpowiedział, przybierając nader władczą minę: - Jeśli Bernard Bertrand został mianowany kompletnym osłem, to dlatego że jest kompletnym osłem. Przypadek nie ma tu nic do rzeczy. To była prosta konieczność. Nawet spisowe prawa dziejów, o których mówi Marks, nie narzucają się w sposób bardziej konieczny niż ów dyplom.

I, jak gdyby moje pytanie go rozdrażniło, wynurzył z wody swą groźną sylwetkę. Wynurzyłem się i ja, po czym przeszliśmy do baru na drugi koniec sali.

5.

Zamówiliśmy dwa kieliszki wina i wypiliśmy po łyku. Avenarius podjął: - Przecież dobrze wiesz, że wszystko, co czynię, jest wojną z Diabolum.

- Oczywiście, że wiem - powiedziałem. - Stąd moje pytanie: dlaczego zawzięłeś się właśnie na Bernarda Bertranda?

- Niczego nie rozumiesz - powiedział Avenarius, widocznie znużony tym, że wciąż nie pojmuję rzeczy, które mi wielokrotnie wyjaśniał. - Nie ma czegoś takiego jak skuteczna i rozumna walka z Diabolum. Próbował Marks, próbowali wszyscy rewolucjoniści, a skończyło się na tym, że Diabolum zapanowało nad wszystkimi organizacjami, które miały je unicestwić. Moja długa rewolucyjna przeszłość odebrała mi złudzenia i dzisiaj obchodzi mnie tylko jedna kwestia: co może jeszcze zdziałać ktoś, kto zrozumiał niemożność wszelkiej zorganizowanej, rozumnej i skutecznej walki z Diabolum? Ma przed sobą tylko dwa wyjścia: albo się pogodzi i wówczas przestanie być sobą, albo będzie nadal żywił wewnętrzną potrzebę buntu i od czasu do czasu ją ujawniał. Nie po to, by zmienić świat, jak słusznie i daremnie pragnął tego Marks, lecz dlatego że prowadzi go wewnętrzny moralny imperatyw. Ostatnimi czasy często o tobie myślałem. Dla ciebie też byłoby ważne, żebyś wyraził bunt, nie tylko poprzez powieści, które nie mogą ci dać żadnej satysfakcji, lecz czynem! Chciałbym, żebyś dzisiaj wreszcie się do mnie przyłączył!

- Ale wciąż nie rozumiem - odparłem - dlaczego wewnętrzny imperatyw moralny kazał ci napaść na biednego spikera radiowego. Jakie obiektywne przyczyny skłoniły cię do tego? Dlaczego to on, a nie kto inny, stał się dla ciebie symbolem oślej głupoty?

- Zabraniam ci używać tego głupiego słowa symbol! - powiedział Avenarius podniesionym głosem. - To sposób myślenia organizacji terrorystycznych! To sposób myślenia dzisiejszych polityków, którzy stali się już wyłącznie zonglerami symboli! Gardzę zarówno tymi, co wywieszają w oknie flagi, jak i tymi, którzy palą je na placach. W Bernardzie nie ma dla mnie nic z symbolu. Nie ma dla mnie nic bardziej niż on konkretnego! Słyszę go co ranka! To jego słowa wprowadzają mnie w dzień! Działa mi na nerwy tym swoim zniewieściałym głosikiem, nadęciem i kretyńskimi żarcikami! To, co wygaduje, jest nie do zniesienia! Przyczyny obiektywne? Nie wiem, co to znaczy! Mianowałem go kompletnym osłem pod wpływem mojej osobistej, najdziwaczniejszej, najzłośliwszej, najbardziej rozkapryszonej wolności!

- To właśnie chciałem usłyszeć. Nie działałeś jako Bóg konieczności, lecz jako Bóg przypadku.

- Co tam przypadek czy konieczność, miło mi, że wydają ci się Bogiem - powiedział Avenarius łagodniejszym tonem. - Ale nie pojmuję, dlaczego mój wybór tak bardzo cię dziwi.

Facet głupkowato żartujący ze słuchaczami i prowadzący kampanię przeciwko eutanazji jest bezsprzecznie kompletnym osłem, i naprawdę nie wiem, kto mógłby mi zaprzeczyć.

Po ostatnich słowach Avenariusza osłupiałem: - Tobie się myli Bernard Bertrand z Bertrandem Bertrandem!

- Mam na myśli Bernarda Bertranda, który występuje w radiu i walczy z samobójstwem oraz z piwem!

- Przecież to są dwie zupełnie inne osoby! Ojciec i syn! Jak mogłeś z radiowego prezentera i z posła zrobić jedną osobę? Twoja pomyłka jest najlepszym przykładem na to, co przed chwilą nazwaliśmy zbieżnością niezdrową.

Avenarius przez chwilę czuł zakłopotanie. Szybko jednak ochłonął i powiedział: - Obawiam się, że sam się gubisz we własnej teorii. W mojej pomyłce nie ma nic niezdrowego. Przeciwnie, przypomina do złudzenia to, co nazywasz zbieżnością poetycką. Ojciec i syn stali się dwugłowym osłem. Nawet starożytna mitologia grecka nie wymyśliła tak wspaniałego zwierzęcia!

Dopiliśmy wino i poszliśmy przebrać się do szatni, skąd zatelefonowałem, by zamówić stolik w restauracji.

6.

Profesor Avenarius wkładał właśnie skarpetki, gdy Agnes przypomniała sobie słowa: “Kobieta zawsze woli swoje dziecko od męża.” Agnes słyszała je od matki (w okolicznościach już teraz zapomnianych), gdy miała dwanaście, trzynaście lat. Sens tego zdania stanie się jasny, jeśli tylko poświęcimy mu chwilę refleksji: powiedzieć, że kochamy A bardziej niż B, nie jest porównaniem dwóch poziomów miłości; znaczy to, że B nie jest kochany. Jeśli kochamy jakąś osobę, nie możemy przecież jej porównywać z inną. Osoba, którą kochamy, jest niezrównana. Nawet w przypadku, gdy kochamy zarazem A i B, nie możemy ich ze sobą porównywać, gdyż wówczas przestajemy kochać jedno z nich. A jeśli publicznie oświadczamy, że wolimy jedno od drugiego, nie chodzi nam o to, by wyznać wobec wszystkich naszą miłość do A (wówczas bowiem wystarczyłoby powiedzieć: “kocham A!”), lecz o to, by dyskretnie, choć jasno dać do zrozumienia, że B jest nam kompletnie obojętny.

Mała Agnes nie była oczywiście zdolna do takiej analizy. Matka z pewnością na to liczyła; odczuwała potrzebę zwierzeń, lecz zarazem nie chciała być w pełni zrozumiana. Choć jednak dziecko wszystkiego pojąć nie umiało, domyśliło się, że uwaga matki nie jest życzliwa dla ojca. Dla ojca, którego Agnes kochała! Toteż nie schlebiało jej przyznane pierwszeństwo, i martwiło ją, że temu, kogo kochała, dzieje się krzywda.

Słowa te wryły się jej w pamięć; Agnes próbowała wyobrazić sobie, co znaczy konkretnie kochać jedną osobę więcej, a drugą mniej; otulała się w łóżku kołdrą i przed oczyma miała taką scenę: ojciec stoi i trzyma obie córki za ręce. Naprzeciw ustawił się w szeregu pluton egzekucyjny i oczekuje rozkazu: cel! pal! Matka podchodzi do wrogiego generała błagać go o łaskę i generał godzi się darować życie dwóm z trojga skazańców. Więc matka biegnie szybko, aby zdążyć, zanim dowódca rozkaże dać ognia, wrywa córki z rąk ojca i w pośpiechu, przerażona, zabiera je ze sobą. Agnes, ciągnięta przez matkę, odwraca głowę ku ojcu; odwraca ją tak uporczywie, tak zawzięcie, że sztywnieje jej kark; widzi, że ojciec smutnie śledzi ją wzrokiem, bez najmniejszego sprzeciwu: godzi się na wybór matki, wiedząc, że miłość macierzyńska znaczy więcej niż miłość małżeńska, i że to on musi umrzeć.

Niekiedy wyobrażała sobie, że wrogi generał pozwala ocalić matce tylko jednego skazańca. Ani przez chwilę nie wątpiła, że matka ocali Laurę. Widziała siebie u boku ojca, naprzeciw żołnierskich karabinów. Ścisnęła jego dłoń. W takiej chwili nie przejmowała się matką i siostrą, nie patrzyła na nie, wiedząc, że szybko odchodzą i że żadna z nich nawet się nie ogląda! Agnes otulała się kołdrą na swoim łóżeczku, do oczu napływały jej piekące łzy i czuła się pełna niewypowiedzianego szczęścia, bo trzymała ojca za rękę, bo była z nim i mieli umrzeć razem.

Agnes zapomniałaby na pewno o scenie egzekucji, gdyby pewnego dnia nie doszło między siostrami do sprzeczki na widok ojca pochylonego nad kupką podartych zdjęć. Patrząc na krzyczącą Laurę przypomniała sobie, że ta sama Laura porzuciła ojca przed plutonem egzekucyjnym, odeszła i “nie odwróciła się”. Zrozumiała nagle, że niezgoda między nimi była głębsza, niż sądziła; dlatego nigdy nie powracała do tamtej sprzeczki, tak jakby obawiała się nazwać po imieniu to, co powinno pozostać bezimienne, zbudzić to, co powinno pozostać uspięne.

Kiedy więc siostra odjechała rozgniewana i zapłakana, zostawiając ją samą z ojcem, po raz pierwszy poczuła dziwne znużenie i ze zdziwieniem stwierdziła (a najbardziej zaskakujące są zawsze stwierdzenia najbanalniejsze), że przez całe życie będzie miała tę samą siostrę. Mogła zmieniać przyjaciół, zmieniać, jeśli tego chciała, kochanków, mogła rozwieść się z Paulem, lecz w żadnym razie nie mogła zmienić siostry. Laura miała stały charakter, co dla Agnes było tym bardziej dokuczliwe, że od początku stosunki między nimi przypominały wyścig na dochodzenie: Agnes biegła na przódzie, siostra ją goniła.

Czasami miewała wrażenie, że jest postacią z bajki poznanej w dzieciństwie: księżniczką, która usiłuje umknąć na koniu przed złym prześladowcą. W rękę ma szczotkę, grzebień i wstążkę. Gdy rzuca za siebie szczotkę, między nią a prześladowcą wyrasta gęsty las. Zyskuje w ten sposób na czasie, lecz prześladowca pojawia się znowu; rzuca więc grzebień, który przemienia się od razu w spiczaste skały. A gdy prześladowca znowu depta jej po piętach, upuszcza wstążkę i ta wije się jak szeroka rzeka.

Później w rękach Agnes pozostał jeden tylko przedmiot: ciemne okulary. Rzuciła je na ziemię i od prześladowcy oddzieliły ją ostre odłamki szkła.

Ale od tamtej chwili jej ręce są puste i wie, że Laura jest silniejsza. Jest silniejsza, gdyż ze swej słabości uczyniła broń oraz przewagę moralną: ludzie są dla niej niesprawiedliwi, kochanek ją zostawia, ona cierpi, próbuje popełnić samobójstwo; tymczasem Agnes, której małżeństwo jest szczęśliwe, rzuca na ziemię okulary siostry, poniża ją i zamyka przed nią drzwi. Tak, od czasu wypadku ze stłuczonymi okularami nie widziały się przez dziewięć miesięcy. I Agnes wie, że Paul ma jej to za złe, choć nic nie mówi. Przykro mu za Laurę. Wyścig zbliża się do końca. Agnes czuje tuż za sobą oddech siostry i wie, że przegrała.

Jest coraz bardziej zmęczona. Nie ma najmniejszej ochoty na bieg. Nie jest lekkoatletką. Nigdy nie chciała uczestniczyć w zawodach. Nie wybierała swojej siostry. Nie chciała być ani wzorem dla niej, ani jej rywalką. W życiu Agnes ta siostra jest czymś równie przypadkowym, jak

kształt uszu. Agnes nie wybrała swojej siostry, tak jak nie wybrała kształtu swoich uszu, i musi ciągnąć za sobą przez całe życie nonsens przypadku.

Gdy była mała, ojciec nauczył ją grać w szachy. Jedno z szachowych posunięć urzekło Agnes; posunięcie, które specjaliści nazywają roszadą: gracz przesuwa dwie figury naraz: wieżę stawia na polu obok króla, a króla przesuwa na pole za wieżę. Ten manewr bardzo jej się podobał: nieprzyjaciel zbiera wszystkie siły, by zaatakować króla, i nagle król znika mu sprzed oczu: wyprowadza się. Agnes przez całe życie marzyła o takim posunięciu i w miarę jak jej zmęczenie rosło, marzyła o nim coraz bardziej.

8.

Odkąd ojciec zmarł, pozostawiając jej pieniądze w szwajcarskim banku, jeździła do Szwajcarii dwa, trzy razy w roku, do tego samego wciąż hotelu, i usiłowała sobie wyobrazić, że zamieszka w Alpach na zawsze: czy potrafi żyć bez Paula i Brigitte? Jak się o tym przekonać? Trzy dni samotności, które zwykła spędzać w hotelu, dni “samotności na próbę”, niewiele jej mówiły. “Odejdź!” - huczało w niej niczym najpiękniejsza pokusa. Ale gdyby odeszła na dobre, czy wkrótce nie zaczęłaby tego żałować? To prawda, że pragnęła samotności, lecz kochała przecież męża i córkę i martwiła się o nich. Domagałaby się od nich wieści, chciałyby wiedzieć, jak się czują. Ale jak sprawić, by żyć samotnie, z dala od nich, i wiedzieć zarazem, jak im się powodzi? I jak urządzić nowe życie? Poszukać nowej pracy? To nie takie proste. Nie robić nic? Tak, to duża pokusa, czy jednak nie odczułaby nagle, że jest na emeryturze? Po zastanowieniu zamiar “odejścia” wydawał jej się coraz bardziej sztuczny, wymuszony, nierealny, podobny do jednej z owych utopijnych iluzji, którymi się łudzimy, choć w głębi ducha dobrze wiemy, że niczego nie można zrobić i niczego nie zrobimy.

I oto któregoś dnia rozwiązanie, nieoczekiwane i zarazem całkiem banalne, przyszło z zewnątrz. Szef Agnes założył oddział w Bernie, a ponieważ było powszechnie wiadomo, że Agnes mówi po niemiecku jak po francusku, spytano ją, czy nie zgodziłaby się poprowadzić w nim badań. Wiedziano, że jest mężatką, i nie liczone zbytnio na jej zgodę. Agnes zaskoczyła wszystkich: bez wahania odpowiedziała “tak”. Zaskoczyła też samą siebie: “tak”, które wypowiedziała bez zastanowienia, dowodziło, że jej pragnienie nie było komedią, którą odgrywała sama przed sobą, kokieteryjnie i bez wiary, lecz czymś realnym i poważnym.

Pragnienie to zachłannie wykorzystało sposobność, by z romantycznego marzenia, jakim było, przemienić się wreszcie w coś zupełnie prozaicznego: sposób na zawodowy awans. Przyjmując propozycję, Agnes zachowała się jak każda ambitna kobieta, więc nikt nie mógł odkryć ani się domyślić jej prawdziwych osobistych pobudek. Odtąd wszystko było dla niej jasne; koniec z testami i eksperymentami, nie trzeba już sobie wyobrazać, “co by było, gdyby”. To, czego pragnęła, nagle się już stało i Agnes była zaskoczona, że doznaje radości tak czystej i niczym nie zmaćconej.

Radość była tak gwałtowna, że Agnes wstydziła się i poczuwała do winy. Nie zdobyła się na odwagę, by powiedzieć Paulowi o swej decyzji. I dlatego po raz ostatni pojechała w Alpy do swego hotelu. (Teraz będzie już miała własne mieszkanie na obrzeżach Berna albo dalej, w górach.) Przez te dwa dni chciała przemyśleć, w jaki sposób powie o wszystkim Brigitte i Paulowi,

aby wydać im się ambitną, wyemancypowaną kobietą, z pasją wykonującą zawód i zajęta własnym sukcesem, kobietą, którą nigdy nie była.

Zapadła już noc. Agnes, włączwszy światła, minęła granicę szwajcarską i wjechała na francuską autostradę, która zawsze napawała ją lękiem: dobrzy, porządni Szwajcarzy przestrzegali przepisów, podczas gdy Francuzi krótkimi, poziomymi ruchami głowy wyrażali swe oburzenie, jeśli ktokolwiek chciał podważyć ich prawo do szybkości, i przemieniali jazdę w orgiastyczną celebrację praw człowieka.

Poczuła głód i postanowiła się zatrzymać w jakiejś przydrożnej restauracji lub motelu. Z lewej strony minęły ją z potwornym hukiem trzy wielkie motocykle; w świetle reflektorów zdawało się, że ich piloci przywdziali skafandry astronautów, które nadawały im wygląd nieludzkich kosmicznych stworów.

Dokładnie w tej samej chwili nad naszym stolikiem pochylił się kelner, aby zebrać puste talerze po przystawkach, ja zaś mówiłem do Avenarius: - Dzisiaj rano usłyszałem w radiu wiadomość, której nigdy nie zapomnę. Jakaś dziewczyna wyszła w środku nocy na drogę i usiadła tyłem do samochodów. Z głową zwieszoną między kolanami czekała na śmierć. Kierowca pierwszego samochodu w ostatniej sekundzie skręcił i zabił się, a wraz z nim zginęła żona i dwójka dzieci. Drugi samochód również wylądował w rowie. A potem trzeci. Dziewczynie nic się nie stało. Wstała i odeszła, i nikt nigdy nie dowiedział się, kim była.

Avenarius powiedział: - Jakie racje mogą, twoim zdaniem, skłonić młodą kobietę do wyjścia w środku nocy na drogę, żeby dać się rozjechać?

- Nie mam pojęcia - powiedziałem. - Ale założę się, że powód był śmieszny. A raczej, że był to powód, który z zewnątrz wydałby się nam śmieszny i zupełnie niedorzeczny.

- Dlaczego? - spytał Avenarius.

Wzruszyłem ramionami: - Nie mogę sobie wyobrazić żadnej wyższej racji - na przykład nieuleczalnej choroby, śmierci najbliższej osoby - która mogłaby skłonić kogoś do tak potwornego samobójstwa. W takiej sytuacji nikt nie wybierze równie strasznego końca, pociągającego za sobą śmierć innych ludzi! Tylko racja pozbawiona rozumu może doprowadzić do tak niedorzecznego horrendum. We wszystkich językach wywodzących się z łaciny słowo racja (ratio, reason, ragione) ma dwa znaczenia: określa najpierw zdolność refleksji, a dopiero później przyczynę. Zatem rację jako przyczynę uważa się zawsze za coś rozumnego. Racja, której rozumność nie jest oczywista, wydaje się niezdolna do wywołania skutku. Owóż w języku niemieckim o racji jako przyczynie mówi się Grund, i jest to słowo nie mające nic wspólnego z łacińskim ratio, oznaczające przede wszystkim ziemię, następnie podwalinę. Z punktu widzenia ratio łacińskiego zachowanie dziewczyny siedzącej na drodze zdaje się absurdalne,

nieumiarkowane, nierozumne, a jednak ma ono swoją rację, to znaczy swoją podwalinę, swój Grund. W głębi każdego z nas tkwi Grund, będący ziemią, na której rośnie nasze przeznaczenie. Próbuję uchwycić Grund każdego mojego bohatera i jestem coraz bardziej przekonany, że ma on postać metafory.

- Niezupełnie pojmuję twoją myśl - powiedział Avenarius.

- Szkoda, to najważniejsza myśl, jaka kiedykolwiek przyszła mi do głowy.

W tym momencie pojawił się kelner, niosąc tacę z kaczką. Jej zapach był tak cudowny, że uwagi, które wymieniliśmy przed chwilą, zupełnie uleciały nam z głowy.

Dopiero po dłuższej chwili Avenarius przerwał milczenie: - A o czym ty właściwie teraz pisziesz?

- Tego nie da się opowiedzieć.

- Szkoda.

- Niby dlaczego szkoda? Całe szczęście. W naszych czasach ludzie rzucają się na wszystko, co w ogóle zostało napisane, żeby zrobić z tego film, spektakl telewizyjny albo komiks. A zważywszy że istotą powieści jest mówienie tego, co jedna powieść może powiedzieć, do adaptacji przedostają się tylko rzeczy nieistotne. Ten, kto jest na tyle szalony, by pisać dzisiaj powieści, powinien, jeśli chce zapewnić im ochronę, pisać tak, by nie dało się ich adaptować, innymi słowy tak, by nie dało się ich opowiedzieć.

Nie podzielał mojego zdania: - Z najwyższą przyjemnością opowiem ci, kiedy tylko zechcesz, "Trzech muszkieterów" Aleksandra Dumasa, od początku do końca!

- Ja także, jak ty, lubię Dumasa - powiedziałem. - Ale żałuję, że niemal wszystkie napisane do dzisiaj powieści nadmiernie przestrzegają zasady jedności akcji. Chcę przez to powiedzieć, że opierają się one na jednym przyczynowym związku zachowań i zdarzeń. Powieści te przypominają wąską uliczkę, na której bohaterów pogania się batem. Napięcie dramatyczne jest prawdziwym przekleństwem powieści, gdyż przekształca wszystko, najpiękniejsze nawet stronice, najbardziej nawet zadziwiające sceny i obserwacje, w zwykły etap prowadzący ku ostatecznemu zakończeniu, w którym gromadzi się cały sens tego, co wydarzyło się przedtem. Pożerana ogniem własnego napięcia, powieść spala się niczym stóg siana.

- Gdy tak cię słucham - powiedział nieśmiało profesor Avenarius - lękam się, by twoja powieść nie była nudna.

- Ależ czy zawsze należy uważać za nudne to, co nie jest szaleńczym pędem ku ostatecznemu zakończeniu? Czy ty się nudzisz, rozkoszując się tym wspaniałym kaczym udkiem? Czy spieszno ci do celu? Wręcz przeciwnie, chcesz, żeby kaczka wnikała w ciebie możliwie jak najwolniej i żeby jej smak trwał w tobie wiecznie. Powieść nie powinna przypominać wyścigu

kolarskiego, lecz ucztę, na której podaje się niezliczone ilości dań. Niecierpliwie czekam na szóstą część. W mojej powieści pojawi się nowa postać. I wraz z końcem tejże szóstej części zniknie, nie pozostawiając żadnego śladu. Nie jest przyczyną czegokolwiek i do niczego nie doprowadza. Właśnie to mi się podoba. Będzie to powieść w powieści i najsmutniejsza historia erotyczna, jaką kiedykolwiek napisałem. Nawet ciebie zasmuci.

Avenarius milczał zakłopotany, a potem grzecznie spytał: - A jaki tytuł będzie nosiła twoja powieść?

- Nieznośna lekkość bytu.

- Przecież już ktoś posłużył się tym tytułem.

- Tak, ja! Tyle że wtedy popełniłem błąd. Powinien on należeć do powieści, którą piszę teraz.

Milczeliśmy, zważając już tylko na smak wina i kaczki.

Przełknąwszy kąsek, Avenarius oznajmił: - Moim zdaniem za dużo pracujesz. Powinieneś zadbać o zdrowie.

Wiedziałem dobrze, do czego Avenarius zmierza, lecz nie dawałem tego po sobie poznać i w milczeniu smakowałem wino.

10.

Po dłuższej chwili Avenarius powtórzył: - Moim zdaniem za dużo pracujesz. Powinieneś zadbać o zdrowie.

- Ja dbam o zdrowie - odparłem. - Regularnie ćwiczę hantlami.

- To niebezpieczne. Możesz dostać zawału.

- Tego się właśnie obawiam - powiedziałem i przypomniałem sobie Roberta Musila.

- Powinieneś uprawiać biegi. Nocne. Coś ci pokażę - powiedział z tajemniczą miną, rozpinając marynarkę. Wokół jego klatki piersiowej i opasłego brzucha dostrzegłem dziwną konstrukcję z daleka przypominającą końską uprząż. Na dole, po prawej stronie, do rzemiennych pasków przytroczony był wielki, groźny nóż kuchenny.

Pogratulowałem mu wyposażenia, ale chcąc uniknąć tematu aż nadto mi znanego, skierowałem rozmowę na jedyną sprawę, która leżała mi na sercu i o której chciałem dowiedzieć się czegoś więcej: - Gdy spotkałeś Laurę w metrze, ona cię rozpoznała i ty też ją rozpoznałeś.

- Tak - powiedział Avenarius.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie się poznaliście.

- Zajmujesz się jakimiś głupstwami, a rzeczy poważne cię nudzą - powiedział lekko rozczarowany, zapinając marynarkę. - Jesteś jak stara dozorczyńni.

Wzruszyłem ramionami.

Mówił dalej: - Nie ma w tym nic szczególnie zajmującego. Zanim wręczyłem dyplom kompletnemu osłu, na ulicach porozlepiano jego zdjęcie. Chcąc zobaczyć go na własne oczy, poszedłem do siedziby radia i czekałem na niego w hallu. Kiedy wysiadł z windy, podbiegła do niego jakaś kobieta i pocałowała go. Zdarzało mi się później ich śledzić i nasze spojrzenia parokrotnie się spotkały, toteż moja twarz musiała się jej wydać znajoma, choć nie wiedziała, kim jestem.

- Spodobała ci się?

Avenarius ściszył głos: - Muszę ci wyznać, że gdyby nie ona, nigdy chyba nie wykonałbym pomysłu z dyplomem. Takich pomysłów miewam tysiące, lecz najczęściej pozostają w mojej głowie.

- Tak, wiem - potwierdziłem.

- Ale kiedy mężczyzna interesuje się kobietą, robi wszystko co w jego mocy, by nawiązać z nią kontakt, choćby nie bezpośredni, by dotknąć z daleka jej świata i nim wstrząsnąć.

- Jednym słowem, Bernard został kompletnym osłem, bo spodobała ci się Laura.

- Może się nie mylisz - powiedział Avenarius z zadumą i dodał: - W tej kobiecie jest coś, co skazuje ją na bycie ofiarą. Właśnie to mnie w niej pociąga. Kiedy ją zobaczyłem w ramionach dwóch pijanych i śmierdzących kloszardów, wpadłem w zachwyty. Co za niezapomniana chwila!

- No tak, znam twoją opowieść aż do tego momentu. Ale chciałbym się dowiedzieć, co zaszło później.

- Ma zupełnie genialny tyłeczek - ciągnął Avenarius nie przejmując się moją prośbą. - Kiedy chodziła do szkoły, chłopcy z klasy na pewno ją podszczypywali. Słyszę w duchu, jak za każdym razem wydaje pisk swoim sopranem. Te piski były słodkim przecuciem jej przyszłych rozkoszy.

- Właśnie, pomówmy o tych ostatnich. Opowiedz mi wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy niczym ręką opatrności wyprowadziłeś ją z metra.

Avenarius udawał, że nic nie słyszy. - Oczom estety - ciągnął - jej pupa musi się wydać zbyt szeroka i za nisko zawieszona, co jest tym bardziej przykre, iż jej dusza pragnie wzlatywać w przestworza. Ale w tej sprzeczności streszcza się moim zdaniem cała ludzka kondycja: głowa pełna jest marzeń, a pupa niby kotwica przykuwa nas do ziemi.

Ostatnie słowa Avenariusza zabrzmiały Bóg wie czemu melancholijnie, być może dlatego że nasze talerze były już puste i po kaczce nie zostało śladu. Kelner znów się nad nami pochylił, by posprzątać ze stołu. Avenarius podniósł ku niemu twarz: - Czy nie miałby pan kawałka papieru?

Kelner podał mu rachunek, Avenarius wyciągnął z kieszeni długopis i nakreślił rysunek.

Następnie powiedział: - Oto Laura: jej głowa, pełna marzeń, spogląda w niebo. Ale ziemia przyciąga jej ciało: pupa i piersi, również zbyt ciężkie, patrzą w dół.

- To ciekawe - powiedziałem i obok jego rysunku nakreśliłem własny.

- Kto to jest? - spytał Avenarius.

- Jej siostra Agnes: u niej ciało wznosi się niczym płomień. Ale głowa jest zawsze lekko pochylona: sceptyczna głowa spoglądająca na ziemię.

- Wolę Laurę - powiedział Avenarius stanowczym tonem, po czym dodał: - Ale nad wszystko stawiam moje nocne biegi. Lubisz kościół Saint-Germain-des-Prés?

Skinałem głową.

- A przecież tak naprawdę go nie widziałeś.

- Nie rozumiem cię - powiedziałem.

- Nie tak dawno szedłem rue de Rennes w stronę bulwaru, licząc, ile razy zdążę spojrzeć na kościół Saint-Germain, tak by nie popchnął mnie śpieszący się przechodzień albo nie rozjechał samochód. Doszedłem w sumie do siedmiu spojrzeń, za które zapłaciłem siniakiem na lewym ramieniu, bo dostałem łokciem od jakiegoś niecierpliwego młodzieńca. Ósma sposobność została

mi dana, gdy stanąłem z zadartą głową przed wejściem do kościoła. Ale widziałem tylko fasadę w bardzo zniekształcającej pionowej perspektywie. Po wszystkich tych przelotnych i krzywych spojrzeniach pozostał mi w pamięci przybliżony znak, który w równie niewielkim stopniu podobny jest do kościoła, jak mój rysunek z dwóch strzałek do Laury. Kościół Saint-Germain zniknął, zniknęły wszystkie kościoły ze wszystkich miast, jak księżyc w czasie zaćmienia. Zdobywając ulice, samochody zwięzły chodniki, na których tłoczą się przechodnie. Jeśli chcą oni spojrzeć na siebie, w tle widzą samochody; jeśli chcą obejrzeć dom naprzeciw, na pierwszym planie widzą samochody; nie istnieje taki kąt widzenia, z którego nie byłoby widać samochodów, w tle, z przodu, po bokach. Ich wszechobecny jazgot niczym kwas pożera każdą chwilę zadumy. Przez samochody dawne piękno miast stało się niewidoczne. Ja nie jestem jak ci głupawi moralisci, którzy co roku wyrażają oburzenie, że na drogach zginęło dziesięć tysięcy ludzi. Przynajmniej ubywa w ten sposób kierowców. Ale buntuję się przeciw temu, że samochody zaćmiły katedry.

Profesor Avenarius zamilkł, a potem powiedział: - Mam jeszcze ochotę na kawałek sera.

11.

Sery pozwoliły nam zapomnieć o kościele, a wino wywołało we mnie zmysłowy obraz dwóch nałożonych na siebie strzałek: - Jestem pewien, że ją odprowadziłeś i że zaprosiła cię do siebie. Wyznała ci, że jest najniezwyklejszą kobietą na świecie. Jej ciało rozpływało się w tym czasie pod twymi pieściami, było bezbronne i nie mogło już powstrzymać ani łez, ani moczu.

- Ani łez, ani moczu! - wykrzyknął profesor Avenarius. - Co za wspaniały obraz!

- Następnie kochałeś się z nią, a ona patrzyła ci w twarz i potrząsała głową, powtarzając: to nie pana kocham! To nie pana kocham!

- Bardzo ekscytujące to, co opowiadasz - powiedział Avenarius. - Ale o kim ty mówisz?

- O Laurze!

Przerwał mi: - Musisz koniecznie zacząć ćwiczyć. Nocne biegi są jedyną rzeczą, która wyleczy cię z erotycznych fantazji.

- Nie jestem tak uzbrojony jak ty - powiedziałem, czyniąc przytyk do jego upręży. - Dobrze wiesz, że bez odpowiedniego wyposażenia nie ma co pakować się w to przedsięwzięcie.

- Nie obawiaj się. Wyposażenie nie ma takiego znaczenia. Na początku obchodziłem się bez niego. Do tej wymyślnej konstrukcji - powiedział, wskazując swą pierś - doszedłem po latach i kierowała mną nie tyle potrzeba praktyczna, co szczególne pragnienie doskonałości, pragnienie czysto estetyczne i niemal bezużyteczne. Na razie możesz zacząć od scyzoryka w kieszeni. Ważne tylko, żebyś zważał na następującą zasadę: przednie prawe w pierwszym samochodzie, przednie lewe w drugim, tylne prawe w trzecim i w czwartym...

- ...tylne lewe...

- Błąd! - powiedział Avenarius, wybuchając śmiechem, niczym złośliwy nauczyciel, którego rozśmieszyła błędna odpowiedź ucznia: - W czwartym wszystkie cztery.

Śmiałem się przez chwilę razem z nim, po czym Avenarius podjął: - Wiem, że od pewnego czasu masz bzika na punkcie matematyki, więc powinieneś docenić tę geometryczną, regularną kolejność. Narzucam ją sobie jako bezwzględna zasadę, która ma podwójny cel: po pierwsze naprowadza policję na fałszywy trop, gdyż dziwny układ przebitych opon, pozornie coś znaczący, zdaje się jakimś posłaniem, kodem, który policja daremnie spróbuje rozszyfrować; ale przede wszystkim, przestrzegając tego geometrycznego wzorca, wprowadzamy w nasze niszczycielskie działanie pierwiastek matematycznego piękna, który gruntownie odróżni nas od wandalii, rysujących samochody gwoździem i srających na ich dachy. Moją metodę dopracowałem dawno temu w Niemczech, w czasach gdy wierzyłem jeszcze w możliwość zorganizowanego oporu wobec Diabolum. Zetknąłem się wówczas ze stowarzyszeniem ekologów. Najwyższym

złem, jakie wytwarza wedle nich Diabolum, jest destrukcja przyrody. Dlaczego nie, również w ten sposób można pojmować Diabolum. Czułem do ekologów sympatię. Zaproponowałem im utworzenie drużyn, mających przebijać nocą opony. Gdyby mój plan został wprowadzony w życie, zapewniam cię, że dzisiaj nie byłoby już samochodów. Pięć trzyosobowych drużyn już po jednym miesiącu uniemożliwiłoby ich użytkowanie w średnio dużym mieście! Wyłuszczyłem im mój plan w najdrobniejszych szczegółach i naprawdę mogliby nauczyć się ode mnie, jak prowadzić akcję dywersyjną, żeby była całkowicie skuteczna, a dla policji nieuchwytna. Ale ci kretyni wzięli mnie za prowokatora! Wygwizdali mnie i grozili mi pięścią! Dwa tygodnie później wsiedli na swoje wielkie motocykle, do swoich małych samochodów i pojechali gdzieś do lasu manifestować przeciwko budowie elektrowni atomowej. Zniszczyli mnóstwo drzew i jeszcze przez cztery miesiące śmierdziało po nich nie do wytrzymania. Wówczas zrozumiałem, że oni już dawno stali się trwałą częścią Diabolum i nie ma co wypruwać sobie żył, żeby zmieniać świat. Dzisiaj powracam do mojej starej rewolucyjnej praktyki wyłącznie dla czysto egoistycznej przyjemności. Biegać nocą po ulicach i przebijać opony jest dla duszy bajeczną radością, a dla ciała znakomitym ćwiczeniem. Raz jeszcze gorąco ci to polecam. Będzie ci się lepiej spało. I nie będziesz już myślał o Laurze.

- Ciekawi mnie jedno. Czy twoja żona naprawdę wierzy, że wychodzisz nocą poprzebijając sobie kilka opon? Nie podejrzewa, że pod tym pretekstem ukrywasz inne nocne przygody?

- Zapomniałeś o jednym szczególe. Ja chrapię. Chrapaniem wywalczyłem sobie prawo do spania w oddzielnym pokoju. Jestem całkowicie panem moich nocy.

Uśmiechał się i miałem wielką ochotę przyjąć jego zaproszenie i obiecać mu, że z nim pójdę: raz, że przedsięwzięcie to zdawało mi się godne poparcia, dwa, że darzyłem mojego przyjaciela ciepłym uczuciem i chciałem sprawić mu przyjemność. Ale zanim otworzyłem usta, donośnym głosem przywołał kelnera, poprosił o rachunek, i rozmowa zeszła na inny temat.

12.

Nie pociągała jej żadna ze stojących przy autostradzie restauracji, toteż mijala je bez zatrzymywania i wraz z głodem rosło jej zmęczenie. Było już późno, gdy przystanęła przed motelem.

W sali nie było nikogo poza matką z sześciolatkiem synkiem, który to siedział za stołem, to popiskując biegał dookoła.

Zamówiła najprostsze dania i spostrzegła figurkę stojącą na środku stolika. Był to mały gumowy ludzik, reklama jakiegoś produktu. Miał opasły korpus, krótkie nóżki i wielki zielony nochal, sięgający samego pępka. Zabawny, pomyślała, obracając figurkę w palcach i długo się w nią wpatrując.

Wyobraziła sobie, że ktoś natchnął ludzika życiem. Obdarzony duszą, na pewno odczułby dotkliwy ból, gdyby ktoś wykręcał mu dla zabawy, tak jak w tej chwili Agnes, zielony gumowy nochal. Wkrótce zrodziłby się w nim strach przed ludźmi, gdyż wszyscy chcieliby bawić się jego śmiesznym nosem i życie ludzika stałoby się jednym wielkim lękiem i cierpieniem.

Czy szanowałby święcie swego Stwórcę? Byłby mu wdzięczny za obdarzenie go życiem? Słałby do niego modlitwy? Pewnego dnia ktoś podsunie mu lustro i od tej chwili będzie pragnął ukrywać twarz w rękach, gdyż okropnie będzie się jej wstydział przed ludźmi. Ale nie będzie mógł jej ukryć, gdyż Stwórca sporządził go tak, że nie potrafi ruszać rękami.

Ciekawe, powiedziała do siebie Agnes, dlaczego myślę, że będzie się wstydział. Czy to jego wina, że ma zielony nochal? Może raczej obojętnie wzruszy ramionami? Nie, nie będzie wzruszał ramionami. Będzie się wstydział. Gdy człowiek odkrywa po raz pierwszy swoje cielesne ja, jego pierwszym i głównym odczuciem nie jest obojętność ani gniew, lecz wstyd: wstyd podstawowy, który, to silniejszy, to znowu słabszy i stępiony przez czas, będzie mu towarzyszył przez całe życie.

Kiedy Agnes miała szesnaście lat, bawiła z rodzicami w gościnie u ich przyjaciół; w środku nocy dostała okresu i zakrwawiła prześcieradło. Gdy spostrzegła to nad ranem, wpadła w panikę. Pobiegła na palcach po mydło do łazienki i zamoczonym w mydlanej wodzie ręcznikiem czyściła prześcieradło; nie dość że plama zrobiła się jeszcze większa, to na dodatek pobrudziła materac; Agnes śmiertelnie się wstydziła.

Dlaczego czuła wstyd? Czyż inne kobiety nie dostają okresu? Czy to Agnes wymyśliła kobiece narządy? Czy była za nie odpowiedzialna? Z pewnością nie. Ale odpowiedzialność nie ma nic wspólnego ze wstydem. Gdyby Agnes rozlała na przykład atrament, niszcząc obrus i dywan domowników, byłoby to kłopotliwe i nieprzyjemne, lecz nie czułaby wstydu. Podstawą wstydu nie

jest popełniony przez nas błąd, lecz poniżenie, jakie odczuwamy, zmuszani być tym, czym bez naszej woli jesteśmy, oraz nieznośne poczucie, że poniżenie to jest zewsząd widoczne.

Nie ma się co dziwić ludzikowi z zielonym nohalem, że wstydzi się swej twarzy. Ale co w takim razie powiedzieć o ojcu Agnes? A przecież on był piękny!

Tak, był piękny. Czym jednak jest piękno z matematycznego punktu widzenia? Piękno istnieje, gdy pojedynczy egzemplarz podobny jest najbardziej jak to tylko możliwe do wyjściowego prototypu. Wyobraźmy sobie, że do komputera wprowadzono dane o najmniejszych i największych wymiarach wszystkich części ciała: od trzech do siedmiu centymetrów w przypadku nosa, od trzech do ośmiu dla czoła, i tak dalej. Brzydki jest człowiek, którego czoło mierzy sześć centymetrów, a nos jedynie trzy. Brzydota: kapryśna poezja przypadku. U człowieka pięknego gra przypadku wybrała średnią wszystkich rozmiarów. Piękno: proza złotego środka. W pięknie jeszcze bardziej niż w brzydocie ujawnia się nieindywidualny, nieosobisty charakter twarzy. Człowiek piękny dostrzega w swej twarzy pierwotny, techniczny projekt, jaki naszkicował autor prototypu, i trudno mu uwierzyć, że to, co dostrzega, jest niepowtarzalnym ja. Toteż wstydzi się, podobnie jak ludzik z zielonym nohalem.

Kiedy ojciec umierał, Agnes siedziała na skraju łóżka. Zanim agonia weszła w końcową fazę, powiedział do niej: "Nie patrz już na mnie", i były to ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała, jego ostatnie przesłanie.

Usłyszała; zwiesiła głowę, przymknęła oczy, chwyciła jego dłoń i ścisnęła; pozwoliła, by odszedł powoli, nie widziany, do świata, w którym nie ma już twarzy.

13.

Zapłaciła rachunek i poszła do samochodu. Niespodzianie wyrósł przed nią chłopczyk, który wydierał się w restauracji. Przycupnął, wyciągając przed siebie rękę, jak gdyby był uzbrojony w automatyczny pistolet. Naśladując strzały: "Pif, paf, paf!", przeszył ją kulami na niby.

Przystanęła nad nim i powiedziała spokojnym głosem: - Czyś ty zwariował?

Powtórzyła: - Tak, oczywiście, zwariowałeś.

Chłopczyk wykrzywił się do płaczu: - Powiem mamie!

- No to leć! Skarżypyta! - powiedziała Agnes. Usiadła za kierownicą i ostro ruszyła.

Cieszyło ją, że nie wpadła na matkę. Wyobraziła ją sobie, jak krzyczy w obronie obrażonego dziecka, kręcąc szybko głową z prawej strony na lewą, wzruszając ramionami i unosząc brwi. Oczywiście, prawa dziecka stoją ponad wszelkimi innymi prawami. Dlaczego ich matka wolała Laurę od Agnes, gdy wrogi generał zgodził się ułaskawić tylko jednego z trojga skazańców? Odpowiedź była jasna: wolała Laurę, bo Laura była młodsza. Na szczycie hierarchii wieku znajduje się noworodek, następnie jest dziecko, potem młodzieniec i dopiero potem człowiek dorosły. Starzec natomiast jest przy samej ziemi, na dole piramidy wartości. A zmarły? Człowiek zmarły jest pod ziemią. Zatem jeszcze niżej niż starzec. Starcowi przyznawane są wszystkie prawa człowieka. Natomiast zmarły traci je w chwili zgonu. Żadne prawo nie uchroni go przed pomówieniem, jego życie prywatne przestaje być prywatne; listy, pisane przez jego kochanki, album z pamiątkami, odziedziczony po matce, nic z tego, nic już do niego nie należy.

W ostatnich latach życia ojciec stopniowo niszczył wszystko po sobie: nie pozostawił nawet ubrań w szafie, żadnego rękopisu, żadnych notatek z wykładów, żadnego listu. Zatarł po sobie wszystkie ślady i nikt tego nie dostrzegł. Raz tylko przez przypadek złapano go na niszczeniu zdjęć. Ale i tak podarł je wszystkie. Żadne się nie zachowało.

Właśnie przeciw temu protestowała Laura. Walczyła o prawa żywych, przeciw bezzasadnym roszczeniom zmarłych. Albowiem twarz, która jutro zniknie pod ziemią bądź w ogniu, nie należy do przyszłego zmarłego, lecz wyłącznie do żywych, którzy są zgłodniali i muszą najęść się martwymi, ich dobrami, ich zdjęciami, ich dawnymi miłościami, ich tajemnicami.

Ale ojciec, powiedziała do siebie Agnes, wymknął się im wszystkim.

Myślała o nim i uśmiechała się. I nagle przyszło jej do głowy, że był jej jedyną miłością. Tak, to było zupełnie jasne: ojciec był jej jedyną miłością.

W tej samej chwili z szaloną szybkością wyminęły Agnes wielkie motocykle; w świetle reflektorów widać było sylwetki pochylone nad kierownicami i ziejące agresją, od której drżała

noc. To był właśnie świat, przed którym chciała uciec, uciec na zawsze; postanowiła, że na najbliższym zjeździe odbije z autostrady na mniej uczęszczaną drogę.

Wyszliśmy na paryską aleję, pełną świateł i zgiełku, i ruszyliśmy w stronę mercedesa, którego Avenarius zaparkował kilka przecznic dalej. Myśleliśmy znowu o dziewczynie, która usiadła w nocy na szosie z głową zwieszoną między kolanami i czekała, aż rozjedzie ją samochód.

- Próbowałem ci wyjaśnić - powiedziałem - że w głębi każdego z nas tkwi, jako przyczyna naszych działań, to, co Niemcy nazywają Grund, podwaliną; kod, zawierający istotę naszego losu; i kod ten ma moim zdaniem postać metafory. Bez poetyckiego obrazu nie pojmiemy dziewczyny, o której mówimy. Na przykład: idzie przez życie jak przez dolinę; co chwila spotyka kogoś na drodze i nawiązuje rozmowę; ale ludzie patrzą na nią i nie rozumieją, bo mówi głosem tak cichym, że nikt jej nie słyszy. Tak właśnie ją sobie wyobrażam i jestem pewien, że ona również w ten sposób widzi siebie: jako kobietę, która idzie doliną pośród nie rozumiejących jej ludzi. Albo inny obraz: poszła do dentysty, poczekalnia jest pełna; pojawia się nowy pacjent, podchodzi prosto do jej fotela i siada jej na kolanach; nie zrobił tego naumyślnie, ale zdawało mu się po prostu, że fotel jest pusty; dziewczyna protestuje, spycha go, krzyczy: "No co pan! Nie widzi pan, że to miejsce jest zajęte! Przecież ja tu siedzę!", ale mężczyzna jej nie słyszy, już rozsiadł się na niej wygodnie i gawędzi wesoło z którymś spośród oczekujących pacjentów. Oba te obrazy określają dziewczynę i pozwalają mi ją zrozumieć. Jej pragnienie samobójstwa nie zostało spowodowane niczym, co by przyszło z zewnątrz. Zostało zasadzone w glebie jej bytu, powoli w niej rosło i rozkwitało niczym czarny kwiat.

- Przypuśćmy - powiedział Avenarius. - Ale musisz jeszcze wyjaśnić, dlaczego postanowiła się zabić właśnie tego a nie innego dnia.

- A jak wyjaśnić, że kwiat rozkwita właśnie tego a nie innego dnia? Nadszedł jej czas. Pragnienie samozniszczenia powoli w niej rosło i pewnego pięknego dnia nie stawiała mu oporu. Nie zaznała, jak sądzę, wielkich krzywd: ludzie nie odpowiadali na jej powitanie; nikt się do niej nie uśmiechał; gdy stała w kolejce na pocztę, jakaś gruba kobieta wymierzyła jej kuksańca i wepchnęła się przed nią; była sprzedawczynią w domu towarowym i kierownik działu zarzucił jej, że źle się odnosi do klientów. Tysiące razy chciała się zbuntować, wykrzyzczyć swój protest, lecz nigdy się na to nie zdobyła, gdyż miała słaby głos który łamał się w chwili gniewu. Była słabsza od innych i ciągle znieważana. Gdy zło spada na człowieka, człowiek odbija je na innych. To właśnie nazywamy kłótnią, burdą, zemstą. Ale człowiek słaby nie ma siły, by odbić zło, które na niego spada, jego własna słabość poniża go i upokarza, jest wobec niej całkowicie bezbronny. Nie pozostaje mu nic innego, jak zniszczyć swą słabość, niszcząc siebie samego. I tak dziewczyna zaczęła marzyć o śmierci.

Avenarius szukał wzrokiem mercedesa i spostrzegł, że pomylił ulicę. Zawróciliśmy.

- Śmierć, której pożądała - podjąłem - nie była podobna do zniknięcia, lecz do wyrzucenia. Wyrzucenia siebie samej. Żaden dzień w jej życiu, żadne z wypowiedzianych słów nie przyniosły jej zadowolenia. Niosła siebie przez życie niby straszliwy ciężar, którego nienawidziła i którego nie mogła się pozbyć. Dlatego pragnęła wyrzucić siebie samą, wyrzucić siebie, tak jak wyrzuca się zmięty papier, jak wyrzuca się zgniłe jabłko. Pragnęła siebie wyrzucić, jak gdyby ta, która wyrzucała, i ta, którą wyrzucano, były dwiema różnymi osobami. Wyobrażała sobie, że wyskoczy przez okno. Ale pomysł był śmieszny, bo mieszkała na pierwszym piętrze, a sklep, w którym pracowała, mieścił się na parterze i nie miał okien. Pragnęła umrzeć, umrzeć pod brutalnym ciosem pięści, od którego rozlegnie się chrzęst, jak wtedy gdy rozgniatasz pancerzyk chrabąszcza. Było to fizyczne wręcz pragnienie bycia rozgniecioną, jak wtedy gdy odczuwasz potrzebę, by mocno ucisnąć dłońią bolące miejsce.

Doszliśmy do okazałego mercedesa profesora i przystanęliśmy.

- Gdy tak ją opisujesz - powiedział Avenarius - człowiek byłby niemal gotów poczuć do niej sympatię.

- Wiem, co chcesz powiedzieć: gdyby nie spowodowała śmierci innych osób. Ale to również zostało wyrażone w obu metaforach, które ci przedstawiłem. Kiedy odzywała się do kogoś, nikt jej nie słyszał. Zaczęła tracić świat. Gdy mówię świat, myślę o tej części wszechświata, która odpowiada na nasze wołania (choćby ledwie słyszalnym echem) i której wołanie sami słyszymy. Świat stawał się dla niej coraz bardziej głuchy i przestał być jej światem. Była całkowicie zamknięta w sobie i w swej udreće. Czy widok udrećki innych mógł ją wyrwać z tego zamknięcia? Nie. Bo udrećka innych przydarzała się w świecie, który utraciła, który nie był już jej. Jeśli planeta Mars jest tylko jednym wielkim cierpieniem, jeśli tamtejsze kamienie wyją z bólu, nas to bynajmniej nie porusza, gdyż Mars nie należy do naszego świata. Człowiek, który odsunął się od świata, jest nieczuły na ból świata. Jedynym wydarzeniem, jakie dotychczas zdołało wybawić ją z udrećki, była choroba i śmierć jej pieska. Sąsiadka była oburzona: ta dziewczyna nie ma żadnego współczucia dla ludzi, lecz oplakuje swego psa. A oplakiwała psa, dlatego że pies ten był częścią świata, sąsiadka zaś w żadnym razie nią nie była; pies odpowiadał na jej głos, a ludzie nie odpowiadali.

Zapadło milczenie, myśleliśmy o nieszczęsnej dziewczynie, aż wreszcie Avenarius otworzył drzwiczki samochodu i zachęcił mnie gestem: - Wsiadaj! Pojedziesz ze mną! Pożyczę ci tenisówki i nóż!

Wiedziałem, że jeśli ja nie będę z nim przebijał opon, nie znajdzie innego współnika i pozostanie w swym dziwactwie samotny jak wygnaniec. Miałem ogromną ochotę mu towarzyszyć,

lecz ogarnęło mnie lenistwo, czułem, jak z daleka nadpływa fala snu, i bieganie ulicami po północy wydało mi się niewykonalnym poświęceniem.

- Idę do domu. Wrócę pieszo - powiedziałem, podając mu rękę.

Odjechał. Wiodłem wzrokiem za mercedesem, czując wyrzuty sumienia na myśl, że zdradziłem przyjaciela. Po czym skręciłem w ulicę prowadzącą do domu i szybko wróciłem myślami do dziewczyny, w której niby czarny kwiat rozkwitło pragnienie samounicestwienia.

Rzekłem sobie: i pewnego dnia, po pracy, zamiast wrócić do domu, poszła za miasto. Nie widziała wokół siebie nic, nie wiedziała, czy jest lato, jesień albo zima, czy idzie wzdłuż brzegu rzeki czy wzdłuż fabryki; już dawno nie żyła w tym świecie; jej jedynym światem była jej dusza.

Nie widziała wokół siebie nic, nie wiedziała, czy jest lato, jesień albo zima, czy idzie wzdłuż brzegu rzeki czy wzdłuż fabryki, szła; szła, bo dusza trawiona niepokojem domaga się ruchu, nie może wytrzymać w miejscu, bo gdy dusza stoi nieruchomo, ból staje się straszny. Jak wtedy gdy bardzo bolą was zęby: coś każe wam chodzić w koło, z jednego kąta pokoju w drugi; nie ma ku temu żadnej rozumnej przyczyny, gdyż ruch nie może uśmierzyć bólu, lecz, nie wiedząc czemu, chory ząb błaga was, byście się ruszali.

Dziewczyna więc szła i dotarła do wielkiej autostrady, po której jeden za drugim mknęły samochody; szła poboczem od słupka do słupka, niczego nie dostrzegając, wpatrując się tylko w głębi swej duszy, w której odbijały się wciąż te same obrazy ponizenia. Nie mogła oderwać od nich wzroku, jedynie od czasu do czasu, gdy obok przejeżdżał motocykl raniąc jej bębenki swoim grzmotem, pojmowała, że zewnętrzny świat istnieje; ale świat ten nie miał żadnego znaczenia, był czystą, pustą przestrzenią potrzebną po to tylko, by po niej iść, przenosić zbolełą duszę z jednego miejsca na drugie, w nadziei że będzie mniej bolało.

Już od dawna myślała o tym, by wpaść pod samochód. Ale samochody jechały zbyt szybko i bała się ich, były tysiąc razy od niej silniejsze; nie wiedziała, skąd wziąć tyle odwagi, by rzucić się pod ich koła. Musiałaby rzucić się na samochody, wyjść im naprzeciw, a na to nie miała sił, tak jak nie miała sił, gdy chciała krzyknąć na kierownika działu, który robił jej niesłuszne zarzuty.

Kiedy wychodziła, zapadał zmierzch, teraz była już noc. Bolały ją nogi i czuła się zbyt słaba, by iść dalej. I wtedy, w tej chwili zmęczenia, na wielkiej oświetlonej tablicy zauważyła słowo Dijon.

Zmęczenie w jednej chwili przyszło. Tak jakby słowo to o czymś jej przypomniało. Próbowwała uchwycić ulotne wspomnienie: chodziło o kogoś z Dijon, a może też opowiedziano jej kiedyś o czymś zabawnym, co w Dijon się wydarzyło. Nagle uwierzyła, że przyjemnie byłoby tam zamieszkać, że żyjący tam ludzie są inni od tych, których znała dotychczas. Tak jakby pośrodku pustyni zabrzmiała taneczna muzyka. Tak jakby na cmentarzu trysnął strumyk srebrzystej wody.

Tak, pojedzie do Dijon! Zaczęła machać na samochody. Ale przejeżdżały bez zatrzymywania, oślepiając ją reflektorami. Wciąż powtarzała się ta sama sytuacja, której nie było jej dane uniknąć: zwraca się do kogoś, przywołuje go, mówi do niego, coś wykrzykuje, lecz nikt jej nie słyszy.

Od pół godziny na próżno podnosiła rękę: samochody nie przystawały. Oświetlone miasto, radosne miasto Dijon, taneczna orkiestra pośrodku pustyni, zanurzyło się w ciemnościach. Świat znowu od niej odchodził, i dziewczyna zawróciła w głębi swej duszy, którą otaczała tylko pustka.

Doszła do miejsca, gdzie od autostrady odbija mniejsza droga. Przystanęła: nie, samochody na autostradzie nie zdały się na nic: nie mogły ani jej rozjechać, ani zawieźć do Dijon. Zeszła z autostrady na tę spokojniejszą, mniej ruchliwą drogę.

Jak żyć w świecie, z którym nie jest się w zgodzie? Jak żyć z ludźmi, gdy ich zmartwienia i troski nie są naszymi? Wiedząc, że nie należymy do nich?

Agnes jedzie samochodem spokojną drogą i odpowiada sama sobie: miłość lub klasztor. Miłość lub klasztor: dwa sposoby człowieka na odrzucenie boskiego komputera, ucieczkę od niego.

Miłość: kiedyś Agnes wyobrażała sobie taki egzamin: pytają was, czy po śmierci chcecie się zbudzić do nowego życia. Jeśli kochacie naprawdę, zgadzacie się tylko pod warunkiem, że będziecie razem z osobą, którą kochaliście. Życie jest dla was wartością jedynie w trybie warunkowym i wartość tę przedstawia, o ile pozwala wam żyć waszą miłością. Osoba kochana znaczy dla was więcej niż całe Stworzenie, niż życie. Jest to oczywiste bluźnierstwo i kpina z boskiego komputera, który uważa siebie za szczyt wszystkiego i za właściciela sensu bytu.

Jednak większość ludzi nie zaznała miłości, a spośród tych, którzy mniemają, że jej zaznali, niewielu zdałoby egzamin wymyślony przez Agnes; pobiegliby za obietnicą innego życia, nie stawiając przy tym żadnych warunków; woleliby życie od miłości i z własnej woli wpadliby w pajęczynę Stwórcy.

Jeśli człowiek nie może żyć u boku ukochanej osoby i podporządkować wszystkiego miłości, pozostaje mu inny sposób ucieczki przed Stwórcą: pójście do klasztoru. Agnes przypomina sobie pewne zdanie: "Schronił się do pustelni parmeńskiej." W tekście nie było dotąd mowy o pustelni, ale to jedno zdanie z ostatniej strony jest tak istotne, że Stendhal wysnuł z niego tytuł swej powieści. Bo celem wszystkich przygód Fabrycego del Dongo była pustelnia: miejsce odwrócone od świata i ludzi.

Dawniej do klasztoru wstępowały osoby pozostające w niezgodzie ze światem, nie dzielące jego zmartwień oraz trosk. Ponieważ jednak nasze stulecie nie chce uznać prawa ludzi do bycia ze światem w niezgodzie, na klasztor, w których mógł się schronić Fabrycy, zapadł wyrok. Nie istnieją już miejsca oddalone od świata i ludzi. Pozostaje po nich tylko wspomnienie: ideał klasztoru, marzenie o klasztorze. Pustelnia. Zamknął się w pustelni parmeńskiej. Miraż klasztoru. To dla tego mirażu od siedmiu lat jeździła do Szwajcarii. Dla swojej pustelni, pustelni odwróconych od świata dróg.

Przypomniała sobie dziwną chwilę przeżyta tego dnia po południu, gdy poszła na ostatni spacer po okolicy. Dotarła do strumienia i wyciągnęła się w trawie. Leżała długo i zdawało jej się, że przenika ją prąd, który unosi ze sobą całe cierpienie, cały brud: jej ja. Dziwna, niezapomniana chwila: zapomniała o swoim ja, postradała własne ja, wyzwoliła się od niego; i to było szczęściem.

Wspomnienie wywołało w niej myśl niewyraźną, ulotną, tak jednak ważną (może najważniejszą ze wszystkich), że Agnes próbowała uchwycić ją w słowach:

Tym, co w życiu jest nieznośne, nie jest “być”, lecz “być własnym ja”. Dzięki swemu komputerowi Stwórca wprowadził we wszechświat miliardy ja i ich istnienia. Ale obok wszystkich tych istnień można sobie wyobrazić byt bardziej podstawowy, istniejący jeszcze zanim Stwórca zaczął tworzyć, byt, na który nie miał i nie ma żadnego wpływu. Leżąc w trawie, przeniknięta monotonnym śpiewem strumienia, unoszącym jej ja, brud jej ja, Agnes uczestniczyła w tym podstawowym bycie, ujawniającym się w głosie czasu, który płynie, i w błękicie nieba; i wiedziała już, że nie ma nic piękniejszego.

Szosa, którą teraz jedzie, jest spokojna; świecą gwiazdy, odległe, nieskończenie odległe. Agnes mówi sobie:

Życ nie jest szczęściem. Życ: nieść przez świat swoje bolesne ja.

Ale być, być jest szczęściem. Być: przemienić się w fontannę, w kamienne naczynie, w które wszechświat spływa jak ciepły deszcz.

Dziewczyna szła jeszcze długo, bolały ją nogi i utykała, aż wreszcie usiadła na asfalcie, na środku prawego pasa szosy. Wciągnęła głowę w ramiona, nosem dotykała kolan, a zgarbione plecy paliły ją na myśl, że wystawia je na metal, na blachę, na cios. Kulila się i jeszcze bardziej zapadały się jej małe piersi, w których wznosił się gorzki płomień bolesnego ja, nie pozwalający jej myśleć o czymś innym niż o sobie samej. Pragnęła, by cios ją zmiążdżył i płomień zgaś.

Słyszając nadjeżdżający samochód, skuliła się jeszcze mocniej, hałas stał się nieznośny, lecz zamiast oczekiwanego uderzenia poczuła z prawej strony gwałtowny podmuch, który lekko nią obrócił. Rozległ się pisk opon, a później straszliwy huk; niczego nie dostrzegła, gdyż oczy miała zamknięte, a głowę schowaną między kolanami, była tylko osłupiała, że jeszcze żyje i siedzi tak, jak siedziała przed chwilą.

Ponownie usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu; tym razem podmuch przygniótł ją do ziemi i huk rozległ się tuż obok, a zaraz po nim krzyk, krzyk nie do opisania, przeraźliwy krzyk, który poderwał ją na nogi. Stała na środku pustej szosy; jakieś dwieście metrów dalej zobaczyła płomienie, a z rowu, bliżej niej, wznosił się wciąż ku ciemnemu niebu ten sam przeraźliwy krzyk.

Krzyk był tak natarczywy i straszny, że świat wokół, świat, który utraciła, stał się na powrót realny, wielobarwny, oślepiający, donośny. Tkwiąc pośrodku szosy, rozwarła ramiona i odczuła nagle, że jest wielka, że jest potężna, że jest silna; świat, utracony świat, który nie chciał jej słuchać, powracał do niej krzycząc, i było to tak piękne i tak straszne, że ona też chciała krzyczeć, lecz daremnie, gdyż głos zgaśł kiedyś w jej gardle i nie mogła go obudzić.

Oślepił ją trzeci samochód. Chciała uskoczyć, lecz nie wiedziała, na którą stronę; usłyszała pisk opon, samochód ją ominął i rozległ się huk. Wtedy krzyk, który miała w gardle, wreszcie się zbudził. Z tego samego miejsca w rowie dochodziło ją nieprzerwane bolesne wycie i wreszcie na ten głos odpowiedziała.

A potem odwróciła się i uciekła. Uciekła krzycząc, urzeczona tym, że jej słabiutki głos może wydać aż taki krzyk. W miejscu, gdzie droga wpadała w autostradę, stał słupek z telefonem awaryjnym. Dziewczyna podniosła słuchawkę: "Halo! Halo!" Po drugiej stronie odezwał się głos. "Zdarzył się wypadek!" - powiedziała. Głos spytał, w którym miejscu, lecz nie potrafiła go określić, odłożyła słuchawkę i pobiegła do miasta, z którego wyszła po południu.

Kilka godzin wcześniej Avenarius kładł mi do głowy, że przebijając opony należy koniecznie przestrzegać ustalonego porządku: najpierw prawe przednie koło, później lewe przednie, później tylne prawe, a potem wszystkie cztery. Była to jednak tylko teoria, mająca wywrzeć wrażenie na ekologicznym audytorium albo zbyt łatwowiernym przyjacielu. W istocie Avenarius działał bez żadnego systemu. Biegł ulicą i od czasu do czasu, gdy naszła go chęć, wyjmował nóż i wbijał go w najbliższą oponę.

W restauracji tłumaczył mi, że po każdym ciosie należy schować nóż pod marynarkę, przytrzymać go do paska i biec dalej z pustymi rękami. Raz, że w ten sposób swobodniej się biegnie, dwa, że wymaga tego bezpieczeństwo: lepiej nie narażać się na to, że ktoś nas zobaczy z nożem w ręku. A sam cios powinien być mocny i krótki, i zająć najwyżej kilka sekund.

Niestety, im większym dogmatykiem był Avenarius w teorii, tym większym niechlujem w praktyce, działającym niemetodycznie i z niebezpieczną skłonnością do wygodnictwa. Przebiwszy na pustej ulicy dwie opony (zamiast czterech), wstał i pobiegł dalej, wymachując nożem wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa. Samochód, ku któremu teraz zmierzał, stał na rogu ulicy. Avenarius wyciągnął rękę, gdy znajdował się jeszcze cztery czy pięć metrów przed celem (kolejne odstępstwo od zasady: za wcześnie!) i w tej samej chwili jego prawe ucho przeszył krzyk. Wpatrywała się w niego struchlała ze strachu kobieta. Musiała się wynurzyć zza rogu dokładnie w chwili, gdy Avenarius, biegnąc do celu, skupił całą uwagę na skraju chodnika. Stanęli naprzeciw siebie, a że Avenarius poraził nie mniejszy strach, jego lewa ręka znieruchomiała. Kobieta nie mogła spuścić wzroku z wyciągniętego noża i ponownie wrzasnęła. Avenarius przyszedł wreszcie do siebie i zawiesił nóż na pasku pod marynarką. Chcąc uspokoić kobietę, uśmiechnął się do niej i zapytał: - Którą to mamy godzinę?

Kobieta wydała trzeci przeraźliwy krzyk, jak gdyby pytanie zatrwodziło ją jeszcze bardziej niż nóż.

Podeszło do nich kilku nocnych marków i Avenarius popełnił fatalny błąd. Gdyby wyjął nóż i zaczął groźnie nim wymachiwać, kobieta opamiętałaby się i rzuciła do ucieczki, pociągając za sobą wszystkich przygodnych przechodniów. Ponieważ jednak ubrdał sobie, że ma się zachowywać jak gdyby nigdy nic, powtórzył uprzejmie: - Czy zechce mi pani powiedzieć, która godzina? Widząc, że przechodnie są blisko, a Avenarius nie ma złych zamiarów, kobieta wydała czwarty straszliwy krzyk, po czym podniesionym głosem poskarżyła się, biorąc na świadków wszystkich, którzy mogli ją usłyszeć: - Groził mi nożem! Chciał mnie zgwałcić!

Avenarius rozłożył ręce w geście wyrażającym całkowitą niewinność: - Chciałem się tylko dowiedzieć - powiedział - która godzina.

Z grupki, która otoczyła ich kołem, wysunął się niski mężczyzna w mundurze, policjant. Spytał, co się dzieje. Kobieta powtórzyła, że Avenarius chciał ją zgwałcić.

Niski mężczyzna podszedł nieśmiało do Avenariususa. Ten wyprężył swą majestatyczną sylwetkę i oznajmił tubalnym głosem: - Jestem profesor Avenarius!

Słowa te oraz godność, z jaką zostały wypowiedziane, wywarły na policjancie wielkie wrażenie; zdawało się, że za chwilę każe ludziom się rozejść i puści Avenariususa wolno.

Ale kobieta, gdy strach ją opuścił, zrobiła się napastliwa: - Może pan sobie być profesorem Kapilariusem! - wykrzyknęła. - Ale i tak wygrażał mi pan nożem!

Kilka metrów dalej otworzyły się drzwi i na ulicę wyszedł mężczyzna. Szedł dziwnym krokiem, niczym lunatyk, i przystanął w chwili, gdy Avenarius wyjaśniał stanowczym tonem: - Ja tylko pytałem tę panią o godzinę.

Jakby czując, że swym dostojeństwem Avenarius zaskarbił sobie sympatię gapiów, kobieta krzyknęła do policjanta: - Pod marynarką ma nóż! Schował go pod marynarkę! Ogromny nóż! Trzeba go obszukać!

Policjant wzruszył ramionami i zapytał Avenariususa niemal przepraszającym głosem: - Czy będzie pan łaskaw rozpiąć marynarkę?

Avenarius zmartwił. Po chwili zrozumiał, że nie ma wyboru. Powoli rozpiął marynarkę i rozsunał poły, ukazując oczom wszystkich wymyślny system pasków, krepujących mu piersi i przerażający nóż kuchenny zawieszony na rzemyku.

Gapie westchnęli zdumieni, a tymczasem do Avenariususa podszedł lunatyczny mężczyzna i powiedział: - Jestem adwokatem. Gdyby pan potrzebował mojej pomocy, proszę, oto moja wizytówka. Teraz jedno tylko słówko. Nie ma pan najmniejszego obowiązku odpowiadać na ich pytania. Może pan od razu żądać obecności adwokata.

Avenarius wziął wizytówkę i wsunął ją do kieszeni. Policjant chwycił go za ramię i zwrócił się do ludzi: - Proszę się rozejść! Proszę się rozejść!

Avenarius nie stawiał oporu. Wiedział, że jest aresztowany. Odkąd ludzie zobaczyli wielki nóż zawieszony na jego brzuchu, przestali mu okazywać sympatię. Szukał wzrokiem mężczyzny, który podał się za adwokata, i wręczył mu wizytówkę. Ale mężczyzna odszedł nie oglądając się za siebie: podszedł do zaparkowanych aut i wsunął kluczyk do zamka. Avenarius zdążył zobaczyć, że mężczyzna zawahał się i przykląkł przy jednym kole.

W tej samej chwili policjant ścisnął mocno ramię Avenariususa i pociągnął go w bok.

Mężczyzna przy samochodzie westchnął ciężko: - Mój Boże - i jego ciałem wstrząsnął płacz.

Płacząc, wrócił do mieszkania i rzucił się do telefonu. Chciał zamówić taksówkę. W słuchawce niezwykle słodki głos powiedział: "Tu taksówki paryskie. Proszę czekać na przyjęcie zamówienia...", po czym rozległa się muzyka, wesoły kobiecy chór i perkusja; po dłuższej chwili muzyka ucichła i słodki głos znowu go poprosił, by poczekał na przyjęcie zamówienia. Chciał krzyknąć, że nie ma czasu czekać, bo umiera jego żona, lecz wiedział, że krzyk na nic się nie zda, gdyż głos po drugiej stronie był nagrany na taśmę i nikt nie usłyszałby jego protestów. Następnie muzyka zabrzmiała w najlepsze, chór kobiecych głosów, wrzaski, perkusja i po dłuższej chwili usłyszał kobiecy głos, prawdziwy, co poznał od razu po tym, że bynajmniej nie był słodki, lecz nieprzyjemny i zniecierpliwiony. Gdy powiedział, że potrzebuje taksówki, która by go zawiozła kilkaset kilometrów za Paryż, głos natychmiast odmówił, a gdy usiłował wyjaśnić, że taksówki potrzebuje rozpaczliwie, w jego uchu ponownie rozbrzmiała radosna muzyka, perkusja, wrzaski kobiet, a po dłuższej chwili słodki nagrany głos poprosił go, by poczekał na przyjęcie zamówienia.

Przerwał połączenie i wykręcił numer swojego asystenta. Ale zamiast asystenta po drugiej stronie odezwał się nagrany głos: "Miło mi, że wreszcie przypomnieli sobie państwo o moim istnieniu. Nawet nie wiedzą państwo, jak bardzo mi przykro, że nie mogę rozmawiać, ale jeśli zostawią państwo swój numer telefonu, zadzwonię tak szybko, jak to możliwe..."

- Kutas - powiedział, odkładając słuchawkę.

Dlaczego Brigitte jeszcze nie ma w domu? Powinna już dawno wrócić, powtarzał sobie po raz setny, i poszedł zerknąć do jej pokoju, choć wiedział, że jej tam nie zastanie.

Do kogo jeszcze mógłby zadzwonić? Do Laury? Bez wahania pożyczylaby mu swój samochód, lecz nalegałaby, żeby zabrał ją ze sobą, a na to zgodzić się nie mógł: Agnes zerwała z siostrą i Paul nie chciał robić niczego wbrew jej woli.

Wówczas przypomniał sobie o Bernardzie. Przyczyny ich waśni nagle wydały mu się błahe. Wykręcił numer. Bernard był w domu. Paul poprosił go o samochód; Agnes dachowała w rowie, dzwoniłi do niego ze szpitala.

- Już jadę - powiedział Bernard i Paul poczuł w jednej chwili wielką miłość do starego przyjaciela. Chętnie by go objął i zapłakał na jego piersi.

Był zadowolony, że Brigitte nie ma w domu. Miał nadzieję, że teraz nie wróci, i będzie mógł sam pojechać do Agnes. Nagle wszystko zniknęło, szwagierka, córka, cały świat, została tylko Agnes i on. Agnes, był tego pewien, umierała. Gdyby nie była w beznadziejnym stanie, nie telefonowano by do niego w środku nocy z prowincjonalnego szpitala. Myślał tylko o jednym, żeby zdążyć do szpitala na czas. Żeby raz jeszcze ją pocałować. Pragnienie pocałunku stało się

natarczywe. Pragnął pocałunku, ostatniego pocałunku, kończącego pocałunku, który pozwoliłby mu pochwycić niczym w sieć tę twarz, co wkrótce zniknie i pozostawi po sobie jedynie wspomnienie.

Mógł już tylko czekać. Zaczął porządkować biurko, dziwiąc się, że stać go w podobnej chwili na tak błahą czynność. Jakie miało znaczenie, czy na jego stole będzie porządek, czy nie? I po co kilka minut temu na ulicy dał nieznanemu swoją wizytówkę? Ale nie mógł się powstrzymać: ułożył książki po jednej stronie stołu, zmiął w kulkę koperty po starych listach i wyrzucił je do kosza. Tak właśnie, pomyślał, zachowuje się człowiek, gdy spada na niego nieszczęście: jak lunatyk. Bezwładna siła codzienności stara się utrzymać go na szynach życia.

Spojrzał na zegarek. Stracił już niemal pół godziny z powodu przebitych opon. Pospiesz się, pospiesz się, ponaglał w duchu Bernarda, nie chcę, żeby Brigitte mnie zastała, chcę jechać sam i zdążyć na czas.

Ale nie miał szczęścia. Brigitte wróciła do domu tuż przed przybyciem Bernarda. Starzy przyjaciele uścisnęli się, Bernard pojechał do siebie, a Paul wsiadł do samochodu Brigitte. Pozwoliła mu prowadzić i ruszyli z piskiem opon.

Na środku szosy Agnes zobaczyła nagle w silnym świetle reflektorów sylwetkę dziewczyny z rozpostartymi niczym w jakimś tańcu rękami; było to jak widmo tancerki, która wraz z końcem spektaklu zaciąga kurtynę, gdyż później nie było już nic, i z całego przedstawienia, zapomnianego w jednej chwili, pozostał tylko ten ostatni obraz. Później czuła jedynie znużenie, znużenie tak ogromne, podobne do głębokiej studni, że lekarzom i pielęgniarce wydała się nieprzytomna, a tymczasem ona czuła i rozumiała ze zdumiewającą przenikliwością, że umiera. Doznała nawet mglistego zdziwienia na myśl, że nie ma w niej żadnej tęsknoty, żadnego żalu, żadnego uczucia grozy, nic z tego, co dotąd kojarzyło jej się z myślą o śmierci.

Później ujrzała pochyloną nad sobą pielęgniarce i usłyszała jej szept: Pani mąż jest w drodze. Przyjedzie do pani. Pani mąż.

Agnes uśmiechnęła się. Ale dlaczego się uśmiechnęła? Przypomniała sobie coś z zapomnianego spektaklu: tak, była mężatką. A potem wynurzyło się również imię: Paul! Tak, Paul. Paul. Paul. Był to uśmiech nagłego spotkania z utraconym słowem. Jak wtedy, gdy przynoszą wam pluszowego misia, którego nie widzieliście pięćdziesiąt lat, a teraz go rozpoznajecie.

Paul, powtarzała w duchu i uśmiechała się. Uśmiech pozostał na jej ustach, nawet gdy już zapomniła o jego przyczynie. Była znużona i wszystko ją nużyło. Nie miała zwłaszcza sił, by znieść czyjeś spojrzenie. Przymykała oczy, nie chcąc widzieć nikogo i niczego. Wszystko, co działo się dookoła, zawadzało jej, męczyło, i pragnęła, by nie działo się nic.

I znowu sobie przypomniła: Paul. Co mówiła pielęgniarce? Że przyjedzie? Wspomnienie zapomnianego spektaklu, spektaklu, jakim było jej życie, nagle nabrało światła. Paul. Paul przyjedzie! W tej chwili zapragnęła gwałtownie, by już jej nie ujrzał. Była znużona, nie chciała żadnego spojrzenia. Nie chciała spojrzenia Paula. Nie chciała, by widział, jak umiera. Musi się pośpieszyć.

Po raz ostatni powtórzyła się podstawowa sytuacja jej życia: ona biegnie, on ją goni. I Agnes nie ma już ani szczotki, ani grzebienia, ani wstążki. Jest bezbronna. Jest naga, ledwie przykryta białym szpitalnym całunem. Wbiegła już na ostatnią prostą, gdzie nic nie może przyjść jej z pomocą, gdzie liczyć może tylko na szybkość swego biegu. Kto będzie szybszy? Paul czy ona? Jej śmierć czy przyjazd Paula?

Znużenie jeszcze się pogłębiło i Agnes miała wrażenie, że oddała się całym pędem, tak jakby ktoś ciągnął w tył jej łóżko. Otworzyła oczy i spostrzegła pielęgniarce w białym kitlu. Do czego była podobna jej twarz? Agnes już jej nie poznawała. I przypomniała sobie słowa: "Tam nie ma twarzy."

Podszedłszy do łóżka, Paul zobaczył ciało z naciągniętym aż na głowę prześcieradłem. Kobieta w białym kitlu oznajmiła: - Zmarła przed kwadransem.

Drobina czasu, która oddzieliła go od ostatnich chwil Agnes, wzmogła jego rozpacz. Minał się z nią o piętnaście minut. O piętnaście minut minął się ze spełnieniem własnego życia, które zostało nagle przerwane i absurdalnie przecięte. Zdawało mu się, że przez całe ich wspólne życie nigdy nie była prawdziwie jego, że nigdy jej nie miał; że do spełnienia i dokończenia historii ich miłości zabrakło mu ostatniego pocałunku; ostatniego pocałunku, aby wargami uchwycił jeszcze żywą Agnes, aby wargami ją przytrzymał.

Kobieta w białym kitlu odchyliła prześcieradło. Zobaczył znajomą twarz, bladą i piękną, a jednak zupełnie inną: usta, choć wciąż spokojne, układały się w linię, jakiej nigdy nie znał. Nie rozumiał wyglądu tej twarzy. Nie umiał pochylić się nad nią i jej pocałować.

Obok niego Brigitte rozplakała się i cała drżała, oparłszy głowę na piersi Paula.

Patrzył na twarz o przymkniętych powiekach: ten dziwny uśmiech, którego nigdy nie widział, nie dla niego był przeznaczony; uśmiech ten przeznaczony był dla kogoś, kogo Paul nie znał, i mówił coś, czego Paul nie rozumiał.

Kobieta w białym kitlu gwałtownie chwyciła Paula za ramię; był na skraju omdlenia.

Część szósta

Tarcza

1.

Ledwie narodzone dziecko zaczyna ssać pierś matki. A gdy matka odstawi je od piersi, ssie palec.

Któregoś dnia Rubens spytał pewną kobietę: “Dlaczego pozwala pani synowi ssać palec? Ma już przecież dziesięć lat!” Rozzłościła się: “Ani myślę mu tego zabraniać. To przedłuża jego kontakt z matczyną piersią! Chce pan, żeby na zawsze dostał urazu?”

I tak dziecko ssie palec do trzynastego roku życia, kiedy to z palca przerzuca się łagodnie na papierosa.

Kochając się później z matką, broniącą prawa syna do ssania, Rubens położył na jej wargach swój własny palec; kręcąc powoli głową w lewo i prawo, zaczęła go lizać. Miała przymknięte oczy i wyobrażała sobie, że posiadało ją dwóch mężczyzn.

Ta mała przygoda oznacza dla Rubensa ważną datę, gdyż odkryła przed nim sposób na sprawdzenie kobiet: kładł im na wargach palec i obserwował ich reakcję. Nie było wątpliwości, że te, które go lizały, pociągała miłość zbiorowa. Te, które okazywały palcowi obojętność, były beznadziejnie głuche na pokusę perwersji.

Jedna z kobiet, której orgiastyczne skłonności ujawnił “test z palcem”, prawdziwie kochała Rubensa. Po akcie miłosnym chwytala jego palec i składała na nim niezręczny pocałunek, który znaczył: teraz chcę, by twój palec stał się na powrót palcem, gdyż po tym wszystkim, co sobie wyobraziłam, jestem szczęśliwa, będąc z tobą sam na sam.

Przemiany palca. Albo: jak poruszają się wskazówki po tarczy życia.

2.

Na tarczy zegara wskazówki krążą w koło. Nakreślony przez astrologa horoskop także ma postać tarczy. Horoskop jest zegarem. Bez względu na to, czy wierzymy astrologicznym wróżbom, czy nie, horoskop jest metaforą życia, która skrywa wielką mądrość.

W jaki sposób astrolog kreśli wasz horoskop? Rysuje koło, obraz sfery niebieskiej, i dzieli je na dwanaście części, przedstawiających znaki: Barana, Byka, Bliźniąt i tak dalej. Następnie zaznacza na kole zodiaku graficzne symbole Słońca, Księżyca i siedmiu planet, dokładnie tam, gdzie znajdowały się one w chwili waszego urodzenia. Tak jakby na tarczy zegara, podzielonej równo na dwanaście godzin, rozmieszczał nierównomiernie dziewięć dodatkowych cyfr. Po tej tarczy będzie biegło dziewięć wskazówek: również Słońce, Księżyc i planety, ale tak, jak poruszają się one po niebie przez całe wasze życie. Każda planeta-wskazówka wchodzi we wciąż nowe związki z planetami-cyframi, tymi nieruchomymi punktami na waszym horoskopie.

Szczególny układ, tworzony przez planety w chwili waszego urodzenia, jest stałym tematem waszego życia, jego algebraiczną definicją, odciskiem palca waszej osobowości; planety zastygłe na tarczy waszego horoskopu tworzą między sobą kąty, których wartość stopniowa ma dokładne znaczenie (pozytywne, negatywne, neutralne): wyobraźcie sobie na przykład, że wasza zakochana Wenus wchodzi w konflikt z waszym agresywnym Marsem; że Słońce waszej osobowości wzmocnione jest przez koniunkcję z energicznym i zuchwałym Uranem; że waszą seksualność, symbolizowaną przez Księżyc, wspiera zwariowana planeta, jaką jest Neptun, i tak dalej. Ale podczas swego biegu wskazówki planet będą przechodziły przez nieruchome punkty tematu waszego życia, i w ten sposób wprowadzą w grę jego różne składniki (osłabiając je, wzmacniając, niosąc im zagrożenie). Tak też wygląda życie: nie przypomina ono powieści łostrykowskiej, w której bohatera zaskakują z rozdziału na rozdział wciąż nowe zdarzenia, nie związane żadnym wspólnym mianownikiem; podobne jest do kompozycji, którą muzycy nazywają "tematem z wariacjami".

Uran posuwa się po niebie dosyć wolnym krokiem. Przebycie jednego znaku zabiera mu siedem lat. Przypuśćmy, że dzisiaj znajduje się w dramatycznym układzie z nieruchomym Słońcem waszego horoskopu (załóżmy, że kąt między nimi wynosi 90 stopni): będziecie mieli ciężki rok; za dwadzieścia jeden lat sytuacja się powtórzy (Uran znajdzie się bowiem o 180 stopni od waszego Słońca, co oznacza ten sam niekorzystny wpływ), lecz będzie to tylko pozorne powtórzenie, gdyż tego roku, dokładnie w chwili, gdy Uran przypuści atak na wasze Słońce, Saturn na niebie wejdzie z Wenus z waszego horoskopu w związek tak harmonijny, że burza przejdzie koło was na czubkach

palców. Tak jakby dotknęła was ta sama choroba, lecz tym razem znaleźlibyście opiekę w cudownym szpitalu, gdzie zamiast zniecierpliwionych pielęgniarek pracują anioły.

Sądzić by można, że astrologia uczy nas fatalizmu: nie unikniesz przeznaczenia! Według mnie astrologia (proszę dobrze zrozumieć, astrologia jako metafora życia) mówi coś bardziej subtelnego: nie unikniesz “tematu swego życia”. Znaczy to na przykład, że złudzeniem byłoby zaczynać w połowie waszego życia “nowe życie”, bez związku z poprzednim, jak to się mówi, od zera. Wasze życie będzie zawsze budowane z tych samych materiałów, tych samych cegieł, tych samych problemów i to, co wyda się wam początkowo “nowym życiem”, okaże się wkrótce zwykłą wariacją życia poprzedniego.

Horoskop przypomina zegar, a zegar jest szkołą skończoności: gdy tylko wskazówka zakreśli koło i wróci w miejsce, z którego wyruszyła, jedna faza dobiega końca. Na tarczy horoskopu dziewięć wskazówek krąży z różną szybkością, co chwila zaznaczając koniec jednej fazy i początek drugiej. Kiedy człowiek jest młody, nie potrafi postrzegać czasu jako koła, widzi go jako drogę, która prowadzi prosto w stronę wciąż nowych horyzontów; nie podejrzewa jeszcze, że życie zawiera jeden tylko temat; uzmysłowi to sobie później, gdy życie zacznie tworzyć pierwsze wariacje.

Rubens miał około czternastu lat, gdy na ulicy zatrzymała go dziewczynka, bodaj dwa razy od niego młodsza, i zapytała: “Przepraszam pana, która jest godzina?” Po raz pierwszy ktoś nieznajomy powiedział do niego “pan”. Wprawiło go to w zachwyt i Rubens uwierzył, że otwiera się przed nim nowy etap życia. Później zapomniał zupełnie o tym zdarzeniu, aż do dnia, w którym pewna przystojna kobieta powiedziała: “Czy nie uważa pan, że gdy był pan młody...” Po raz pierwszy kobieta mówiła o jego młodości jako o czymś minionym. I wtedy powrócił w jego myślach obraz dziewczynki, która kiedyś spytała go o godzinę, i zrozumiał, że między tymi dwiema kobiecymi postaciami istnieje bliski związek. Były to postacie nieistotne, spotkane przypadkowo, a jednak, gdy powiązał je z sobą, wydały mu się dwoma kluczowymi zdarzeniami na tarczy jego życia.

Ujmę to jeszcze inaczej: wyobraźmy sobie tarczę życia Rubensa umieszczoną na ogromnym średniowiecznym zegarze, powiedzmy, zegarze w Pradze, na rynku Starego Miasta, przez który tylekroć kiedyś przechodziłem. Zegar dzwoni i nad tarczą otwiera się małe okienko; wychyla się z niego laleczka, siedmioletnia dziewczynka, i pyta, która jest godzina. Później, gdy ta sama wskazówka bardzo powoli dociera do następnej cyfry, zegar zaczyna dzwonić, okienko się otwiera i wychyla się z niego inna lalka: młoda kobieta, która mówi: “Kiedy był pan młody...”

3.

Kiedy był bardzo młody, nigdy nie śmiał opowiadać kobietom o swych erotycznych fantazjach. Sądził, że jego obowiązkiem jest przekształcić całą miłosną energię w zdumiewający fizyczny wyczyn na kobiecym ciele. Jego równie młode partnerki podzielały zresztą to mniemanie. Przypomina sobie mgliście, że jedna z nich, oznaczmy ją literą A, gdy się kochali, uniosła się nagle, na łokciach i na piętach, i zrobiła mostek; ponieważ leżał na niej, stracił równowagę i omal nie spadł z łóżka. Ta sportowa figura była dla Rubensa pełna namiętnych znaczeń, za które czuł dla przyjaciółki wdzięczność. Przeżywał swój pierwszy okres: “okres atletycznej niemoty”.

Niemota stopniowo go opuszczała; wydał się sobie bardzo odważny w dniu, w którym po raz pierwszy określił głośno przy dziewczynie erotyczną część jej ciała. Nie okazał, prawdę mówiąc, takiej odwagi, jak mniemał, bowiem użyte wyrażenie było czułym zdrobnieniem czy też poetycką peryfrazą. A jednak zachwycił się swą śmiałością (zdziwiony ponadto, że dziewczyna nie kazała mu zamilknąć), i zaczął wymyślać najbardziej dziwaczne metafory, by za pomocą poezji mówić o akcie seksualnym. Był to jego drugi okres: “okres metafor”.

W owym czasie spotykał się z B. Po zwyczajowym słownym preludium (wielce metaforycznym) zaczęli się kochać. Bliska rozkoszy, wypowiedziała nagle zdanie, w którym jej organ płciowy został określony słowem jednoznacznym, a nie metaforycznym. Po raz pierwszy Rubens usłyszał to słowo z ust kobiety (kolejna, wspomnijmy mimochodem, ważna data na tarczy). Zaskoczony, olśniony, pojął, że to brutalne słowo ma o wiele większy urok i bardziej wybuchową siłę niż wszystkie metafory razem wzięte.

Jakiś czas później zaprosiła go do siebie C. Była starsza od niego o piętnaście lat. Przed spotkaniem powtórzył swemu przyjacielowi M wszystkie wspaniałe sprośności (nie, już żadnych metafor!), które zamierzał powiedzieć C podczas kopulacji. Jego zamiar w dziwny sposób spalił na panewce: zanim się zdobył na konieczną odwagę, to ona je wymówiła. Znowu się zdumiał. Nie tylko dlatego że partnerka prześcignęła go w śmiałości; jeszcze dziwniejsze było to, że użyła dokładnie tych samych wyrażen, których dopracowanie zajęło mu kilka dni. Ta zbieżność go zachwycała. Przypisał ją erotycznej telepatii albo tajemniczemu powinowactwu dusz. W ten sposób wkraczał z wolna w kolejny, trzeci okres: “okres sprośnej prawdy”.

Czwarty okres wiązał się ściśle z przyjacielem M: był to “okres głuchego telefonu”. Głuchym telefonem nazywano zabawę, w której brał często udział między piątym a siódmym rokiem życia: dzieci siadały w szeregu, pierwsze szeptało jakieś długie zdanie w ucho drugiego, które szeptało je trzeciemu, trzecie dziecko powtarzało je czwartemu i tak dalej aż do ostatniego, które wypowiadało je na głos, wywołując śmiech z różnicy między zdaniem początkowym a jego

ostatnim zniekształceniem. Dorośli Rubens i M grali w głuchy telefon, szepcząc do ucha swoich kochanek niezwykle wymyślne sprośności; kobiety, nie podejrzewając, że biorą udział w grze, przekazywały je dalej. A ponieważ Rubens i M mieli kilka wspólnych kochanek (albo kochanki, które dyskretnie sobie przekazywali), mogli za ich pośrednictwem przysyłać sobie wesołe przyjacielskie pozdrowienia. Pewnego dnia jedna z kobiet wyszeptła do Rubensa w łóżku zdanie tak nieprawdopodobne, tak cudaczne, że rozpoznał w nim od razu przewrotny wymysł przyjaciela i nie mógł się powstrzymać; kobieta wzięła jego zduszony śmiech za miłosny spazm i, ośmielona, powtórzyła zdanie; za trzecim razem wykrzyczała je i Rubens dostrzegł widmo przyjaciela śmiejącego się do rozpuku nad ich ciałami kopulującymi w najlepsze.

Wówczas przypomniał sobie młodą B, która pod koniec okresu metafor użyła jak gdyby nigdy nic sprośnego słowa. I po niewczasie przyszło mu do głowy pytanie: czy słowo to wypowiedziała po raz pierwszy? Wtedy w to nie wątpił. Myślał, że jest w nim zakochana, podejrzewał, że chciała wyjść za niego za mąż i nie mieć już żadnego innego mężczyzny. Teraz rozumiał, że zanim powiedziała to słowo Rubensowi, ktoś inny musiał ją tego słowa wcześniej nauczyć (powiedziałbym wręcz, że ją wytrenować). I tak, po latach, uzmysłowił sobie dzięki doświadczeniu z głuchym telefonem, że w czasie gdy B przysięgała mu wierność, miała z pewnością innego kochanka.

Doświadczenie z głuchym telefonem odmieniło go: utracił wrażenie (wrażenie, któremu wszyscy ulegamy), że miłość fizyczna jest chwilą całkowicie intymną, podczas której dwa samotne ciała przytulają się do siebie w świetle przemienionym w bezkresną pustynię. Wiedział teraz, że taka chwila nie przynosi bynajmniej samotności. Nawet idąc w tłumie Polami Elizejskimi czuł większą intymność, był bardziej samotny niż w najtajniejszych objęciach kochanki. Albowiem okres głuchego telefonu jest społecznym okresem miłości: mocą kilku słów wszyscy uczestniczą w uścisku dwojga ludzi; społeczeństwo zasila rynek lubieżnych obrazów i zapewnia ich rozpowszechnienie oraz wymianę. Rubens wysunął wówczas taką definicję narodu: wspólnota jednostek, których życie erotyczne powiązane jest tym samym głuchym telefonem.

Ale później spotkał młodą D najbardziej rozmowną ze wszystkich kobiet. Podczas ich drugiego spotkania wyznała, że jest fanatyczką masturbacji i że może osiągnąć rozkosz, opowiadając sobie baśnie. "Baśnie? Które? Opowiedz!", i zaczął się z nią kochać. Opowiedziała: basen, kabiny, dziury wywiercone w drewnianym przepierzeniu, spojrzenia, które czuła na sobie, gdy się rozbierała, niespodzianie otwarte drzwi, czterech mężczyzn na progu, i tak dalej, i tak dalej; baśń była piękna, była banalna i Rubens nie mógł się nachwalić swej partnerki.

Ale w owym czasie przytrafiło mu się coś dziwnego: gdy spotykał się z innymi kobietami, odnajdywał w ich wyobraźni fragmenty tych samych długich baśni, które D opowiadała, kochając

się z nim. Często natrafiał na to samo słowo, to samo wyrażenie, choć słowa i wyrażenie były całkiem niezwykłe. Wielki monolog D był zwierciadłem, w którym odbijały się wszystkie poznane kobiety, był obszerną encyklopedią, ośmiotomowym Larousse'em z obrazkami i wyuzdanymi określeniami. Początkowo zinterpretował monolog D zgodnie z wykładnią głuchego telefonu: za pośrednictwem setek kochanków cały naród składał w głowie przyjaciółki, niczym w ulu, lubieżne obrazy zbierane po całym kraju. Jednak później stwierdził, że wyjaśnienie takie jest nieprawdopodobne. Niektóre fragmenty wielkiego monologu D powracały u kobiet, co do których miał całkowitą pewność, że nie weszły w pośredni kontakt z D, gdyż żaden wspólny kochanek nie mógł odegrać między nimi roli posłańca.

Rubens przypomniał sobie wtedy przygodę z C: przygotował dla niej lubieżne zdania, lecz to ona je wypowiedziała. Wtedy powiedział sobie, że była to telepatia. Czy jednak C naprawdę przeczytała te zdania w głowie Rubensa? Bardziej prawdopodobne było to, że nosiła je we własnej głowie, zanim jeszcze go poznała. Ale jak mogli mieć oboje w głowie te same zdania? Bo pochodziły ze wspólnego źródła. I Rubens pomyślał, że przez wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiety przepływa jedna i ta sama fala, ta sama podziemna rzeka niosąca erotyczne obrazy. Każdy otrzymuje swą porcję obrazów nie od kochanka czy od kochanki, jak w zabawie w głuchy telefon, lecz od tej bezosobowej (nadosobowej i podosobowej) fali. A powiedzieć, że rzeka, która przez nas płynie, jest bezosobowa, to powiedzieć, że nie pochodzi ona od nas, lecz od tego, kto nas stworzył i między nas ją skierował; co, mówiąc inaczej, znaczy, że pochodzi ona od Boga, że wręcz jest Bogiem lub jedną z Jego postaci. Kiedy Rubens po raz pierwszy sformułował tę myśl, wydała mu się bluźniercza, lecz później pozór bluźnierstwa zniknął i Rubens zanurzył się w podziemnej rzece z niemal religijną pokorą: czuł, że w fali tej jesteśmy wszyscy złączeni, nie jako członkowie jednego narodu, lecz jako dzieci Boga, i, za każdym razem, gdy w falę tę schodził, miał wrażenie, że rozpływa się wraz z Bogiem w mistycznej jedni. Tak, piąty okres był "okresem mistycznym".

4.

Czy zatem opowieść o życiu Rubensa sprowadza się do opowieści o miłości fizycznej?

Istotnie, można ją tak rozumieć; i dzień, w którym miał tego objawienie, stanowi również ważną datę na tarczy.

Gdy chodził jeszcze do gimnazjum, spędzał długie godziny w muzeum, wpatrując się w obrazy, w domu setkami malował gwasze, a wśród kolegów zyskał uznanie dzięki karykaturom profesorów. Rysował je ołówkiem dla odbijanej na powielaczu uczniowskiej gazety albo też podczas przerwy kreślił kredą na tablicy ku wielkiej uciechu klasy. Tamte czasy dały mu zakosztować sławy: wiedzano o nim i podziwiano go w gimnazjum, i wszyscy nazywali go żartobliwie Rubensem. Na pamiątkę tych pięknych lat (jedynych lat sławy) zachował przydomek na całe życie i (z naiwnością, której trudno było się po nim spodziewać) kazał go używać swym przyjaciółom.

Sława skończyła się wraz z maturą. Chciał wtedy studiować na Akademii Sztuk Pięknych, lecz nie zdał egzaminów wstępnych. Czy był gorszy od innych? Zabrakło mu szczęścia? To dziwne, ale nie umiem odpowiedzieć na tak proste pytania.

Z obojętnością podjął studia prawnicze, przypisując swą porażkę małości rodzinnej Szwajcarii. Z nadzieją że może gdzie indziej urzeczywistni malarskie powołanie, stanął bez powodzenia do konkursu Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, a później proponował swe rysunki różnym pismom. Dlaczego je odrzucono? Czy były złe? Ich adresaci byli głupcami? A może w tamtych czasach rysunki już nikogo nie interesowały? Mogę jedynie powtórzyć, że i na te pytania nie mam odpowiedzi.

Znużony porażkami, dał za wygraną. Można by z tego oczywiście wywnioskować (czego był świadom), że jego zamiłowanie do rysunku i malarstwa nie jest tak silne, jak sądził: że w gimnazjum mylił się, dostrzegając w sobie artystyczne powołanie. Odkrycie to przyniosło mu zrazu rozczarowanie, lecz wkrótce w jego duszy rozbrzmiała pochwała zniechęcenia: dlaczego musi czuć zamiłowanie do malarstwa? Cóż tak bardzo chwalebne kryje się w tej miłości? Czyż większość złych obrazów i złych wierszy nie powstała po prostu dlatego, że artyści widzą w swej miłości do sztuki sacrum, misję, obowiązek (wobec siebie samych, a nawet wobec ludzkości)? Pod wpływem swego zniechęcenia zaczął uważać artystów i pisarzy za ludzi bardziej ambitnych niż utalentowanych, i odtąd unikał ich towarzystwa.

Jego największy rywal, N, rówieśnik Rubensa, pochodzący z tego samego miasta, niegdyś uczeń tego samego gimnazjum, został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych i, co więcej, odniósł wkrótce znaczący sukces. W czasach gimnazjalnych wszyscy uznawali Rubensa za talent o wiele

większy niż N. Czy znaczy to, że wszyscy się mylili? Czy też talent jest czymś, co można po drodze utracić? Jak się domyślamy, nie ma odpowiedzi na te pytania. Zresztą nie o to chodzi: w czasach gdy niepowodzenia skłoniły Rubensa do porzucenia malarstwa na dobre (czasy pierwszego sukcesu N), związał się on z bardzo młodą i bardzo piękną dziewczyną, a N tymczasem poślubił zamożną pannę, tak brzydką, że w jej obecności Rubensowi robiło się słabo. Sądził, że ta zbieżność była niby znak od losu, wskazujący mu, gdzie mieści się środek ciężkości jego życia: nie w życiu publicznym, lecz w życiu prywatnym, nie w pogoni za karierą, lecz w powodzeniu u kobiet. I nagle to, co jeszcze dzień wcześniej zdawało mu się klęską, okazało się zadziwiającym zwycięstwem: tak, rezygnował ze sławy, z walki o uznanie (walki próżnej i smutnej), by oddać się samemu życiu. Nie zastanawiało go nawet, dlaczego właśnie kobiety miały być "samym życiem". Zdawało to mu się oczywiste i bezsporne. Miał pewność, że wybrał lepszą drogę niż jego konkurent z brzydulą u boku. W tych okolicznościach jego młoda i piękna przyjaciółka stała się dlań nie tylko obietnicą szczęścia, lecz nade wszystko jego tryumfem i pychą. Aby utrwalić swe niespodziewane zwycięstwo, aby naznaczyć je pieczęcią nieodwołalności, poślubił piękną, przekonany, że wzbudza powszechną zazdrość.

5.

Kobiety wyobrażają dla Rubensa “samo życie”, a on pali się do ożenku i, tym samym, do rezygnacji z innych kobiet. Zachowanie nielogiczne, lecz całkowicie normalne. Rubens miał dwadzieścia cztery lata. Właśnie wkroczył w okres prawdy sprośnej (było to zatem w czasach, gdy dopiero co poznał pannę B i panią C), lecz jego doświadczenia w niczym nie podważyły przekonania, że ponad miłością fizyczną stoi miłość, wielka miłość, najwyższa wartość, o której dużo słyszał, o której wiele marzył, lecz o której nie wiedział nic. Nie wątpił: miłość jest ukoronowaniem życia (“samego życia”, które cenił wyżej niż swą karierę), należy zatem przyjąć ją z otwartymi rękami i bez kompromisów.

Jak przed chwilą wspomniałem, wskazówki na jego erotycznej tarczy pokazywały godzinę prawdy sprośnej, ale zakochując się, Rubens zawrócił do poprzednich stadiów: w łóżku milczał albo prawil narzeczonej czułe metafory, przekonany, że sprośność przeniosłaby ich oboje poza sferę miłości.

Powiem to jeszcze inaczej: miłość do pięknej sprowadziła go do stanu dziewiczego; albowiem wymawiając słowo “miłość”, każdy Europejczyk, jak mówiłem o tym przy innej okazji, powraca na skrzydłach zachwycenia do stanu przed kopulacją (lub poza kopulacją), w miejsce gdzie cierpiał młody Werter i gdzie Dominik z powieści Fromentina nieomal spadł z konia. Poznając piękną, Rubens był gotów postawić na ogniu kociołek z uczuciem i oczekiwać chwili, gdy wrzenie przekształci uczucie w namiętność. Całą rzecz gmatwał nieco związek w innym mieście ze starszą od niego o trzy lata przyjaciółką (nazwijmy ją E), którą poznał, zanim spotkał piękną, i z którą zadawał się jeszcze przez kilka miesięcy. Przestał się z nią widywać w dniu, w którym podjął decyzję o małżeństwie. Ich zerwania nie spowodowało nagłe ochłodzenie uczuć Rubensa (wkrótce zobaczymy, jak bardzo ją kochał), lecz jego przekonanie, że wkroczył w wielką i uroczystą fazę życia, gdzie miłość powinna być uświęcona wiernością. Ale tydzień przed dniem ślubu (którego celowość wzbudzała w nim jednakowoż pewne wątpliwości), odczuł nieznośną tęsknotę za E, porzuconą bez najmniejszego wyjaśnienia. Ponieważ ich związku nigdy nie nazwał miłością, dziwiło go, że pragnie jej tak gorąco, całym sercem, każdą myślą, całym ciałem. Nie mogąc tego pragnienia zwalczyć, pojechał do niej. Przez tydzień znosił wszelkie poniżenia, w nadziei że pójdzie z nią do łóżka, prosił ją, błagał, zasypywał czułościami, przytłaczał swym smutkiem i naleganiem, lecz ofiarowała mu tylko widok swej zmartwionej twarzy; jej ciała dotknąć nie zdołał.

Roztrzęsiony i zasmucony wrócił do domu rano, w dzień swego ślubu. Podczas weselnego przyjęcia upił się i wieczorem poprowadził żonę do ich wspólnego mieszkania. Oślepiiony winem i

tęsknotą, nazwał ją, gdy się kochali, imieniem swej byłej przyjaciółki. Katastrofa! Nigdy nie zapomni szeroko otwartych oczu, wbitych w niego z wyrazem strasznego zdziwienia! W chwili gdy wszystko się waliło, pomyślał, że porzucona przyjaciółka zemściła się i już pierwszego dnia podłożyła minę pod ich małżeństwo. I w błysku tej chwili pojął też może niepodobieństwo tego, co się stało, groteskową głupotę swego przeżyczenia, głupotę, która nieuniknioną klęskę ich małżeństwa uczyni jeszcze bardziej nieznośną. Nastąpiło kilka strasznych sekund, podczas których odebrało mu mowę; po czym, nagle, zaczął krzyknąć: “Ewa! Elisabeth! Ingrid!”, i, nie mogąc przypomnieć sobie innych kobiecych imion, powtarzał: “Ingrid! Elisabeth! Tak, jesteś dla mnie wszystkimi kobietami! Wszystkimi kobietami świata! Ewą! Klarą! Julią! Jesteś wszystkimi kobietami! Jesteś kobietą w liczbie mnogiej! Ingrid! Gretchen! Wszystkie kobiety świata są w tobie, nosisz wszystkie ich imiona!...”, i przyśpieszył miłosne ruchy jak prawdziwy atleta seksu; po kilku chwilach stwierdził, że wytrzeszczone oczy małżonki odzyskują normalny wygląd i jej sztywne przed chwilą ciało wpada znowu w pokrzepiająco równy rytm.

Sposób, w jaki wymknął się z oparów, wydaje się niewiarygodny, i wypada się tylko dziwić, że młoda mężatka wzięła poważnie tak zwariowaną komedię. Nie zapominajmy jednak, że oboje żyli pod wpływem myśli przedkopulacyjnej, która spowinowaca miłość z absolutem. Jakie jest kryterium miłości właściwe temu dziewiczemu okresowi? Jest ono czysto ilościowe: miłość jest bardzo, bardzo, bardzo, bardzo wielka. Miłość fałszywa jest uczuciem małym, miłość prawdziwa (die wahre Liebe!) jest bardzo wielkim uczuciem. Czy jednakże z punktu widzenia absolutu każda miłość nie jest mała? Z pewnością. Dlatego miłość, aby dowieść, że jest prawdziwa, chce się wymknąć rozumowi, chce nie znać miary, chce być nieprawdopodobna, chce się przemienić w “aktywne szaty namiętności” (nie zapominajmy o Eluardzie!), innymi słowy, chce być szalona! Nieprawdopodobne, przesadne zachowanie może zatem przynieść tylko same korzyści. Sposób, w jaki Rubens wybrnął z opresji, nie jest dla obserwatora z zewnątrz ani elegancki, ani przekonujący, lecz w tym wypadku był jedynym, który pozwalał uniknąć katastrofy; zachowując się jak szaleniec, Rubens odwołał się do absolutu, szalonego absolutu miłości, i to go uratowało.

6.

Choć w obecności swej młodej żony Rubens stał się lirycznym atletą miłości, nie oznacza to, że zaniechał raz na zawsze lubieżnych igraszek, lecz że chciał zaprząć lubieżność w służbę miłości. Wyobrażał sobie, że będzie przeżywał z jedną kobietą, w monogamicznej ekstazie, wszystkie doświadczenia, których mógłby zaznać z setką innych kobiet. Pozostało rozwiązać jedną kwestię: w jakim tempie przygoda zmysłów powinna się toczyć po drodze miłości? Zważywszy że droga miłości miała być długa, bardzo długa, w miarę możliwości bezkresna, za zasadę obrał: hamować czas, niczego nie przyspieszać.

Powiedzmy, że wyobrażał sobie erotyczną przyszłość ze swą piękną jako zdobywanie wysokiej góry. Gdyby wszedł na szczyt już pierwszego dnia, co miałby do zrobienia nazajutrz? Należało zatem zaplanować wejście tak, by zajęło całe życie. Toteż kochał się z żoną, owszem, namiętnie, z wigorem, lecz, by tak rzec, klasycznie, unikając perwersji, które go pociągały (przy niej jeszcze bardziej niż przy każdej innej), ale które odkładał na później.

Jednak później wydarzyło się coś, czego w ogóle się nie spodziewał: przestali się wzajemnie rozumieć, działali sobie na nerwy, walczyli ze sobą o władzę, ona żądała więcej przestrzeni dla swego osobistego rozwoju, on się gniewał, że nie chce mu usmażyć jajecznicy, i zanim zdolali pojąć, co się z nimi dzieje, było po rozwodzie. Wielkie uczucie, na którym zamierzał oprzeć całe swoje życie, zniknęło tak szybko, że Rubens zważył, by kiedykolwiek w nim istniało. Ten zanik uczucia (zanik nagły, szybki, łatwy!) okazał się tak zawrotny i niewiarygodny, że wzbudził w nim większą emocję niż miłosna ekstaza dwóch ostatnich lat.

Uczuciowy bilans jego małżeństwa był ujemny, lecz bilans erotyczny wyglądał jeszcze gorzej. Z powodu wolnego tempa, które Rubens sobie narzucił, uprawiał z tą cudowną istotą jedynie kilka raczej naiwnych i miernie podniecających zabaw. Nie dość że nie osiągnął szczytu góry, to nawet nie doszedł do pierwszego wzniesienia. Toteż po rozwodzie chciał się spotykać z piękną (nie miała nic przeciwko: od kiedy zaprzestali kłótni o władzę, zasmakowała we wspólnych spotkaniach), aby szybko wprowadzić w czyn przynajmniej kilka niewielkich perwersji, które zachował kiedyś na przyszłość. Jednakże nie wprowadził w czyn niemal niczego, gdyż tym razem wybrał tempo za szybkie i młoda rozwódka (którą jednym ruchem chciał wprowadzić w stadium prawdy sprośnej) poczytała jego nagle rozpasanie za dowód cynizmu i niedostatku uczucia, toteż ich postmałżeński związek szybko dobiegł kresu.

Ponieważ małżeństwo okazało się w życiu Rubensa zwykłym nawiasem, kusi mnie stwierdzenie, że Rubens zawrócił dokładnie do punktu, w którym się znajdował, zanim poznał przyszłą małżonkę; nie byłoby to jednak zgodne z prawdą. Po rozdzieleniu uczucia miłości jego

skłębienie, niebywale bezbolesne i niedramatyczne, przeżył jako szokujące objawienie: znalazł się nieodwołalnie “poza miłością”.

Wielka miłość, która oślepiła go przez dwa lata, sprawiła, że zapomniał o malarstwie. Kiedy jednak domknął nawias małżeństwa i z melancholijną goryczą stwierdził, że znajduje się poza miłością, zaniechanie sztuki wydało mu się nagle niczym nie usprawiedliwioną kapitulacją.

Zaczął znowu szkicować w notatniku obrazy, które pragnął namalować, by stwierdzić niebawem, że żaden powrót nie jest możliwy. W gimnazjum wyobrażał sobie, że wszyscy malarze świata idą tą samą wielką drogą: była to królewska droga, wiodąca od malarstwa gotyckiego przez wielkich malarzy włoskiego Odrodzenia do Holendrów, dalej do Delacroix, od Delacroix do Maneta, od Maneta do Moneta, od Bonnarda (ach, jakże kochał Bonnarda!) do Matisse'a, od Cézanne'a do Picassa. Malarze nie posuwali się po tej drodze grupą, jak żołnierze, nie, każdy szedł sam lecz odkrycia jednych były natchnieniem dla drugich i wszyscy mieli świadomość, że torują drogę ku nieznanemu, które jest ich wspólnym celem i łączy ich wszystkich. Później droga nagle zniknęła. Było to niczym przebudzenie z pięknego snu: przez kilka chwil szukamy jeszcze blednących obrazów, aż wreszcie pojmujemy, że snu przywołać już nie sposób. Droga zniknęła, lecz trwała jeszcze w duszy malarzy jako niewygasłe pragnienie, by "iść naprzód". Gdzie wszakże jest "przód", jeśli nie ma już drogi? W którym kierunku szukać utraconego "przodu"? Pragnienie, by "iść naprzód", stało się dla malarzy źródłem nerwicy; zaczęli biegać na wszystkie strony, wpadając wciąż na siebie niczym przechodnie krążący po tym samym miejskim placu. Wszyscy chcieli się odróżnić od pozostałych i każdy wypruwał z siebie żyły, by odkryć na nowo odkrycie, którego nie odkrył na nowo ten obok. Szczęśliwie wkrótce pojawili się ludzie (już nie malarze, lecz marszandzi, organizatorzy wystaw ze swymi agentami i doradcami od reklamy), którzy zaprowadzili w tym chaosie porządek i ustalili, jakie odkrycie należy na nowo odkryć w tym roku, a jakie w następnym. Nowe porządki sprzyjały sprzedaży obrazów współczesnych i ich stosy wypełniły salony tych samych krezusów, którzy dziesięć lat wcześniej szydzili z Picassa i Salvadora Dali, za co Rubens żarliwie nimi gardził. Krezusi postanowili być nowocześni i Rubens odetchnął z ulgą, że nie jest malarzem.

Pewnego dnia odwiedził Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Na pierwszym piętrze wystawione były obrazy Matisse'a, Braque'a, Picassa, Miró, Dali, Ernsta, i Rubens się zachwyił: pociągnięcia pędzla na płótnach wyrażały burzliwą przyjemność. Na jednych rzeczywistość doznawała wspaniałego gwałtu niczym kobieta przydybana przez fauna, na innych zmagala się z malarzem niczym byk z torreadorem. Ale na wyższym piętrze, przeznaczonym dla malarstwa nowszego, Rubens znalazł się w środku pustyni: żadnych radosnych pociągnięć pędzlem; żadnego śladu przyjemności, przepadli gdzieś torreadorzy i byki; obrazy wygnały

rzeczywistość lub co najwyżej naśladowały ją z bezduszną i cyniczną dosłownością. Między dwoma piętrami płynęła Leta, rzeka śmierci i zapomnienia. Rubens pomyślał wówczas, że być może porzucił malarstwo z głębszego powodu niż brak talentu i wytrwałości: na tarczy europejskiego malarstwa wskazówki pokazywały północ.

Co by począł genialny alchemik przeniesiony w XIX wiek? Kim byłby Krzysztof Kolumb dzisiaj, gdy setki okrętów obsługują morskie połączenia? Co napisałby Szekspir w czasach, gdy teatr jeszcze nie istniał bądź istnieć już przestał?

Nie są to pytania czysto retoryczne. Jeśli człowiek ma zdolności do dzieł, dla których wybiła północ (lub nie nastąpiła jeszcze pierwsza godzina), co stanie się z jego talentem? Czy się zmieni? Czy się przystosuje? Krzysztof Kolumb zostanie dyrektorem przedsiębiorstwa transportowego? Szekspir pisać będzie scenariusze dla Hollywood? Picasso będzie rysować komiksy? Czy też wszystkie te wielkie talenty wycofają się ze świata i pójdą, by tak rzec, do klasztoru Historii, pełne kosmicznego rozżalenia tym, że urodziły się w złym momencie, poza epoką, której były przeznaczone, poza tarczą wybijającą ich czas? Porzucą swoje niewczesne zdolności, jak Rimbaud, który w dziewiętnastym roku życia porzucił poezję?

Również na te pytania ani wy, ani ja, ani Rubens nie otrzymamy odpowiedzi. Czy Rubens z mojej powieści miał w sobie zadatki na wielkiego malarza? Czy był beztalenciem? Porzucił swoje pędzle, gdyż zabrakło mu sił, czy przeciwnie, miał siłę jasnowidzenia, dzięki której pojął marność malarstwa? Oczywiście rozmyślał często o Rimbaudzie, z którym w głębi ducha chętnie (choć nieśmiało i z ironią) siebie porównywał. Rimbaud nie tylko porzucił poezję nieodwracalnie i bezlitośnie: jego dalsze postępowanie jest przecież sarkastycznym zaprzeczeniem poezji; podobno handlował w Afryce bronią, a nawet niewolnikami. Jeśli nawet to drugie przypuszczenie jest oszczerczą legendą, poprzez hiperbolę wyjaśnia ono dobrze samoniszczącą przemoc, pasję, wściekłość, które przepełniały Rimbauda, gdy zrywał z własną przeszłością poety. Rubensa coraz bardziej pociągał świat spekulantów i finansistów dlatego, że również on widział być może w swej działalności (słusznie bądź nie) odwrotność swych marzeń artysty. W dniu, w którym jego kolega N stał się sławny, Rubens sprzedał otrzymane od niego w prezencie płótno. Transakcja nie tylko przyniosła mu okrągłą sumkę, lecz także wskazała, w jaki sposób zarabiać na życie: sprzedawać krezusom (którymi gardził) dzieła malarzy współczesnych (których nie darzył szacunkiem).

Wielu ludzi zarabia na życie sprzedając obrazy i do głowy im nie przyjdzie, by się wstydzić swojego zawodu. Czyż handlarzami nie byli także Velázquez, Vermeer, Rembrandt? Oczywiście Rubens o tym wie. Ale choć skłonny jest porównywać siebie z Rimbaudem, handlarzem niewolników, nigdy nie porówna się z wielkimi malarzami, handlarzami obrazów. Rubens nigdy nie wątpił w całkowitą bezużyteczność swej pracy. Początkowo smuciło go to i miał

sobie za złe swą niemoralność. Jednak później pomyślał: co w istocie znaczy “być użytecznym”? Suma użyteczności wszystkich ludzi wszechczasów w pełni zawiera się w świecie, jaki jest on dzisiaj. Z czego wynika: nie ma nic bardziej moralnego niż bycie nieużytecznym.

8.

Od rozvodu mijało niemal dwanaście lat, gdy przyszła go odwiedzić F. Opowiedziała mu o swej wizycie u pewnego pana: pod pretekstem, że musi dokończyć rozmowę telefoniczną w sąsiednim pokoju, kazał jej najpierw czekać w salonie dobre dziesięć minut. Zapewne udawał tylko, że rozmawia przez telefon, aby w tym czasie mogła przejrzeć pornograficzne pisemka rozłożone na stoliku, przed fotelem, który jej wskazał. F zakończyła opowieść takim wnioskiem: “Gdybym była młodsza, toby mnie miał. Gdybym miała siedemnaście lat. To wiek najbardziej szalonych fantazji, wiek, gdy niczemu nie można się oprzeć...”

Rubens słuchał jej raczej nieuważnie, lecz ostatnie słowa wyrwały go z obojętności. I od tej pory miało być z nim tak zawsze: ktoś będzie wypowiadał przy nim zdanie, które będzie go zaskakiwało i niczym oskarżenie przypominało mu o tym, co zaprzepaścił, zaprzepaścił nieodwołalnie. Kiedy F opowiadała o swych siedemnastu latach, gdy nie potrafiła się oprzeć pokusom, przypomniał sobie swą młodą żonę, która w chwili ich pierwszego spotkania również miała siedemnaście lat. Kochali się w pokoju sąsiadującym z pokojem jego przyjaciela. “On nas słyszy”, parokrotnie szepnęła mu do ucha przyszła żona. Teraz (siedząc naprzeciw F, opowiadającej o pokusach swych siedemnastu lat), Rubens uzmysłowił sobie, że tamtej nocy wzdychała głośniejsz niż zwykle, że nawet krzyczała, że krzyczała zatem rozmyślnie, aby przyjaciel ją usłyszał. Przez następne dni często wracała do tamtej nocy: “Naprawdę sądzisz, że nas nie słyszał?” Wtedy dostrzegał w jej pytaniu przejaw płochliwej pruderii i starał się ją uspokoić (na myśl o tej naiwności czerwieniał się teraz po uszy!), zapewniając, że przyjaciel zawsze śpi jak suseł.

Patrząc na F, myślał, że nie ma szczególnej ochoty pójść z nią do łóżka w obecności innej kobiety lub mężczyzny. Jak być więc może, że wspomnienie o żonie, wzdychającej i krzyczącej czternaście lat temu z myślą o przyjacielu śpiącym za ścianą, jak być może, że po tylu latach wspomnienie to burzy w nim krew?

Pomyślał: miłość we troje, we czworo może być podniecająca tylko w obecności ukochanej kobiety. Jedynie miłość zdolna jest budzić zdziwienie, grozę podniecenia ciałem kobiety, obejmowanej przez mężczyznę. Stara moralizatorska sentencja, wedle której nie ma seksu bez miłości, znalazła nagle potwierdzenie i nabrała nowego znaczenia.

Nazajutrz poleciał do Rzymu, gdzie miał załatwić kilka spraw. Około czwartej był wolny. Pelen bezbrzeżnej tęsknoty, myślał o żonie, lecz nie tylko o niej; wszystkie kobiety, które znał, defilowały przed jego oczyma i poczuł, że minął się z nimi wszystkimi, że przeżył z nimi o wiele mniej, niż mógł i powinien przeżyć. Chcąc uciec od tęsknoty, od niespełnienia, poszedł do galerii obrazów w pałacu Barberinich (we wszystkich miastach zawsze odwiedzał galerie), a następnie zawędrował na plac Hiszpański i po schodach wspiał się do parku Villa Borghese. Na cokołach ustawionych wzdłuż długich parkowych alei spoczywały marmurowe popiersia słynnych Włochów. Ich twarze, stężałe w ostatnim grymasie, były jak streszczenie całego ich życia. Rubensa zawsze bawił komiczny wygląd tych pomników. Uśmiechnął się. Przypomniał sobie baśnie z dzieciństwa: podczas przyjęcia czarodziej rzuca na ludzi urok i wszyscy zastygają w pozach, jakie w tamtej chwili przybrali: otwarte usta, twarz zniekształcona przeżuwaniami, w ręku obgryziona kość. Inne wspomnienie: ludziom, którzy uciekli z Sodomy, Bóg zakazał się odwracać, pod groźbą że zamienią się w słup soli. Ta biblijna przypowieść wskazuje jednoznacznie, że nie ma gorszej kary, większego horrendum niż przemiana chwili w wieczność, wyrwanie człowieka z czasu i jego ciągłego biegu. Pograżony w myślach (chwilę później zapomnianych), nagle ją zobaczył! Nie, nie swoją żonę (tę, która wzdychała głośno, wiedząc, że słyszy ją przyjaciel w sąsiednim pokoju), kogoś innego.

Wszystko rozegrało się w ułamku sekundy. Rozpoznał ją w ostatniej chwili, gdy go mijają, a następny krok rozdzieliłby ich nieodwołalnie. Z nadzwyczajnym refleksem zatrzymał się w miejscu, odwrócił (ona natychmiast uczyniła to samo) i zagadnął ją.

Poczuł, że to jej właśnie pragnął przez całe lata, że to jej szukał po całym świecie. Sto metrów dalej była kawiarnia ze stolikami ustawionymi w cieniu drzew, pod cudownie błękitnym niebem. Usiedli naprzeciw siebie.

Nosiła ciemne okulary. Ujął je w dwa palce, delikatnie zdjął i położył na stoliku. Nie bronila się.

- To przez te okulary omal pani nie rozpoznałem - powiedział.

Pili wodę mineralną, nie spuszczać z siebie wzroku. Była w Rzymie z mężem i miała wolną tylko godzinę. Wiedział, że gdyby okoliczności pozwoliły, jeszcze tego samego dnia, jeszcze tej samej minuty poszliby się kochać.

Jak się nazywała? Jak miała na imię? Zapomniał, a zapytać mu nie wypadało. Opowiedział jej (zupełnie szczerze), że przez cały czas ich rozłąki miał wrażenie, iż na nią czeka. Jak zatem wyznać, że nie zna jej imienia?

Powiedział: - Wie pani, jak panią nazywaliśmy?

- Nie.

- Lutnistką.

- Dlaczego lutnistką?

- Bo była pani delikatna jak lutnia. To ja wymyśliłem dla pani to imię.

Tak, to on je wymyślił. Nie w czasie, gdy krótko się znali, lecz teraz, w parku Villa Borghese, ponieważ potrzebował imienia, którym mógłby się do niej zwrócić; i ponieważ zdawała mu się delikatna, elegancka i łagodna niczym lutnia.

Co o niej wiedział? Niewiele. Mgliście sobie przypominał, że zauważył ją na korcie tenisowym (miał może dwadzieścia siedem lat, ona o dziesięć mniej) i któregoś dnia zaprosił do nocnego klubu. Modny był wówczas taniec, w którym kobieta i mężczyzna stają od siebie o krok, wiją się i wyrzucają na przemian w stronę partnera obie ręce. Właśnie ten jej ruch zapadł mu w pamięć. Co było w niej aż tak dziwnego? To zwłaszcza że nie patrzyła na Rubensa. Gdzie zatem patrzyła? W pustkę. Wszyscy tańczący zginali w łokciach ręce i na przemian wyrzucali je przed siebie. Ona również wykonywała ten ruch, lecz nieco inaczej: wyrzucając rękę do przodu, zakreślała nią linię krzywą: prawą ręką w lewo, lewą ręką w prawo. Jak gdyby chciała za tymi kolistymi ruchami ukryć swą twarz. Jak gdyby chciała ją zatrzeć. Taniec ów uchodził wówczas za raczej bezwstydną i było to tak, jakby dziewczyna pragnęła tańczyć bezwstydną, ukrywając zarazem swój bezwstyd. Rubens był jak zaczarowany! Jakby nigdy dotąd nie widział czegoś miększego, piękniejszego, bardziej ekscytującego. Potem zagrano tango i ciała się splotły. Nie mógł się oprzeć nagłemu pożądaniu i położył rękę na jej piersi. Przestraszył się. Co zrobi? Nie zrobiła nic. Dalej tańczyła z ręką Rubensa na swej piersi i patrzyła prosto przed siebie. Lekko drżącym głosem zapytał: "Czy ktoś już dotykał twojej piersi?" Głosem nie mniej drżącym (i było to tak, jakby naprawdę trąciła strunę lutni) odpowiedziała: "Nie". A on, nie zdejmując ręki z jej piersi, dosłyszał w tym "nie" najpiękniejsze słowo świata i wpadł w uniesienie: wydało mu się, że widzi wstyd, widzi go z bliska, widzi, jak istnieje; miał wrażenie, że może tego wstydu dotknąć (i naprawdę go dotykał, gdyż cały wstyd dziewczyny cofnął się do jej piersi, zamienił się w jej pierś).

Dlaczego stracił ją z oczu? Zachodził w głowę i nic. Nie pamiętał.

Na początku tego wieku Arthur Schnitzler, powieściopisarz wiedeński, napisał znakomite opowiadanie "Panna Elza". Jego bohaterką jest młoda dziewczyna, której ojciec popadł w długi; grozi mu ruina. Wierzyciel obiecuje, że puści w niepamięć długi ojca pod warunkiem, że córka rozbierze się przed nim do naga. Po długiej wewnętrznej walce Elza wyraża zgodę, lecz pokazanie swej nagości doprowadza ją do utraty zmysłów; umiera. Uniknijmy wszelkich nieporozumień: nie jest to opowiadanie moralizatorskie, wymierzone przeciw złemu, występniemu bogaczowi! Nie, jest to nowela erotyczna, którą czytamy z zapartym tchem; uzmysławia nam ona, jaką władzę miała niegdyś nagość: dla wierzyciela oznaczała ogromną sumę pieniędzy, a dla dziewczyny nieskończony wstyd, rodzący podniecenie graniczące ze śmiercią.

Na tarczy Europy opowiadanie Schnitzlera wskazuje istotną chwilę: pod koniec purytańskiego wieku XIX erotyczne tabu były jeszcze bardzo silne, lecz rozprężenie obyczajów budziło już nie mniej silne pragnienie ich przewyżnienia. Pruderia i bezwstyd przecinały się w punkcie, w którym ich siły jeszcze się równoważyły. Była to chwila niezwykłego erotycznego napięcia. Wiedeń przeżył ją u schyłku zeszłego stulecia. Taka chwila już nie wróci.

Pruderia oznacza, że bronimy się przed tym, czego chcemy, odczuwając zarazem wstyd, że chcemy tego, przed czym się bronimy. Rubens należał do ostatniego europejskiego pokolenia wychowanego w pruderii. Dlatego położenie dłoni na piersi dziewczyny i jej zawstydzenie tak bardzo go podnieciły. W gimnazjum ukrył się pewnego dnia w zaułku korytarza i przez okno podglądał koleżanki z klasy, które, rozebrane do pasa, czekały na prześwietlenie płuc. Jedna z nich spostrzegła go i zaczęła krzyczeć. Pozostałe okryły się pośpiesznie płaszczami i korytarzem ruszyły za nim w pogoń. Przeżył chwilę przerażenia; to nie były już koleżanki z klasy, skore do żartów i flirtów. Z ich twarzy bił prawdziwy gniew pomnożony przez ilość, zbiorowy gniew zdecydowany go osaczyć. Uciekł, lecz one nie zaniechały pogoni i naskarżyły na niego dyrektorowi gimnazjum. Rubens dostał naganę przed całą klasą. Z nie udawaną pogardą dyrektor nazwał go "voyeurem".

Miał około czterdziestki, gdy kobiety zostawiły biustonosze w szufladach i, rozłożone na plaży, pokazały całemu światu nagie piersi. Spacerował brzegiem i unikał wzrokiem ich raptownej nagości, gdyż nosił w sobie odwieczny nakaz: nie ranić kobiecego wstydu. Gdy napotykał znaną mu kobietę bez biustonosza, na przykład małżonkę kolegi, stwierdzał ze zdziwieniem, że to nie ona, lecz on się wstydzi. Zażenowany, nie wiedział, gdzie podziać oczy. Starał się nie wpatrywać w piersi, lecz nie było to możliwe, gdyż nagie piersi kobiety są widoczne nawet wtedy, gdy mężczyzna patrzy na jej ręce lub w jej oczy. Toteż usiłował patrzeć na jej piersi równie naturalnie, jak gdyby patrzył na czoło lub kolano. Jakkolwiek się jednak zachowywał, zdawało mu się, że te

nagie piersi mają doń pretensje, oskarżają go o to, że nie jest dostatecznie przekonany do ich nagości. I miał nieodparte poczucie, że spotkane na plaży kobiety są tymi samymi, które dwadzieścia lat wcześniej poszły do dyrektora poskarżyć się, że je podglądał: równie złośliwie i z podobną zajadłością pomnożoną przez ilość, żądały od niego, aby uznał ich prawo do pokazywania się nago.

Wreszcie jakoś się z nagimi piersiami oswoił, lecz nie mógł się wyzbyć poczucia, że zaszło coś istotnego: na tarczy Europy wybiła nowa godzina: zniknął wstyd. I nie tylko zniknął; zniknął szybko, jednej nocy, i zdawać się mogło, że nigdy nie istniał. Że był zwykłym wymysłem mężczyzn, którzy stali twarzą w twarz z kobietą. Że wstyd był jedynie ich złudzeniem. Ich erotycznym marzeniem.

Jak wspomniałem, po rozwodzie Rubens znalazł się ostatecznie “poza miłością”. Podobało mu się to określenie. Często powtarzał sobie (raz melancholijnie, innym razem radośnie): przeżyję całe życie “poza miłością”.

Ale obszar zwany “pozamiłosnym” nie przypominał ciemnego i zaniedbanego podwórza na tyłach wspaniałego pałacu (pałacu miłości), nie, był okazały i bogaty, o wiele bardziej urozmaicony, rozległy i może piękniejszy niż sam pałac miłości. Spośród wielu zamieszkujących w nim kobiet niektóre były mu obojętne, inne go bawiły, lecz były i takie, które darzył uczuciem. Należy pojąć tę pozorną sprzeczność: poza miłością miłość istnieje.

Rubens usuwał poza miłość swe miłosne przygody, nie dlatego że był nieczuły, lecz dlatego że zamierzał je zamknąć w granicach sfery czysto erotycznej, zakazać im wszelkiego oddziaływania na bieg swego życia. Wszystkie definicje miłości zawsze będzie łączyło jedno: miłość jest czymś podstawowym i zamienia życie w przeznaczenie: historie toczące się “poza miłością”, jakkolwiek byłyby piękne, muszą mieć z konieczności charakter epizodyczny.

Ale powtórzę: choć wygnane “poza miłość”, na obszar epizodu, niektóre kobiety wzbudzały w Rubensie czułość, niektóre były jego obsesją, a o jeszcze inne bywał zazdrosny. Znaczy to, że miłości istniały nawet “poza miłością”, a ponieważ “poza miłością” słowo “miłość” jest zakazane, wszystkie te miłości były tajemne, toteż jeszcze bardziej pociągające.

W kawiarni Villa Borghese, siedząc naprzeciw tej, którą nazywał lutnistką, zrozumiał natychmiast, że będzie ona dla niego “miłością poza miłością”. Wiedział, że życie tej młodej kobiety, jej małżeństwo, jej rodzina, jej kłopoty nie interesują go, wiedział, że będą się bardzo rzadko widywali, ale wiedział też, że będzie miał dla niej wiele niezwykłej czułości.

- Przypomniałem sobie - powiedział - drugie imię, które pani nadałem. Nazywałem panią kobietą gotycką.

- Kobieta gotycka... ja?

Nigdy jej tak nie nazywał. Myśl, by tak ją nazwać, przyszła mu do głowy w chwilę wcześniej, gdy pokonywali ramię w ramię sto metrów dzielących ich od kawiarni. Młoda kobieta wywołała w nim wspomnienie gotyckich obrazów, które przed ich spotkaniem oglądał w pałacu Barberinich.

Mówił dalej: - U malarzy gotyckich kobiety mają lekko wystający brzuch i głowę schyloną ku ziemi. Pani porusza się jak kobieta gotycka. Jak lutnistka w chórze aniołów. Pani piersi zwracają się ku niebu, pani brzuch zwraca się ku niebu, lecz pani głowa chyli się ku prochom, jak gdyby wiedziała o marności wszystkich rzeczy.

Wrócili alejką, na której się spotkali. Ucięte głowy słynnych zmarłych, ustawione na cokołach, patrzyły na nich arogancko.

Pożegnali się przy wejściu do parku. Ustalili, że Rubens przyjedzie do niej do Paryża: podała mu nazwisko (nazwisko męża), numer telefonu i powiedziała, o której godzinie jest sama w domu. Po czym z uśmiechem odebrała czarne okulary:

- Czy teraz mogę je włożyć?
- Tak - odpowiedział Rubens i gdy odchodziła, długo wiódł za nią wzrokiem.

Bolesne pożądanie, które czuł w przeddzień ich spotkania na myśl, że jego młoda żona wymknęła mu się na zawsze, przeobraziło się w obsesyjne pragnienie lutnistki. Przez następne dni nie przestawał o niej myśleć. Poszukiwał w pamięci wszystkiego, co po niej pozostało, i znajdował tylko wspomnienie tamtego jedyne wieczoru w nocnym klubie. Setki razy przywoływał ten sam wciąż obraz: pośród tańczących par stała o krok przed nim, twarzą w twarz. Patrzyła w pustkę. Jak gdyby, skupiona na sobie samej, nie chciała niczego widzieć ze świata zewnętrznego. Jak gdyby o krok przed nią nie było Rubensa, lecz wielkie zwierciadło, w którym się przeglądała. Oglądała swoje biodra, kolejno wysuwane do przodu, oglądała ręce, które w tym czasie wykonywały przed pierściami i twarzą koliste ruchy, mające jakby ją zakryć lub zetrzeć. Tak jakby zacierała je i przywracała, patrząc na siebie w zmyślonym zwierciadle, podniecona własnym wstydem. Jej taneczne ruchy były "pantomimą wstydu": nieustannie wskazywały na jej ukrytą nagość.

Tydzień po ich spotkaniu w Rzymie umówili się w hallu wielkiego paryskiego hotelu pełnego Japończyków, których obecność dawała przyjemne poczucie anonimowości i wyobcowania. Zamknawszy drzwi pokoju, podszedł do niej i położył rękę na jej piersi: - Tak wtedy panią dotknąłem, tamtego wieczoru, gdy poszliśmy tańczyć. Czy pani pamięta?

- Tak - powiedziała i było to jak lekkie drzenie na korpusie lutni.

Czy się zawstydziała, tak jak wstydziała się piętnaście lat temu? A czy piętnaście lat temu się zawstydziała? Czy Bettina się zawstydziała, gdy w Teplicach Goethe dotknął jej piersi? A może wstyd Bettiny był tylko marzeniem Goethego? Wstyd lutnistki był tylko marzeniem Rubensa? Jakkolwiek było, wstyd ten, choćby nierzeczywisty, choćby ograniczony do wspomnienia o wstydzie zmyślonym, był tu, był z nimi w hotelowym pokoju, mamił ich swą magią i nadawał sens wszystkiemu, co czynili. Rubens rozebrał lutnistkę, tak jakby dopiero co wyszli z nocnego klubu ich młodości. Gdy się kochali, widział, jak tańczy: ukrywała twarz za ruchami rąk i oglądała siebie w zmyślonym zwierciadle.

Zachłannie dali się ponieść fali, ogarniającej mężczyzn i kobiety, mistycznej fali obscenicznych obrazów, w których wszystkie kobiety są do siebie podobne, lecz w których te same gesty i te same słowa czerpią od każdej poszczególnej twarzy szczególną fascynującą siłę. Rubens słuchał lutnistki, słuchał swych własnych słów, patrzył na delikatną twarz gotyckiej kobiety, jej pobożne usta wypowiadające wulgarne słowa, i czuł się coraz bardziej upojnie.

Gramatycznym czasem ich erotycznej wyobraźni był czas przyszły: potem zrobisz w ten sposób, zainscenizujemy to tak albo inaczej... Ten czas przyszły przemienia marzenie w wieczną obietnicę (która, kiedy tylko kochankowie przytomnieją, przestaje obowiązywać, lecz, nigdy

niezapomniana, nieustannie i wciąż na nowo staje się obietnicą). Toteż musiało dojść do tego, że któregoś dnia czekał na nią w hallu u boku swego przyjaciela M. Poszli do pokoju, pili drinki, rozmawiali, a potem zaczęli ją rozbierać. Gdy zdjęli jej biustonosz, uniosła ręce, próbując zasłonić piersi. Podprowadzili ją wówczas (miała już na sobie tylko majteczki) przed lustro (lustro umieszczone w drzwiach szafy): stała między nimi z dłońmi na piersiach i, zafascynowana, patrzyła na siebie. Rubens stwierdził, że choć M i on sam patrzyli tylko na nią (na jej twarz, ręce zakrywające piersi), nie widziała ich, hipnotycznie wpatrzona we własny obraz.

Epizod jest ważnym pojęciem w "Poetyce" Arystotelesa. Arystoteles nie lubi epizodu. Spośród wszystkich zdarzeń, najgorsze (z punktu widzenia poezji) są wedle niego wydarzenia epizodyczne. Epizod, nie będąc koniecznym skutkiem tego, co go poprzedza, ani przyczyną tego, co nastąpi, znajduje się poza przyczynowym łańcuchem, jakim jest historia. Można go pominąć niczym jałowy przypadek, a opowieść nie stanie się przez to mniej zrozumiała; w życiu bohaterów nie pozostawia on żadnego śladu. Jedziecie metrem na spotkanie z kobietą waszego życia i, stację wcześniej, stojąca obok was nieznajoma dziewczyna, dotknięta nagłą słabością, traci przytomność i pada. Chwilę wcześniej nawet jej nie spostrzeżliście (w końcu jedziecie na randkę z kobietą waszego życia i nic innego was nie obchodzi!), lecz teraz zmuszeni jesteście ją podnieść i przez kilka sekund trzymać w ramionach, czekając, aż otworzy oczy. Siedzicie ją na miejscu, które ktoś dla niej zwolnił, a ponieważ pociąg zaczyna już hamować, dojeżdżając do waszej stacji, niecierpliwie wyrwacie się z jej uścisku, by pobiec na spotkanie kobiety waszego życia. I w okamgnieniu zapomniacie o dziewczynie, którą dopiero co trzymaliście w ramionach. Oto jak wygląda wzorowy epizod. Życie wypchane jest epizodami niczym materac włosiem, lecz poeta (wedle Arystotelesa) nie jest tapicerem i musi usunąć ze swej opowieści wszystkie wyściółki, choćby życie realne miało się składać z samych takich wyściółek.

W oczach Goethego jego spotkanie z Bettiną było nieistotnym epizodem; nie dość że zajmował w jego życiu miejsce ilościowo niewielkie, to jeszcze Goethe uczynił wszystko, aby nie mógł odegrać w nim roli przyczyny, i troskliwie trzymał go z dala od własnej biografii. Ale tu właśnie ujawnia się względność pojęcia epizodu, względność, której Arystoteles nie dostrzegł: nikt przecież nie może zaręczyć, że zdarzenie epizodyczne nie zawiera potencjalnej przyczyny, która może się przebudzić któregoś dnia i niespodzianie wywołać cały orszak skutków. Któregoś dnia, powiadam, i dzień ten może nadejść nawet wtedy, gdy bohater umrze; stąd tryumf Bettiny, która stała się nierozdzieloną częścią życia Goethego, gdy Goethego nie było już wśród żywych.

Możemy zatem następująco uzupełnić definicję Arystotelesa: żaden epizod nie jest a priori skazany na wieczną epizodyczność, ponieważ w każdym zdarzeniu, nawet tym najmniej istotnym, kryje się możliwość bycia w przyszłości przyczyną innych wydarzeń, a zatem stania się historią, przygodą. Epizody są jak miny. Większość nie wybucha nigdy, jednak przychodzi dzień, w którym epizod najbardziej niepokąźny okaże się dla was fatalny. Na ulicy podejdzie do was dziewczyna, z daleka rzucając nieco błędne, jak wam się wyda, spojrzenie. Zwolni kroku i przystanie: "To pan? A ja szukam pana od lat!", i rzuci się wam na szyję. To dziewczyna, która opadła zemdlnona w wasze ramiona w dniu, gdy jechaliście na spotkanie z kobietą waszego życia, waszą przyszłą żoną i matką

waszego dziecka. Ale dziewczyna, spotkana przypadkowo na ulicy, już dawno temu postanowiła się zakochać w swym zbawcy i wasze przygodne spotkanie wyda jej się zrzędzeniem losu. Będzie wydzwaniała do was pięć razy dziennie, będzie pisała listy, odwiedzi waszą żonę i będzie jej wyjaśniać, że was kocha i że ma do was prawo, aż wreszcie kobieta waszego życia straci cierpliwość, z gniewu pójdzie do łóżka ze śmieciarzem i rzuci was, zabrawszy ze sobą dziecko. Aby uciec od zakochanej, która zdążyła już zawalić całe wasze mieszkanie zawartością swych szaf, będziecie szukali schronienia po drugiej stronie oceanu i tam umrzecie w rozpacz i nędzy. Gdyby nasze życie było wieczne jak życie starożytnych bogów, pojęcie epizodu utraciłoby sens, gdyż w nieskończoności każde wydarzenie, nawet to najmniejszej wagi, stałoby się któregoś dnia przyczyną skutku i wysnułoby z siebie jakąś historię.

Lutnistka, z którą tańczył, gdy miał dwadzieścia siedem lat, była dla Rubensa zwykłym epizodem, arcyepizodem, aż do chwili gdy ujrzał ją przypadkiem piętnaście lat później w Villa Borghese. W tamtej chwili z zapomnianego epizodu zrodziła się nagle mała historia, lecz nawet i ta historia pozostała w życiu Rubensa zupełnie epizodyczna, bez żadnej szansy na to, że stanie się kiedykolwiek częścią tego, co nazwać by można jego biografią.

Biografia: ciąg wydarzeń, który uważamy za istotne dla naszego życia. Ale co jest istotne, a co istotne nie jest? Ponieważ tego nie wiemy (bo myśl, żeby postawić tak proste i tak głupie pytanie, nie przychodzi nam nawet do głowy), za istotne uznajemy to, co istotne wydaje się innym, na przykład pracodawcy, który każe nam wypełnić kwestionariusz: z datą urodzenia, zawodem rodziców, wykształceniem, zajmowanymi stanowiskami, kolejnymi adresami zamieszkania, zawartymi małżeństwami, rozwodami, datą urodzenia dzieci, sukcesami, porażkami. To przerażające, ale tak już jest: nauczyliśmy się patrzeć na nasze własne życie oczami kwestionariuszy administracyjnych bądź policyjnych. Wprowadzenie do naszej biografii kobiety nie będącej naszą prawną żoną jest już małym kantem; a w dodatku taki wyjątek może być uznany, tylko pod warunkiem że kobieta ta odegrała w naszym życiu szczególnie dramatyczną rolę, a tego Rubens o lutnistce powiedzieć nie mógł. Zresztą zarówno swym wyglądem, jak zachowaniem lutnistka pasowała do obrazu kobiety-epizodu; była elegancka, lecz dyskretna, piękna, lecz nie olśniewająca, chętna do miłości fizycznej, lecz zarazem nieśmiała; nigdy nie zanudzała Rubensa zwierzeniami o swym życiu prywatnym, ale też nigdy nie dramatyzowała swego dyskretnego milczenia, by uczynić z niego dręczącą tajemnicę. Była prawdziwą księżniczką epizodu.

Spotkanie lutnistki i dwóch mężczyzn w wielkim paryskim hotelu było podniosłe. Czy więc kochali się we trójkę? Nie zapominajmy, że lutnistka była dla Rubensa “miłością poza miłością”; zbudził się w nim dawny nakaz, polecający mu zwolnić bieg wypadków, aby miłość nie

utraciła zbyt szybko swego seksualnego ładunku. Zanim poprowadził ją do łóżka, pokazał przyjacielowi, by dyskretnie opuścił pokój.

Gdy się kochali, gramatyczny czas przyszły na nowo zamienił ich słowa w obietnicę, która jednakże nie spełnia się nigdy: wkrótce przyjaciel M zniknął z jego pola widzenia i podniosłe spotkanie dwóch mężczyzn i kobiety pozostało epizodem bez ciągu dalszego. Rubens spotykał się z lutnistką dwa lub trzy razy w roku, gdy miał sposobność przyjazdu do Paryża. Później sposobność się już nie zdarzała i lutnistka niemal całkowicie zniknęła z jego pamięci.

Mijały lata i pewnego dnia poszedł z przyjacielem do kawiarni, w mieście u podnóża szwajcarskich Alp, w którym przebywał na stałe. Przy przeciwległym stoliku dostrzegł dziewczynę; wpatrywała się w niego. Była ładna, miała szerokie i zmysłowe usta (chętnie porównałby je do ust żaby, gdyby o żabach dało się powiedzieć, że są piękne) i wydała mu się kobietą, której zawsze pożądał. Nawet z odległości tych trzech czy czterech metrów jej ciało wyglądało na miłe w dotyku i wołał je w tej chwili od ciała wszystkich innych kobiet. Patrzyła na niego tak uporczywie, że przestał słuchać słów przyjaciela, poddał się urokowi i pomyślał z bólem, że za kilka minut, po wyjściu z kawiarni, utraci tę kobietę na zawsze.

Jednak nie stracił jej, gdy bowiem wstali od stolika, ona także wstała i, podobnie jak oni, poszła w stronę stojącego naprzeciw budynku, gdzie za chwilę miała się odbyć aukcja obrazów. Przechodząc przez ulicę, znaleźli się przez chwilę tak blisko siebie, że nie mógł się powstrzymać i zagadnął ją. Zachowała się tak, jakby tego oczekiwała, i wszczęła rozmowę z Rubensem, nie zwracając uwagi na jego przyjaciela, który, zakłopotany i milczący, szedł za nimi do sali aukcyjnej. Po aukcji usiedli sami w kawiarni. Mieli tylko pół godziny i pośpiesznie mówili to, co mieli sobie do powiedzenia. Ale tego, co mieli sobie do powiedzenia, nie było tak wiele i pół godziny trwało dziwnie długo. Dziewczyna była australijską studentką, w jednej czwartej murzyńskiej krwi (co było niemal niewidoczne, lecz tym chętniej o tym mówiła), studiowała u zuryskiego profesora semiologię malarstwa, a w Australii przez jakiś czas zarabiała na życie, tańcząc półnago w nocnym klubie. Wszystkie te wiadomości były interesujące, lecz dawały Rubensowi poczucie takiej obcości (po co tańczyć w Australii z nagimi piersiami? po co studiować w Szwajcarii semiologię malarstwa? a co to w ogóle jest ta semiologia?), że zamiast wzbudzić jego zainteresowanie, z góry nużyły go niczym przeszkody do wzięcia. Toteż z zadowoleniem zobaczył, że pół godziny wreszcie upłynęło; natychmiast się ożywił (gdyż nie przestała mu się podobać) i umówili się na następny dzień.

Ale nazajutrz wszystko było nie tak: obudził się z migreną, listonosz przyniósł dwa nieprzyjemne listy, gdy zatelefonował do biura, musiał ścierpieć zniecierpliwiony głos kobiety, która nie chciała zrozumieć, o co mu chodzi. Kiedy tylko studentka stanęła na progu, jego złe przeczucia się wzmogły: dlaczego ubrała się zupełnie inaczej niż wczoraj? Na nogach miała ogromne szare trampki; nad trampkami grube skarpety; nad skarpetami spodnie, które w dziwny sposób ją zmniejszały; nad spodniami kurtkę; wreszcie nad kurtką udało mu się dostrzec żabie wargi, nadal pociągające, ale pod warunkiem że zapomni się o wszystkim, co widniało pod nimi.

Ten nieelegancki strój nie był sam w sobie niczym strasznym (i nie zmieniał faktu, że dziewczyna była ładna); Rubensa niepokoiła bardziej jego własna rozterka: dlaczego dziewczyna, przychodząc do mężczyzny, z którym chce pójść do łóżka, nie ubiera się tak, by mu się podobać? czy dawała do zrozumienia, że ubiór jest czymś zewnętrznym, bez znaczenia? czy przeciwnie, w swych ogromnych trampkach widziała elegancję i zniewalający urok? albo też nie okazywała żadnych względów mężczyźnie, z którym miała się spotkać?

Chcąc może uzyskać od niej przebaczenie na wypadek, gdyby spotkanie nie spełniło pokładanych w nim nadziei, wyznał, że miał fatalny dzień; przybierając kpiarski ton, wyliczył, co przykrego zdarzyło się od poranka. Uśmiechnęła się szeroko: “Miłość jest najlepszym lekarstwem na wszystko, co złe!” Rubensa zastanowiło słowo “miłość”, od którego się odzwyczyił. Co przez nie rozumiała? Fizyczny akt miłości? Czy miłosne uczucie? Podczas gdy on rozmyślał, rozebrała się w kącie i wsunęła szybko do łóżka, porzucając na krzesło płócienne spodnie, a pod krzesłem ogromne trampki z grubymi skarpetami w środku, trampki, które przystanąły na chwilę u Rubensa podczas swej długiej wędrówki między uniwersytetami australijskimi a miastami Europy.

Był to wybitnie spokojny i milczący akt miłosny. Rzekłbym, że Rubens powrócił nagle do stadium atletycznej niemoty, ale słowo “atletyczny” byłoby raczej nietrafne, gdyż z ambicji młodego ongiś mężczyzny, dbającego o dowody swej fizycznej siły i jurności, nie pozostało nic; czynność, której się oddali, wyglądała na bardziej symboliczną niż atletyczną. Tyle że Rubens nie miał najmniejszego pojęcia, co miały symbolizować ich ruchy: czułość? miłość? dobry stan zdrowia? radość życia? rozwiązłość? przyjaźń? wiarę w Boga? a może była to modlitwa o długowieczność? (Dziewczyna studiowała semiologię malarstwa; czy jednak nie powinna raczej objaśnić mu semiologii kopulacji?) Wykonywał puste ruchy i po raz pierwszy w życiu nie wiedział, po co je wykonuje.

W chwili przerwy (Rubensowi przyszło do głowy, że również profesor semiologii z pewnością zarządził dziesięciominutową przerwę podczas seminarium), dziewczyna wypowiedziała (głosem wciąż spokojnym i pogodnym) zdanie, zawierające raz jeszcze niepojęte słowo “miłość”. Rubens zamarzył: wspaniałe żeńskie stworzenia przybędą z odległych przestrzeni na Ziemię; ich ciała będą podobne do ciała Ziemiaków, z tym, że będą doskonałe, gdyż na ich rodzinnej planecie nieznane są choroby i ciało jest wolne od usterek. Ale ich pozaziemska przeszłość pozostanie na zawsze obca mężczyznom na Ziemi, toteż nie będą oni niczego rozumieli z ich psychiki; nigdy nie będą mogli przewidzieć wrażenia, jakie sprawią na przybyszach ich słowa i czyny; nigdy nie domyślą się uczuć ukrytych za tamtymi twarzami. Z istotami do tego stopnia nierozpoznanymi, myślał sobie Rubens, nie będzie się można kochać. Po chwili wniósł poprawkę: nasza seksualność jest z pewnością na tyle zautomatyzowana, by można kopulować nawet z

nieziemskimi kobietami, lecz byłby to akt miłosny poza wszelkim podnieceniem, zwykłe fizyczne ćwiczenie, pozbawione tyleż uczucia, co lubieżności.

Przerwa dobiegła końca, druga część seminarium miała się rychło zacząć i Rubens miał ochotę coś powiedzieć, coś wulgarnego, by wytrącić dziewczynę z równowagi, lecz wiedział, że się na to nie zdobędzie. Wydawał się sobie cudzoziemcem zmuszonym do prowadzenia sporu w języku, którym dobrze nie włada: nie może nawet zakląć, gdyż przeciwnik zapytałby naiwnie: "Co pan chciał przez to powiedzieć? Niczego nie zrozumiałam!" Toteż Rubens nie powiedział nic wulgarnego i po raz drugi kochali się w pogodnym milczeniu.

Gdy wyszedł z nią na ulicę (nie wiedząc, czy ją zadowolił, czy rozczarował; wyglądała raczej na zadowoloną), postanowił nigdy się już z nią nie spotkać; na pewno poczuje się urażona i poczyna tę nagłą utratę uczucia (w końcu musiała zauważyć, do jakiego stopnia olśniła go dzień wcześniej!) za klęskę tym dotkliwszą, że niepojętą. Wiedział, że z jego winy trampki Australijki będą odtąd wędrowały po świecie krokiem jeszcze bardziej melancholijnym. Pożegnał się i w chwili gdy zniknęła za rogiem, poczuł, jak spada na niego potężna, rozdzierająca tęsknota za wszystkimi kobietami, które miał w swym życiu. Było to brutalne i nieoczekiwane niczym choroba, wybuchająca w jednej sekundzie i bez uprzedzenia.

Powoli zaczynał rozumieć. Wskazówka na tarczy dotarła do nowej cyfry. Usłyszał bijącą godzinę i na średniowiecznym zegarze zobaczył otwarte okienko, z którego wyskoczyła poruszana magicznym mechanizmem lalka: dziewczynka w ogromnych trampkach na nogach. Jej widok miał znaczyć, że pragnienie Rubensa odwróciło się w drugą stronę: nigdy więcej nie będzie już pożądał nowych kobiet; będzie pożądał już tylko kobiet, które miał; jego pragnienie będzie odtąd wydane na pastwę przeszłości.

Widząc na ulicy piękne kobiety, dziwił się, że nie zwraca na nie żadnej uwagi. Niektóre nawet się za nim oglądały, lecz sądzę, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Niegdyś pożądał tylko nowych kobiet. Pożądał ich tak niecierpliwie, że z paroma kochał się tylko raz. Jak gdyby miał odpokutować za tamtą obsesję nowości, tamto zaniedbanie wszystkiego, co było stałe i trwałe, tamtą bezrozumną niecierpliwą, która pchała go do przodu, chciał się odwrócić, odszukać kobiety z przeszłości, powtórzyć uściski, pójść do końca, wykorzystać to, co nie zostało wtedy wykorzystane. Pojął, że wielkie ekscytacje ma już za sobą i że jeśli pragnie nowych, będzie musiał szukać ich w przeszłości.

16.

We wczesnej młodości był wstydlivy i zawsze starał się kochać przy zgaszonym świetle. W ciemnościach miał jednak szeroko otwarte oczy, aby coś niecoś dojrzeć, gdy kotarę przebije najślabszy promień.

Później nie tylko przyzwyczał się do światła, lecz wręcz go wymagał. Jeśli widział, że partnerka ma zamknięte oczy, zmuszał ją do ich otwarcia.

Któregoś dnia stwierdził ze zdziwieniem, że kocha się przy pełnym świetle, lecz oczy ma zamknięte. Kochając się, schodził we wspomnienia.

W ciemności oczy otwarte.

W pełnym świetle oczy otwarte.

W pełnym świetle oczy zamknięte.

Tarcza życia.

Usiadł nad kartką papieru i spróbował wypisać w szeregu imiona swych kochanek. Już po chwili doznał pierwszego niepowodzenia. Przypomniawszy sobie pełne imiona i nazwiska zaledwie kilku kobiet, a w paru przypadkach nie potrafił odszukać w pamięci ani jednego, ani drugiego. Kobiety stały się (dyskretnie, niepostrzeżenie) bezimienne. Gdyby prowadził z nimi korespondencję, zachowałby może ich imiona w pamięci, musiałby bowiem wypisywać je na kopercie; ale “poza miłością” nie ma zwyczaju wysyłania listów miłosnych. Gdyby przywykł nazywać kobiety po imieniu, może by je zapamiętał, lecz od wpadki w noc poślubną postanowił, że będzie używał wyłącznie banalnych spieszceń, które każda kobieta w każdej chwili przyjmuje z ufnością.

Zapisał więc pół strony (eksperyment nie wymagał pełnej listy), zastępując nieraz imiona cechami szczególnymi (“piegi” albo “nauczycielka”, i tak dalej), po czym usiłował odtworzyć życiorys każdej z kobiet. Klęska była jeszcze dotkliwsza! Nie miał o ich życiu zielonego pojęcia! Chcąc sobie ułatwić zadanie, ograniczył się do jednego pytania: kim byli ich rodzice? Nie wiedział o nich, poza jednym wyjątkiem (najpierw poznał ojca, potem dziewczynę), kompletnie nic! A przecież rodzice musieli zajmować w ich życiu najistotniejsze miejsce! Z pewnością opowiadały mu wiele o swych rodzicach! Jaką zatem wagę przywiązywał do swych kochanek, jeśli nie umiał nawet zapamiętać podstawowych informacji?

Musiał wreszcie przyznać (nie bez zażenowania), że kobiety przedstawiały dla niego jedynie doświadczenie erotyczne. Usiłował więc przypomnieć sobie chociaż to doświadczenie. Zatrzymał się przypadkiem na kobiecie (bezimiennej), którą opisał na kartce jako “lekarka”. Co zaszło, gdy się kochali po raz pierwszy? Zobaczył w pamięci swoje ówczesne mieszkanie. Ledwie weszli do środka, podbiegła do telefonu i w obecności Rubensa wytłumaczyła komuś, że z powodu nagłego wezwania nie może tego wieczoru przyjść. Śmieli się z tej wymówki, a potem kochali. Co ciekawe, słyszał wciąż ten śmiech, lecz nie widział samego stosunku: gdzie go odbyli? na dywanie? w łóżku? na kanapie? Jak się kochała? I ile razy później się spotkali? Trzy czy trzydzieści razy? I w jakich okolicznościach przestali się widywać? Czy przypominał sobie choć jeden okruczeństwo z ich rozmów, które musiały trwać co najmniej dwadzieścia, jeśli nie sto godzin? Bardzo mgliście pamiętał, że często wspominała o narzeczonym (treść tych napomknien oczywiście zapomniał). To dziwne: narzeczony pozostał jedynym po niej wspomnieniem. A zatem akt miłosny miał dla niego o wiele mniejsze znaczenie niż przyjemna i czcza myśl, że przyprawia rogi innemu mężczyźnie.

Myślał z zazdrością o Casanovie. Nie o jego wyczynach erotycznych, na które stać w końcu wielu mężczyzn, lecz o jego niezrównanej pamięci. Ponad sto trzydzieści kobiet wyrwanych z zapomnienia, wraz z imieniem, twarzą, z gestami, ze słowami! Casanova: utopia pamięci. Jakże

ubogo wypada w porównaniu bilans Rubensa! Gdy, wkraczając w wiek męski, porzucił malarstwo, pocieszał się myślą, iż wiedza o życiu znaczy dla niego więcej niż walka o władzę. Życie wszystkich jego przyjaciół, goniących za sukcesem, wydało mu się naznaczone piętnem agresji, monotonii i pustki. Wierzył, że erotyczne przygody doprowadzą go do środka prawdziwego życia, realnego i pełnego, bogatego i tajemniczego, pociągającego i konkretnego życia, które pragnął ścisnąć w ramionach. Nagle spostrzegł swój błąd: pomimo wszystkich miłosnych przygód znał ludzi równie źle jak wówczas, gdy miał lat piętnaście. Zawsze pochlebiał sobie, że “żyje intensywnie”; lecz wyrażenie “żyć intensywnie” było czystą abstrakcją; poszukując konkretnej treści owej “intensywności”, odkrywał tylko pustynię, po której błądzi wiatr.

Wskazówka zegara oznajmiła mu, że odtąd będzie go nawiedzać przeszłość. Jak jednak przeszłość może nawiedzać tego, kto dostrzega w niej tylko pustynię, po której wiatr goni kilka strzępów wspomnień? Czy znaczy to, że nawiedzać go będzie kilka strzępów? Tak. Człowieka mogą nawiedzać nawet strzępy. Zresztą nie przesadzajmy: istotnie nie pamiętał niczego interesującego o młodej lekarce, lecz inne kobiety stawały mu przed oczami z natarczywą siłą.

Kiedy mówię, że kobiety stawały mu przed oczami, jak można wyobrazić sobie to ich stawanie? Rubens odkrył rzecz ciekawą: pamięć nie filmuje, pamięć fotografuje. Tym, co zachował po wszystkich kobietach, było w najlepszym przypadku kilka duchowych zdjęć. Nie widział swych kobiet w ruchu płynnym; ich gesty, nawet te najkrótsze, nie ukazywały mu się w ciągłości trwania, lecz zastygłe w ułamku sekundy. Jego erotyczna pamięć obdarzyła go małym albumem pornograficznych zdjęć, ale nie obdarzyła żadnym filmem pornograficznym. I mówiąc album, przesadzam, gdyż Rubens zachował wszystkiego siedem czy osiem zdjęć; zdjęcia te były piękne i urzekały go, lecz ich liczba była żałośnie ograniczona: siedem lub osiem ułamków sekundy, oto do czego sprowadza się w jego wspomnieniu życie erotyczne, któremu postanowił kiedyś poświęcić wszystkie swe talenty i siły.

Wyobrażam sobie Rubensa przy stole, z głową wspartą na dłoni, przypominającego Rodinowskiego Myśliciela. O czym myśli? Pogodzony z faktem, że jego życie sprowadza się do doświadczenia erotycznego, a doświadczenie do siedmiu zastygłych obrazów, siedmiu fotografii, chciałby przynajmniej wierzyć, że w jakimś zakątku pamięci kryje się jeszcze zdjęcie ósme, dziewiąte, dziesiąte. Właśnie dlatego siedzi z głową wspartą na dłoni. I znowu przywołuje kolejne kobiety, próbując dla każdej z nich odszukać zapomniane zdjęcie.

W trakcie tego ćwiczenia dochodzi do innego interesującego wniosku: miał kochanki wyjątkowo odważne w pomysłach erotycznych i fizycznie bardzo pociągające; a jednak pozostawiły w jego duszy niewiele podniecających zdjęć lub nawet żadnego. W jego wspomnieniach bardziej pociągają go teraz kobiety, których erotyczna śmiałość była stłumiona, a

wygląd niepozorny: te, których wówczas nie cenił. Tak jakby pamięć (i zapomnienie) dokonały od tamtej pory zadziwiającego przewartościowania wszystkich wartości, poniżając w jego życiu erotycznym wszystko to, co było chciane, zamierzone, ostentacyjne, zaplanowane, gdy tymczasem przygody nieprzewidziane, wyglądające skromnie, stawały się w jego wspomnieniu bezcenne.

Myśli o kobietach, które jego pamięć wywyższyła: jedna z nich musiała już przekroczyć wiek pożądania; życie, jakie prowadzi kilka innych, mocno utrudnia ponowne spotkanie. Ale jest jeszcze lutnistka. Nie widział jej osiem lat. W jego myślach pojawiają się trzy fotografie. Na pierwszej stoi o krok od niego, jej ręka znieruchomiała w geście, którym chce jakby zatrzeć swą twarz. Drugie zdjęcie uchwyciło chwilę, gdy Rubens, kładąc rękę na jej piersi, pyta, czy ktoś już jej tak dotykał, a ona odpowiada półgłosem “nie” i patrzy przed siebie. Wreszcie (to zdjęcie jest najbardziej urzekające) widzi ją, gdy stoi przed lustrem między dwoma mężczyznami i zakrywa obiema rękami nagie piersi. Co ciekawe, na wszystkich trzech zdjęciach jej piękna i nieruchoma twarz patrzy w ten sam sposób: gdzieś przed siebie, omijając Rubensa.

Odnalazł zaraz numer jej telefonu, który kiedyś znał na pamięć. Rozmawiała z nim tak, jakby widzieli się dzień wcześniej. Pojechał do Paryża (tym razem bez żadnej specjalnej okazji, pojechał tylko dla niej) i spotkał się z nią w tym samym hotelu, w którym kilka lat wcześniej stanęła między dwoma mężczyznami, rękami zasłaniając nagie piersi.

Lutnistka miała wciąż tę samą sylwetkę, te same wdzięczne ruchy i zachowała szlachetność rysów. Coś się jednak zmieniło: jej skóra, widziana z bliska, utraciła świeżość. Nie mogło to umknąć uwadze Rubensa; ale chwile, w których to spostrzegał, były dziwnie krótkie i trwały ledwie kilka sekund, po czym lutnistka odzyskiwała co prędzej swój miniony obraz, jaki od dawna istniał w jego pamięci: “i za swym obrazem się chowała”.

Obraz: Rubens zawsze wiedział, co to znaczy. Ukryty za plecami kolegi, szkicował karykaturę nauczyciela. Potem podnosił wzrok: twarz nauczyciela, ożywiona ciągłą mimiką, nie była podobna do rysunku. A przecież gdy nauczyciel znajdował się poza jego polem widzenia, Rubens mógł go sobie wyobrazić (i tak było do dzisiaj) jedynie pod postacią swej karykatury. Nauczyciel “zniknął na zawsze za swoim obrazem”.

Podczas wystawy prac słynnego fotografa zobaczył zdjęcie człowieka z zakrwawioną twarzą, który wstaje z chodnika. Niezapomniane i tajemnicze zdjęcie. Kim był ten człowiek? Co mu się przydarzyło? Być może, myślał Rubens, jakiś głupi wypadek, źle postawiona noga, potknięcie; i nie dostrzeżona bliskość fotografa. Niczego nie podejrzewając, człowiek wstał, obmył twarz w kawiarni naprzeciw i poszedł do domu, do żony. W tej samej chwili, upojony swymi narodzinami, “jego obraz oddzielił się od niego” i odszedł w drugą stronę, aby przeżywać własne dzieje, spełniać własne przeznaczenie.

Człowiek może się skryć za swoim obrazem, może za swoim obrazem zniknąć na zawsze, może się od swojego obrazu oddzielić: człowiek nigdy nie jest swoim obrazem. To dzięki trzem duchowym fotografiom Rubens zadzwonił do lutnistki osiem lat po ich ostatnim spotkaniu. Ale kim jest lutnistka poza swoim obrazem? Niewiele o niej wie i nie chce wiedzieć więcej. Wyobrażam sobie ich spotkanie po ośmioletniej przerwie: siedzi naprzeciw niej w hallu wielkiego paryskiego hotelu. O czym rozmawiają? O wszystkim, z wyjątkiem życia, które każde z nich prowadzi. Bo nadto bliska znajomość siebie wywołałaby między nimi uczucie obcości, wzniosłaby przeszkodę z niepotrzebnych informacji. Wiedzą o sobie to, co niezbędne, i są niemal dumni, że ukryli swe życie w półcieniu, aby ich spotkania stały się tym bardziej świetliste, wyrwane z czasu i z wszelkiego kontekstu.

Obejmuje ją czułym spojrzeniem i jest szczęśliwy, widząc, że choć z pewnością trochę się postarzała, wciąż pozostaje blisko swego obrazu. Myśli z nieco cynicznym wzruszeniem: wartość obecnej fizycznie lutnistki leży w jej trwałej zdolności do stapiania się z własnym obrazem.

I oczekuje niecierpliwie chwili, gdy użyje ona obrazowi swego żywego ciała.

19.

Jak niegdyś, spotykali się raz, dwa, trzy razy w roku. I lata mijały. Pewnego dnia zadzwonił do niej, by oznajmić, że przyjeżdża do Paryża za dwa tygodnie. Odparła, że nie znajdzie dla niego czasu.

- Mogę odłożyć przyjazd o tydzień - powiedział Rubens.
- Wtedy również nie będę miała czasu.
- Powiedz wobec tego kiedy?
- Nie teraz - odparła z widocznym zakłopotaniem - jeszcze długo nie...
- Coś się stało?
- Nie, nic.

Oboje czuli się nieswojo. Podejrzał, że lutnistka postanowiła więcej się z nim nie spotykać, lecz nie ma śmiałości mu tego powiedzieć. Przypuszczenie było zarazem tak niewiarygodne (na ich piękne spotkania nie padł dotychczas żaden cień), że Rubens zadał jej kilka dalszych pytań, aby zrozumieć motyw jej odmowy. Ponieważ jednak ich związek od samego początku zakładał całkowity brak agresji, wykluczający również wszelką dociekliwość, przestał się naprzykrzać nawet prostymi pytaniami.

Zakończył zatem rozmowę, dodając tylko: - Czy mogę jeszcze do ciebie zadzwonić?

- Oczywiście. Dlaczego nie? - odparła.

Zadzwonił miesiąc później: - Nadal nie masz czasu na spotkanie?

- Nie gniewaj się - powiedziała. - To nie ma nic wspólnego z tobą.

Zadał to samo pytanie co wcześniej: - Coś się stało?

- Nie, nic.

Zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć. - Trudno - rzekł wreszcie, uśmiechając się melancholijnie do słuchawki.

- To nie twoja wina, naprawdę. To nie ma nic wspólnego z tobą. Chodzi o mnie, nie o ciebie!

Poczuł, że ostatnie słowa dają mu jakąś nadzieję. - Przecież to nie ma sensu! Musimy się spotkać!

- Nie - powiedziała.

- Gdybym był pewien, że nie chcesz się ze mną spotkać, nie rzekłbym już ani słowa. Ale mówisz, że chodzi o ciebie! Co się dzieje? Musimy się spotkać! Muszę z tobą porozmawiać!

Ledwie powiedział te słowa, pomyślał: ależ nie, to przez delikatność nie chciała mu wyjawic prawdziwej, aż zbyt prostej przyczyny: już jej na nim nie zależy. To jej własny takt

wprawia ją w zakłopotanie. I dlatego nie powinien nalegać. Żeby nie zachowywać się jak natręt i nie łamać ich milczącej umowy, która zakazywała wyrażania nie odwzajemnionych pragnień.

Gdy więc powtórzyła: “Proszę cię, nie”, dał za wygraną.

Odkładając słuchawkę, przypomniał sobie nagle australijską studentkę w ogromnych trampkach. Porzucił ją z powodów, których ona również nie mogła zrozumieć. Gdyby miał wówczas ku temu sposobność, pocieszyłby ją w ten sam sposób: “To nie twoja wina. Ty nie masz z tym nic wspólnego. To o mnie chodzi.” Zrozumiał, że jego przygoda z lutnistką dobiegła końca, a on nigdy się nie dowie dlaczego. Podobnie jak pięknoista Australijka, będzie tkwił w niewiedzy. Buty Rubensa powędrują teraz przez świat z nieco większą niż przedtem melancholią. Podobnie jak wielkie trampki Australijki.

Okres atletycznej niemoty, okres metafor, okres prawdy sprośnej, okres głuchego telefonu, okres mistyczny - to wszystko miał już daleko za sobą. Wskazówki obiegiły tarczę jego erotycznego życia. Znalazł się poza czasem tarczy. Znaleźć się poza czasem tarczy nie oznacza końca ani śmierci. Na tarczy europejskiego malarstwa wybiła już północ, a przecież malarze nadal malują. Być poza tarczą znaczy po prostu, że nie wydarzy się już nic nowego ani ważnego. Rubens spotykał się nadal z kobietami, lecz straciły one dla niego znaczenie. Najczęściej widywał się z G, która wyróżniała się tym, że z lubością przetykała rozmowę wulgarnymi słowami. Używało ich wtedy wiele kobiet. Było to zgodne z duchem czasu. Mówiły gównu, mam to w dupie, kutas, aby dać do zrozumienia, że nie należą do starego, konserwatywnego i dobrze wychowanego pokolenia, przeciwnie, są wolne, wyemancypowane, nowoczesne. Co nie przeszkadzało G, gdy tylko Rubens jej dotykał, stawiać oczy w słup i pogrążać się w uroczystym milczeniu. Ich uściski zawsze trwały długo, niemal bez końca, gdyż G mogła osiągnąć gorąco upragniony orgazm po bardzo długim wysiłku. Leżąc na wznak ciężko pracowała i jej czoło, jej ciało spływały potem. Tak mniej więcej Rubens wyobrażał sobie agonię: człowiek trawiony gorączką pragnie żarliwie, aby przyszedł koniec, lecz koniec nie chce i nie chce przyjść. Za pierwszym, za drugim razem usiłował go przyspieszyć, szepcząc w ucho G jakieś sprośne słowo, ale odwracała głowę na znak dezaprobaty, toteż później trzymał język za zębami. Za to ona po dwudziestu, trzydziestu minutach mówiła zawsze (niezadowolonym i zniecierpliwionym głosem): "Mocniej, mocniej, jeszcze, jeszcze!", i wtedy spostrzegła, że nie może już dalej; kochał się z nią zbyt długo i w zbyt szybkim tempie, by ponowić uderzenia; ześlizgiwał się więc na bok i posługiwał fortelem, który zdawał mu się wyznaniem klęski i zarazem techniczną wirtuozerią godną patentu: zanurzając głęboko w nią rękę, wykonywał palcami silne ruchy do góry i do dołu; gejzer tryskał, potop zalewał wszystko, całowała go i zasypywała czułymi słówkami.

Ich intymne zegary były żałośnie nie zestrojone: gdy jemu zbierało się na czułość, ona rzucała wulgarnymi słowami; gdy jemu zachciewało się wulgarnych słów, ona uparcie milczała; gdy on potrzebował ciszy i snu, ona robiła się czuła i rozmowna.

Była ładna i tyle od niego młodsza! Rubens przypuszczał (skromnie), że to z powodu jego manualnej zręczności przychodziła do niego zawsze, gdy po nią dzwonił. Odczuwał wobec niej wdzięczność, gdyż podczas długich chwil, spędzanych w pocie czoła i milczeniu na jej ciele, mógł sobie do woli, z zamkniętymi oczami, marzyć.

Któregoś dnia wpadł Rubensowi w ręce stary album ze zdjęciami prezydenta Johna Kennedy'ego: było ich co najmniej pięćdziesiąt, wszystkie kolorowe, i na każdym z nich (na każdym bez wyjątku!) prezydent się śmiał. Nie uśmiechał się, nie, śmiał się! Miał otwarte usta i pokazywał zęby. Nie było w tym nic niezwykłego, tak dzisiaj wyglądają fotografie, lecz Rubens osłupiał, stwierdziwszy, że Kennedy śmiał się na wszystkich zdjęciach, że na żadnym jego usta się nie domykały. Kilka dni później pojechał do Florencji. Stojąc przed "Dawidem" Michała Anioła wyobraził sobie, że ta marmurowa twarz jest równie wesoła jak twarz Kennedy'ego. Dawid, wzór męskiego piękna, nabrał nagle kretyńskiego wyglądu! Od tamtej pory miał zwyczaj przyklejania w myślach roześmianych ust do twarzy na słynnych obrazach; było to interesujące doświadczenie: grymas uśmiechu potrafił zniszczyć każdy obraz! Wyobraźcie sobie zamiast ledwie dostrzegalnego uśmiechu Mony Lizy śmiech, który obnaża jej zęby i dziąsła!

Choć Rubens był bywalcem galerii, w których spędzał większość czasu, dopiero fotografie Kennedy'ego uzmysłowiły mu tę prostą oczywistość: od starożytności po Rafaela, może aż po Ingres'a, wielcy malarze i rzeźbiarze niechętnie przedstawiali śmiech, a nawet uśmiech. To prawda, że wszystkie etruskie twarze są uśmiechnięte, lecz ten uśmiech nie jest mimiczną reakcją na jakieś zdarzenie, jest trwałym stanem twarzy, z której promieniuje wieczna szczęśliwość. Dla rzeźbiarzy antycznych, podobnie jak dla malarzy epok późniejszych, piękna twarz była wyobrażalna tylko w bezruchu.

Twarze stawały się ruchome, usta otwierały się tylko wówczas, gdy malarz chciał uchwycić zło. Na przykład zło bólu: twarze kobiet pochylonych nad martwym Chrystusem; otwarte usta matki na "Rzezi niewiniątek" Poussina. Albo zło jako występki: "Adam i Ewa" Holbeina. Ewa ma nabrzmiałą twarz, a wpółotwarte usta odsłaniają zęby, które przed chwilą wbiły się w jabłko. Adam jest jeszcze przed popełnieniem grzechu: twarz ma spokojną, usta zamknięte. Na "Alegorii niecnót" Correggia uśmiechają się wszyscy! Chcąc wyrazić niecnotę, malarz musiał wstrząsnąć niewinnym spokojem twarzy, rozciągnąć usta, zniekształcić uśmiechem rysy. Jedna tylko postać śmieje się na obrazie: dziecko! Ale nie jest to śmiech szczęścia, jaki rozpiera dzieci na zdjęciach reklamujących czekoladę lub pieluszki. Dziecko śmieje się, gdyż jest zepsute!

Śmiech zyskuje niewinność dopiero u Holendrów: "Błazen" Halsa lub jego "Cyganka". Albowiem malarze holenderscy są pierwszymi fotografami; malowane przez nich twarze są poza pięknem i brzydotą. Spacerując długo po sali malarstwa holenderskiego, Rubens rozmyślał o lutnistce i mówił sobie: lutnistka nie jest modelem dla Fransa Halsy; lutnistka jest modelem dla tych dawnych wielkich mistrzów, którzy poszukiwali piękna w nieruchomej powierzchni twarzy.

Kilku zwiedzających potrafiło Rubensa: przez wszystkie galerie świata przetaczały się, jak niegdyś przez ogrody zoologiczne, tłumy ludzi; turyści zlaknieni atrakcji patrzyli na obrazy, jakby były lwami w klatce. Malarstwo w tym stuleciu, mówi sobie Rubens, nie jest już u siebie w domu, i nie jest w nim lutnistka; lutnistka należy do świata dawno minionego, w którym piękno się nie śmieje.

Czym jednak wyjaśnić, że wielcy malarze wykluczyli śmiech z królestwa piękna? Rubens mówi sobie: twarz jest piękna, gdy oddaje obecność myśli, natomiast śmiech jest chwilą, w której się nie myśli. Ale czy to prawda? Czy śmiech nie jest błyskiem myśli, która właśnie pojęła komizm? Nie, mówi sobie Rubens: w chwili gdy pojmuje komizm, człowiek się nie śmieje; śmiech przychodzi "zaraz po", jako reakcja fizyczna, jako grymas, w którym nie ma już żadnej myśli. Śmiech jest grymasem twarzy i w tym grymasie człowiek nad sobą nie panuje, gdyż sam podlega czemuś, co nie jest ani wolą, ani rozumem. I dlatego antyczny rzeźbiarz nie przedstawiał śmiechu. Człowiek, który nad sobą nie panuje (człowiek poza rozumem, poza wolą), nie może uchodzić za pięknego.

Jeśli nasza epoka, przeciwstawiając się zamysłowi wielkich mistrzów malarstwa, uczyniła ze śmiechu ulubiony wyraz twarzy, oznacza to, że brak woli i rozumu okazał się stanem idealnym człowieka. Można by na to odpowiedzieć, że na portretach fotograficznych grymas jest udawany, zatem świadomy i chciany: Kennedy roześmiany przed obiektywem fotografa nie reaguje na jakąś śmieszność okoliczność, lecz otwiera usta i obnaża zęby z całkowitą świadomością. Ale dowodzi to tylko, że grymas śmiechu (stan poza rozumem i wolą) ludzie uczynili dzisiaj obrazem ideału, za którym postanowili się skryć.

Rubens myśli: śmiech jest najbardziej demokratycznym ze wszystkich wyrazów twarzy; bezruch twarzy uwyrażnia każdy rys, który odróżnia nas od innych; natomiast w grymasie wszyscy jesteśmy do siebie podobni.

Popiersie Juliusza Cezara, który skręca się ze śmiechu, jest nie do pomyślenia. Ale amerykańscy prezydenci odchodzą w wieczność, ukryci za demokratycznym grymasem śmiechu.

Wrócił do Rzymu. W muzeum zasiedział się w sali malarstwa gotyckiego. Urzekł go jeden obraz: "Ukrzyżowanie". Co w nim widział? Zamiast Chrystusa widział kobietę, którą wciągano na krzyż. Podobnie jak Chrystus, nie miała żadnego odzienia poza białą przepaską na biodrach. Jej stopy opierały się o wystający z drewnianego słupa stopień i kaci obwiązywali jej kostki grubymi sznurami. Krzyż, wzniesiony na szczycie wzgórza, był zewsząd widoczny. Wokół niego tłum żołdaków, pospólstwa i gapiów wpatrywał się w kobietę wystawioną na ich spojrzenia. Była to lutnistka. Czuła wbite w swe ciało wszystkie te oczy i dłońmi zakrywała piersi. Po jej lewej i prawej stronie wznosiły się inne dwa krzyże z dwoma złoczyńcami. Pierwszy pochylał się nad nią, ujmował jej jedną rękę i powoli odciągał ją od jej piersi, aż wreszcie dotknęła krańca poprzecznej deski. Drugi chwycił drugą rękę i wykonał ten sam ruch; ramiona lutnistki zostały rozwarte. Przez cały ten czas jej twarz nie drgnęła. Patrzyła uporczywie w dal. Rubens wiedział, że nie wpatruje się w horyzont, lecz w olbrzymie wyobrazone zwierciadło postawione naprzeciw niej, między niebem, rozwartymi ramionami a nagimi piersiami. Wystawiona na widok nieprzebranego, wrzeszczącego, zwierzęcego tłumu, była podniecona jak on i jak on spoglądała na siebie.

Rubens nie mógł oderwać od obrazu wzroku. Gdy wreszcie mu się to udało, pomyślał, że ta chwila powinna wejść do historii religii pod nazwą "Widzenie Rubensa w Rzymie". Aż do wieczora pozostał pod wpływem jej mistycznego przeżycia. Już od czterech lat nie telefonował do lutnistki, lecz tym razem nie mógł się powstrzymać. Po drugiej stronie usłyszał nieznanomy kobiecy głos.

Zapytał niepewnie: - Czy mogę prosić panią?... - i podał nazwisko męża.

- Jestem przy aparacie - powiedział głos.

Wymówił wówczas imię lutnistki; kobiecy głos odparł, że kobieta, którą prosi do telefonu, nie żyje.

- Nie żyje?

- Tak, Agnes nie żyje. A kto prosi?

- Przyjaciel.

- Czy zechce pan się przedstawić?

- Nie - powiedział i odłożył słuchawkę.

Gdy w kinie ktoś umiera, czym prędzej rozlega się eligijna muzyka, ale gdy w naszym życiu umiera ktoś nam znany, żadnej muzyki nie słyhać. Jest bardzo niewiele śmierci zdolnych nami głęboko wstrząsnąć: dwie lub trzy na jedno życie, nie więcej. Śmierć kobiety, która była tylko epizodem, zaskoczyła Rubensa i zasmuciła go, lecz nim nie wstrząsnęła, tym bardziej że kobieta odeszła z jego życia cztery lata wcześniej i musiał się wtedy z tym pogodzić.

A jednak śmierć ta, choć nie uczyniła lutnistki bardziej nieobecną, niż nią przedtem była, zmieniła wszystko. Za każdym razem, gdy o niej myślał, nie mógł opędzić się od pytania o to, czym stało się jej ciało. Czy złożono je w trumnie i zakopano w ziemi? Spalono? Wspominał jej nieruchomą twarz z wielkimi oczami, które patrzyły na siebie w wyobrażonym zwierciadle. Widział, jak powieki powoli się zamykają i nagle jej twarz staje się martwa. A ponieważ twarz była tak spokojna, przejście z życia poza życie było płynne, harmonijne, piękne. Ale później Rubens zaczął sobie wyobrażać, co się dalej z tą twarzą działo. I to było straszne.

Przyszła do niego G. Jak zawsze oddali się milczącym uściskom i jak zawsze podczas tych bezkresnych chwil w jego myślach pojawiła się lutnistka: jak zawsze stała przed zwierciadłem, miała nagie piersi i patrzyła na siebie nieruchomym wzrokiem. Rubens pomyślał nagle, że lutnistka nie żyje od dwóch czy trzech lat; że jej włosy oddzieliły się już od czaszki i zapadły się oczodoły. Chciał się pozbyć tego obrazu, gdyż inaczej nie mógłby się dalej kochać. Wyrzucił z myśli wspomnienie lutnistki i próbował się skupić na G, na jej coraz szybszym oddechu, lecz jego myśli były nieposłuszne i jakby na przekór podsuwały mu przed oczy to, czego widzieć nie chciał. A kiedy wreszcie postanowiły go usłuchać i nie pokazywać mu już lutnistki w trumnie, pokazały mu ją wśród płomieni, w pozycji, o której wiedział ze słyszenia: palone ciało uniosło się (pod wpływem jakiejś niepojętej fizycznej siły) tak, że lutnistka usiadła w piecu. W samym środku tej wizji siedzącego trupa, który płonął, rozległ się niezadowolony i władczy głos: "Mocniej, mocniej, jeszcze, jeszcze!" Rubens musiał przerwać. Przeprosił G za swą kiepską formę.

Później rzekł sobie: ze wszystkiego, co przeżyłem, pozostała mi jedna fotografia. Zawiera ona to, co w moim życiu erotycznym jest najintymniejsze, najgłębiej ukryte, samą jego istotę. Być może ostatnio sypiałem z kobietami po to tylko, by fotografia ożyła. A teraz fotografia płonie i piękna spokojna twarz zwęża się, kurczy, czernieje i rozsypuje w popiół.

G miała przyjść w następnym tygodniu i Rubens już z góry martwił się obrazami, które będą go nachodziły w łóżku. Chcąc wypędzić lutnistkę z myśli, usiadł przy stole, podparł głowę dłonią i zaczął szukać w pamięci fotografii zdolnych zastąpić zdjęcie lutnistki. Kilka takich znalazł i był przyjemnie zaskoczony, że wydają mu się tak piękne i podniecające. Ale w głębi ducha

dobrze wiedział, że pamięć odmówi mu ich pokazania, gdy będzie się kochał z G, i że zamiast nich podsunie mu ukradkiem, niczym w makabrycznym dowcipie, obraz lutnistki siedzącej w płomieniach. Nie mylił się. I tym razem musiał w trakcie uścisków przeprosić G.

Rzekł sobie wówczas, że nie zaszkodzi mu mała przerwa w spotkaniach z kobietami. Do lepszych czasów, jak to się mówi. Ale przerwa przedłużała się z tygodnia na tydzień. Pewnego dnia zrozumiał wreszcie, że “lepszych czasów” już nie będzie.

Część siódma

Uroczystość

1.

W sali gimnastycznej wielkie lustro już od dawna odbijają wymachy rąk i nóg; od pół roku lustro wtargnęły, pod naciskiem imagologów, również na pływalnię, zajmując trzy jej ściany; czwarta ściana jest przeszklona i widać przez nią dachy Paryża. Siedzieliśmy w samych kąpielówkach przy stoliku, nad brzegiem basenu, w którym posapywali pływacy. Między nami stała butelka wina, zamówiona przeze mnie dla uczczenia pełnej rocznicy.

Avenarius nie zadał sobie nawet trudu, by zapytać, o jaką rocznicę chodzi, gdyż pochłonięty był nowym pomysłem: - Wyobraź sobie, że masz wybrać między dwiema możliwościami. Spędzić miłosną noc z piękną i słynną na cały świat kobietą, powiedzmy z Brigitte Bardot albo z Gretą Garbo, pod warunkiem że nikt się nigdy o tym nie dowie; lub też objąć ją ramieniem i pójść na wspólny spacer po głównej ulicy twego rodzinnego miasta, ale pod warunkiem że nigdy się z nią nie prześpisz. Chętnie bym się dowiedział, jaki dokładnie procent ludzi wybrałby pierwszą możliwość, a jaki drugą. Wymaga to metody statystycznej. Dlatego zwróciłem się do kilku ośrodków opinii publicznej, lecz we wszystkich spotkałem się z odmową.

- Nigdy dobrze nie rozumiałem, do jakiego stopnia trzeba brać poważnie to, co robisz.

- Wszystko, co robię, należy brać absolutnie poważnie.

Ciągnąłem: - Na przykład próbuję sobie wyobrazić, jak przedstawiłeś ekologom swój plan zniszczenia samochodów. Chyba nie sądziłeś, że się na niego zgodzą!

Zrobiłem wymowną przerwę. Avenarius milczał.

- Myślałeś, że ci przyklasną?

- Nie - powiedział Avenarius - wcale nie myślałem.

- Więc dlaczego przedstawiłeś im swój projekt? Żeby ich zdemaskować? Aby im udowodnić, że mimo swych kontestatorskich min są częścią tego, co nazywasz Diabolem?

- Nie ma nic bardziej daremnego - powiedział Avenarius - jak chcieć coś udowodnić imbecydom.

- Pozostaje zatem jedno wyjaśnienie: chciałeś z nich zakpić. Lecz i w tym przypadku twoje zachowanie wydaje mi się nielogiczne: przecież nie sądziłeś, że znajdzie się wśród nich ktoś, kto cię zrozumie i będzie się śmiał!

Avenarius potrząsnął głową i powiedział z niejakim smutkiem: - Nie sądziłem. Diabolem cechuje zupełny brak poczucia humoru. Komizm, choć wciąż istnieje, stał się niewidoczny. Figle utraciły już sens. - Po czym dodał: - Ten świat bierze wszystko poważnie. I ja też. A to już szczyt wszystkiego.

- Ja mam raczej wrażenie, że nikt nie bierze niczego poważnie! Wszyscy chcą się tylko bawić i nic więcej!

- To wychodzi na jedno. Kiedy kompletny osioł będzie musiał powiadomić przez radio o wybuchu wojny nuklearnej albo o trzęsieniu ziemi w Paryżu, zrobi wszystko, żeby to wyszło śmiesznie. Już może zaczął szukać kalamburów pasujących na tę okazję. Ale to nie ma nic wspólnego z poczuciem komizmu. Bo w tym przypadku komiczny jest człowiek, który szuka kalamburów, aby przekazać wiadomość o trzęsieniu ziemi. A człowiek szukający kalamburów, aby przekazać wiadomość o trzęsieniu ziemi, traktuje swe poszukiwania poważnie i za nic w świecie nie przyjdzie mu do głowy, że jest komiczny. Humor może istnieć tylko tam, gdzie ludzie dostrzegają jeszcze różnicę między tym, co ważne, a tym, co ważne nie jest. A dzisiaj ta granica jest niedostrzegalna.

Dobrze znam mojego przyjaciela i dla zabawy często naśladuję jego sposób mówienia, przejmuję jego myśli i uwagi; a mimo to wciąż mi się wymyka. Jego zachowanie podoba mi się, fascynuje mnie, lecz nie mogę powiedzieć, że w pełni go rozumiem. Pewnego dnia próbowałem mu wyjaśnić, że istota człowieka uchwytna jest tylko w metaforze. W olśniewającym błysku metafory. Odkąd znam Avenarius, na próżno poszukuję metafory, która by go określiła, a mnie pozwoliła go zrozumieć.

- Jeśli to nie było dla figłów, dlaczego przedstawiłeś im swój plan? Dlaczego?

Zanim zdążył mi odpowiedzieć, przeszkodził nam pełen zdziwienia okrzyk: - Profesor Avenarius! Czy to możliwe?

Od wahadłowych drzwi szedł w naszą stronę przystojny mężczyzna między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką; miał na sobie kąpielówki. Avenarius wstał. Wyraźnie wzruszeni, długo ściskali sobie dłonie.

Następnie Avenarius przedstawił mi mężczyznę. Zrozumiałem, że przede mną stoi Paul.

2.

Usiadł przy naszym stoliku. Avenarius wskazał na mnie szerokim gestem: Nie zna pan jego powieści? “Życie jest gdzie indziej!” Musi pan to przeczytać! Moja żona twierdzi, że to świetna rzecz!

Nagle dotarło do mnie, że Avenarius nigdy nie przeczytał mojej powieści; zmusił mnie kiedyś, bym mu ją przyniósł, lecz tylko dlatego że jego żona, cierpiąca na bezsenność, kilogramami pochłaniała w łóżku książki. Sprawilo mi to przykrość.

- Przyszedłem odświeżyć umysł w wodzie - powiedział Paul. Po czym dostrzegł wino i zapomniał o wodzie. - Co pijecie? - Wziął butelkę i uważnie przyjrzał się etykietce. I dodał: - Piję dziś od rana.

Tak, to było po nim widać i poczułem zdziwienie. Nigdy nie wyobrażałem go sobie jako pijaka. Poprosiłem kelnera o trzeci kieliszek.

Rozmawialiśmy o tym i owym. Avenarius, robiąc różne aluzje do moich powieści, sprowokował Paula do uwagi, której brak kurtuazji dla mojej osoby nieco mnie stropił: - Ja nie czytam powieści. O wiele zabawniejsze, a nawet bardziej kształcące są pamiętniki. No i biografie! Ostatnio czytałem książki o Salingerze, o Rodinie, o miłościach Franza Kafki. I znakomitą biografię Ernesta Hemingwaya! Co to był za obłudnik. Co za łgarz. Co za megaloman - powiedział Paul, śmiejąc się serdecznie. - Co za impotent. Co za sadysta. Co za macho. Co za erotoman. Co za mizogin.

- Jeśli pan, adwokat, jest skłonny bronić morderców - powiedziałem - to dlaczego nie bierze pan w obronę autorów, którzy, poza swoimi książkami, niczym nie zawinili?

- Bo działają mi na nerwy - powiedział radośnie Paul i nalał wina do kieliszka, który kelner właśnie przed nim postawił. - Moja żona uwielbia Mahlera - ciągnął. - Opowiedziała mi, że dwa tygodnie przed pierwszym wykonaniem “Siódmej symfonii” zamknął się w hałaśliwym hotelowym pokoju i przez całą noc przepracowywał instrumentację.

- Tak - powiedziałem - to było jesienią 1908 roku, w Pradze. Hotel nazywał się Pod Błękitną Gwiazdą.

- Często go sobie wyobrażam w tym hotelowym pokoju, obstawionego zewsząd partyturami - ciągnął Paul, nie dając sobie przerwać. - Był przekonany, że jego dzieło będzie do niczego, jeśli w drugiej części melodię odegra klarnet, a nie obój.

- Dokładnie tak - powiedziałem i pomyślałem o mojej powieści.

Paul kontynuował: - Chciałbym, by wykonano tę symfonię przed publicznością złożoną z wybitnych znawców; najpierw z poprawkami z ostatnich dwóch tygodni, a potem bez nich. Założę

się, że nikt nie potrafiłby odróżnić jednej wersji od drugiej. Proszę mnie zrozumieć: z pewnością na podziw zasługuje to, że motyw skrzypcowy z drugiej części jest w części ostatniej podjęty przez flet. Każda rzecz jest na swoim miejscu, wszystko jest opracowane, przemyślane, przećwiczone, niczego nie pozostawiono przypadkowi; ale ta gigantyczna doskonałość nas przerasta, przerasta pojemność pamięci i naszą zdolność uwagi, toteż najbardziej fanatyczny i uważny słuchacz wyniesie z tej symfonii zaledwie jedną setną jej zawartości, co więcej, tę jedną setną, na której Mahlerowi zależało najmniej!

Myśl owa, tak oczywiście słuszna, napędzała go radością, a ja tymczasem smutniałem coraz bardziej: jeśli czytelnik przeskoczy choć jedno zdanie mojej powieści, niczego z niej nie zrozumie, a przecież czytelnika, który nie przeskakuje zdań i stron, ze świecą szukać. Czyż ja sam nie jestem największym pośród skoczków?

Paul ciągnął: - Nie podważam doskonałości symfonii. Podważam jedynie "znaczenie" tej doskonałości. Wszystkie te arcywzniosłe symfonie są katedrami nieprzydatności. Są dla człowieka niedostępne. Są nieludzkie. Zawsze wyolbrzymialiśmy ich znaczenie. Dawały nam poczucie niższości. Europa sprowadziła Europę do pięćdziesięciu genialnych dzieł, których nigdy nie rozumiała. Uświadomcie sobie tę oburzającą nierówność: miliony nic nie znaczących Europejczyków i pięćdziesiąt nazwisk, które znaczą wszystko! Nierówność klasowa jest drobnym wypadkiem w porównaniu z metafizyczną nierównością, która jednych zamienia w ziarenka piasku, a drugich obdarza sensem bytu.

Butelka była pusta. Przywołałem kelnera i zamówiłem następną. Wskutek tego Paul stracił wątek.

- Mówił pan o biografjach - odpowiedziałem mu.

- Ach tak - przypomniał sobie.

- Zachwycało pana, że może pan wreszcie poczytać prywatne listy zmarłych.

- Wiem, wiem - powiedział Paul, jakby chciał uprzedzić zastrzeżenia przeciwnika: - Wierzcie mi, że i dla mnie grzebanie w prywatnych listach, przesłuchiwanie byłych kochanek, namawianie lekarzy do ujawnienia lekarskiej tajemnicy jest świństwem. Biografowie to hołota i nigdy nie potrafiłbym się do nich przysiąść tak jak do waszego stolika. Robespierre również nie przysiadłby się do stolika hołoty, która kradnie i przeżywa zbiorowe orgazmy, sycąc się egzekucjami. Ale wiedział, że bez hołoty nic się nie wydarzy. Hołota jest narzędziem słusznej rewolucyjnej nienawiści!

- Co jest rewolucyjnego w nienawiści do Hemingwaya? - spytałem.

- Nie mówię o nienawiści do Hemingwaya! Mówię o jego "dziele"! Mówię o ich dziełach! Trzeba było wreszcie powiedzieć głośno, że czytać o Hemingwayu jest tysiącokrotnie bardziej

zabawne i pouczające niż czytać Hemingwaya. Trzeba było udowodnić, że dzieło Hemingwaya jest tylko zaszyfrowanym życiem Hemingwaya i że to życie jest równie ubogie i nieistotne, jak życie każdego z nas. Trzeba było pociąć symfonię Mahlera na kawałki i wykorzystać je jako muzyczne tło do reklamy papieru toaletowego. Trzeba było skończyć raz na zawsze z terrorem nieśmiertelnych. Obalić arogancką władzę wszystkich “Dziewiątych symfonii” i wszystkich “Faustów”!

Upojony własną przemową, wstał i podniósł kieliszek: - Piję za koniec starych czasów!

3.

W lustrach, które wzajemnie się odbijały, Paul zwielokrotnił się dwadzieścia siedem razy i od sąsiedniego stolika patrzono z ciekawością na jego rękę unoszącą kieliszek. Dwaj mężczyźni, wychodzący spod biczów wodnych, obok basenu, również zamarli i nie mogli oderwać oczu od dwudziestu siedmiu rąk Paula zawieszonych w powietrzu. Najpierw sądziłem, że zastygł w tej pozie, aby dodać swoim słowom patosu, lecz po chwili zobaczyłem kobietę w kostiumie kąpielowym, która weszła właśnie do sali; miała około czterdziestu lat, ładną twarz, nieco za krótkie, lecz wspaniale zgrabne nogi, wyrazisty, choć nieco za duży tyłeczek niczym gruba strzałka wskazujący na ziemię. To po tej strzałce ją rozpoznałem.

Nie spostrzegła nas zrazu i podeszła do basenu. Ale wpatrywaliśmy się w nią tak wytrwale, że wreszcie przyciągnęliśmy jej wzrok. Zarumieniła się. To piękne, gdy kobieta się rumieni: jej ciało już wówczas do niej nie należy; nie panuje nad nim; jest zdana na jego łaskę. Ach, nie ma nic piękniejszego niż widok kobiety zgwałconej przez własne ciało! Zaczynałem rozumieć, dlaczego Avenarius miał słabość do Laury. Przyjrzałem mu się: zachował całkowicie niewzruszoną twarz. Jego opanowanie mówiło mi chyba jeszcze więcej, niż mówiły rumieńce Laury.

Ochłonęła, uprzejmie się uśmiechnęła i podeszła do naszego stolika. Unieśliśmy się i Paul przedstawił nas swojej żonie. Nadal przypatrywałem się Avenariusowi. Czy wiedział, że Laura jest żoną Paula? Odniosłem wrażenie, że nie. O ile go znałem, przespał się z Laurą zapewne raz i od tej pory więcej jej nie widywał. Jednak nie byłem tego pewny i właściwie nie byłem już pewny niczego. Gdy podała mu rękę, uklonił się tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Laura pożegnała się (coś za szybko, rzekłem do siebie) i zanurzyła w basenie.

Paul stracił nagle cały zapał. - Miło mi, żeście się poznali - powiedział melancholijnie. - Ona jest, jak to się mówi, kobietą mego życia. Powiniennem sobie powinszować. Życie jest tak krótkie, że większość ludzi nigdy nie znajduje kobiety swego życia.

Kelner przyniósł kolejną butelkę, otworzył ją przy nas, nalał wina do kieliszków i Paul znów stracił wątek.

- Mówił pan o kobiecie pańskiego życia - podpowiedziałem mu, gdy kelner odszedł.

- Tak - powiedział. - Mam trzymiesięczne dziecko. Z poprzedniego małżeństwa mam jeszcze córkę. Rok temu poszła sobie z domu. Bez słowa pożegnania. Byłem nieszczęśliwy, bo bardzo ją kocham. Dwa dni temu wróciła, gdyż chłopak ją rzucił. Po tym, jak zrobił jej dziecko, dziewczynkę. Drodzy przyjaciele, mam wnuczkę! Mam wokół siebie cztery kobiety! - Obraz tych czterech kobiet dodawał mu jakby energii: - I dlatego piję dziś od rana. Piję za nasze spotkanie. Piję za zdrowie córki i wnuczki!

Poniżej w basenie Laura pływała z dwiema innymi kobietami i Paul się uśmiechnął. Był to dziwny, zmęczony uśmiech, który budził moje współczucie. Odniosłem wrażenie, że nagle się postarzał. Jego potężna siwa czupryna przeobraziła się raptem we fryzurę staruszki. Znowu wstał z kieliszkiem w ręku, jakby chciał przełamać swą chwilę słabości.

Tymczasem w basenie rozległy się potężne uderzenia ramion bijących w wodę. Laura płynęła kraulem, z wynurzoną głową, niezdarnie, lecz za to gorliwie, wręcz zażarcie.

Zdawało mi się, że każde z tych uderzeń zwała się na głowę Paula niczym dodatkowy rok: starzał się na naszych oczach. Miał siedemdziesiąt, po chwili osiemdziesiąt lat, a jednak stał z uniesionym kieliszkiem, jak gdyby chciał się nim zasłonić przed tą lawiną lat, spadającą na jego głowę: - Przypominam sobie pewne słynne zdanie, które powtarzano za czasów mej młodości - powiedział nagle urywanym głosem. - "Kobieta jest przyszłością mężczyzny". Kto to właściwie powiedział? Sam już nie wiem. Lenin? Kennedy? Nie, jakiś poeta.

- Aragon - odpowiedziałem.

Avenarius rzekł opryskliwie: - Co to znaczy, że kobieta jest przyszłością mężczyzny? Że mężczyźni staną się kobietami? Nie rozumiem tej bzdury!

- To nie jest bzdura! To jest poezja! - powiedział Paul.

- Literatura zniknie, a poetyckie bzdury będą wciąż krążyły po świecie? - spytałem.

Paul nie zwrócił na mnie uwagi. Właśnie zauważył swoją twarz w dwudziestu siedmiu lustrach i nie mógł oderwać od niej oczu. Obrócił się po kolei do każdego odbicia i powiedział słabym i cienkim głosem starowinki: - Kobieta jest przyszłością mężczyzny. Znaczy to, że świat, stworzony kiedyś na obraz mężczyzny, ukształtuje się na obraz kobiety. Im bardziej będzie mechaniczny i metaliczny, zimny i techniczny, tym bardziej potrzebować będzie ciepła, jakie dać może tylko kobieta. Jeśli chcemy zbawić świat, musimy ukształtować się na wzór kobiety, kobiecie dać się prowadzić, otworzyć się na "Ewigweibliche", na wieczną kobiecość!

Jakby wyczerpany tymi proroczymi słowami, Paul postarzał się o kolejnych kilkadziesiąt lat i był teraz wątlwym, studwudziesto-, albo i stuszesćdziesięcioletnim staruszkiem. Nie mogąc już nawet utrzymać kieliszka, zwałił się ciężko na krzesło. Po czym z powagą i smutkiem powiedział: - Wróciła bez uprzedzenia. Nienawidzi Laury. A Laura nienawidzi mojej córki. Macierzyństwo jeszcze wzmogło ich zaciekłość. I znów to samo, z jednego pokoju jazgot Mahlera, z drugiego pokoju jazgot rocka. I znów to samo, każą mi wybierać, kierują do mnie ultimata. Obie ruszyły w bój. A kiedy kobiety walczą, ich walce nie ma końca. - Pochylił się ku nam poufnie: - Drodzy przyjaciele, nie traktujcie mnie poważnie. To, co powiem teraz, jest nieprawdą. - Zniżył głos, jakby chciał nam powierzyć wielką tajemnicę: - Całe szczęście, że to mężczyźni prowadzili wojny. Gdyby prowadziły je kobiety, wojny byłyby tak zapamiętałe okrutne, że na ziemi nie pozostałaby

żadna żywa istota. - I jakby pragnąc, abyśmy natychmiast zapomnieli o jego słowach, uderzył pięścią w stół i podniósł głos: - Drodzy przyjaciele, chciałbym, żeby muzyka nigdy nie istniała! Chciałbym, żeby ojciec Mahlera, przyłapawszy swego syna na masturbacji, dał mu w ucho tak mocno, by mały Gustaw ogłuchł na całe życie i nie umiał odróżnić skrzypiec od bębna. I chciałbym też, żeby odprowadzono prąd od wszystkich gitar elektrycznych i skierowano go do krzeseł, do których osobiście przywiążę gitarzystów.

- Po czym dodał ledwo słyszalnym głosem: - Drodzy przyjaciele, chciałbym być dziesięć razy bardziej pijany, niż jestem.

4.

Siedział rozparty na krześle i przedstawiał tak smutny widok, że nie mogliśmy dłużej tego znieść. Wstaliśmy i podeszliśmy do niego, by poklepać go po plecach. Pocieszając go tak, spostrzeżliśmy, że jego żona wyszła z wody, ominęła nas łukiem i skierowała się do wyjścia. Udawała, że nas nie widzi.

Czy była do tego stopnia zła na Paula, że nawet nie chciała na niego spojrzeć? Czy krępowało ją nieoczekiwane spotkanie z Avenariusem? W każdym razie w jej sposobie stawiania kroków było coś tak silnego i pociągającego, że przestaliśmy poklepywać Paula i wszyscy trzej zapatrzyliśmy się na nią.

Gdy była już o dwa kroki od wahadłowych drzwi, wydarzyło się coś nieoczekiwanego: odwróciła nagle głowę w kierunku naszego stolika i uniosła rękę ruchem tak lekkim, tak wdzięcznym, tak zgrabnym, że wydało nam się, iż od jej palców odrywa się złota piłka i nieruchomieje nad drzwiami.

Paul, na którego twarzy pojawił się nagle uśmiech, chwycił mocno Avenariusa za ramię: - Widział pan? Widział pan ten gest?

- Tak - powiedział Avenarius i wpatrywał się w złotą piłkę lśniąca pod sufitem niczym wspomnienie o Laurze.

Było dla mnie oczywiste, że gest Laury nie był przeznaczony dla jej pijanego męża. Nie był to mechaniczny, codzienny gest na pożegnanie, był to gest niezwykły i znaczący. Przeznaczony mógł być tylko dla Avenariusa.

Ale Paul niczego nie podejrzewał. Z jego barków jakimś cudem opadły lata i znowu był pięknym pięćdziesięcioletnim mężczyzną dumnym ze swej siwiejącej czupryny. Spojrzał w stronę drzwi, nad którymi lśniła złota piłka, i powiedział: - Ach, Laura! To cała ona! Ach, ten gest! W tym geście jest cała Laura! - Po czym wzruszonym głosem opowiedział: - Pierwszy raz pożegnała mnie w ten sposób, gdy odprowadzałem ją do kliniki położniczej. Musiała przejść dwie operacje, żeby mieć dziecko. Obawialiśmy się o poród. Chcąc oszczędzić mi zdenerwowania, zabroniła mi iść ze sobą. Zostałem przy samochodzie, a ona podeszła do drzwi i na progu, zupełnie jak przed chwilą, odwróciła głowę i skinęła mi dłonią. Po powrocie do domu czułem się bez niej okropnie smutny, tęskniłem za nią i chcąc przywrócić jej obecność, usiłowałem sam dla siebie powtórzyć ten piękny gest, który mnie urzekł. Gdyby ktoś zobaczył mnie w tamtej chwili, pokładałby się ze śmiechu. Stałem tyłem do wielkiego lustra i uniosłem wysoko rękę, patrząc przez ramię i uśmiechając się do siebie. Powtórzyłem to ze dwadzieścia lub trzydzieści razy i myślałem o niej. Byłem tą, która

mnie żegna, i zarazem sobą, patrzącym, jak się ze mną żegna. Ale ten gest w dziwny sposób nie pasował do mnie. Nie ma co, wyglądałem z nim niezdarnie i śmiesznie.

Wstał i odwrócił się do nas plecami. Po czym uniósł rękę i znad ramienia rzucił na nas spojrzenie. Tak, miał rację: wyglądał komicznie. Wybuchnęliśmy śmiechem. Zacheęcony, powtórzył gest parokrotnie. Wyglądał coraz śmieszniej.

Następnie powiedział: - Wiecie, ten gest nie pasuje do mężczyzny, to jest gest kobiety. Tym gestem kobieta mówi: chodź, pójdz za mną, a wy nie wiecie, dokąd was zaprasza, i ona też nie wie, lecz mimo wszystko zaprasza was, przeświadczona, że warto za nią pójść. Dlatego mówię wam: albo kobieta będzie przyszłością mężczyzny, albo ludzkość zginie, bo tylko kobieta może zachować bezpodstawną nadzieję i popchnąć nas ku niepewnej przyszłości, w którą bez kobiet od dawna przestalibyśmy wierzyć. Przez całe życie byłem skłonny iść za ich głosem, nawet jeśli był to głos szalony, podczas gdy ja, ja jestem wszystkim, lecz nie szaleńcem. Ale dla tego, kto nie jest szaleńcem, nie ma nic piękniejszego niż dać się prowadzić w nieznanie głosowi szaleństwa! - I znowu wypowiedział uroczyście niemieckie słowa: - "Das Ewigweibliche zieht uns hinan!" Wieczna kobiecość prowadzi nas wzwyż!

Wiersz Goethego niczym dumna biała gęś bił skrzydłami pod sklepieniem pływalni, podczas gdy Paul, powielony przez trzy ogromne lustra, szedł w stronę wahadłowych drzwi, nad którymi lśnił wciąż złoty balonik. Wreszcie zobaczyłem Paula prawdziwie szczęśliwym. Zrobił kilka kroków, odwrócił do nas głowę i wznosił rękę w górę. Śmiał się. Odwrócił się znowu, znowu nam pomachał. Po czym raz jeszcze powtórzył niezdarnie piękny kobiecy gest i zniknął za drzwiami.

5.

Powiedziałem: - Ładnie mówił o tym gościu. Sądzę jednak, że się mylił. Laura nie nakłaniała nikogo do pójścia za nią w przyszłość, chciała jedynie przypomnieć ci, że jest i że czeka na ciebie.

Avenarius milczał, zachowując niewzruszoną twarz.

Powiedziałem do niego z wyrzutem: - Nie żal ci go?

- Owszem - odpowiedział Avenarius. - Szczerze go lubię. Jest inteligentny. Jest zabawny. Jest skomplikowany. Jest smutny. I to zwłaszcza: pomógł mi! Nie zapominaj o tym! - Po czym pochylił się nade mną, jakby nie chciał pozostawić bez odpowiedzi mojej ukrytej pretensji. - Opowiedziałem ci o moim projekcie sondażu: pytaniu, kto by wolał przespać się potajemnie z Ritą Hayworth, a kto wolałby pokazać się z nią publicznie. Rzecz jasna wyniki są znane z góry: wszyscy, nie wyłączając najgorszych nędzarzy, twierdziliby, że wolą się z nią przespać. Bo wszyscy we własnych oczach, w oczach żon i dzieci, a nawet w oczach łysego ankietera z ośrodka opinii publicznej, chcą uchodzić za hedonistów. Ale to ich złudzenie. Ich kabotyństwo. Dziś nie ma już hedonistów. - Ostatnie słowa wypowiedział z powagą, po czym dodał z uśmiechem: - Z wyjątkiem mnie. - I ciągnął: - Cokolwiek by ludzie powiedzieli, zapewniam cię, że wszyscy, wszyscy woleliby od nocy miłosnej spacer po głównym rynku. Bo wszystkim zależy na podziwieniu, a nie na rozkoszy. Na pozorze, nie na rzeczywistości. Rzeczywistość już dla nikogo nic nie znaczy. Dla nikogo. Dla mojego adwokata nie znaczy nic a nic. - Następnie powiedział z pewnym rozczuleniem: - Dlatego mogę cię uroczyście zapewnić, że nie przydarzy mu się nic złego; że nie dozna żadnej krzywdy. Rogi, które będzie nosił, pozostaną niewidoczne. Przy pięknej pogodzie będą błękitne, w dzień deszczowy będą szare. - I dodał: - Zresztą żaden mąż nie podejrzewałby mężczyzny, gwałcącego kobiety z nożem w ręku, o to, że jest kochankiem jego żony. Te dwa obrazy nie pasują do siebie.

- Poczekaj - powiedziałem. - On "naprawdę" wierzy, że chciałeś gwałcić kobiety?

- Już ci to powiedziałem.

- Myślałem, że to żart.

- Sądysz może, że wyjawilem mu moją tajemnicę? - Po chwili dodał: - Nawet gdybym powiedział mu prawdę, nie uwierzyłby mi. A gdyby w końcu mi uwierzył, wycofałby się bezzwłocznie z mojej sprawy. Interesowałem go jako gwałciiciel. Zapalał do mnie ową tajemniczą miłością, którą wielcy adwokaci obdarzają wielkich złoczyńców.

- Ale jak się usprawiedliwiłeś?

- Nie usprawiedliwiałem się. Uniewinniono mnie z braku dowodów.

- Jak to z braku dowodów? A nóż?!

- Nie przeczę, że było ciężko - powiedział Avenarius, i zrozumiałem, że niczego więcej się nie dowiem.

Długo milczałem. Potem powiedziałem: - Za nic w świecie nie przyznałbyś się do opon?

Potrząsnął głową.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie: - Byłeś gotowy pójść do aresztu jako gwałcieciel, aby tylko nie zdradzić się ze swą zabawą...

I nagle zrozumiałem Avenarius: jeśli nie chcemy przywiązywać wagi do świata, któremu zdaje się, że jest ważny, i jeśli w świecie tym nasz śmiech nie wywołuje żadnego echa, pozostaje nam jedno: wziąć świat hurtem i uczynić go przedmiotem naszej zabawy; uczynić z niego zabawkę. Avenarius bawi się i jedyną rzeczą, która waży w świecie pozbawionym wagi, jest dla niego zabawa. Ale wie, że zabawa nikogo już nie rozśmieszy. Gdy przedstawiał swoje projekty ekologom, nie chciał nikogo rozbawić. Chciał zabawić siebie.

- Powiedziałem: - Bawisz się ze światem jak melancholijne dziecko, które nie ma braciszka.

Tak! Tak, to jest metafora, której od dawna szukam dla Avenarius! Wreszcie!

Avenarius uśmiechał się niczym melancholijne dziecko. Po czym powiedział: - Ja nie mam braciszka, ale mam ciebie.

Wstał i ja również wstałem; zdawało się, że po ostatnich słowach Avenarius nie pozostaje nam nic innego, jak się uścisnąć. Ale uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy w samych kąpielówkach, i przelękliśmy się bliskiego spotkania naszych brzuchów. Śmiejąc się z zakłopotania, poszliśmy do szatni, w której piskliwy kobiecy głos przy akompaniamencie gitary wydzierał się z głośników tak gromko, że przeszła nam ochota na dalszą rozmowę. Weszliśmy do windy. Avenarius zjeżdżał na drugi poziom w podziemiach, gdzie zaparkował mercedesa, i na parterze go pożegnałem. W hallu z pięciu ogromnych afiszów patrzyło na mnie pięć różnych twarzy z podobnie wyszczerzonymi zębami. Przeląknęłam się, że mnie ugryzą, i wyszedłem na ulicę.

Jezdnia była zapchana samochodami, które trąbiły bez wytchnienia. Motocykle wjeżdżały na chodniki i torowały sobie drogę wśród przechodniów. Pomyślałem o Agnes. Dokładnie dwa lata temu, co do dnia, wyobraziłem ją sobie po raz pierwszy, gdy na klubowym leżaku oczekiwałem Avenarius. Właśnie dlatego zamówiłem dzisiaj butelkę wina. Moja powieść była skończona i chciałem uczcić to w miejscu, gdzie narodził się jej pierwszy pomysł.

Samochody trąbiły, słychać było gniewne okrzyki. Kiedyś, w tych samych okolicznościach, Agnes zapragnęła kupić sobie niezapominajkę, jedną jedyną łądzkę

niezapominajki; pragnęła trzymać ją przed oczyma niczym ostatni, ledwo widzialny, ślad piękna. Ukończone w grudniu 1988

Od autora

Od 1985 do 1987 roku przerezagowałem bardzo gruntownie francuskie przekłady wszystkich moich powieści, pracując nad każdym słowem; od tej pory uznaję ich francuską wersję za własną. Są wśród moich powieści i takie, których wersja francuska satysfakcjonuje mnie nawet bardziej niż czeska. Dotyczy to zwłaszcza "Nieśmiertelności", której "słowa kluczowe" były pomyślane po francusku, a wiele rozdziałów (zwłaszcza rozdziałów refleksyjnych) po francusku naszkicowanych. Wiedząc o tym, Marek Bieńczyk zaproponował, aby przekładu na polski dokonać właśnie z języka francuskiego; jego pomysł przyjąłem z zadowoleniem i akceptuję go bez zastrzeżeń. Milan Kundera